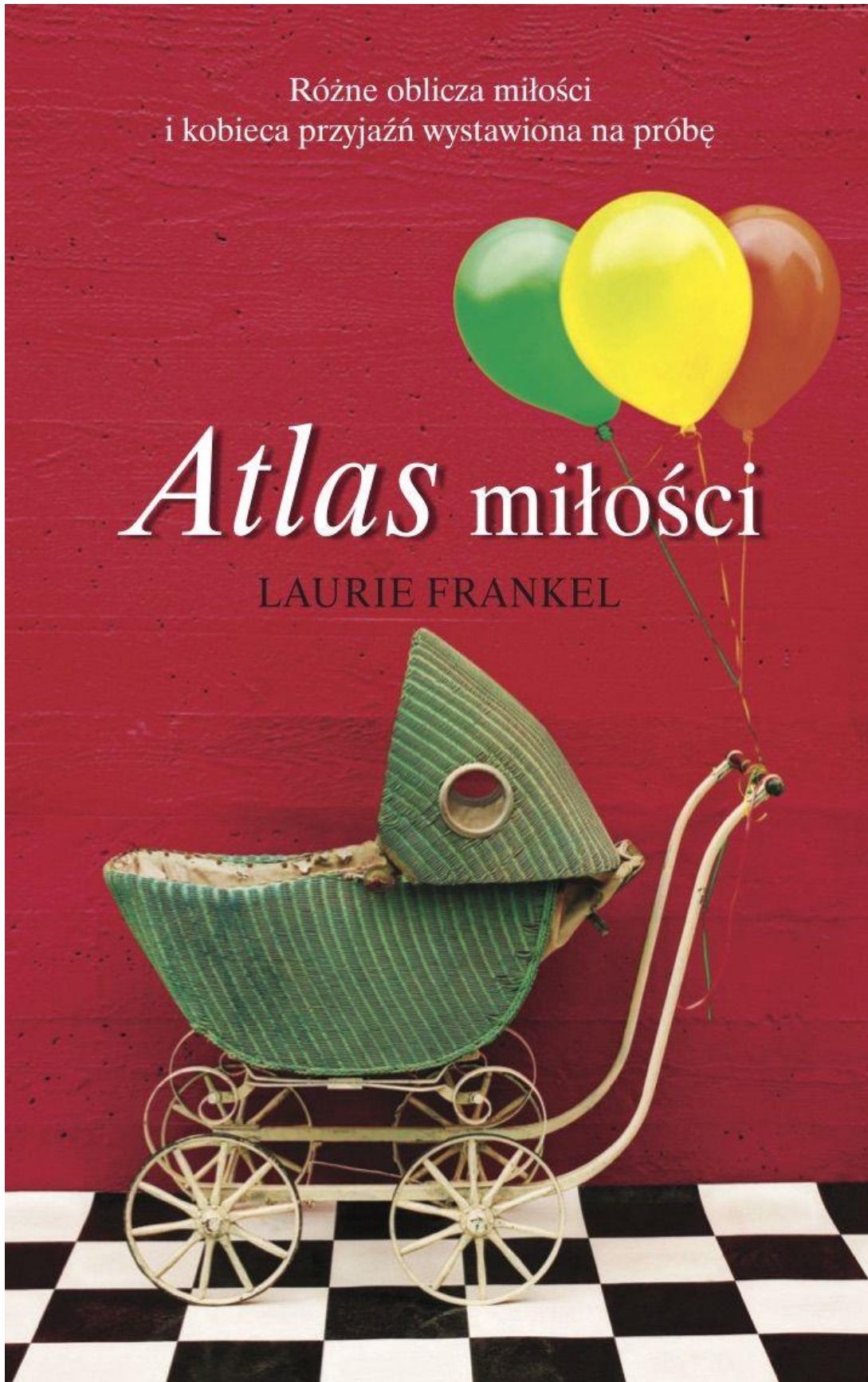


Różne oblicza miłości  
i kobieca przyjaźń wystawiona na próbę

# *Atlas* miłości

LAURIE FRANKEL



## O książce

### **Janey**

Dla Janey nie ma problemu, którego nie mogłaby rozwiązać, krojąc warzywa na naprawdę małe kawałki. Ciepła, pogodna, zapracowana Kanadyjka znajduje się w prawdziwym oku cyklonu problemów – i swoich, i jej przyjaciółek – a jedyną obroną przed wszechogarniającym szaleństwem jest dla niej gotowanie. I rozsądek. I poczucie humoru. I głębokie przekonanie, że rodzina to nie tylko więzy krwi.

### **Jill**

Nie do wiary, że ona i Janey znalazły wspólny język. Wszystko zaczęło się od krakersów, które we dwie wykupiły z supermarketu na dzień przed rozpoczęciem prowadzenia zajęć na uniwersytecie w Seattle. I to chyba góra ciastek sprawiła, że pyskata, egoistyczna feministka studiująca literaturę holocaustu mogła dogadać się z dobroduszną Janey. I kto wie, może były to najlepsze puste kalorie w jej życiu, bo kiedy została sama, w ciąży i dołku psychicznym, to spokój Janey był dla niej główną podporą.

### **Katie**

Nie da się ukończyć studiów doktoranckich, nie mając... wrogów. Głównym wrogiem Janey i Jill była Katie – idealna przyszła żona, miłośniczka epoki wiktoriańskiej, w dodatku mormonka. Na zajęciach robiła na drutach, notowała kolorowymi długopisami i nosiła okulary do czytania na sznurkach, które pasowały do ubrań. Zawsze. Jej dołączeniu do dziewczyn winne były... ptysie.

Mimo że wszystko się wali, one nie rezygnują. Popołniają błędy, cieszą się życiem, kochają.

LAURIE FRANKEL

# *Atlas* miłości

Z angielskiego przełożyła  
ANNA DOBRZAŃSKA



Wydanie elektroniczne

## LAURIE FRANKEL

Amerykańska pisarka mieszkająca z mężem, synem i owczarkiem border collie w Seattle. Autorka dwóch powieści: **Atlas miłości** i **Na razie żegnaj**. Magazyn internetowy BookPage umieścił ją na swojej liście 10 kobiecych osobowości pisarskich 2012 roku.

**[www.lauriefrankel.net](http://www.lauriefrankel.net)**

*Tej autorki*

NA RAZIE ŻEGNAJ  
ATLAS MIŁOŚCI

Tytuł oryginału:  
THE ATLAS OF LOVE

Copyright © Laurie Frankel 2010  
Published by arrangement with the Author  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2015

Redakcja: Monika Strzelczyk

Zdjęcie na okładce: © Garry Gay/Photographer's Choice/Getty Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-154-6

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em

# Spis treści

## CZEŚĆ I

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

## CZEŚĆ II

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

## CZEŚĆ III

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Podziękowania

## Przypisy



*Szczególnie dla Paula*

CZEŚĆ I  
*Zanim słowo stało się światem*

## Rozdział 1

Mając sześć lat, znalazłam w holu hotelu Waldorf-Astoria niemowlę. Owinięte w prześcieradło i ukryte w rosnącej w kącie istnej dżungli bujnych roślin doniczkowych, do której nie zajrzałyby nikt oprócz sześciolatka. Nie zwrócilibyście na nią uwagi, chyba że uwielbiacie film *Gdzie mieszkają dzikie stwory*, potraficie z miejsca rozpoznać pełen pnączy las, a wasza babcia jest tak pochłonięta meldowaniem się w recepcji, że w ogóle nie zwraca na was uwagi. Albo jesteście śmiertelnie przerażoną dwudziestoletnią recepcjonistką, która ukrywała przed światem ciążę, a zaledwie chwilę temu urodziła dziecko — podczas przerwy na lunch, w apartamencie na trzecim piętrze zamkniętym przez cały tydzień z powodu wymiany wykładowcy. Wówczas doniczkowa dżungla mogłaby wam się wydać naprawdę interesująca.

Ukradkiem oddaliłam się od babci i dzielnie wkroczyłam do doniczkowego lasu w poszukiwaniu dzikich stworów. Znalazłam tam masę kurzu, jednego pensa, którego schowałam do kieszeni na szczęście, dwie czekoladki Rolo, które zignorowałam, bo już jako sześciolatka wiedziałam, że nie należy jeść niczego z podłogi, i leżący pod kaladium wiercący się tobołek, który w pierwszej chwili wzięłam za Maxa w kostiumie wilka.

To oczywiście, że nie byłam w stanie tego zrozumieć, choć z drugiej strony rozumiałam, ponieważ przycupnęłam pod ścianą, przy której kończyła się dżungla, wzięłam dziewczynkę na kolana i próbowałam ją uspokoić. Jak urzeczona wpatrywałam się w oczy swojej nowej przyjaciółki, ignorując rozpaczliwe nawoływania babci i obcych ludzi przerażonych moim zniknięciem, wołających moje imię, zaglądających do toalet, szukających mnie w sklepie z pamiątkami, na chodniku i w dziesiątkach innych miejsc, do których przypadkiem mogłaby zawędrować sześciolatka dziewczynka. Ostatecznie zostałam odnaleziona przez innego dzieciaka, który wtargnął do mojego lasu, wołając: „Znalazłem ją. Znalazłem ją. Ja ją znalazłem!”, jakby to było coś bohaterkiego.

Patrzyłam, jak ulga malująca się na twarzy babci ustępuje miejsca złości i zmieszaniu; zupełnie jakby próbowała ustalić, jak to możliwe, że jej sześciolatka wnuczka oddaliła się bez słowa i w ciągu pięciu minut urodziła dziecko. Kilka razy otwierała i zamykała usta, aż w końcu wydusiła:

— Janey, skarbie, powiedz, że nie ukradłaś czyjśgo dziecka.

\* \* \*

Nieco później — na górze, w naszym idealnym pokoju z ogromnymi łóżkami, wielkimi, miękkimi ręcznikami i oknami, za którymi lśniły miliony świateł — po tym, jak uciekłyśmy przed medialną wrzawą, która rozpełtała się w holu, gdy śmiertelnie błada recepcjonistka uznała, że najwyższy czas powiedzieć prawdę, kiedy przebrałam się w piżamę — babcia przytuliła mnie i powiedziała, że jest ze mnie bardzo dumna.

— Nie jesteś zła? — spytałam.

— Może troszkę — przyznała. — Dlatego nigdy więcej nie oddalaj się bez słowa. Ale chcę, byś wiedziała, że jestem pod wrażeniem.

— Dlaczego?

— Bo patrzę na ciebie i widzę dziewczynę, którą będziesz, kiedy dorośniesz. I jest ona urocza.

— Dlaczego? — powtórzyłam.

— Dlatego że w całej tej przerażającej sytuacji zachowałam się bardzo dzielnie. Nie wiedziałas, co się stanie, jeśli ktoś cię znajdzie, więc siedziałas cicho i pilnowałas dziecka.

Chociaż nigdy wcześniej nie opiekowałaś się dzieckiem i zdawałaś sobie sprawę, że mogą być zła. To było słodkie, mądre i odważne. Masz dobre serce — powiedziała mi wówczas babcia.

— Powinnyśmy wziąć ją do domu i pozwolić jej z nami zamieszkać — odparłam po chwili zastanowienia.

— Nie, kochanie. To jest czyjeś dziecko.

— Ale jeśli ona go nie chciała...?

— To nie twoje dziecko, skarbie. Za to jutro pójdziemy do sklepu z zabawkami i kupimy ci śliczną lalkę.

\* \* \*

Wiele lat później babcia upierała się, że wszystko zaczęło się tamtego dnia. Zazwyczaj ludzie doszukują się początku rozmaitych rzeczy w komórkach jajowych i plemnikach, ale prawda jest taka, że sięgają one do jeszcze dalszej przeszłości. Jill była przekonana, że wszystko się zaczęło, gdy Dan ocalił samorząd studencki. Katie doszukiwała się początku w ptysiach z bitą śmietaną. Jednak babcia twierdziła, że to miało swój początek dwadzieścia lat temu w holu hotelu Waldorf-Astoria. Niełatwo ustalić takie rzeczy, ale myślę, że zastanawianie się nad tym jest trochę przedwczesne. Ja uważam, że punktem zwrotnym był dzień, kiedy Jill stanęła przy półkach z krakersami. Wtedy wszystko się zaczęło. Rodzina to nie tylko więzy krwi, to przede wszystkim przeznaczenie. W tej kwestii nie mamy nic do powiedzenia.

## Rozdział 2

Poznałam Jill w sklepie spożywczym na dziale z krakersami w przeddzień rozpoczęcia zajęć na studiach doktoranckich, dzień przed tym, jak same zaczęłyśmy uczyć. Wierzyłam, że krakersy Trisket pomogą mi przetrwać pełną nerwów noc i doczekać do rana. Jill wrzucała do wózka kolejne opakowania słonych krakersów.

— Hej, to ty jesteś tą dziewczyną z zagranicy — zaczęła, pamiętając mnie z kursu wprowadzającego dla studentów pierwszego roku.

— Jestem z Vancouver — przyznałam.

— Kanada jest za granicą — odparła rozsądnie i całkiem słusznie. Mimo to czułam się tu jak w domu. Seattle to praktycznie Kanada.

— Dużo tego — zauważyłam, spoglądając na krakersy. Jak do tej pory rozmowa się nie kleiła.

Wzruszyła ramionami.

— Są tanie. Poza tym nie lubię tego sklepu.

— Więc postanowiłaś go ukarać, wykupując wszystkie krakersy?

— Kupuję tyle, ile mogę, żeby nie musiała tu wracać.

— Stracą świeżość.

— I tak smakują, jakby były nieświeże, więc to bez znaczenia — rzuciła Jill.

— A co z witaminami? — spytałam. Spojrzała na mnie tępym wzrokiem. — Witaminami. Substancjami odżywczymi. No wiesz... zdrowym jedzeniem.

— Co ty wiesz o zdrowym jedzeniu? — Zajrzała do mojego koszyka: na paczkę makaronu, opakowanie ryżu w torebkach i krakersy Trisket. — Nie sądzę, żeby paczka gumy do żucia dodała ci energii. — I miała rację.

— Jutro wybieram się na targowisko — powiedziałam, choć wcześniej zupełnie nie przyszło mi to do głowy. — Wpadłam tu po najpotrzebniejsze rzeczy.

— Nie jem warzyw, ale mogę pójść z tobą po zajęciach — powiedziała, jakbym ją o to poprosiła. — Może chodząc między straganami, przyswoję trochę witamin.

— Jestem Janey — przedstawiłam się zdumiona jej bezczelnością, ale zadowolona, że, być może, właśnie zyskałam przyjaciółkę.

— Pamiętam — odparła. — Janey z Kanady.

\* \* \*

Nie od razu się zaprzyjaźniłyśmy. Zwykle siedziałyśmy razem na zajęciach, i to wszystko. Aż pewnego popołudnia, wychodząc z seminarium, spytałam:

— Chyba nie wracasz do domu, żeby jeść na obiad krakersy?

— Czasami.

— Same krakersy?

— Albo kanapkę.

— Kanapkę z krakersami?

— Czasami. A ty, co jesz na obiad?

— Makaron. Albo ryż. Ale z warzywami.

— Gotujesz je?

— Podgrzewam w mikrofalówce. Ale to już coś. Może wpadniesz do mnie na obiad?

— Potrafię o siebie zadbać — odparła.

— Chyba jednak nie — rzuciłam. Była to najprawdziwsza prawda, choć wtedy jeszcze

tego nie wiedziałam. Tego dnia zjadłyśmy razem obiad. Podgrzałam w mikrofalówce mrożone brokuły z sosem serowym i mrożony groszek w sosie maślanym, po czym wyłożyłam zawartość opakowań na talerze z ugotowanym makaronem. Penne w sosie serowo-maślanym, z groszkiem i brokułami. Obiad zawierał pewnie jakieś witaminy, choć jego smak pozostawiał wiele do życzenia.

— Obrzydliwe — skwitowała Jill.

— Lepsze niż słone krakersy.

— Nie jestem pewna.

\* \* \*

Ja również nie byłam pewna, uznałam więc, że lepiej będzie, jeśli nauczymy się gotować. W obliczu twardej argumentacji Jill przyznała, że to niegłupi pomysł. W końcu co trudnego może być w gotowaniu? Książki kucharskie to też książki, a przecież te były naszą specjalnością. Kupiłam kilka, przeczytałam je i w niedzielne popołudnie poszłyśmy na Pike Place Market. Jill zaproponowała, żebyśmy najpierw coś zjadły.

— Jesteśmy tu po to, żeby nauczyć się gotować — przypomniałam jej.

— Jesteśmy tu po to, żeby zrobić zakupy.

— W takim razie zaczynamy.

— Człowiek nie powinien kupować jedzenia, mając pusty żołądek — zauważyła niegłupio.

— Jedyne jedzenie, jakie kupowałaś do tej pory, to krakersy.

— Ale nigdy na głodnego.

Zaprowadziła mnie do maleńkiego baru przy jednej z bocznych uliczek. Obskurnego miejsca ze sfatygowaną tapetą, lepką od brudu podłogą, dwoma koślawymi stolikami i krzesłami nie do kompletu. Stojąca za ladą dziewczyna żuła gumę o intensywnym winogronowym zapachu i głaszała wielkiego i niezwykle łagodnego (albo cierpiącego na schizofrenię katatoniczną) owczarka niemieckiego.

— To chyba nie jest dobry pomysł — rzuciłam.

— Jedzenie jest tu pyszne — zapewniła Jill. — Moja mama uwielbia to miejsce.

— Tu jest brudno.

— Nie lubisz psów?

— Uwielbiam. Ale nie w jedzeniu.

— Ma rękawiczki.

— I głaszcze nimi psa.

— Najdroższe danie kosztuje pięć dolarów — powiedziała poirytowana.

— Jestem gotowa zapłacić więcej za kanapkę bez psiej sierści — odparłam.

Ostatecznie zamówiłyśmy latte. Po wyjściu z baru wałęsałyśmy się między straganami pełnymi owoców i warzyw, stoiskami rybnymi, budkami z serem, pieczywem i orzechami. Zajrzałyśmy nawet do sklepiku z winem. Czułyśmy się trochę nieswojo, ale i tak było miło. Zwłaszcza gdy sprzedawcy, widząc naszą listę zakupów, uśmiechali się i proponowali nam rozmaite rzeczy. Kiedy wróciłyśmy do domu, było już ciemno.

— Jestem zbyt zmęczona, żeby uczyć się gotować — oznajmiła Jill, teatralnie osuwając się na podłogę.

— Wypiłaś trzy kawy — przypomniałam jej, ona jednak zdołała tylko dowieść się do kanapy i tam pozostała przez resztę wieczoru, ochoczo kosztując rozmaite wina i sery i próbując ustalić najlepsze kombinacje. Tymczasem ja przygotowałam najbardziej czasochłonny posiłek w historii ludzkości. Pół godziny kroiałam trzy marchewki i brokuł. Przez kolejną godzinę

przeglądałam Google w poszukiwaniu najlepszego sposobu na pieczenie ryb. Dwie i pół godziny trzymałam w piekarniku ziemniaki, które i tak okazały się niedopieczone, bo nastawiłam go na sto osiemdziesiąt stopni i w tym samym czasie próbowałam upiec ciasteczka (też były na wpół surowe, ale to i tak lepsze niż przypalone). Kiedy skończyliśmy kolację, było już dobrze po północy. Nie wyobrażałam sobie, żebym mogła robić coś takiego raz w miesiącu, nie mówiąc o tym, że miałabym gotować codziennie.

— Krakersy są lepsze — skwitowała Jill.

— Jesteś zbyt pijana, żeby mieć w tej sprawie coś do powiedzenia — odparłam.

— Racja. — Zachichotała. — Wyobraź sobie, o ile gorsza byłaby ta kolacja, gdybym ci pomagała.

\* \* \*

Do Święta Dziękczynienia mniej więcej wiedziałam już, co należy robić z owocami morza i warzywami, jednak potrawy mięsne nadal pozostawały dla mnie tajemnicą. Mimowolnie odwracałam głowę, sięgając do dziury wyciętej w indyku (zrobionej po tym, jak biednemu ptakowi odcięto głowę), wyciągając wnętrzności i zastępując je okruchami chleba. Zaproponowałam więc, żebyśmy zostały wegetariankami. Przygotowaliśmy zatem świąteczny obiad bez indyka. Trudno go było jednak nazwać ucztą. Przygotowałam placki ziemniaczane *latkes* (niebawem zbliżała się Chanuka), domowej roboty sos jabłkowy („Po co kupować gotowy, kiedy można utrudnić sobie życie?” — pytała babcia w e-mailu, w którym podała mi rewelacyjny przepis swojej mamy), duszone przegrzebki („Bardzo wegetariańskie” — skwitowała Jill), pieczone buraki, a na deser miniaturowe ptysie z różnymi farszami. Zapaliłyśmy świece i podziękowałyśmy za to, że dotrwałyśmy do świąt, przeżyłyśmy pierwszy semestr i prawie dojrzałyśmy do końca roku. Podziękowałyśmy za cuda, które wydarzyły się w tym czasie — za to, że nauczyłyśmy się gotować, radzić sobie ze studiami i za to, że co wieczór nie musiałyśmy jeść ryżu gotowanego w torebkach oraz mrożonego szpinaku w sosie śmietanowym. Za przyjaźń.

\* \* \*

Człowiek nie ukończy studiów magisterskich, nie mając sojuszników. To jak wojna albo międzynarodowa dyplomacja, albo gimnazjum — życie w ciągłym niebezpieczeństwie, nie do wytrzymania bez wsparcia innych. Moim wsparciem była Jill. I tak jak na wojnie, w międzynarodowej dyplomacji czy gimnazjum, studia magisterskie pełne są wrogów. Każdy tu ma swojego zacieklego wroga. Naszym była Katie Cooke. Wiecznie wystrojona i wymalowana, w trakcie seminarium robiła na drutach, notowała, używając kolorowych długopisów, i nosiła okulary do czytania na sznurkach, które zawsze pasowały do jej ubrań. Siedziała pośrodku pierwszego rzędu — jeśli krzesła ustawione były w rzędach — lub zaraz obok wykładowcy, kiedy siedzieliśmy wokół stołu. Zgłaszała się do odpowiedzi na każde pytanie. Była miłośniczką epoki wiktoriańskiej i mormonką. Wieczorami siedzieliśmy przy piwie i śmiałyśmy się z niej. To był nasz sposób na rozładowanie stresu.

W poniedziałek po Święcie Dziękczynienia zostało nam mnóstwo jedzenia, więc resztę ptysiów przynieśliśmy na seminarium. Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem, że zrobiłam je sama, nawet Katie. Po zajęciach podeszła do nas.

— Te ptysie były niezmiernie — zachwyciła się. — Musisz naprawdę świetnie gotować.

— Uczę się — odparłam wymijająco. — Powoli.

— Nie, naprawdę były dobre. I zdrowe. Są małe, więc można zjeść ich całe mnóstwo i nic się nie stanie.

— Słuszna uwaga — odparłam, zastanawiając się, czy Katie jest równie głupia, co

denerwująca.

— Studenci nie gotują — dodała Katie.

— Jasne — bąknęłam.

Nagle chwyciła mnie za ramię.

— Musisz mnie nauczyć — szepnęła.

— Słucham?

— Musisz mnie nauczyć. Nie umiem gotować, a powinnam się nauczyć. W końcu nazywam się Cooke<sup>1</sup>.

— Naprawdę nie umiesz gotować? — spytała z niedowierzaniem Jill. — Jesteś idealną panią domu. W czasie zajęć robisz na drutach. Nosisz kostiumy.

Katie wzruszyła ramionami.

— Tak, ale gotować nie umiem.

Zaskoczyło nas, że nie potrafiła gotować i że w ogóle z nami rozmawia. Katie często zaskakuje. Podkrada się do ciebie w taki sposób, jaki nigdy nie przyszedłby ci do głowy. Wtedy jednak nie miałam o tym pojęcia.

Chciałam powiedzieć, że ja też nie umiem gotować. Że dopiero zaczynam. Wytłumaczyć, że to nie najlepszy czas, że mam za dużo nauki. Może kiedy indziej. Chciałam powiedzieć, że tak naprawdę w ogóle jej nie lubimy. Tymczasem spanikowałam i odparłam:

— Gotuję w niedziele. Pomaga mi Jill. To ona próbuje potraw i ocenia ich smak. Możesz do nas dołączyć.

Jill posłała mi wściekłe spojrzenie.

— Co najmniej do południa jestem w kościele — przyznała Katie.

— W porządku — rzuciłam.

— Ale mogę przyjść później. Kupujecie coś?

— Słucham?

— Pytałam, czy coś kupujecie? Ja nie mogę kupować niczego w niedziele. Ale inni mogą dla mnie gotować. Pod warunkiem że im nie płacę.

— Dzięki — rzuciła Jill.

— Myślę, że mogłabyś przyjść po zakupach, ale przed gotowaniem — zaproponowałam.

— Jestem taka podekscytowana — pisnęła Katie, klaszcząc w dłonie.

Tak oto do nas dołączyła.

\* \* \*

Tamtej niedzieli upiekłam na grillu pizzerinki i zimowe warzywa. Jill siedziała na kanapie, piła wino i przesłuchiwała Katie.

— A zatem... jesteś miłośniczką epoki wiktoriańskiej. To trochę sztywniackie — skwitowała.

— Ale wcale nie pruderyjne — powiedziała Katie. — Raczej uporządkowane, powściągliwe i dostojne. A do tego pełne sprzeczności.

— Dlatego jesteś mormonką? — dopytywała się Jill.

— Z powodu sprzeczności?

— To też. I pruderyjności.

— Moja rodzina ze strony ojca to mormoni od pięciu pokoleń — odparła Katie. — Jeśli chcesz, mogę ci o tym opowiedzieć.

— Nie, dziękuję — odparła Jill. — Wystarczy, że brak kawy działa na mnie usypiająco. A tak przy okazji, co jest nie tak z kawą?

— Krótko i zwięźle? — spytała Katie. — Kawa uzależnia.



— Wino też.  
— Dlatego nie pijemy alkoholu.  
— Nawet wina? — rzuciła przerażona Jill.  
— Nawet wina.  
— Ale w Biblii pełno jest wina. Czytałaś w ogóle Biblię?  
— Krótko i zwięźle? — powtórzyła Katie. — Coś ci wyjaśnię. To ważne, by ludzie nieustannie się kontrolowali. Ważne i trudne. Wino raczej w tym nie pomaga.  
Jill przewróciła oczami.  
— Dlaczego tak ci zależy, żeby nauczyć się gotować?  
— Jako żona będę musiała to robić — odparła Katie.  
— Jesteś zaręczona?  
— Nie.  
— Spotykasz się z kimś na poważnie?  
— Nie.  
— Masz przecucia co do jakiegoś faceta, którego niedawno poznałaś? Podkochujesz się w przyjacielu? Rodzice zaplanowali dla ciebie małżeństwo?  
— Cierpliwie czekam — powiedziała Katie. — Ale wolę się przygotować.  
\* \* \*

— Na swój sposób nawet ją polubiłam — przyznałam ponuro, kiedy Katie wyszła.  
— Jest taka dziwna — bąknęła Jill. — Powiedziała, że chce się nauczyć gotować, a w ogóle nie zwracała uwagi na to, co robisz.  
— Ty też — wypomniałam jej.  
— Tak, ale ja wcale nie chciałam uczyć się gotować. Chciałam, żebyś to ty nauczyła się gotować dla mnie.

W kolejną niedzielę Jill i ja kupowałyśmy jedzenie, podczas gdy Katie wlokła się z tyłu, bo uznała, że skoro nie może za nic płacić, to przynajmniej sobie popatrzy. Muszę przyznać, że stawała się naprawdę drogim wrogiem. Gdy w końcu wróciłyśmy do domu, ja zabrałam się do gotowania, podczas gdy one dwie rozmawiały w salonie. Katie najwyraźniej doszła do wniosku, że towarzyskie pogaduszki są dużo fajniejsze od nauki gotowania. Mimo ataków ze strony Jill pozostawała sobą. I nie chciała się od nas odczepić. Co mogłyśmy zrobić? Miałyśmy jednego zacieklego wroga mniej. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miałyśmy wrogów.

\* \* \*

Później, znacznie później on — podobnie jak moja babcia — będzie się zastanawiał, jak to się wszystko zaczęło. Kiedy pozna nas dobrze, będzie zachodził w głowę, jak to możliwe, że tak różne osoby stały się sobie tak bliskie. Wtedy wrócę wspomnieniami do hotelu Waldorf-Astoria i opowiem mu pewną historię. Bo właśnie tam, w hotelu Waldorf-Astoria, rozpoczęła się jego historia; gdzieś między dzikimi stworami i ptysiami z bitą śmietaną narodziła się przyjaźń. Na długo przed komórkami jajowymi i plemnikami. Powiem mu, że na początku była cudowna, piękna, oślepiająco jasna, zenująco ślepa, niewysłowiona wiara.

## Rozdział 3

T.S. Eliot musiał być na studiach podyplomowych, kiedy uznał, że kwiecień jest najbardziej okrutnym miesiącem roku. W kwietniu miałam do napisania dwie dwudziestopięciostronicowe prace, do przeczytania mniej więcej tuzin książek (niezbyt ciekawych, bo traktujących o krytyce literackiej) i musiałam ocenić pięćdziesiąt prac naukowych na zajęcia ze wstępu do kompozycji, przy czym każdej mogłam poświęcić około czterdziestu pięciu minut. Wszystko przez to, że prawie cztery lata po spotkaniu przy półce z krakersami i rozpoczęciu studiów doktoranckich, mimo iż wiedziałam, czym się zajmuję, nadal nie miałam pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Uczylałam na Uniwersytecie Rainier — instytucji, która z pewnością znalazłaby się na liście prestiżowych uczelni, gdyby taka lista powstała — i zarabiałam na życie (skromne), czytając i rozmyślając o literaturze, ale mimo długich godzin, które spędzałam, przygotowując zajęcia, spotykając się ze studentami i bez końca oceniając ich prace, nie miałam etatu wykładowcy. Profesorowie zatrudnieni na tej samej uczelni prowadzą — tak jak ja — dwa kursy na semestr i dostają pieniądze za to, że czytają książki, a później o nich piszą. Dzieli nas jednak dwie istotne różnice. Po pierwsze, ich pensje są na tyle wysokie, że zapewniają im godne życie. Czasami mogą nawet pozwolić sobie na obiad w ekskluzywnej restauracji. Po drugie, choć z zawodu są nauczycielami, ich priorytetem są badania, nie sale wykładowe. Niektórzy z nich nawet nie lubią uczyć. Niektórzy są tak starzy, że zapomnieli, jak to się robi. W przeciwieństwie do nich, ja nigdy nie chodzę do eleganckich restauracji. Ale naprawdę przejmuję się tym, co robię.

Moi studenci to wyczuwają. Oprócz zajęć z angielskiego większość pierwszego roku spędzają w ogromnych salach wykładowych w otoczeniu trzystu innych osób, słuchając wykładów i skrupulatnie notując każde słowo. Gdy dopada ich kryzys — spowodowany głównie tym, że mają osiemnaście lat, mieszkają z dala od domu w akademiku, w towarzystwie pięciuset innych osiemnastolatków, którzy po raz pierwszy wyrwali się z domu — przychodzą więc do mnie. W czasie dyżurów rzadko sprawdzam brudnopisy prac, za to znacznie częściej mam do czynienia ze studentami, którzy przechodzą kryzys.

Na przykład w dniu, od którego zaczęłam snuć tę opowieść, który w pewnym sensie dał jej początek, Isabel Rallings siedziała w moim gabinecie cała we łzach. Między jej kolejnymi pociągnięciami nosem zrozumiałam, że przestał do niej dzwonić chłopak (to typowe), nie odwiedził jej od kilku tygodni, mimo iż obiecał (to również typowe), nie wydawał się przesadnie szczęśliwy, kiedy do niego dzwoniła (typowe). Jakby tego było mało, Isabel podejrzewała, że jest w ciąży (niezbyt typowe, choć i takie rzeczy się zdarzają; średnio dwie dziewczyny na semestr obawiają się, że są w ciąży). Względnie łatwy temat, może nie dla Isabel, ale dla mnie na pewno. Miałam wprawę. Rozmawialiśmy o znaczeniu komunikacji i o tym, jak cykle miesięczkowe zostają zaburzone w trakcie semestru. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że testy ciążowe kosztują piętnaście dolców, co dla studenta (dla mnie zresztą też) jest prawdziwą fortuną, którą jednak warto wydać dla świętego spokoju. Na koniec wręczyłam Isabel paczkę chusteczek higienicznych, pocieszyłam ją i niemal wypchnęłam z gabinetu.

— Następny. — Mówiąc to, uśmiechnęła się przez łzy do Jamesa Rainsa, który siedział pod ścianą na korytarzu i w milczeniu czekał na swoją kolej.

Chłopak — na wpół zawstydzony, na wpół uśmiechnięty — wślizgnął się chyłkiem do gabinetu. Był trzeci w tym tygodniu. Wiedziałałam, czego chce, jeszcze zanim otworzył usta.

— Na pewno — zaczął — pomyśli pani, że to zabawne.

Z całą pewnością byłam już rozbawiona, choć wątpiłam, czy to właśnie miał na myśli.

Uśmiechał się, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od podłogi.

— Wczoraj wieczorem wyszedłem z kumplami, ale wróciłem do domu wcześniej, żeby napisać pracę, i wtedy przyszli moi współlokatorzy. Kompletnie pijani. Skończyłem pisać, ale jeden z nich przypadkiem usiadł na moim komputerze i wszystko straciłem.

Drażniłam się z nim przez chwilę, by nie sądził, że uda mu się wcisnąć mi ten kit, ostatecznie jednak dałam mu dodatkowy dzień na oddanie pracy. W końcu i tak nie ocenię wszystkich w ciągu jednej nocy. Poza tym było mi go żal. Jeśli mówił prawdę, historia rzeczywiście była smutna. Wyobraźcie sobie, że wkładacie w coś wiele pracy — rezygnujecie nawet z imprezy — i wszystko tracicie. Nawet jeśli kłamał, i tak było mi go żal, że nie wymyślił lepszej wymówki i musiał uciec się do czegoś tak żenującego.

Pod koniec każdego semestru przed drzwiami mojego gabinetu ustawiały się kolejki ludzi pokroju Jamesa Rainisa, którzy prosili o przedłużenie terminu oddawania prac. Dziewczyny wymyślały smutniejsze i znacznie bardziej skomplikowane wymówki (chora współlokatorka, płaczące młodsze siostry, związek, który się rozpadł), podczas gdy faceci raczyli mnie opowieściami o problemach technicznych (zgubionych pendrive'ach, zepsutych laptopach, piwie rozlanym na klawiaturę — znam niezliczone wersje tych historii). Nie chodzi o to, że ich wymówki są mniej prawdopodobne — tego z całą pewnością nie da się ustalić. Nie mówię też, że faceci nie przeżywają kryzysów emocjonalnych; po prostu znacznie rzadziej o nich mówią. Te wymówki drażnią moich kolegów, ale mnie nie przeszkadzają aż tak bardzo. Powinnam być bardziej czujna.

Niestety, nie jestem. Pod koniec semestru nie potrafię nawet unieść wszystkich prac, które mam do sprawdzenia, nie mówiąc o książkach, które muszę przeczytać. W takie popołudnie jak tamto, kiedy miałam chwilę wolnego czasu, trzeba było pójść do domu i zagłębić się w lekturze. Przede wszystkim jednak odwołać konsultacje. Nie powinnam w ogóle wychodzić z domu, tyle miałam czytania. Trudno jest przebrnąć przez studia podyplomowe, zajmując się cudzymi pracami. Żeby to znieść, należy robić sobie przerwy. Przynajmniej tak sobie tłumaczyłam. W czwartki, po zajęciach i konsultacjach, chodziłam na drinka.

„Drink” to może za dużo powiedziane. Zwykle nie stać nas było na drinki. Na środki uspokajające też nie mogłyśmy sobie pozwolić. Nie miałam jednak ochoty wracać do domu i kłaść się do łóżka o przyzwoitej porze. Nigdy już tego nie nadrobię. Jill lubi popijać piwo i kawę, wierząc, że wzajemnie się równoważą. Katie je ciastka. Ale w Seattle nawet mormoni — pomimo dziwnych religijnych zasad — chodzą do barów kawowych. Nasz znajduje się z dala od miasteczka uniwersyteckiego, dzięki czemu nie ryzykujemy, że wpadniemy na któregoś ze studentów albo — co gorsza — profesorów. W większości barów kawowych panuje chłód, częściowo dlatego, że trudno tu zabezpieczyć budynki przed deszczem i chłodem, lecz przede wszystkim po to, by zmusić klientów do kupowania większej ilości gorących napojów. Mimo to w Joe Bar jest ciepło, a panujący wewnątrz mrok daje wrażenie intymności. Stojące na zewnątrz stoliki czekają na piękną słoneczną pogodę. Kwiecień w Seattle niewiele ma wspólnego z prawdziwą wiosną, ale przynajmniej przestało padać. Kiedy dotarłam na miejsce, Katie i Jill siedziały przy barze, dzielnie stawiając czoło zimnu. Jadły kanapkę z sałatką z jajek i dyskutowały o jajkach. Kiedy usiadłam, Jill mówiła właśnie:

— To tak, jakbyśmy jadły martwe kurczątko.

— Wcale nie — upierała się Katie. — Jajka, które jemy, nie są zapłodnione.

— Kury uprawiają seks, a później składają jaja.

— Nieprawda.

— Oczywiście, że tak.

— Nie. Z kurami jest jak z rybami. Składają jaja, a później przychodzi kogut i je

zapładnia. Albo, jak w tym przypadku, farmer zbiera je, zanim zostaną zapłodnione. Dlatego wcale nie jemy martwych kurczaczeków.

— Jak on to robi?

— Po prostu wybiera je z kurnika.

— Nie mówię o farmerze. Pytam o koguta — sprostowała Jill. — Jak może zapładniać jajko, które już zostało zniesione? Chcesz powiedzieć, że na końcu penisa ma małe wiertełko?

— Nie wiem — przyznała Katie. — Może świeżo zniesione jaja są miękkie i twardnieją, dopiero kiedy je zapłodni?

— Nie mogą być miękkie, bo wtedy do środka dostałoby się siano i odchody. Skorupka jest po to, żeby chronić kurczątko.

— Chyba masz rację — odparła Katie. Wydawała się zrezygnowana jak ktoś, kto nie potrafi znaleźć rozsądnego kontrargumentu.

To tłumaczy, dlaczego nie jem jajek, dopóki nie przypominają jakiejś potrawy. Jajeczniczy, quiche'a albo ciasta. Jajka jako jajka po prostu mnie nie interesują. To również tłumaczy, dlaczego nie robimy studiów podyplomowych z biologii.

— Skąd w ogóle cała ta rozmowa o reprodukcji kurczaków? — spytałam, jakby rzeczywiście istniało jakieś satysfakcjonujące wytłumaczenie.

— Katie uważa, że to romantyczne, że kurczaki łączą się w pary na całe życie — wyjaśniła Jill.

— Gęsi, nie kurczaki — odparłam.

— Może łabędzie — rzuciła Katie. — Albo żurawie.

— A tak w ogóle, dlaczego rozmawiacie o zwierzętach, które łączą się w pary na całe życie? — Postanowiłam spróbować przejść do rzeczy.

— Myślałam o tym przy okazji pracy na temat *Wielkich nadziei* — odparła Katie, jakby to wszystko tłumaczyło.

— Jak tam konsultacje? — spytała Jill. — Nie mogę uwierzyć, że nadal je masz. Zajęcia się skończyły. Przyszedł czas na czytanie.

— Jak mają mi powiedzieć, że oddadzą prace w późniejszym terminie, jeśli nie przyjadę na konsultacje? Nie było tak źle. Jeden zgnieciony komputer, jedna zgubiona praca, jeden brudnopis do przejrzania i jeden lęk przed niechcianą ciążą.

— Dwa — mruknęła Jill z ustami pełnymi sałatki.

— Dwa co?

— Dwa przypadki lęku przed niechcianą ciążą — odparła.

— Jeden. — Mówiąc „jeden”, miałam na myśli Isabel.

— Ja też — rzuciła Jill. A ponieważ patrzyliśmy na nią w kompletnym osłupieniu, dodała: — Myślę, że jestem w ciąży.

Katie zbladła. Naturalnie wiedziała, że tak właśnie kończy się seks przedmałżeński, jednak była to dla niej ogromna tragedia. W ciągu kilku sekund po wyznaniu Jill Katie wyobraziła sobie, jak przyjaciółka, żyjąc w nędzy, błąka się zasypanymi śniegiem ulicami Londynu w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, z płaczącym, niedożywionym niemowlęciem zawiniętym w potargany brudny szal, jak szuka mężczyzn, którym mogłaby się oddać w zamian za kromkę chleba. Oto, w jaki sposób myślą miłośnicy epoki wiktoriańskiej. Jako miłośniczka Szekspira przyjąłam tę wiadomość nieco lepiej, choć natychmiast pomyślałam o rozmaitych programach telewizyjnych uczących, jak uniknąć takiej sytuacji.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytałam.

— Spóźnia mi się okres — odparła Jill.

— Może to przez kwietniowy stres? — rzuciła z nadzieją Katie.

— I nie byliśmy przesadnie... ostrożni — przyznała Jill.

— Może jednak... — Katie nie dawała za wygraną.

— I oglądałam swoją szyjkę macicy. Jest niebieska.

Westchnęłam i przewróciłam oczami. Chyba w tej sytuacji nie powinnam okazywać zdenerwowania, ale nie mogłam się powstrzymać. Bez względu na to, jak niewiele Jill wiedziała na temat reprodukcji kurczaków, trzymała swoje życie seksualne pod ścisłą kontrolą. Myślała, że wie, kiedy ma owulację i tym podobne, więc nie używała środków antykoncepcyjnych, gdy wydawało się jej, że nie musi. Co najwyraźniej nie zawsze się sprawdza.

W rozmowach takich jak ta człowiek nie wie, co właściwie powinien powiedzieć. Katie skupiła się na oddychaniu, podczas gdy ja postanowiłam zrobić coś bardziej praktycznego.

— Co zrobisz? — spytałam. — Powiedziałaś Danowi?

— Nie wiem — odparła Jill. Spośród nas trzech ona jedna wyglądała na najmniej przerażoną. — Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Jesteście pierwsze.

To by było na tyle, jeśli chodzi o czwartkowe drinki.

## Rozdział 4

W drodze do domu wstąpiłam do sklepu po groszek cukrowy, szparagi, marchewkę i test ciążowy. W takich chwilach, w kwietniu, rozwiązuje niemal wszystkie problemy, krojąc warzywa na naprawdę małe kawałki. Najlepszą rzeczą w nauce gotowania nie była poprawa jakości jedzenia, ale nagłe odkrycie, że gotowanie jest sposobem na radzenie sobie z ogarniającym mnie szaleństwem. W wyjątkowo stresujące dni zamykam oczy i zapewniam się, że jeśli przetrwam popołudnie, wrócę do domu, do czerwonych papryczek i nożyka do obierania jarzyn.

Nieco później, kiedy w milczeniu siedziałyśmy w salonie, każda na innej kanapie, a Jill z niesmakiem odsunęła od siebie plastikową płytkę, na którą wcześniej nasiusiała (choć nie ma oporów przed oglądaniem szyjki macicy, jest dość wrażliwa, jeśli chodzi o siusiu, kupę, krew i zarazki — czyli wszystko to, do czego powinna się przyzwyczaić, mając dziecko), przez krótką chwilę żałowałam, że nie jestem na jej miejscu. Powszechnie wiadomo, że lepiej nie mieć dziecka, jeśli jest się biednym, prawie bezrobotnym, przepracowanym, bez planu na życie, a do tego samotnym. Wiadomo również, że człowiek nigdy nie będzie miał dzieci, jeżeli wciąż będzie czekał na właściwy moment. Co więcej, człowiek czekający na odpowiednią okazję nigdy niczego nie osiągnie. Mądrość ta niesie z sobą kolejną życiową prawdę — nigdy niczego nie zrobię, jeśli sama będę musiała podjąć decyzję. Podejmowanie decyzji nie jest moją mocną stroną. Najpierw poczułam zazdrość, bo pragnęłam, by spotkało mnie coś równie niesamowitego. Później pomyślałam, że znając prawdę, poczułabym ulgę i swego rodzaju pocieszenie.

Czekałyśmy.

— Różowy — oznajmiła Jill trzy minuty później, podnosząc plastikową płytkę, tak byśmy mogły ją zobaczyć. — Cholerny różowy. W kolorze fuksji. Szkarłatny.

— Rzeczywiście — przyznała Katie.

Wstałam, wyjęłam płytkę z dłoni Jill, weszłam do kuchni i bezceremonialnie wyrzuciłam ją do śmieci. Umyłam ręce, zaczęłam kroić warzywa i wybuchłam płaczem. Żadna z nich nie zareagowała. Po prostu stały w milczeniu kompletnie oniemiałe. Przygotowałam kolację, podczas gdy one próbowały ogarnąć panujący w ich głowach chaos. Kiedy pół godziny później wróciłam z jedzeniem do pokoju, sytuacja wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wychodziłam. Uznałam więc, że to ja powinnam zacząć rozmowę. Nie mając pojęcia, co powiedzieć, zapytałam:

— Jakie są opcje?

Jestem fanką rozmaitych opcji. Uwielbiam je wyliczać i analizować. Chociaż słowo „fanka” to za mało powiedziane. Jestem uzależniona od opcji. Nie potrafię się powstrzymać. Muszę rozważyć wszystkie za i przeciw. Jednak ktoś, kto kiedykolwiek był w ciąży, albo przynajmniej myślał, że jest, powie, że w tej sytuacji są co najwyżej trzy opcje i jeśli nie cieszy cię perspektywa zostania rodzicem, niełatwo będzie ci o nich rozmawiać.

— Dlatego aborcja wciąż jest legalna — powiedziałam.

— Wcale nie — warknęła Katie.

— A właśnie, że jest.

— Nie, nie, nie. Aborcja nie jest legalna. A nawet jeśli była, to nie dlatego.

— Wiem, co masz na myśli, i mówię ci, że to jest właściwy powód.

— To nie jest powód, żeby usuwać ciążę.

— Ona nie potrzebuje powodu.

— Nie jest biedna, ma wykształcenie i jest w stałym związku...

— Jestem biedna — wtrąciła Jill.  
— ...nikt jej nie zmuszał. W szkole miała edukację seksualną.  
— Tak, ale chyba nie uważałam na lekcjach — odparła Jill.  
— Aborcja to coś straszego i decyzji o usunięciu ciąży nie powinno się podejmować pochopnie.  
— Ubiegasz się o miejsce w Kongresie, Katie? Kto tu mówi o podejmowaniu pochopnych decyzji?  
— Wcale mi nie pomagacie — rzuciła Jill.  
— Nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy — mruknęła Katie.  
— A ja, że przyszło ci do głowy, że nie będziemy o tym rozmawiać.  
— Nie mogę uwierzyć, że bierzecie pod uwagę coś takiego — zirytowała się Katie.  
— Jedynym powodem, żeby mieć dziecko, jest pragnienie zostania rodzicem — powiedziałam. — W przeciwnym razie można zawsze usunąć ciążę.  
— Albo spróbować nie uprawiać seksu.  
— Na to chyba jest już trochę za późno — odparła Jill.  
— No tak. Powstrzymywanie się od seksu ma jednak swój sens — powiedziała Katie, po czym zwróciła się do mnie: — Ty też powinnaś czasami spróbować się powstrzymać, Janey.  
Jasne. Jakbym przez cały czas uprawiała seks.  
— Ona nie ma przecież dwunastu lat — rzuciłam.  
— Dwunastu? — spytała Katie. — Dla ciebie to jest granica? Dwanaście lat?  
— Chyba odchodzimy od tematu — zauważyła Jill.  
— Powodem urodzenia dziecka jest to, że jesteś w ciąży. Na tym to polega — dodała Katie. — Gdyby nie chciała mieć dziecka, powinna o tym pomyśleć, zanim zaszła w ciążę.  
— Kto powiedział, że nie chcę mieć dziecka? — spytała Jill.  
Zamilkłyśmy i spojrzaliśmy na nią. Prawie zapomnieliśmy, że jest w pokoju.  
— A chcesz? — spytałyśmy jednocześnie.  
— Nie wiem — odparła.  
— A chcesz... usunąć ciążę? — spytała Katie.  
— Nie wiem.  
— Chcesz zostać matką? — spróbowałam niepewnie.  
— Kiedyś pewnie tak.  
— A teraz?  
— Nie wiem.  
— A Dan?  
Wzruszyła ramionami. Odłożyłyśmy na bok żarty w stylu „Dan pewnie nie ma ochoty zostać matką”.  
— Możemy przestać o tym rozmawiać? — spytała Jill. — I zamiast tego obejrzeć film? Albo w ogóle nic nie robić?  
Przez chwilę myślałam o czekającym mnie ogromie pracy i dotarło do mnie, że dziś i tak nic z tego nie będzie. Obejrzałyśmy więc coś głupiego. Katie i Jill zasnęły, każda na swojej kanapie. Przykryłam je kocami i po północy położyłam się do łóżka.  
\* \* \*

Nie wiem, jak długo już siedziały i rozmawiały, ale nazajutrz rano, kiedy weszłam do pokoju, Katie powtarzała swoje:

— Mówimy o twoim synu albo córce.

Westchnęłam na tyle głośno, by mnie usłyszały. Nie chodziło o to, że chciałam za

wszelką cenę, żeby Jill usunęła ciążę, nie uważałam też, że będzie kiepską matką, i w ogóle nie chodziło mi o aborcję. Ale posiadanie dziecka tylko dlatego, że religia Katie zabrania uprawiania seksu, było kiepskim powodem. A ponieważ nikt inny nie zamierzał tego powiedzieć, musiałam to być ja. W filmach i telewizji nikt nawet nie myśli o aborcji; nie z powodów politycznych, ale dlatego, że jeśli kobieta usunie ciążę, oznacza to koniec historii, przynajmniej tej. Aborcja jest czarną dziurą w fabule filmu. Prawdziwi ludzie muszą podejmować decyzje.

— To twój syn albo córka, jeśli tylko tego chcesz — zauważyłam, podając im miseczki z płatkami Cheerios. — Pod warunkiem że pozwolisz, by stało się dzieckiem. W tej chwili jeszcze nim nie jest. Teraz to właściwie nic. Nawet nie płód.

Nagle Jill się rozplakała i nie wiedziałam, czy dlatego, że jej ulżyło — bo właśnie to chciała usłyszeć — czy powodem było obrzydzenie, przerażenie, złość, smutek albo zmęczenie. Możliwości było mnóstwo. Postanowiłam jednak mówić, na wypadek gdyby rzeczywiście chodziło o ulgę.

— Jeśli oboje z Danem nie jesteście gotowi, nie powinniście tego robić. Jest wiele powodów, by to zakończyć.

— Na przykład jakie?

— Choćby taki, że możesz potem żałować. Albo Dan. Albo to, że nie chcesz odkładać na bok wszystkich swoich spraw tylko po to, żeby się kimś opiekować. To nie praca na pół etatu. Później nie będziesz mogła zmienić zdania. Jeśli nie możesz się nim opiekować...

— Niby dlaczego miałabym nie móc się nim opiekować? — Jill podniosła wzrok i spojrzała na mnie smutnymi, wilgotnymi oczami.

— Powiedziałam „jeśli”. Ale zakładając, że tak, było to niesprawiedliwe. Wobec wszystkich.

— To by wiele zmieniło — stwierdziła Jill.

— Dziecko odmieniłoby całe twoje życie — sprostowałam.

— Nie. Chciałam powiedzieć, że aborcja odmieniłaby moje życie.

— Dlaczego?

— Bo nigdy bym tego nie zapomniała.

— Jest mnóstwo rzeczy, których nigdy nie zapomnisz.

— A jeśli to moja ostatnia szansa?

— Na co?

— Na zajście w ciążę.

— Niby dlaczego miałyby to być twoja ostatnia szansa? Wszystko wskazuje na to, że jesteś płodna.

— A jeśli z jakiegoś powodu już nigdy więcej nie zajdę w ciążę?

— Zajdziesz, jeśli będziesz chciała.

— A jeśli nie będę chciała?

— Więc dlaczego chciałabyś teraz?

— Bo już jestem w ciąży. Stało się.

Przypominałam sobie ukłucie zazdrości, które poczułam wczoraj po południu, jednak nadal nie byłam przekonana. Niezdecydowanie to równie kiepski powód, by urodzić dziecko.

— Niezdecydowanie to równie kiepski powód, by decydować się na dziecko — powiedziałam na głos.

Przez chwilę w milczeniu jadłyśmy płatki śniadaniowe.

— Jak by to było? Gdybyś miała dziecko? — Głos Katie przerwał ciszę.

— Zmieniasz temat — rzuciłam oskarżycielsko.

— Trudno nazwać to zmianą tematu — odparła.



— Pewnie rzuciłabym studia, znalazła pracę i zatrudniła opiekunkę. Pracowałabym i wychowywałabym dziecko.

Brzmiało to koszmarne, choć wcale takie nie było. Jill nie była już dzieckiem. Nie zamierzała rzucić liceum. Ani nawet college'u. Była kobietą z tytułem magistra. Mówiliśmy o doktoracie z literaturoznawstwa. Nie chodziło o to, że będzie zmuszona podjąć się każdej, choćby najpodlejszej, pracy albo zatrudnić się na dwóch, trzech etatach. Chodziło o rezygnację z dziesięciu tysięcy dolarów rocznie, bo tyle właśnie zarabiali asystenci. I choć brzmiało to strasznie, nie była to nasza wersja opowieści.

— A co z Danem? — spytałam.

— Nie wiem. Nie wiem, co on na to.

Katie i ja wymieniliśmy spojrzenia, jednak postanowiłyśmy nie ciągnąć tematu. Nie miałam pojęcia, jak Dan zareaguje na wiadomość o dziecku.

— Mogłabyś oddać je do adopcji. Pozwolić, by wychował je ktoś inny — zaproponowała Katie.

Cóż za dziwaczny dobór słów, pomyślałam. Oddać dziecko do adopcji. To jak wystawić je na aukcję, jak jakiś wazon, i czekać, kto da więcej.

— To głupie — odparła Jill.

— Dlaczego?

— W takiej sytuacji wolałabym zdecydować się na aborcję. Po co ktoś inny ma wychowywać moje dziecko?

— Jeśli ktoś inny mógłby zrobić to lepiej...

— Uważacie, że nie potrafię wychować dziecka?

— Wcale tak nie myślę — odparłam. — Ale nie wiem, czy tego chcesz. Bo jeśli nie, to nie sądzę, żeby ci się udało. To ważne, Jill. Nie możesz tego schrzanić. W kółko powtarzasz tylko: „Nie wiem. Nie wiem”. A musisz wiedzieć. Albo będziesz zmuszona podjąć inną, odpowiedzialną, decyzję.

Jill w zamyśleniu zastanawiała się nad tym, co powiedziałam. Katie również. Ja zresztą też. Zupełnie jakbyśmy toczyły walkę, co przecież nie było prawdą. Jill skończyła jeść płatki z mlekiem i odłożyła łyżkę.

— Muszę porozmawiać z Danem — oznajmiła. — Do tego czasu nie podejmę żadnej decyzji. I nawet nie zamierzam o tym myśleć. — Wzięła swoje rzeczy i wyszła. Nawet nie włożyła talerza do zlewozmywaka.

— Jak myślisz, co zrobi? — spytała Katie.

— Wydaje mi się, że urodzi to dziecko. A ty?

— Ja też tak sądzę.

## Rozdział 5

Daniel Davison należał do tych ludzi, którym wszystko przychodzi bez trudu. Przejście przez miasteczko uniwersyteckie w jego towarzystwie trwało dwukrotnie dłużej, niż gdybym szła z kimś innym, ponieważ każdy był jego przyjacielem i każdy zatrzymywał się, żeby z nim porozmawiać. Przyjaciółmi Daniela byli najfajniejsi ludzie na roku i sportowcy, Grecy i poeci, dzieciaki z teatru, z orkiestry dętej i naukowcy. Dziekani i prodziekani, którzy zapamiętali imiona nie więcej niż siedmiu studentów, Dana znali. Wszyscy przystawali, żeby się z nim przywitać i zamienić kilka słów. Zresztą nie pozostawał im dłużny. „Jak tam test, którego tak się bałeś?” — pytał. Albo: „Słyszałem, że impreza była niesamowita. Przykro mi, że nie mogłem wpaść”. Albo: „Jak randka, na której byłaś w ubiegły weekend?”. Dan grał w uczelnianej drużynie siatkówki. Pisał dla gazety studenckiej i magazynu literackiego. Zwykle grał w jednym albo dwóch przedstawieniach teatralnych w semestrze. Był didżejem w studenckiej rozgłośni radiowej i miał swoją audycję w poniedziałki między pierwszą a drugą w nocy, do której zapraszał rozmaite zespoły.

Panuje ogólne przekonanie, że ludzie pokroju Dana potrafią znieść wszystko ze stoickim spokojem. Jednak prawda jest taka, że Daniel Davison — i jemu podobni — nie najlepiej radzą sobie z tym, co dzieje się niespodziewanie. W ich życiu panuje równowaga, wszystko jest idealnie zaplanowane i uzależnione od innych czynników. Wszystko, co wykracza poza ich plan, może zakłócić tę harmonię.

Wiedziałam o tym, ponieważ na pierwszym roku Daniel był moim studentem. Bystry dzieciak i dobry pisarz, ciepły i zabawny. Studentem, dzięki któremu zyskujesz szacunek grupy, bo skoro on cię lubi, musisz być tego warta. Z każdej pracy dostawał najwyższe oceny, a mimo to co tydzień pojawiał się na konsultacjach. Żeby omówić moje komentarze. Przeczytać szkic kolejnej pracy. Zapytać o średniki i stronę bierną. Nie potrafiłam go rozgryźć. Dopiero w połowie semestru uświadomiłam sobie, że zwykle kiedy wchodziłam do gabinetu, on już tam był; nie mówił do mnie, ani nawet nie słuchał moich odpowiedzi, tylko flirtował z moją koleżanką. Jill ignorowała go przez cały semestr.

— Głupi dzieciak — powtarzała. — I tak nic z tego nie będzie.

Trzy lata później Jill za namową dziekana została opiekunką samorządu studenckiego. Pieniądze, które jej zaproponowano, nie były może duże, ale wystarczyły, żeby się zgodziła.

— Zobaczysz, że będziesz żałować — ostrzegałam ją.

— Ile pracy może być przy czymś takim? — spytała. — Poza tym to nie moje pieniądze, więc co mnie to obchodzi?

W przeciwieństwie do niej, jak zwykle miałam rację. Jako opiekunka samorządu miała mnóstwo pracy i obowiązków. Musiała bilansować budżet, dokonywać analizy i robić arkusze kalkulacyjne, czyli wszystko to, z czym osoby robiące doktorat z literatury angielskiej nie radzą sobie najlepiej. Musiała wysłuchiwać prezentacji niekończącej się parady studentów, którzy prosili o więcej pieniędzy.

— To dziwne — zastanawiała się Jill. — Zupełnie jakby myśleli, że mnie to obchodzi.

Przed wszystkim jednak musiała rozstrzygać spory między członkami samorządu studenckiego a przedstawicielami bractw.

— Tym z samorządu wydaje się, że nie ma na świecie niczego ważniejszego — rzucała z pogardą. — A ci z bractw chcą rozdzielić pieniądze między siebie, żeby mieć za co pić. To najgłupsza rzecz, jaką w życiu robiłam. — Spotkania polegały na wzajemnym przekrzykiwaniu się.

Jill — jak zwykle w takich sytuacjach — próbowała się nie przejmować aż do czasu, gdy dziekan zaczął uważnie przyglądać się jej pracy. „To niezwykle istotne, żeby ci się udało. Od tego zależy twoja kariera doktorantki — napisał w jednej z notatek. Powierzylimy ci niezwykle odpowiedzialne, niemal święte, stanowisko”.

— Nikt nie mówił, że to jakaś świętość! — oburzyła się Jill. Zrozpaczona uznała, że potrzebowali świeżej krwi, ludzi, którzy nie byli tak zadufani w sobie jak członkowie samorządu i którym, w przeciwieństwie do przedstawicieli bractw, nie zależało wyłącznie na pieniądzach. Jednym słowem, potrzebowali wolontariuszy.

Tak więc gdy na ostatnim spotkaniu przed końcem semestru pojawił się Daniel Davison, musiała przyznać, że naprawdę ją to ucieszyło. Jako student ostatniego roku wyglądał dokładnie tak samo jak trzy lata temu, gdy siedział w naszym gabinecie, choć dokonała się w nim jakaś subtelna zmiana, której Jill nie była w stanie określić. Kiedy zaproponowała, by wszyscy obecni przedstawili się i powiedzieli, dlaczego przyszli na spotkanie, większość uraczyła ją wyświechtanymi frazesami w stylu „Udział w demokracji to prawdziwy zaszczyt i mój obowiązek” albo „Reprezentuję (tu padały trzy litery greckiego alfabetu), ponieważ wyciągnąłem najkrótszą zapalną”. Albo: „Zasnąłem na spotkaniu”, „Przegrałem w beer ponga”, „Poddano mnie próbie”. Jedynie Daniel powiedział: „Cześć, jestem Dan. Przyszedłem pomóc”.

Był fajny. Miał fajny uśmiech, fajne pomysły i fajnych przyjaciół. Był też swobodny. Sprawiał wrażenie, jakby lubił wszystkich do tego stopnia, że oni również zaczęli się lubić. A ponieważ darzył opiekunkę jawnym uwielbieniem, obie strony zaczęły nagle dążyć do współpracy. Tymczasem opiekunka zastanawiała się, czy mówiąc, że „przyszedł pomóc”, miał na myśli samorząd studencki, czy może ją. A ponieważ w obu przypadkach potrzebna była pomoc, postanowiła o nic nie pytać i przyjmując ją z wdzięcznością. Interesowało ją jednak, czy Daniel Davison zostanie dłużej, czy może było to jednorazowe wystąpienie. A jednak został. Przychodził sumiennie na kolejne spotkania, pomagał prowadzić mediacje i planować kolejne działania. Wkrótce zyskał niebywałą sympatię stowarzyszeń studenckich, które przychodziły prosić o pieniądze. Przede wszystkim jednak znał się na matematyce niezbędnej do prowadzenia budżetu. Wkrótce samorząd studencki funkcjonował jak należy, a wśród studentów nastąpił czas pokoju. Wszystko wróciło do normy. Poza jedną rzecz.

— Cholera — rzuciła Jill. — Chyba zakochałam się w studencie.

— Hurra! — zawołała Katie, zastępując przekleństwo przejawem udawanej radości.

— Ma dwadzieścia lat. — Gdzieś po drodze Dan przeskoczył jedną klasę.

— I? — Ponieważ w kościele każdy singiel stanowi łatwą ofiarę, wielu mężczyzn, z którymi umawiała się Katie, było mniej więcej w tym samym wieku.

— Ja mam dwadzieścia siedem — odparła Jill.

— I?

— Mam dwadzieścia siedem lat. Robię doktorat. Nie kręczę mnie ciągle imprezy. Nie lubię upijać się cztery razy w tygodniu. Nie mam ochoty całymi dniami bujać się ze znajomymi i eksperymentować z narkotykami.

— A Dan tak robi? — spytałam.

— Nie moglibyśmy nawet wyjść na drinka — ciągnęła, ignorując moje pytanie. — Nie może nawet kupić piwa.

— Mógłby, gdyby był z tobą — zasugerowałam. Spiorunowała mnie wzrokiem. — Jesteś po prostu zakłopotana — dodałam. — Martwisz się, co powiedzą ludzie, jeśli umówisz się ze studentem. Ale to nie powód, żeby tego nie robić.

— Kiedy będziesz miała siedemdziesiąt dziewięć lat, a on siedemdziesiąt dwa, to różnica wieku nie będzie wydawała się taka duża. — Katie zachichotała. — Wasze dzieci będą uważały,

że to zabawne.

Jill przewróciła oczami.

— Obie jesteście idiotkami — skwitowała.

Zaczekała aż do zakończenia przerwy i umówiła się z nim w pierwszym tygodniu wiosennego semestru. Uznała, że uczciwie będzie, jeśli to ona go zaprosi, skoro on od początku nie krył się ze swoimi uczuciami i w cudowny sposób ocalił samorząd studencki (i jej tyłek). Był tak szczęśliwy, tak bezgranicznie szczęśliwy, że się z nim umówiła i dała mu szansę. Chciał udowodnić, że jest jej wart i że razem mogą stworzyć udany związek. Przez pierwsze tygodnie emanował prostą, szczerą radością. I było mu z nią do twarzy. Choć na wydziale zaczęto szeptać, plotki szybko ucichły, jednak większość ludzi i tak była zazdrosna.

Prawie semestr później nadal byli szczęśliwi. Wszystkie polubiłyśmy Dana. Jill zaczęła myśleć o kolejnym roku, czego nie powinno się robić, jeśli spotykasz się z kimś, kto kończy college. Wiedziała o tym, ale nie była w stanie nic zrobić. Byli młodzi i zakochani. Ich związek przestał wzbudzać sensację. Ale żadna z nas nie wiedziała, jak Daniel Davison zareaguje na tę kwietniową wiadomość. Owszem, był dobrym człowiekiem, miłym dzieciakiem, mądrym i zakochanym. Ale bycie miłym dzieciakiem to jedno, a ukończenie studiów i wychowywanie dziecka z kobietą, z którą spotykasz się od trzech i pół miesiąca, to coś zupełnie innego.

## Rozdział 6

W ostatnią sobotę kwietnia nikt nie pracował. Jill zaprosiła Dana na kolację i zamierzała powiedzieć mu o ciąży. Katie poszła na randkę. Ja malowałam łazienkę na fioletowo. Tak między nami, z prac, które miałyśmy napisać i sprawdzić do następnego weekendu, można by było stworzyć dwie książki, jednak doszliśmy do wniosku, że pewne rzeczy mają w życiu bezwzględne pierwszeństwo. Jill spodziewała się dziecka. Katie szukała męża. Ja przewidywałam, że z końcem semestru zacznie się prawdziwe szaleństwo, tak więc jeśli chcę pomalować łazienkę, muszę to zrobić teraz. Przypominało to ciszę przed burzą, kiedy człowiek siedzi na werandzie, patrząc na nadciągające zewsząd chmury i nie ma siły ani ochoty schronić się w domu. Coś nadciągało, a ja nie mogłam zrobić nic, by to powstrzymać.

Ludzie działający w Student Life powtarzają, że w college'u najlepiej zdobywać wiedzę poza salami wykładowymi (będąc studentką, pracowałam jako asystentka biorąca udział w badaniach). W ciągu tych kilku dni dowiedziałam się, że dopóki narracja jest nudna i prozaiczna, mamy poczucie, że opowiadamy własne historie, jednak z chwilą gdy coś się dzieje, gdy zaczyna przywodzić na myśl książkę albo film, to poczucie znika. Nagle, zamiast nudnych niezliczonych możliwości, do których przyzwyczało nas życie, mamy do dyspozycji epickie możliwości rodem z dzieł literackich. Do tej pory w sobotnie wieczory Jill mogła wyjść, zostać w domu i wypożyczyć film, oceniać prace, czytać, pójść do biblioteki albo robić dziesiątki nudnych rzeczy, ale tego dnia miała do wyboru zaledwie kilka dramatycznych możliwości — mogła zostać matką albo zdecydować się na aborcję; uczynić Daniela ojcem albo utracić go z powodu lęków i złego wycucia czasu.

Dla Katie życie zawsze wyglądało tak samo. Wierzyła, że autorem jej opowieści jest Bóg, i postrzegała swoje wzloty i upadki w kategoriach wielkiego planu. Tak więc facet, z którym umówiła się na dzisiejszą randkę, znajomy jej przyjaciółki — nigdy dotąd nie widziała go na oczy — okaże się albo miłością jej życia, albo kimś wysłanym przez Boga, by pomógł jej odnaleźć miłość życia. Jak na pierwszą randkę w ciemno, to dość duża presja. Rozmawiałyśmy przez telefon. Ustaliłyśmy, co powinna włożyć — dżinsową spódnicę, biały podkoszulek, rozpinany sweter (słodko i swobodnie, choć nie nazbyt swobodnie, idealnie na każdą temperaturę) — i co wiedziała na temat faceta, z którym się umówiła.

— Dionne mówi, że jest miły, ale Jenny uważa, że wygląda niespecjalnie. Ale ona ma dziwny gust.

— Czym się zajmuje? — spytałam, mając nadzieję, że zdążył ukończyć college. Ostatnimi czasy studenci się nie sprawdzali.

— Jest studentem pierwszego roku stomatologii. Ma dwadzieścia cztery lata. I — dodała niechętnie — jest kibicem Yankees.

„Nigdy nie umawiać się z kibicami New York Yankees”, tak brzmiała moja druga zasada randkowania. Katie wie o tym, ale nic sobie z tego nie robi. Później, kiedy facet okaże się draniem, przyzna, że umawianie się z kibicem Yankees było głupie, wręcz nierozważne. Możecie mi wierzyć, to niezawodna porada, jeśli chodzi o przyszłość związku.

Miał na imię Chris i był drugim Chrisem, z jakim Katie umówiła się w ciągu ostatniego miesiąca. Przez tę zbieżność imion trudno będzie mu się przebić, niezależnie od tego, co wydarzy się na randce (udana czy też nie, randka z Chrisem numer dwa będzie jednak tematem rozmów przez kolejne sześć tygodni). Chodził do kościoła w innym okręgu. Był już na randkach z Annabelle, Alison, Kelly i Dionne, to właśnie ta, która umówiła go z Katie. („Nigdy nie umawiać się z byłymi facetami przyjaciółek” — zasada numer jeden w moim poradniku

randkowania — w świecie Katie nie ma zastosowania. Facet może nie być przeznaczony tobie, bo możliwe, że został przeznaczony komuś innemu).

— No cóż, zobaczymy. Annabelle nie przypadł do gustu, ale wszystko przez to, że nadal czuła coś do Josha. Zresztą na drugi dzień po randce z Chrisem wrócili do siebie, tak więc może być całkiem fajny. Dionne mówi, że jest w porządku. — Sądząc po jej głosie, Katie nie była szczególnie podekscytowana i nie pokładała w tym spotkaniu zbyt wielkich nadziei. Dla niej, jak dla większości z nas, chodzenie na randki to bardziej praca niż przyjemność. Lubi kupować ubrania na randki, rozmawiać o randkach, rozmawiać przez telefon z facetami i o facetach, i tylko same randki nie bardzo ją obchodzą. Bycie jej przyjaciółką to jak powrót do liceum.

— Jakie masz plany na wieczór? — spytała.

— Maluję łazienkę.

— W końcu. — Od stycznia rozwodzę się nad fioletową łazienką. — Wpaść do ciebie, jak wrócę do domu?

— Jasne. Nie będę jeszcze spała.

— Kiedy zaczniesz pisać pracę?

— Jutro.

— Ja też — odparła. — Po lunchu. Koszmar.

— Tak, wiem — przyznałam. Choć tak naprawdę traktuję to w kategoriach wyczekiwania. Boję się zabrać do roboty, ale wiem, że kiedy zacznę już pisać, wszystko będzie w porządku. Katie lubi zbierać materiały, ale sam proces tworzenia doprowadza ją do szału.

— Lepiej już pójdę — rzuciła do słuchawki. — Przyjemnego malowania. Życz mi udanej randki z Chrisem.

— Udanej randki z Chrisem — powtórzyłam. — Mam nadzieję, że wcale nie jest fanem Yankees.

— Dzięki. Do zobaczenia.

— Pa.

— Pa. — Telefon i dywanik upačkane były fioletową farbą. Zastanawiałam się, czy nie spróbować usunąć jej zmywaczem do paznokci, kiedy znów zadzwonił mój telefon. Tym razem, oczywiście, dzwoniła Jill.

— Próbuję usmażyć rybę bez panierki — zaczęła bez zbędnych wstępów. — Jak długo?

— Co to za ryba?

— Halibut.

— W czym?

— To już kolejne pytanie.

— Ja bym smażyła dwie minut na jednej stronie i kolejne pięć do dziesięciu pod przykryciem na drugiej. Aż środek najgrubszej części będzie wyglądał na usmażony.

— W czym mam ją usmażyć? — spytała.

— Na maśle? Z cytryną? Może odrobiną wina? — powiedziałam bez zastanowienia, zanim dotarło do mnie, że wino nie służy kobietom w ciąży. Z drugiej strony alkohol przecież odparowuje w czasie gotowania. Ale czy cały? Nie miałam pojęcia. — Powiedzmy, że na maśle, z dodatkiem soku z cytryny i czosnku.

— Brzmi nieźle. A co z ziemniakami?

— Jakimi?

— Tymi małymi, czerwonymi.

— Mogą być. Może je upieczesz?

— Jak? — Zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie jak pytanie. Najwyraźniej Jill postanowiła posługiwać się skrótami.

— Pokrój je. Posól, popieprz i dodaj odrobinę oliwy. Wstaw do piekarnika na sto dziewięćdziesiąt stopni. Mieszaj często, dopóki się nie upieką.

— Świetnie. Podam też sałatkę i chleb. No i kupiłam sernik.

— Niesamowite — skwitowałam. — Możesz wpaść o każdej porze.

— Powiedz, że wszystko będzie dobrze — poprosiła.

— Wszystko będzie dobrze. To miły facet. Nakarmisz go i wszystko będzie tak jak trzeba.

Cisza, cisza. Cisza przed burzą. Nieznane przed nieznanym. Spokój, którego doświadczasz, kiedy nagle uświadamiasz sobie, że nie panikujesz — coś, czego nigdy nie robisz, chyba że właśnie panikowałeś albo dopiero zamierzasz. Trochę zyskanego czasu. Nikt nie wie, co się zaraz wydarzy, choć rzadko jesteśmy tego świadomi, bo zwykle nie ma to znaczenia. Tego wieczoru przyszłość zakradła się zadziwiająco blisko. Siedziałam na desce klozetowej, oswajając się z fioletowymi ścianami i cierpliwie czekając na zmiany, które miały dokonać się w moim życiu.

\* \* \*

Katie przyszła o dwudziestej drugiej trzydziści z kubelkiem czegoś, co nazywa popcornem, a co w rzeczywistości jest prażoną kukurydzą zmieszaną z ohydą, glazurowaną mieszanką orientálną sprzedawaną na wagę w sklepach spożywczych. Dla niej to wspomnienie dzieciństwa spędzonego na Hawajach. Katie ją uwielbia. Ja wybieram jedynie popcorn.

— I jak było?

— Mmm — mruknęła zagadkowo, jakby chciała powiedzieć, że nie poszło najlepiej, ale nie jest gotowa o tym mówić, na wypadek gdyby się myliła i w przyszłości jednak go pokochała.

Jej relacja była typowa. Chris był dość miły, dość przystojny i dość bystry, choć pod żadnym względem nie zrobił na niej większego wrażenia. Mówił dużo na temat zębów i jamy ustnej i choć można się było tego spodziewać, momentami i tak było to niepokojące. Był na misji w Kanadzie (moim zdaniem kiepskie miejsce na misję, choć pewnie zostało wybrane przez samego Boga, nie mnie to oceniać), ukończył studia licencjackie na Uniwersytecie Rutgers, a dzieciństwo spędził w New Jersey.

— Czy to nie tłumaczy, dlaczego jest kibicem Yankees? Pochodzi z Jersey. Każdy kibicuje drużynie z miejsca, w którym się wychował.

— W takim razie kibicuj Metsom — bąknęłam. — Co jeszcze?

— Zanim zaczął studiować stomatologię, przez rok uczył chemii w szkole średniej i nienawidził tej pracy — dodała ochoczo.

— Nie każdy nadaje się na nauczyciela — rzuciłam, choć jestem podejrzliwa wobec ludzi, którzy nie lubią uczyć. Z drugiej strony nie jestem nauczycielką chemii w liceum i prędzej dałabym się zabić, niżbym się na to zgodziła, więc chyba nie powinnam oceniać innych.

— Najbardziej lubi czytać „Sports Illustrated”. — Chciała zachować kamienną twarz, jednak bez skutku. — Nie zna George’a Eliota. Nie wiedział nawet, że Charlotte Brontë miała siostry. — Katie ma obsesję na punkcie trzech sióstr Brontë, ale jeśli chodzi o literaturę, zadzieramy nosa i jesteśmy tego świadome.

— Ja też nie pamiętam, żebym ostatnio czytała coś na temat leczenia zębów — odparłam.

— No tak, ale kiedy powiedziałam mu, że jedna z moich przyjaciółek jest niezamężna i spodziewa się dziecka, chciał wiedzieć, dlaczego w ogóle się z nią przyjaźnię, i zapytał, dlaczego nie zrobiłam nic, żeby ją powstrzymać. A gdy powiedziałam, że życie seksualne moich przyjaciół to nie moja sprawa, odparł, że powinno mnie to interesować, i się zdenerwował.

Powstrzymałam się od komentarza. Tego było już za wiele i obie miałyśmy tego

świadomość. Na jego obronę mogę powiedzieć jedynie to, że jak najbardziej była to nasza sprawa.

\* \* \*

Tymczasem w mieszkaniu Jill nikt nawet nie tknął jedzenia. Uroczysta kolacja stygła na talerzach. Kiedy Dan przyjechał, Jill otworzyła mu drzwi i już w progu powiedziała o ciąży. Nie mogła czekać. Zadręczała się całą tą sytuacją. Miała wrażenie, że rozmawiali przez kilka dni. W końcu go wyrzuciła, spakowała jedzenie do plastikowych pojemników i przyjechała. Nie było sensu marnować takich pyszności. Co prawda żadna z nas nie była szczególnie zainteresowana jedzeniem. Było późno i dwie godziny temu skończyliśmy jeść popcorn z ohydną azjatycką mieszanką.

— Nie zgodził się — zaczęła słowami, które właściwie niczego nie wyjaśniały.

— Co to znaczy, że się nie zgodził? — spytała Katie, czule obejmując ją ramieniem.

— Powiedział: nie. Powiedział... nie. — Wyglądała na oszołomioną. Widać było, że płakała. Nie bardzo wiedziałam, o co właściwie go spytała i na jakie pytanie mógł odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

— Na chwilę obecną nie chce być ojcem. Nie chce tego dziecka. Kiedy przyszedł, powiedziałam mu, że jestem w ciąży. Wydawał się... zaskoczony. Ale nie był zły ani nieszczęśliwy. Często powtarzał „jejku”. Zapytał, jak długo wiem i kiedy urodzę... Nie zapytał, czy jestem pewna, i dobrze, bo w tej sytuacji to dość głupie pytanie. Nie pytał, czy jestem pewna, że to jego dziecko, i też dobrze, bo to jeszcze gorsze. No i co chwila powtarzał „jejku”. Spytał, co zamierzam zrobić. Był naprawdę miły, ale jakiś taki małomówny, więc powiedziałam wprost: „Danielu, nie chcę usuwać ciąży. Chyba chcę urodzić to dziecko”. A on na to: „W porządku. Ja chcę aborcji”. Zamilkła i spojrzała na nas, jakby chciała się upewnić, że jesteśmy równie zaskoczone jak ona. I rzeczywiście byliśmy.

— Tylko że on nie może poddać się aborcji — stwierdziła Katie. — To nie on jest w ciąży.

— Tak, ale nie chce być ojcem. Nie chce, żebyśmy mieli dziecko. Chce, żebym usunęła ciążę.

— I co mu powiedziałaś?

— No cóż, zrobiło mi się przykro i poczułam się zraniona. Było mi smutno, że nie chce być obecny w życiu naszego dziecka i że tak po prostu chce zakończyć nasz związek, ale przynajmniej byłam gotowa na taką odpowiedź. Nawet przygotowałam sobie krótkie przemówienie. Kiedy nadszedł czas, niemal wszystko wyleciało mi z głowy, ale brzmiało to mniej więcej tak: No cóż, dzięki. Może sobie to przemyślisz i wrócisz, kiedy zdecydujesz, jaką rolę chciałbyś odgrywać w życiu naszego dziecka. Żadną czy może jednak jakąś, a jeśli już, to jaką... Ale on pokręcił głową, jakbym niczego nie rozumiała, i powiedział: „Nie, nie chcę, żebyś urodziła to dziecko, tak samo jak nie chcę być częścią jego życia. Nie chcę, żebyś urodziła. Chcę, żebyś usunęła ciążę”.

— To nie on o tym decyduje — szepnęła Katie.

— To samo mu powiedziałam.

— I co on na to?

— Spytał, dlaczego pozbawiam go wyboru. „Tylko dlatego, że to nie ja jestem w ciąży? Ale to moje dziecko”.



## Rozdział 7

W niedzielę wróciłyśmy do własnych mieszkań, komputerów, stosów książek i zaczęłyśmy pisać. Zabawne, że człowiek potrafi wyłączyć tę część mózgu, która odpowiada za kryzys emocjonalny, i skupić się na tej, która myśli o roli czytelnika w Piekło Dantego, i pozwolić jej przejąć całkowitą kontrolę nad własnym umysłem. Lubię dni, kiedy po przebudzeniu zaczynam pisać i dopiero siedemnaście godzin później idę do łóżka, oczywiście co pewien czas snuję się po domu, przez pięć minut wyjadam resztki jedzenia, stojąc nad komputerem, ale przede wszystkim piszę, piszę, piszę. Jednak w połowie tygodnia zatęskniłam za świeżym powietrzem, towarzystwem innych ludzi i tym, co, ich zdaniem, liczyło się na świecie (prawdopodobnie nie był to czytelnik z *Boskiej Komedii* Dantego). Tak więc w środę poszłam do Joe Bar, żeby uzupełnić niedobór kofeiny i posprawdzać prace studentów. Pech chciał, że wpadłam na Daniela.

Wyglądał gorzej niż ja po trzech dniach ślęczenia przed komputerem. Sprawiał wrażenie, jakby nie jadł i nie spał od soboty. Siedział na zewnątrz ubrany w niegdyś czarną, spraną bluzę z kapturem, zbyt ciepłą jak na majowe słońce, i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w niezapisaną kartkę notatnika. Wyglądał kiepsko. Patrzyłam na niego zza szyby w ten piękny słoneczny dzień i musiałam przyznać, że wydawał się smutny i zmęczony.

— Hej — odezwałam się łagodnie, wręczając mu filiżankę świeżej kawy, i przysiadłam się.

Podniósł wzrok i posłał mi pełen ulgi uśmiech, jakby dziwił się, że w ogóle z nim rozmawiam i że dookoła toczy się życie.

— Co słyszeć? — spytałam.

— Pewnie już wiesz — parsknął.

— Tak. Jak to znosisz?

— Szczerze mówiąc, nie najlepiej. Rozmowa z Jill nie należała do najprzyjemniejszych.

— Rozmawiałeś z nią od tamtej pory?

— Jak to możliwe, że o niczym nie wiesz?

— Przez ostatnie dni byłyśmy zajęte pisaniem.

— Ja nie — odparł. — Nie wiem, kto powinien zadzwonić pierwszy.

— Może ty? — bąknęłam, jakby to było oczywiste. Jak mógł tego nie rozumieć?

— Po co? Żeby ją przeprosić?

— Żeby porozmawiać?

— Powiedziałem, że się zastanowię i zadzwonię do niej, kiedy coś wymyślę. Ona miała zrobić tak samo. Do tej pory nic nie wymyśliłem, więc głupio mi dzwonić.

— Jesteś na nią zły? — Zaczynał mnie irytować.

— Nie — odparł jakoś tak bez przekonania, a chwilę później dodał rozdrażnionym, żalonym, niemal płaczliwym głosem: — Nie chcę, żeby urodziła to dziecko, Janey.

— Domyśliłam się, ale wygląda na to, że i tak zostaniesz ojcem, więc raczej nie masz w tej sprawie zbyt wiele do powiedzenia.

— Aborcja jest legalna. I bezpieczna. Na litość boską, niedaleko stąd jest siedziba Planned Parenthood<sup>2</sup>. Aborcja to nie zabijanie dziecka. Jesteś tego samego zdania. Jill też. Zawsze mówi, że człowiek powinien mieć wybór...

— Tak, i dlatego postanowiła urodzić to dziecko — wtrąciłam.

— Ale dlaczego tylko ona ma o tym decydować? — upierał się. Najwyraźniej od trzech dni nie myślał o niczym innym i raz za razem prowadził w myślach tę rozmowę, przekonany

o swojej racji.

Patrzyłam na niego i nie mogłam wydusić ani słowa, bo byłam pewna, że cokolwiek powiem, będzie znał odpowiedź.

— To znaczy, tak, to jej ciało — ciągnął, patrząc na mnie. — I dlatego nie mógłbym jej zmusić, żeby urodziła to dziecko. To nie w porządku, że prawo staje po jej stronie tylko dlatego, że to ona zaszła w ciążę. Ale przecież nie dlatego zdecydowała się urodzić. To zupełnie inna sprawa. Gdybym chciał zostać ojcem, a ona chciałaby usunąć ciążę, nie byłoby o czym mówić. Jej ciało, jej wybór. Ale to ja nie jestem gotowy na to, żeby zostać ojcem. Za tydzień kończę college, Janey. Nie mam pracy. Nie wiem nawet, co dalej zrobić ze swoim życiem. Wiem tylko, że latem chcę odpocząć i wyjechać z zespołem do San Francisco. Wiem, że ojcostwo nie będzie niczym magicznym ani cudownym. Dziecko sprawi, że będę się czuł, jakbym został ukarany. Jakbym nagle miał ze wszystkiego zrezygnować. Zniszczy mi przyszłość. Nie będę za dziesięć lat robił tego, w czym jestem dobry, nie będę miał kochającej żony i dzieci, których narodziny wspólnie zaplanowaliśmy. Bezpowrotnie stracę na to szansę, będę rozżalony, zły i przerażony. Będę się czuł tak, jakbym został przymuszony do bycia ojcem. Nie tego chcę. Powinienem móc wybrać. To nie moja wina — dodał ożywionym, schrypniętym głosem.

Im dłużej mówił, tym bardziej był przekonany o własnej słuszności i tym bardziej się denerwował. Nie chciał dziecka. Miał dwadzieścia lat. Spotykał się z Jill zaledwie od stycznia. Rozumiałam go. Jak mogłam go nie rozumieć?

— W porządku — odparłam ze spokojem. — Nie chcesz dziecka. Jakoś sobie poradzą... — Ale nawet mówiąc to, nie byłam pewna, czy postępuję właściwie. On jednak pokręcił głową.

— Nie, nic nie rozumiesz — rzucił zniecierpliwiony. — Nie chcę zostawić własnego dziecka. Ani Jill. Nawet nie chcę z nią zrywać. Nie chcę żyć ze świadomością, że opuściłem rodzinę, która gdzieś tam jest, że gdzieś tam jest moje dziecko, które wychowuje się beze mnie. Nie chcę, żeby tak było. Chcę to odkręcić i nie chcę, żeby Jill była w ciąży.

— Nie sądzę, żeby to się udało — odparłam.

— Tak — mruknął sarkastycznie. — Gdyby tylko istniała jakaś legalna i bezpieczna procedura, dzięki której można byłoby zakończyć tę sytuację, zanim na świat przyjdzie niechciane dziecko.

— To nie jest niechciane dziecko — zauważyłam ostrożnie. — Jill go chce.

— Ale ja nie — odparł. — Nie chodzi o to, że staraliśmy się o dziecko, bo tak nie było. Gdybyśmy to przedyskutowali, doszlibyśmy do wniosku, że to nie jest najlepszy czas, i postanowilibyśmy poczekać. Dobija mnie myśl, że naprawdę mogłoby tak być. Moglibyśmy poczekać. Dać szansę temu związkowi i mieć dzieci, kiedy oboje będziemy na to gotowi, kiedy wspólnie podejmiemy tę decyzję. Oboje. To nie byłoby nawet takie trudne. Ale ona się nie zgodzi. A ja wychodzę na drania, który próbuje namówić ją do aborcji. To pomyłka. Nic więcej.

— Pomyłki się zdarzają — odparłam. — W takim razie musisz wziąć na siebie odpowiedzialność.

— Właśnie to robię. — Prawie krzyczał. — Biorę odpowiedzialność. Zapłacę za usunięcie ciąży. Pójdę z nią i będę trzymał ją za rękę. Będę przy niej, kiedy będzie wracała do zdrowia. Kiedy będzie smutna. Mnie też będzie smutno. Razem będziemy się umartwiać. Wcale nie jest mi łatwo. Ale razem przez to przejdziemy. Damy radę. To jest właśnie branie odpowiedzialności, a nie robienie tego, czego chce ona, tylko dlatego, że tak postanowiła.

— Myślę, że Jill naprawdę chce tego dziecka — tłumaczyłam mu ze spokojem.

— To nie jest dziecko! — Spojrzał na mnie oszalałym wzrokiem, jakby nie wierzył w to, co słyszy. — Wiesz, skąd to wiem? Bo chodziłem do ciebie na twoje wykłady, a Jill była moją dziewczyną. Do tego chodziłem na zajęcia z biologii.

— Ty mówisz „nie”. Ona mówi „tak”. A skoro ona mówi tak, ty nie masz nic do powiedzenia. — Wzruszyłam bezradnie ramionami i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, licząc, że nam to pomoże. — Naprawdę jest mi przykro — dodałam niepewnie.

Współczułam mu, czułam się rozdarta i niepewna. Argumenty Dana były przekonujące, zwłaszcza że rzeczywiście był odpowiedzialny. I uczciwy. To, co mówił, miało sens. Ale nadal uważałam, że nie ma racji.

— Porozmawiam z nią — zaproponowałam. — Chociaż nie sędzę, żeby zrozumiała. Ty tymczasem zastanów się, co zrobisz, jeśli jednak nie zdecyduje się na aborcję. Bo, moim zdaniem, postanowi urodzić to dziecko. To będzie jej decyzja. — Wstając od stolika, położyłam rękę na jego spuszczonej głowie. Nie powiedział nic, nie spojrzał na mnie ani się nie poruszył. Na krótką chwilę świat stanął w miejscu. W końcu podniósł wzrok i uśmiechnął się.

— Dzięki, Janey. Potrzebowałam z kimś pogadać. Nic mi nie będzie. — Ale jego oczy mówiły coś innego. Nie wiedział, co się wydarzy. Ja również nie miałam pojęcia.

## Rozdział 8

Kiedy wyszłam z gabinetu po oddaniu prac semestralnych, Jason siedział na schodach. Powieść, którą trzymał na kolanach, nie była lekturą obowiązkową.

— Gotowa? — Uśmiechnął się, wręczając mi jedną ze stojących obok mrożonych kaw. Najwyraźniej czekał właśnie na mnie.

— To aż takie oczywiste?

— Wyglądasz, jakby chwilę temu ktoś cię przeleciał — powiedział.

— Ty też?

— Tak. To takie oczywiste?

— Nie byłbyś taki zadowolony, gdybyś wszystkiego nie oddał. — Radość ogarniająca człowieka wraz z końcem roku akademickiego to drugie, zaraz po zakochaniu, najcudowniejsze uczucie na świecie. Zazdrość z tym związana nie zna granic, dlatego zdecydowałam, że porozmawiam z Jill i Katie za kilka dni, kiedy one także oddadzą prace studentom. Bezsenne noce i monotonia minionych dwóch tygodni, które spędziłam na czytaniu, pisaniu, ocenianiu i — w tym roku — panikowaniu, odeszły w zapomnienie. Miałam przed sobą całe lato. Nagle przestało mieć znaczenie to, że w ciągu ostatnich dwóch dni przespałam w sumie cztery godziny, że za kilka tygodni rozpocznie się letni semestr i że sprawa Jill nadal pozostaje nierozwiązana. Był maj. Ciepły i słoneczny. Mogłam całymi dniami robić to, na co miałam ochotę, bez wyrzutów sumienia. Przetrwiałam kolejny kwiecień. Miałam powód do świętowania.

— Myślałam, że po oddaniu prac zamierzasz przestać pić latte — zauważyłam.

— Kwiecień — odparł, jakby to jedno słowo wszystko tłumaczyło. — Poza tym nie jestem w ciąży.

— Mmm — mruknęłam.

— Mmm? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic. Mam udawać zaskoczoną, że nie jesteś w ciąży?

— Och, daj spokój, Janey. Powiedz. Moje życie jest takie nudne. Musisz mi pomóc.

Posłałam mu gniewne spojrzenie. Jason i jego chłopak, Lucas, byli razem od siedmiu lat. Jak dobre stare — i czasami nudne — małżeństwo. Mieszkali w Olympii, godzinę drogi stąd na południe, przez co Jason spał na mojej kanapie za każdym razem, gdy zaczynał wcześniej zajęcia lub był zbyt pijany albo zmęczony, żeby jechać do domu. Lucas był szefem kuchni w Ever After, niezwykle popularnej restauracji w Olympii. Niemal codziennie chodził do pracy. Dostawał prawdziwą pensję. Czytał książki wyłącznie dla zabawy i był naszym bohaterem. Jego życie tak bardzo różniło się od naszego, że był dla nas jak kosmita albo zawodowy koszykarz.

— Twoje życie rzeczywiście jest nudne — przyznałam w końcu. — Skąd wiesz?

— Och, Janey, wszyscy o tym wiedzą. — Przewrócił oczami. Byłam oszołomiona. Nie miałam pojęcia, jak mogli się dowiedzieć. — Co ona teraz robi? Zatrzyma je?

Niewiarygodne, że ludzie tak po prostu zadają bardzo osobiste, intymne pytania. No i ta dziwaczna terminologia. Co to znaczy „zatrzyma je”? Jak brzmi przeciwieństwo słowa „zatrzymać”?

— Myślę, że urodzi to dziecko — odparłam, podekscytowana własnym konspiracyjnym szeptem.

Jason westchnął, uśmiechnął się i zaczął coś paplać. Dla Daniela wiadomość ta była prawdziwym wstrząsem, najgorszą rzeczą, jaką w życiu słyszał. Ale dla Jasona — i dla większości ludzi, którzy się dowiedzieli — była prawdziwą sensacją. Plotką idealną, która jeszcze przez długi czas będzie wzbudzać sensację. Najpierw dlatego, że ciąża Jill będzie coraz

bardziej widoczna, a później dlatego, że na świat przyjdzie dziecko, o którym będzie można rozmawiać bez końca. Otaczała ją atmosfera skandalu. Co semestr każdy z nas oceniał kilka prac traktujących o tragedii samotnych matek. Sytuacja Jill była podobna, tyle że ona nie doświadczyła zawodu miłosnego. Ta historia przypominała fabułę książki, w której brakuje dramatyzmu.

— Co na to Dan? — spytał Jason.

Czy jeśli mu powiem, to będzie zdrada? Nie chciałam plotkować — nie dlatego, że to nie w porządku, ale przede wszystkim dlatego, że na swój sposób czułam się częścią tej historii — choć z drugiej strony miałam na to wielką ochotę. Dwa tygodnie nurzania się w krytyce literackiej sprawiają, że człowiek chciałby porozmawiać o czymś prawdziwym. A nie było niczego prawdziwszego niż ciąża Jill.

— Nie bardzo chce zostać ojcem.

— To źle? — zapytał Jason. Nie stwierdził, zapytał. Czy to źle?

— Nie wiem — odparłam. — Myślę, że, tak czy inaczej, Jill urodzi to dziecko.

— Zostawi ją? — dopytywał się zdumiony.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie. Po prostu nie chce być ojcem. Nie wiem, co zrobią.

— Co za dupek. Trochę za późno na podejmowanie takich decyzji — rzekł Jason.

— Nie wiem. Uważasz, że powinien zostać ojcem, chociaż nie jest na to gotowy, tylko dlatego, że Jill tego chce?

— Jeśli nie był gotowy, nie powinien był z nią sypiać.

— Bzdura. Gadasz jak ci z organizacji prorodzinnych. Poza tym łatwo ci mówić. Ty i Lucas możecie bzykać się, kiedy tylko chcecie, bez obaw, że któryś z was zajdzie w ciążę.

— O mój Boże, skoro już o tym mowa, przyjaciel Lucasa, Ed, zadzwonił wczoraj wieczorem i powiedział, że jego były facet, Martin, zrobił dziecko jakiejś lasce i bierze z nią ślub. Głupie pedały. Nie mają pojęcia, jak używać środków antykoncepcyjnych...

I na tym się skończyło. Jason zaczął przeskakiwać z tematu na temat, opowiadając mi najnowsze ploteczki, wszystkie równie ekscytujące i niedorzeczne. Był naszym przyjacielem, jednak zapomniał o kłopotach Jill równie szybko, jak o biednej, ciężarnej narzeczonej byłego partnera przyjaciela jego chłopaka. Nie wiedzieć czemu, ja nie potrafiłam się od tego zdystansować.

## Rozdział 9

Informacje z drugiej ręki nigdy nie są w stu procentach wiarygodne. Te z pierwszej ręki, przekazywane przez ciężarne kobiety, zakochane i rozhisteryzowane, też nie zawsze są lepsze. Dlatego nie mam pewności co do niektórych szczegółów. Wiem, że Daniel przychodził do Jill niemal każdego wieczoru po tym, jak wpadłam na niego w barze kawowym. Wiem, że prowadzili niekończące się rozmowy, aż wreszcie żadne z nich nie chciało już o tym mówić i widzieć tego drugiego na oczy. Rozmawiali albo siedzieli w milczeniu, tuląc się do siebie, i kochali się bez ograniczeń, co w tej sytuacji było absolutnie zrozumiałe. Wiem, że Jill nie ignorowała jego uczuć w sprawie dziecka, ale wysłuchała i rozważyła jego słowa. Wiem też, że nie wstał tak po prostu i nie wyszedł z jej mieszkania. On także jej wysłuchał i próbował nawet zmienić swoje nastawienie. W końcu nadal się kochali. W pierwszych tygodniach po ukończeniu college'u starał się dorosnąć. Przez jakiś czas próbowali dojść do porozumienia. Mogę zaręczyć, że w trakcie negocjacji wylali wiele łez i zadali sobie dużo bólu, choć nie zrobili tego celowo. I nawet jeśli nie jestem w stanie przypomnieć sobie szczegółów tych rozmów, jestem pewna, że były one szczerze i poruszające.

Jak się okazało, nie miało to znaczenia. Jedno wydarzenie zmieniło dalszą historię. Gdyby nie to, sprawy wyglądałyby całkiem inaczej. Myślę, że Jill i Daniel nadal siedzieliby na kanapie i rozmawiali przez kolejne dziewięć miesięcy, aż nagle, w połowie zdania, Jill poczułaby, że odeszły jej wody, a wówczas nie byłoby już o czym rozmawiać. Jeśli mam być szczerą, uważam, że Daniel doskonale poradziłby sobie w roli ojca. Ale coś się wydarzyło i ta jedna chwila, niczym katalizator, zmieniła wszystko. To świetny materiał na opowieść, ale kiepski czas na podejmowanie decyzji. Przeraza mnie, kiedy spoglądam wstecz i uświadamiam sobie, że gdyby nie tamta chwila, życie nas wszystkich wyglądałoby zupełnie inaczej. Może zawsze tak jest, gdy człowiek patrzy w przeszłość. Może to ja na siłę doszukuję się genezy tego, co wydarzyło się później. Ale nie mogę pozbyć się uczucia, że dziewczyna byłego chłopaka przyjaciela chłopaka Jasona zmieniła nasz świat.

Mniej więcej trzy tygodnie po zakończeniu roku akademickiego i niecałe dwa miesiące po tym, jak Jill zaszła w ciążę, Katie, Jill, Daniel i ja siedzieliśmy przy stole w moim domu. Byliśmy nasyceni zarówno jedzeniem, jak i rozmową. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, skrupulatnie unikając tematu dzieci. W którymś momencie tamta sprawa nie wydawała się tak pilna. Jill i Daniel nadal musieli podjąć decyzję, ale nie musieli tego robić natychmiast. Dotarliśmy do punktu, gdzie mogliśmy rozmawiać i myśleć o innych rzeczach, żartować; czuliśmy się jak za starych dobrych czasów (patrzac na Jill, do głowy by wam nie przyszło, że jest w ciąży; w ogóle nie wymiotowała). Potrafiliśmy godzinami nie myśleć o tym, co się wydarzyło. Wszystko było tak jak trzeba. I wtedy pojawili się Jason i Lucas, przynosząc wieści, i — na szczęście — ciasto.

Najdziwniejsze jest to, że po tym, co zrobili, wcale nie wyglądali na zdruzgotanych, a później, kiedy próbowali dokonać rekonstrukcji lawiny wydarzeń, którą wywołali, nie mogli uwierzyć, że ich mała, niewinna plotka wszystko zmieniła.

— Przynieśliśmy ciasto — oznajmił Jason, idąc prosto do kuchni. Wziął talerzyki i widelce i wstawił wodę na herbatę.

— Zostało wczoraj w restauracji. Całe, nietknięte ciasto. Pierwszy raz zdarzyło się coś takiego — dodał Lucas. — Powinienem częściej robić makaron. Wszyscy są tak najedzeni, że nie mają ochoty na deser.

— Dla restauracji to chyba nie najlepiej — zauważył Daniel.

— Fakt — przyznał Lucas. — Ale dobrze dla was. Macie darmowy deser.

— Nie wierzę, że damy radę coś jeszcze zjeść — jęknęła Katie.

Zrobiłam pizzę, sałatkę, grillowane warzywa i grzanki czosnkowe, a zaczęliśmy od humusu i krakersów. Ale ciasto było zbyt pyszne, by można było mu się oprzeć.

— Macie jakieś plany na dziś? — spytałam.

— Mniej więcej. W ubiegłym tygodniu otworzyli ten nowy lokal, Grill Art, więc część znajomych zamierza tam wpaść. — Lucas wzruszył ramionami.

— Wczoraj poszliśmy tam na lunch — dodał konspiracyjnie Jason. — Ohyda.

— Wcale nie — odparł wspaniałomyślnie Lucas. — Dopiero zaczęli. Może mają lepsze kolacje.

— Przedobrzyli z sosem. Dania były za zimne. Przesolone i bez wyrazu. Facet chciałby umieć gotować tak jak ty.

— Skarbie — Lucas nachylił się do partnera i pocałował go w usta — każdy chciałby gotować tak jak ja.

— Co robicie w weekend? — spytała Jill.

— Niewiele — odparł Jason. — Mamy bilety na mecz baseballowy na jutrzejsze popołudnie.

— My musimy zrobić coś z trawnikiem.

— A ja przygotować się do letnich kursów.

— A my powinniśmy odwiedzić Elise — rzekł Lucas.

— Nawet jej nie znamy — oburzył się Jason.

— Kim jest ta Elise? — spytałam.

— Mówiłem ci o niej — rzucił Jason. — Elise to narzeczona byłego chłopaka Eda. Ta w ciąży.

— Była — sprostował Lucas.

— Jak to była? Umarła? — jęknęłam.

— Nie — odparł Jason. — Była w ciąży.

— I była narzeczoną — dodał szyderczo Lucas. Siedzący naprzeciw mnie Jill i Daniel nie odezwali się ani słowem.

— Co się stało? — spytałam.

— Miała wypadek na autostradzie I-pięć. Komuś jadącemu dwa samochody przed nią pękła opona. Elise próbowała go ominąć, podobnie jak wszyscy inni. Została uderzona z boku i z tyłu — wyjaśnił Lucas.

— Nic jej nie jest — uspokoił nas Jason. — Ma złamaną rękę i uderzyła głową o szybę, więc przez kilka dni zostanie na obserwacji. Ale straciła dziecko.

— I wtedy Martin zerwał zaręczyny. Dość kiepski wybrał sobie moment. Powiedział, że ją kocha, ale nie w ten sposób, że ma mętlik w głowie i jest mu bardzo przykro, i takie tam. Żal mi jej, ale facet jest gejem — dodał Lucas. — Człowiek nie może tak po prostu stać się hetero.

— Poza tym lepiej dowiedzieć się o tym teraz niż później, kiedy jest już po ślubie, a na świat przychodzą dzieci. To prawdziwe błogosławieństwo — zastanawiał się na głos Jason.

— Tyle że ta biedaczka jest w nim naprawdę zakochana. Ma wypadek, budzi się w szpitalu ze złamaną ręką i wstrząśnieniem mózgu i dowiaduje się, że straciła dziecko, a na koniec rzuca ją narzeczony. Właśnie dlatego powinniśmy odwiedzić ją w ten weekend i poprawić jej nastrój.

Rozmowa toczyła się już tylko między Jasonem a Lucasem, pochłonęła ich do tego stopnia, że kompletnie nie zwracali uwagi na bladego jak ściana Daniela ani na Jill, której twarz pokryła się srebrnymi kropelkami potu. Bezustannie kręciła głową, a z jej otwartych ust nie dobył

się żaden dźwięk.

— Aha. — Lucas podniósł wzrok.

— Straciła dziecko? — jęknęła Jill zduszonym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu.

— Och, skarbie — westchnął Jason, jakby nagle przypomniał sobie, że nie są sami. — Tak mi przykro. Elise straciła dziecko, ale to nic. To był dopiero początek ciąży i lekarze mówią, że tam, w środku, wszystko z nią w porządku. Powiedzieli Martinowi, że mogą od razu zacząć starać się o kolejne dziecko — dodał z krzywym uśmiechem, bo było oczywiste, że Martin nie zamierza próbować.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Tobie nic nie jest — zwróciła się Katie do Jill. — Tu nie chodzi o ciebie. Z tobą wszystko jest w porządku.

Jill położyła dłonie na swoim płaskim brzuchu i rozglądała się nerwowo.

— Jej też nic nie jest — dodałam. — Za kilka dni wydobrzeje.

Była wstrząśnięta i nie mieliśmy pojęcia, co właściwie ją zdenerwowało — wypadek, poronienie, zerwane zaręczyny czy to, że w jednej chwili można tak wiele stracić?

Daniel, któremu rumieniec wrócił na twarz, oblizwał wargi i spróbował ją pocieszyć.

— W tej sytuacji tak będzie lepiej dla wszystkich — zaczął powoli, przerywając kolejną chwilę niezręcznej ciszy. — Zobaczysz, znajdzie kogoś, kto naprawdę będzie chciał z nią być i mieć z nią dziecko. To lepsze, niż gdyby podstępem zmusiła tego biednego faceta do małżeństwa i do tego, by został jej mężem i ojcem jej dziecka.

Jestem pewna, że nie zastanowił się nad tym, co chce powiedzieć, zanim się odezwał. I tak słowa Daniela, choć jak najbardziej prawdziwe, były również kompletnie nieprzemysłane i nie powinny były wyjść z jego ust.

Jill wstała od stołu, poszła do fioletowej łazienki i głośno zwymiotowała. To było sześć tygodni powstrzymywania porannych mdłości, sześć tygodni zaprzeczania i odrzucania, lęku, paniki i odosobnienia, niekończących się rozmów mimo braku jakichkolwiek realnych możliwości dojścia do kompromisu. I nagle zrozumiała, co to wszystko znaczy, jak zmieni się jej życie, i to niekoniecznie na lepsze. W końcu dotarło do niej, że będzie miała dziecko i prawdopodobnie wychowa je sama.

Siedzieliśmy w milczeniu. Człowiek nie może jeść ciasta, kiedy ktoś wymiotuje w pomieszczeniu obok albo kiedy przyjaciele przeżywają załamanie nerwowe. Wymioty oznaczały, że ostatnie sześć tygodni poszły na marne. Wymieniłyśmy z Katie pełne skruchy spojrzenia. Przez pierwsze tygodnie stroniłyśmy od jakichkolwiek decyzji, odpowiedzialności, racjonalnego patrzenia na tę sytuację i robiłyśmy wszystko, żeby Jill i Daniel również tego unikali. Wierzyłyśmy bowiem, że to ostatnia rzecz, jakiej im trzeba. Byłyśmy w to wszystko zamieszane i świadomość tego budziła we mnie obrzydzenie (albo coś podobnego).

Daniel zerwał się od stołu, wziął nienaturalnie długi i głęboki oddech — jakby próbował napompować pozbawione powietrza ciało — i poszedł do łazienki. Zamknął drzwi, na próżno starając się stworzyć atmosferę intymności, jednak moje mieszkanie jest naprawdę małe, tanie i zbudowane z kiepskiej jakości materiałów. Człowiek stara się jak może nie słuchać, gdy ktoś wymiotuje w łazience, ale jest to niemożliwe, tak więc bez względu na to, jak bardzo nie chcieliśmy podsłuchiwać rozmowy Daniela i Jill, nie mieliśmy wyboru. Powinniśmy byli wstać i od razu wyjść z mieszkania, a zachowywaliśmy się tak, jakby z ciasta ulatniał się gaz paraliżujący.

— Kochanie, przepraszam — zaczął Daniel. — Nie miałem na myśli nas. Chodziło mi o nich. Nie pomyślałem.

Cisza.



- Nic ci nie jest?
- Chcę urodzić to dziecko — odparła drżącym głosem.
- W porządku.
- A gdybym je straciła, Danielu?
- Nie wiem — przyznał.
- Muszę je chronić — ciągnęła. — Przez całe życie.
- W porządku — powtórzył.

Dałam znać, żebyśmy wstali i wyszli, ale nie mogliśmy się ruszyć. Nie byliśmy w stanie nawet oderwać wzroku od talerzy. Tuż za ścianą rozgrywał się prawdziwy dramat, a my — chcąc nie chcąc — staliśmy się jego częścią.

— Nie mogę uwierzyć, że prawie je straciłam — mruknęła Jill.

Daniel, cichy i zrezygnowany, słuchał jej, próbując ustalić, ile z tego, co słyszy, jest irracjonalną reakcją na to, co się wydarzyło, a ile prawdą, i z całą pewnością wyciągał jakieś wnioski.

— Jill, ja nie mogę! — krzyknął. — Nie mogę! Czułbym się jak Martin. Żałowałbym tego. Starabym się zakończyć nasz związek.

— Nie chcę, żebyś tak się czuł! Nie chcę tego! Ale nie mogę usunąć ciąży! — Ona również krzyczała.

— Nie mogę cię zmusić. Nawet tego nie chcę. Ale ja nie chcę być teraz ojcem — dodał stłumionym głosem. Tuliła go do siebie, a może to on ukrył twarz we włosach Jill albo przyciskał do jej brzucha. W końcu oboje byli tak rozhisteryzowani, wzruszeni i tak sobie bliscy, że poczuliśmy się na tyle zażenowani, by w końcu się ruszyć.

— Może piwo — zaproponował Lucas.

— Świetny pomysł — odparła Katie, co było do niej zupełnie niepodobne.

Wychodząc z mieszkania, mieliśmy wrażenie, że ignorujemy mały płomień, który lada chwila przerodzi się w szalejący pożar.

Jednak wtedy było już za późno. Byliśmy wyczerpani. Nie mieliśmy ochoty na piwo ani nic innego. Jason i Lucas zwiesili smętnie głowy, wsiedli do samochodu i wrócili do domu. Katie i ja poszłyśmy do jej mieszkania, włączyłyśmy telewizor i wkrótce zasnęłyśmy. Miałyśmy dosyć wszystkiego. Obudziłyśmy się o szóstej rano, wróciłyśmy do mnie i zastałyśmy Jill śpiącą w moim łóżku. Samą. Niewiele myśląc, wślizgnęłyśmy się pod kołdrę.

— Cześć — mruknęła zaspanym głosem.

— Cześć — odparłam.

— Cześć — rzuciła Katie.

— On odszedł — oznajmiła Jill.

— Dokąd? — spytałam.

— Nie jestem pewna — szepnęła nieco zakłopotana, jakby miała problem z logicznym myśleniem. — Wcześniej mówił, że chce spędzić lato w Kalifornii. Może tam pojechał?

— Co ustaliliście? — spytała Katie.

— Daniel nie chce być ojcem. Ja nie chcę usunąć ciąży. Nie chciałam, żeby wyjeżdżał, on zresztą też, ale to wydawało się najsensowniejszym rozwiązaniem, więc przynajmniej w tej kwestii doszliśmy do porozumienia.

— Wszystko w porządku? — spytała Katie.

— Nie.

— Możemy ci jakoś pomóc? — Tym razem to ja zadałam pytanie.

— Pomożecie mi wychowywać dziecko?

— Jasne — odparłam.

— Jasne — powiedziała Katie.

— Dzięki.

Chwilę później wszystkie ponownie zasnęłyśmy.

## Rozdział 10

Pierwszym problemem było to, że pozostawiona samej sobie Jill nadal jadła głównie krakersy. Jeśli chodzi o jedzenie, nie była szczególnie wybredna. Odżywiała się dobrze, kiedy jadałyśmy na mieście. Poza tym jadła wszystko, co dla niej ugotowałam. Od czasu do czasu zastępowała krakersy m&m'sami, a znacznie rzadziej jabłkiem lub sokiem pomarańczowym. Przede wszystkim jadła jednak krakersy i popijała je wodą. Tak więc pierwszym problemem, z jakim musiałyśmy się uporać — ważniejszym niż złamane serce — było zmuszenie Jill do jedzenia.

Drugim problemem było złamane serce. Ale jak wiecie, jego naprawa bywa skomplikowana.

Trzeci problem dotyczył pieniędzy. Dla niewtajemniczonych: stypendia doktoranckie to prawdziwa gratka. Pokrywają koszty nauki i utrzymania. W zamian za to ty uczysz studentów pierwszego roku. W ten sposób jesteś w stanie ledwie przeżyć, zdobywasz jednak cenne doświadczenie i wzbogacasz swój życiorys. Dlatego radziłyśmy sobie na wszelkie możliwe sposoby. Katie miała kosmiczny dług na karcie kredytowej (zupełnie niepodobny do studenckich pożyczek z niskim, stałym oprocentowaniem, które możesz zacząć spłacać, kiedy znajdziesz pracę). Moi rodzice dali mi swoje stare meble i opłacali ubezpieczenie samochodu. Babcia brała mnie na zakupy, kiedy potrzebowałam nowych ubrań. Jason miał na tyle zdrowego rozsądku, by związać się z mężczyzną, który miał normalną pracę. A Jill jadła krakersy. Krakersy może były dobre dla jednej osoby, ale nie dwóch, zwłaszcza gdy jedna z nich potrzebowała pieluch, butelek, ubranek, zabawek, fotelika samochodowego, kocyków, wysokiego krzeselka i stałej opieki lekarskiej.

Kolejnym — czwartym — problemem była opieka nad dzieckiem. Studia doktoranckie to praca na pełen etat. To nie tylko dwanaście, piętnaście godzin tygodniowo spędzane na uniwersytecie, na uczeniu się, uczeniu innych albo robieniu obu tych rzeczy naraz. To również milion godzin poświęconych sprawdzaniu prac. I kolejne dwa miliony przeznaczone na czytanie. A zatem trzy miliony godzin plus dwanaście, nie wspominając o tym, że człowiek musi jeszcze jeść, od czasu do czasu się zdrzemnąć i udzielać towarzysko, żeby nie zwariować. Oczywiście można spróbować szybciej sprawdzać prace. Przyspieszyć z czytaniem, przebiec wzrokiem niektóre fragmenty albo parę książek pominąć. Ale nawet wtedy nie zostanie za wiele czasu na opiekę nad noworodkiem.

Rozważałyśmy różne rozwiązania. Rozsądne i całkowicie nedorzeczne. Doszłyśmy do wniosku, że mogłaby rzucić studia i znaleźć prawdziwą pracę (rozwiązując w ten sposób wyłącznie problem numer trzy). Wpadłyśmy na pomysł, żeby została profesjonalną testerką jedzenia (rozwiązanie problemów numer jeden i trzy). Zaproponowałyśmy jej udział w reality show, w którym grupy ciężarnych kobiet podróżują po restauracjach całego kraju, poszukując jedzenia niewywołującego u nich mdłości (materiał filmowy byłby naprawdę super, kłótnie z innymi uczestniczkami gwarantowane, a usługi świadczone przez służby publiczne bezcenne). Ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju. I bez względu na to, jak bardzo się starałam, nie mogłam sobie z nią poradzić. Kiedy uznałam, że znalazłam rozwiązanie, natychmiast zadzwoniłam do Jill. Nieważne, że była trzecia rano. Myśl o tym nie dawała mi spokoju i nie pozwalała zasnąć, więc dlaczego ona miałaby spać spokojnie?

— Zamieszkamy razem — powiedziała, kiedy odebrała telefon i mruknęła coś, co zabrzmiało jak „halo”.

Cisza. A chwilę później:

— Kto mówi?

— No dalej, Jilly. To ja. Obudź się. Zamieszkamy razem. We trzy. Ustawimy grafiki tak, że któraś z nas zawsze będzie w domu z dzieckiem. — (Problem numer cztery). — Podzielimy wydatki. — (Problem numer trzy). — Ja będę gotowała. — (Karmienie na siłę Jill i Płodu. Problem numer jeden, a może nawet dwa, w zależności od tego, jak dobre będzie jedzenie). — Wiele o tym myślałam. To najlepsze rozwiązanie.

Cisza.

— Kto mówi?

— Jill. Mówię poważnie. To rewelacyjny plan.

— Jak gotowanie ma mi pomóc?

— Musisz karmić dziecko czymś więcej niż tylko krakersami.

— Jem też inne rzeczy.

— Nieprawda.

— A właśnie, że tak.

— Wcale nie.

— Myślisz, że mogłybyśmy porozmawiać o tym jutro? — spytała, ale byłam niemal pewna, że usiadła i przecierała oczy. — Myślisz, że byłabyś dobrym ojcem? — spytała po chwili milczenia.

Uśmiechnęłam się.

— Byłabym świetnym ojcem.

## Rozdział 11

Wtedy, w środku nocy, byłyśmy pełne dobrych myśli, ale nie trwało to zbyt długo. Rozmawiałyśmy. Dużo. Jill czuła się niezręcznie, prosząc nas o tak wielką przysługę. Katie nie była pewna, czy zamieszkanie z kobietą pokroju Jill i wychowywanie wraz z nią nieślubnego dziecka nie jest sprzeczne z doktryną jej Kościoła. Wszystkie martwiłyśmy się o naszą pracę. Trudno było sobie wyobrazić, że mogłybyśmy mieć jeszcze mniej czasu na zrobienie wszystkiego, nie mówiąc o tym, że miałybyśmy czytać i pisać przy wtórze wiecznie płaczącego dziecka. A do tego cierpiałyśmy, bo nie byłyśmy do końca przekonane, czy dobrze robimy, decydując się na wspólne mieszkanie. Zwłaszcza ja. Wydawało mi się, że jesteśmy za stare, by razem zamieszkać, i że wcześniej czy później zaczniemy się nienawidzić. Nie mogłam uwierzyć, że cały trud pomalowania łazienki na fioletowo poszedł na marne.

Ale — przynajmniej w teorii — pomysł wydawał się wykonalny. Rozplanujemy nasze zajęcia o różnych porach. Spróbujemy, żeby nakładały się tylko wówczas, gdy będzie u nas Jason, tak by przez kilka godzin mógł zajmować się dzieckiem. Ja będę gotowała. Wmawiałam sobie, że gotowanie dla trzech osób jest równie łatwe, jak dla jednej, i nawet jeśli zostanie mniej jedzenia na drugi dzień, to ktoś inny będzie mógł zrobić zakupy i pozmywać naczynia. Podzielimy się wydatkami. Poradzimy sobie. Nie było mowy, żeby coś poszło nie tak.

Gdyby rzeczywiście tak się stało, nie byłoby tej historii. Wiadomo przecież, że wmawianie sobie, że nic nie ma prawa pójść nie tak, to kuszenie losu i proszenie się o nieszczęście.

\* \* \*

Przygarnęłyśmy psa ze schroniska, żeby ćwiczyć na nim wychowywanie dzieci i uczyć się, jak okazywać uczucia — jeśli nie mogłam mieć swojego małego przytulnego mieszkanka wyłącznie dla siebie, skoro musiałam mieszkać w wielkim domu i dzielić go z mnóstwem innych ludzi, to dlaczego miałabym odmawiać sobie psa. Wujek Claude był anielskim stworzeniem, mieszańcem owczarka szkockiego, geniuszem (mądrzejszym niż wielu moich studentów), nałogowcem uganiającym się za piłkami, garściami gubiącym sierść (o czym przekonaliśmy się, gdy było już za późno) i potrzebującym dużego ogrodu na tyłach domu. Tak więc znalazłyśmy wielki dom z dużym ogrodem i czterema sypialniami, tak by każde z nas — w tym dziecko — miało własny pokój. W domu były trzy łazienki, po jednej dla każdej z nas, duża kuchnia, urocza weranda i mnóstwo światła. Mimo iż chętnie skorzystałabym z kilku miesięcy wolności, uznałyśmy, że lepiej będzie, jeśli przeprowadzimy się i zdomowimy w nowym miejscu, zanim ciąża Jill stanie się zbyt widoczna. Nawet w tak liberalnym mieście jak Seattle trafiają się ludzie, którzy krzywym okiem patrzą na takie rodziny jak nasza. Trzy współlokatorki to nic nadzwyczajnego, ale wystarczy, że jedna z nich ma pokaźny brzuszec, a ludzie gotowi pomyśleć, że jesteśmy jakąś sektą albo — w najlepszym przypadku — zwiastujemy kłopoty.

Poza tym było lato, więc miałyśmy czas. No i było fajnie. Przeprowadziłyśmy selekcję mebli, wyrzucając te najgorsze. Patrząc na nie, miałyśmy wrażenie, że pozbyłyśmy się dwóch trzecich umeblowania całego domu. Kupiłyśmy maty łazienkowe, dywan i ozdobne poduszki, świece i lampy. To zadziwiające, że za tak niewielkie pieniądze można kupić poczucie przynależności, stabilność i przywiązanie. Dopiero gdy zamieszkałyśmy razem, uświadomiłam sobie, że mieszkanie w pojedynkę przywodziło na myśl czekanie, tak więc reklamówka zawieszona na uchwycie szuflady — zamiast kosza na śmieci — była jak najbardziej rozsądna. Teraz wylżyliśmy gniazdo. Potrzebowałyśmy więc kosza z prawdziwego zdarzenia. Tworzyłyśmy

dom — dla dziecka, ale i dla siebie. Nie chodzi o to, że mieszkając sama, czułam, że nie zasługuję na miejsce, które śmiało mogłabym nazwać domem. Koniec końców pomalowałam przecież łazienkę. Sęk w tym, że większość rzeczy nie była warta zachodu. Bo i po co samotnej kobiecie kosz na śmieci? Zawsze drażniło mnie, że ludzie latami żyją w brudzie i nędzy, a gdy tylko się zaręczą, nagle potrzebują ręczników w jednym kolorze, porządnej pościeli i drogich naczyń kuchennych (nawet jeśli nie gotują). Gdy jednak zamieszkałam z Jill i Katie, uświadomiłam sobie, że wcale nie chodzi o to, że nowożeńcy czują, iż zasługują na coś więcej tylko dlatego, że są nowożeńcami. Chodzi o to, że po raz pierwszy ma to jakieś znaczenie. W ciągu kolejnych miesięcy wiele się nauczyłam, przede wszystkim jednak uświadomiłam sobie, jak ważna jest rodzina i poczucie, że jest się częścią pewnej całości; coś, o czym nie miałam pojęcia, gdy mieszkałam sama. Naturalnie chodziło też o przyjaźń. I — choć jeszcze nie miałam o tym pojęcia — o macierzyństwo.

Poniekąd było to również nienormalne. W dosłownym tego słowa znaczeniu. W drugiej klasie, w trakcie wycieczki do zoo, zrobiłam w autobusie coś, co doprowadziło do tego, że moja nauczycielka z pierwszej klasy, kobieta, która — jak mówiono — świetnie radziła sobie z dziećmi, złożyła wymówienie. Moje zachowanie w autobusie kłóciło się z jej wyobrażeniami o siedmiolatkach. Piętnaście minut po tym, jak wyjechaliśmy spod szkoły, Robbie Stafford, który siedział po drugiej stronie autobusu, trzy siedzenia przede mną, wychylił się i zwrócił wszystko, co zjadł na śniadanie.

— Fuj — obruszyła się siedząca obok niego Lizzie Donovan.

— Niesamowite — skwitował Mark Manther, któremu wymiociny Robbiego ochlapały buty i którego starszy brat mówił slangiem dla nas zupełnie niezrozumiałym.

— Obrzydliwe — mruknęła siedząca z tyłu Monica Sorrenson.

— Łeeeeeeee. — I idąc śladem Robbiego, zwróciłam swoje śniadanie.

Jedno wymiotujące dziecko mogło wydawać się fajne albo obrzydliwe; zależy, jak na to spojrzeć. Jednak w zbiorowej świadomości siedmiolatków dwoje wymiotujących dzieci nie wróży nic dobrego. Może zostaliśmy otruci. Może wdychaliśmy szkodliwe opary, a autobus wcale nie był autobusem, i może wcale nie jechaliśmy do zoo, tylko do sekretnego miejsca, gdzie przetrzymuje się porwane dzieci. Może to zapach. Ale siedzący za mną Eric Hynes, Susan Jenson, Kelly Levine i Harold Potter (ciekawe, czym się zajmuje i jak wygląda teraz jego życie) wychylili się i zwymiotowali wprost na przejście między siedzeniami. Być może to samo zrobiły inne dzieciaki. Nie wiem, bo wówczas czułam się już naprawdę źle i straciłam rachubę. Na widok wymiotujących drugoklasistów każdemu odechciałoby się być nauczycielem. W kiepskie dni na uczelni dziękuję Bogu, że przynajmniej nie jestem panną Avramson.

Wszystko sprowadza się jednak do tego, że widok wymiotujących ludzi sprawia, że sama zaczynam wymiotować. Nie chodzi tu o woń, choć ta z pewnością nie pomaga, ale o dźwięk — odruch wymiotny, nagły atak kaszlu i plaśnięcie, z jakim wszystko łąduje na porcelanie, chodniku albo podłodze autobusu. Poranne mdłości Jill obudzone do życia wiadomością o poronieniu Elise zdawały się nie mieć końca. I nie ograniczały się wyłącznie do poranków. Dlatego ja również wymiotowałam. Nie mogłam nic na to poradzić. Wymioty są niezwykle niepokojące. Sprawiają, że każdy ma ochotę wymiotować. Nie obchodzi mnie, jak fatalnie to zabrzmi.

Wymioty, przemyślenia, pakowanie się i rozpakowywanie oraz mieszkanie ze współlokatorkami sprawiły, że po raz kolejny poczułam się jak studentka drugiego roku. Miałam wrażenie, że tracę grunt pod nogami, że tonę i jestem tym wszystkim przytłoczona. Istniał tylko jeden sposób, by pozbyć się tego uczucia. Pierwszą rzeczą, jaką uświadomiły mi macierzyńskie obowiązki, było to, że nadal potrzebuję swoich rodziców. Tak więc w piątek po przeprowadzce

wsiadłam do samochodu i pojechałam na północ, żeby spotkać się z rodziną.

\* \* \*

Zastałam rodziców na werandzie, razem z babcią, która udawała, że sprawdza skrzynki z kwiatami, choć tak naprawdę paliła papierosa. Powitali mnie uśmiechem, ale rozpromienili się dopiero, gdy zobaczyli drepczącego przy mojej nodze Wujka Claude'a.

— Cześć, skarbie — zaszczębiotała babcia. — A to kto? — spytała, pochylając się.

— Poznaj Wujka Claude'a — przedstawiłam psa — twojego praszczeniaka.

— Masz psa! — pisnęła, wolną ręką głaszcząc Claude'a po brzuchu.

— Jest uroczy — powiedziała mama, łokciami torując sobie drogę do mojego pupila.

— To ona — poprawiłam ją.

— Wujek Claude to imię dla psa — zauważył mój ojciec.

— A jednak to suczka.

— Ooo, kim jesteś? Dziewczynką? Tak się cieszę, że cię poznałam — przemawiała babcia pieszczotliwym głosem.

— Co cię opętało? — spytał tata.

— Mamy teraz dom z ogrodem, więc możemy sobie pozwolić na psa.

— Skoro możecie mieć psa, powinniście go mieć — wtrąciła babcia. — Jest coś nie tak z ludźmi, którzy mogą mieć psy, ale ich nie mają. — To była jedna z wielu zasad mojej babci („Nigdy nie umawiaj się z kibicami New York Yankees” — to była jej randkowa dewiza na długo przed tym, zanim stała się moją).

— Duży ogród — rzuciłam. — Poza tym potrzebowałam w życiu pozytywnego bodźca.

— No i jak tam ten nowy dom? — spytała mama, nadal nie odrywając wzroku od psa. — Jak się wam razem mieszka?

— W porządku — odparłam, choć niezbyt przekonująco. — Nieźle, tylko trochę to wszystko zwariowane. Dookoła jest więcej ludzi niż zwykle i po kolacji nikt nie idzie do domu.

— Wiesz, że uwielbiam Jill i Katie — wtrąciła babcia — ale nie jestem pewna, czy chciałabym z nimi mieszkać. Albo wychowywać ich dzieci.

— Przy dzieciach jest mnóstwo roboty — dodała mama, choć nie wiedziałam, czy chce przez to powiedzieć: „Dobrze więc, że pomagasz”, czy może: „Dlatego nie mam pojęcia, po co się w to wpakowałaś”. Wyprostowała się i otoczyła mnie ramieniem. Podczas gdy ja myślałam głównie o Jill i jej dziecku, moja rodzina miała na względzie przede wszystkim moje dobro. I właśnie dlatego wróciłam do domu. By poczuć, że jestem dla kogoś najważniejsza.

— Jesteś wspaniała — powiedziała mama.

— Lepiej chodźmy na zakupy — zaproponowała babcia.

\* \* \*

W sklepie z artykułami dla dzieci babcia niefrasobliwie wrzucała do wózka kolejne maleńkie pastelowe ręczniki i prześcieradła, koszulki z kapturem i buciki. Tymczasem moja mama postanowiła ignorować to, co praktyczne, i skupiała się na tym, co pedagogiczne. Wybierała zabawki z lusterkami, dzwoneczkami, kuleczkami i te wypełnione groszkiem. Zabawki, które miały stymulować wzrok, słuch i zachęcać maleńkie paluszki do tego, by je kochały i tuliły. Ja, jak zwykle, wrzucałam do wózka książki. *Kompletne bajki i wiersze Kubusia Puchatka*, *Tam gdzie kończy się chodnik*, zbiory opowieści na dobranoc i miękkie książeczki, których tekst nie przekraczał dziesięciu słów, idealne do przytulania lub gryzienia (byłam zachwycona myślą, że zanim człowiek naprawdę zacznie pojmować literaturę, już od najmłodszych lat ma okazję realnie się w nią wgryźć).

W dziale z literaturą na widok książek, które ukształtowały moją osobowość, i niewidzianych od lat okładek, których zawartość znałam niemal na pamięć, dopadła mnie nostalgia. Zanim zdążyłam się zorientować, zapisane w nich słowa obudziły we mnie głód poznawania kolejnych słów oraz miłość do czytania i tworzenia opowieści. Z tym większą radością patrzyłam na starych przyjaciół: Pinga i Maxa, który płała figle, byczka Fernanda oraz pana i panią Mallard. Dałam się zwieść i uwierzyłam, że jakoś przetrwam te nieprzespane noce, setki brudnych pieluch i wieczorów, kiedy wolałabym pójść do kina, jeśli tylko będę miała okazję przeczytać maluszkowi *Wiersze dla Krzysia*.

Nagle wszystko wydało mi się odrobinę mniej przerażające. Gdyby rodzice i babcia obawiali się i próbowali mnie zniechęcić, wpadłabym w panikę na myśl o tym, w co się wpakowałam. Wróciłabym wspomnieniami do dnia, kiedy siedząc w ciemności, byłam niemal pewna, że nic z tego nie wyjdzie, że samotne macierzyństwo nie idzie w parze z równowagą i zdrowym rozsądkiem, studia doktoranckie są niczym więcej jak tylko kaprysem, a ja związuje się emocjonalnie z dzieckiem, które nigdy nie będzie moje, i rodziną, która nigdy nie będzie rodziną. I nawet gdyby wszystkie te lęki w mniejszym lub większym stopniu się spełniły, nadal nie był to wystarczająco dobry powód, by tego nie robić.

Spędziłam w domu kilka dni i wróciłam do pracy samochodem pełnym rzeczy dla dziecka. To one — nie wymioty, rosnąca panika czy coraz bardziej widoczny brzuch Jill — sprawiały, że wszystko wydawało się takie prawdziwe. Katie i Jill początkowo były zachwycone — zupełnie jakby to one miały dostać wszystkie te rzeczy. Podekscytowane przeglądały zasłony z Kubusiem Puchatkiem, maleńkie półki na książki, debatując nad tym, gdzie najlepiej postawić łóżeczko dziecięce, stół do przewijania, huśtawkę i kaczki na kółkach: pod oknem, bliżej drzwi czy środka. Wkrótce jednak straciłyśmy humor i ucichłyśmy. Nie byłyśmy smutne, po prostu w zamyśleniu ustawiałyśmy malutkie mebelki i zapełniałyśmy szafy maleńkimi ubrankami. (Zdaniem mojego ojca, gdy dziecko przyjdzie na świat, przez kolejne dziewięć miesięcy nie będziemy miały czasu ani ochoty na zakupy, choć Katie wątpiła, by cokolwiek mogło powstrzymać ją od chodzenia po sklepach). Do rozwiązania pozostało jeszcze kilka miesięcy i kiedy w końcu urządziłyśmy pokój, stał się on dla nas swoistą strefą zakazaną. Nie chciałyśmy zburzyć panującej tam atmosfery nowości i ekstatycznej energii, ucząc się w nim, czytając czy choćby sprawdzając prace studentów. Mimo to czasami w nocy, kiedy wstawałam się wysikać i zaglądałam do pokoju, zwinięta w kłębek Jill spała na podłodze albo siedziała oparta o ścianę i spoglądała przez okno na gwiazdy.

Tydzień po tym, jak wróciłam z domu, listonosz przyniósł ogromną paczkę. W środku znalazłam dwie nowe letnie koszulki, kubek z napisem „Najlepsza wnuczka”, pudełko moich ulubionych lukrecji, dwa opakowania precli w czekoladzie i trzy kości z prasowanej skóry. Na dołączonym bileciku napisano: „Dla mojego dzieciątka (i jej szczeniaczka). Wybacz, że w całym tym zamieszaniu zapomniałam o tobie. Nadal jesteś moim ukochanym dzieckiem. Kocham cię. Zgadnij kto?”. Babcia kończyła każdy liścik słowami „Zgadnij kto?”, więc nietrudno było się domyślić, kto był nadawcą paczki.

\* \* \*

Ludzie zawsze chętnie opowiadają o tym, że najważniejsza w życiu jest rodzina i prawdziwi przyjaciele. „Jest dla mnie jak siostra” — mówimy o bliskich przyjaciółach; jakby w rodzinie nie chodziło o więzy krwi albo prawa, ale o miłość. Prawdziwa rodzina jest jednak znacznie mniej sentymentalna. To ludzie, z którymi związany jest nasz los. Rodzina Jasona wyrzekła się go, kiedy przyznał się im, że jest gejem. Jego ojciec powiedział, że na pewno zachoruje na AIDS i że na to zasługuje. Matka wyznała, że samo patrzenie na niego sprawia, że



jest jej niedobrze. Siostra obiecała, że będzie się za niego modliła, ale nigdy więcej nie chce go widzieć. Po latach listów, łez i niezręcznych rozmów udało im się zawrzeć żalony rozejm. Jason może przyjeżdżać do domu kilka razy w roku, pod warunkiem że nie powie niczego, co mogłoby wskazywać na to, że jest gejem. Jego rodzina nie poznała Lucasa. Nie widzieli go nawet na zdjęciach. Ale kiedy pytam go, dlaczego się przejmuję, odpowiada drwiąco:

— Nie bądź naiwna, Janey. To rodzina. — Rodzina, ten jeden szczegół, łagodzi i uśmierza wszelki ból, nawet najbardziej dotkliwy.

Jeśli chodzi o moją, wiedziałam, że babcia, mama i tata będą kochali mnie najmocniej ze wszystkich. Z przyjaciółmi, nawet tymi dobrymi, bywa różnie. Nie dlatego, że czasami wpadają w złość i odchodzą z naszego życia, ale dlatego, że nieraz stawiają siebie na pierwszym miejscu. Czasami, kiedy mogą, dają mi odczuć, że jestem najważniejsza. Ale mają też swoje rodziny i własne potrzeby. Z przyjaciółmi łączą nas inne relacje niż z rodziną. Dlatego zastanawiałam się, czy to dziecko będzie rodziną, czy przyjacielem i kim tak naprawdę są dla mnie Jill i Katie. Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że niezależnie od tego, co się wydarzy — czy stracę przyjaciółki, dziecko, które traktowałam jak własne, pieniądze, rozum i wszystko, co miało dla mnie jakiegokolwiek znaczenie — babcia będzie mnie kochała ponad wszystko. Mogłam mieć tylko nadzieję, że to wystarczy.

\* \* \*

Atmosfera w ciągu tych dziewięciu miesięcy (sześciu, odkąd zamieszkałyśmy razem) była dość napięta. Wraz z początkiem roku akademickiego miałyśmy wrażenie, że znajdujemy się w centrum zainteresowania. Za każdym razem, gdy wychodziłam z domu w towarzystwie Jill, czułam, że wszyscy na nas patrzą. Byłam pewna, że moi studenci szeptali między sobą o mojej sytuacji, choć nic im o tym nie mówiłam. Czułam się jak podrzędna celebrytka, o której plotkuje cały wydział. A co najdziwniejsze, z każdym mijającym tygodniem czułam zbliżające się rozwiązanie. Miałam wrażenie, że sama jestem w ciąży. Łapałam się na tym, że kiedy czytałam książkę lub siedziałam w sali na uniwersytecie, lub czekałam, aż zagotuje się woda albo nagrzej piekarnik, głaskam swój (no, powiedzmy) płaski brzuch. Raz czy dwa próbowałam porozmawiać o tym z Katie, ale najwyraźniej ona nie czuła tego samego. Nie chodziło o to, że chciałam konkurować z Jill, ale strasznie się w to wszystko zaangażowałam. Nigdy dotąd nie byłam tak blisko skandalu. Po raz pierwszy dokonałam istotnej zmiany w życiu drugiego człowieka. To było moje pierwsze i, być może, ostatnie dziecko.

Naturalnie nie byłam w ciąży. I tak naprawdę nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Zresztą rzadko wychodziłyśmy, a jeśli już dokądś wyskoczyłyśmy, ludzie widzieli we mnie przyjaciółkę Jill, co przecież było prawdą. Na wydziale plotkowano o nas przez mniej więcej półtora tygodnia, zanim ludzie zainteresowali się innymi sprawami. Moi studenci nie wyobrażali sobie, że po zajęciach prowadzę normalne życie. Chociaż chodziłam niewyspana i podekscytowana tym, czego się wspólnie podjęłyśmy, zastanawiam się nad tym, jak się to wszystko potoczy, całe to czekanie sprawiało, że czułam się dziwnie spokojna. Oczekiwanie, o którym wspominałam wcześniej — niepewność, czy Jill naprawdę jest w ciąży, tego, co powie Daniel, i tego, co się wydarzy — było zupełnie inne.

Z każdym dniem ciąża Jill była bardziej widoczna, a jej brzuch coraz większy i okrągłszy. Codziennie powtarzała: „Zobacz, jaki jest twardy”, „Naciska mi stópkami na pęcherz” albo „Nie dam rady włożyć tych butów”. Dzień mijał po dniu, miesiąc po miesiącu. Każdy dzień zbliżał nas do wielu nieprzespanych nocy. Każdego ranka czułyśmy, że tracimy wolność i rozum. Miałyśmy świadomość, że nieuchronnie zbliżamy się do odpowiedzialności, która przerasta nasze możliwości i nigdy się nie skończy. Jednak świadomość ta rzadko bywała

uciażliwa. Znacznie częściej odczuwałam nadzieję i nieopisaną radość na myśl o tym, co się wydarzy. Roztaczałam wokół siebie aurę, jaką zwykle emanują kobiety w ciąży.

Te miesiące były niczym rozmazane, niewyraźne plamy. Uczyłyśmy się, uczyłyśmy studentów, pisałyśmy i czytałyśmy. W ramach zajęć praktycznych oglądałyśmy *Ulicę Sezamkową*, *Kajtusia* i *Reading Rainbow*. Mówiąc o dziecku, używałyśmy imienia Kajtuś, bo uznałyśmy, że jest ono — podobnie jak bohater kreskówki — dość dwuznaczne, jeśli chodzi o płeć. Jill mówiła: „Kajtuś nie może sobie znaleźć miejsca” albo „Przez Kajtusia nie spałam całą noc”. Jeśli zjadła coś ohydneho, mówiła: „Kajtusiowi nie smakował łosoś” albo „Moim zdaniem ta sałatka Cezara była dobra, ale Kajtuś jest innego zdania”. W rzeczywistości brałyśmy pod uwagę następujące imiona: Anna, Dana, Megan, Greta, Rosalind, Morgan, Cora, Hope, Lanae. Gdyby na świat przyszedł chłopczyk, wahałyśmy się między Willem, Pierre'em, Oliverem, Dashiellem, Casperem, Natem i Alexandrem. The Yankees zdobyli tytuł mistrza. Katie spotykała się z dwoma facetami o imieniu Adam, a oprócz tego z Davidem, Donem i Jeffreyem. Żaden z nich nie był tym jedynym. Kupiłyśmy fotelik samochodowy dla dziecka. Gotowałam ogromne ilości zbilansowanego jedzenia, chcąc dostarczyć Jill protein, witamin i wpoić jej dobre nawyki żywieniowe. Daniel nie zadzwonił. Mniej więcej tydzień przed Świętem Dziękczynienia zasyłyśmy się każda w swoim pokoju i zaczęłyśmy przygotowywać się do egzaminów ustnych, wybierając stu pisarzy z czterech różnych epok i czytając ich dzieła. Przez kolejne pięć tygodni nie robiłyśmy prawie nic poza uczeniem się. Doszło do tego, że brałyśmy prysznic raz na trzy dni. Przez pięć tygodni, gdy nie byłyśmy na uczelni, snułyśmy się po domu w dresach i czytałyśmy. Czytałyśmy podczas gotowania i wyprowadzania psa. Jedna z nas czytała na głos przy śniadaniu, tak by dwie pozostałe mogły choć chwilę odpocząć. Wiedza była bezużyteczna i ulotna, a przyswajanie jej okazało się jeszcze gorsze. Siedzenie męczyło Jill, tak więc czytała głównie na sofie, z nogami na kanapie. Egzamin ustne oznaczały dziewięćdziesiąt minut spędzone przed czteroosobową komisją i odbywały się na koniec semestru, tuż po zakończeniu zajęć. Mój odbył się dwudziestego pierwszego grudnia o dziewiątej rano. Egzamin Katie rozpoczął się w południe. Jill weszła na salę o piętnastej. Wyszła o szesnastej trzydzieści. O szesnastej trzydzieści jeden zaczęła rodzić.

## Rozdział 12

Byłam w domu i gotowałam kolację. Otworzyłam wszystkie okna, chociaż na dworze było zimno i padał deszcz, i próbowałam przewietrzyć dom. Nie wiem, czy panował w nim zaduch i nieprzyjemny zapach — czego nie można było wykluczyć, skoro przez ostatnie tygodnie kąpałyśmy się co trzy dni, na wszystkich krzesłach walały się sterty brudnych ubrań, w zlewie moczyły się niepozmywane naczynia, a śmieci niemal wysypywały się z kosza — czy może po prostu chciałam pozbyć się stresu, niepokoju i nerwowej atmosfery związanej z egzaminem. Włączyłam muzykę, podkręciłam ogrzewanie i ciesząc się wolnością, poświęciłam całą swoją uwagę zawartości piekarnika i rozgrzanej płyty kuchennej. W ciągu ostatnich tygodni zrezygnowałyśmy z kupowania prasy i skupiłyśmy się wyłącznie na czytaniu materiałów do egzaminów. Teraz sama myśl o tym, że mogłabym coś przeczytać, napawała mnie obrzydzeniem (jestem pewna, że taki właśnie cel przyświecał twórcom studiów doktoranckich).

Zadzwoiłam do rodziców, by powiedzieć im, że zdałam. Rozmawiałam z babcią. Zadzwoniłam też do Nica, mojego chłopaka z college'u. Jill nie podobało się, że go tak nazywam — „Zupełnie jakbyś nadal z nim była w jakimś alternatywnym wszechświecie” — ale tak właśnie o sobie myśleliśmy. Nico nie czuł się jak ktoś, z kim zerwałam i kto powinien być na mnie zły; raczej postrzegał się jako faceta, który obecnie nie jest moim chłopakiem. „Kto wie — odpowiadałam — może w alternatywnym wszechświecie nadal jesteśmy razem”. Zadzwoniłam, by powiedzieć mu, że zdałam egzamin, ale przede wszystkim dlatego, że nagle bardzo za nim zatęskniłam i miałam ochotę porozmawiać o czymś innym — nie o książkach i dzieciach — z kimś, kto wiedział, że dawno temu — przed książkami i dzieckiem — byłam osobą mającą swoje życie, osobowość i lubiącą rozmawiać na ciekawe tematy.

— Jak tam twoje życie uczuciowe? — spytał Nico.

No cóż, trudno nazwać to życiem.

— Nie istnieje. — Naturalnie Nico był w irytująco stałym, szczęśliwym związku. Z Caroline. — Ale to nic. Nie nudzi mi się.

— Ale byłoby miło — odparł Nico.

— Tak, byłoby miło — przyznałam.

Poznaliśmy się pierwszego wieczoru w college'u, na imprezie dla tych, którzy nikogo nie znali albo nie mieli nic innego do roboty. Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Przedmiotem kierunkowym Nica była psychologia i wiedział, że po college'u pójdzie na studia magisterskie i będzie pracował w opiece społecznej. Nigdy nie zmienił przedmiotu kierunkowego ani swoich planów, dostał się na wymarzone studia, ukończył je o jeden semestr wcześniej, dostał pracę, o której marzył, odkąd ukończył cztery lata, kupił bajeczne mieszkanie w centrum Vancouver, z widokiem na park, i ogólnie mówiąc, prowadził idealne życie. W ciągu pierwszego tygodnia w college'u Nico czuł się trochę zestresowany i przytłoczony. Miał wrażenie, że ciągle brakuje mu czasu, obliczył jednak, że w tygodniu jest sto sześćdziesiąt osiem godzin, i uznał, że to wystarczy, by zrobić wszystko, na co ma ochotę. Tak więc w niedzielne wieczory sporządzał grafik. Dwanaście godzin tygodniowo na zajęcia, osiem godzin dziennie na sen, trzydzieści godzin na prace domowe, pięć na piłkę nożną, czternaście na jedzenie, piętnaście na spotkania towarzyskie, dwie na spotkania w kółku psychologicznym, cztery na chór i tak dalej. Obliczał, przez ile godzin chce siedzieć na łóżku, gadając o pierdołach ze swoim współlokatorem (cztery w tygodniu), ile czasu chce przeznaczyć na rozmowy z rodziną przez telefon (godzinę), jak długo planuje siedzieć ze mną w bibliotece (początkowo były to dwie godziny, potem znacznie dłużej, gdy zaczęliśmy się obściskować między regałami). Co tydzień zostawały mu wolne godziny.

Taką właśnie osobą jest Nico.

W pierwszym tygodniu próbowałam zaplanować z nim swoje sto sześćdziesiąt osiem godzin, ale nie potrafiłam trzymać się grafiku. Źle wyliczyłam czas, który spędzałam na spotkaniu zrzeczenia studentów, na podejmowaniu decyzji, czy wolę jogurt truskawkowy, czy może truskawkowo-bananowy (godzina w tygodniu), nie uwzględniłam czasu spędzonego w łóżku, przy biurku, w bibliotece, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, okularami do czytania na nosie, ołówkiem w dłoni i nieprzeczytaną książką na kolanach (może pięć godzin tygodniowo), i czasu, kiedy czułam się winna z powodu tego, że nie trzymam grafiku (mnóstwo godzin). Niemal natychmiast porzuciłam ten pomysł. Nie byliśmy do siebie podobni, za to tworzyliśmy idealną parę przyjaciół.

Taki stan rzeczy utrzymywał się mniej więcej przez półtora semestru. Gratulowaliśmy sobie dojrzałości, która objawiała się tym, że potrafimy przyjaźnić się z przedstawicielem płci przeciwnej. Krzywiliśmy się z pogardą na brak wyobraźni, który cechował naszych przyjaciół, i na ich ciągle insynuacje. Chichotaliśmy, słysząc, że to tylko kwestia czasu, że prędzej czy później pójdziemy do łóżka, upijemy się i tak po prostu zrzucimy ubrania. No i pewnego dnia stało się. Siedzieliśmy na plaży, oparci o pień drzewa i tuląc się do siebie, patrzyliśmy, jak słońce zachodzi za zatoką. Tak, wiem — scena rodem z melodramatu. W jednej chwili po prostu siedzieliśmy, a chwilę później całowaliśmy się jak szaleni. To było słodkie. Błogostan, który nas ogarnął, sprawił, że zapomnieliśmy o wszystkich „wiedziałam” i „mówiłam ci”. Co więcej, utrzymywał się do końca college’u. To właśnie mam na myśli, mówiąc o moim „chłopaku z college’u”; od początku do końca byłam tylko ja i Nico.

Był to bardzo intensywny związek. Mieszkaliśmy blisko siebie; dzielił nas co najwyżej dwuminutowy spacer. Spędzaliśmy z sobą większość wieczorów, jadaliśmy razem prawie wszystkie posiłki, razem chodziliśmy na uczelnię i wracaliśmy do domu, widywaliśmy się na przerwach i po zajęciach. Mieliśmy tych samych przyjaciół, chodziliśmy na te same imprezy i bywaliśmy w tych samych miejscach. Nie było to aż tak upiorne, jak mogłoby się wydawać; oprócz tego spotykaliśmy się z mnóstwem innych ludzi i mieliśmy wielu przyjaciół. Ale taki właśnie jest college — mieliśmy niewiele obowiązków, niezbyt dużo zadań domowych, zamknięty krąg przyjaciół, mieszkaliśmy w sąsiednich akademikach i spaliśmy tyle, ile śpią przeciętni dziewiętnastolatki. Widzieliśmy się niemal bez przerwy. Tym gorzej potem znosiliśmy rozłąkę i dzielące nas niemal pięć tysięcy kilometrów. Rozmowy telefoniczne, fakt, że nie widzieliśmy się miesiącami, i to, że nagle nasz związek zaczął się opierać wyłącznie na słowach i wspomnieniach, wcale nam nie pomagało. Nie nauczyliśmy się żyć na odległość. Próbowaliśmy, ale nie potrafiliśmy. Jednak byliśmy z sobą wystarczająco długo, by móc powiedzieć sobie, że zawsze będziemy przyjaciółmi, i dotrzymać słowa. Mimo to czasami zastanawiałam się, jak by to było, gdybyśmy nadal byli razem. Zdarzały się chwile, że tęskniłam za nim tak bardzo, że czułam, jakby coś ścisnęło mnie w żołądku i chwyciło za gardło. No i muszę przyznać, że szczerze nienawidziłam Caroline.

— Trudno dziś kogoś spotkać — przyznał współczująco. — Caro i ja też nie możemy nikogo poznać.

Czyżby uprawiali wolny seks? To była nowość.

— Co masz na myśli? — spytałam.

— Potrzebujemy przyjaciół — odparł Nico dziwnie tęsknym głosem. — Miło byłoby zaprosić kogoś na kolację, wpaść do kogoś z wizytą albo wyskoczyć z kimś do kina. Człowiek, który się z kimś spotyka, nie czuje się taki... wyizolowany. Ale na razie jakoś się nam nie udało nikogo poznać.

— Masz mnóstwo przyjaciół, Nico. — Nie mówiąc o tym, że wszyscy go uwielbiali.

— Tak, ale nie ma ich tutaj. Ty mieszkasz trzy godziny lotu stąd i wiecznie się uczysz. Ludzie, z którymi pracujemy, są starzy.

— Może powinniście zamieścić w sieci drobne ogłoszenie — zasugerowałam ochoczo, bo Nico często mi to powtarzał, choć sam pewnie nigdy by tego nie zrobił.

— Tak, jasne, zwłaszcza że ogłoszenie typu „Miła młoda para chętnie pozna inną młodą parę, z którą będzie mogła się pośmiać i nieźle zabawić” na pewno nie przyciągnie dziwaków i zбочzeńców. Poza tym nie chcemy robić niczego na siłę. Wolimy, żeby to się po prostu stało.

— Tak mówicie wy i każda samotna osoba na tej planecie — powiedziałam. — To samo mówią moi studenci na temat szukania drugiej połówki. I dokładnie to samo mówię ja.

— Tak, ale ty masz szczęście — odparł. — Masz tylu przyjaciół. Możecie robić razem różne rzeczy. Masz więcej przyjaciół niż wolnego czasu, który mogłabyś z nimi spędzić, i wszyscy mieszkają w pobliżu. Nietrudno znaleźć miłość: to przeznaczenie, wystarczy usiąść i zaczekać na to, co się stanie. Ale kiedy to nastąpi, człowiek uświadamia sobie, że znalazł kogoś na całe życie. Ty decydujesz o reszcie, ponieważ w kwestii życia towarzyskiego przeznaczenie nie ma nic do gadania.

Czy miał na myśli Caroline? Chciał dać mi do zrozumienia, że to właśnie ona jest jego przeznaczeniem? A może chodziło mu o mnie? Zastanawiałam się nad tym, kiedy usłyszałam sygnał oczekującego połączenia.

Przełączyłam rozmowę, a po chwili znów wróciłam do niego.

— Boże, Nico — jęknęłam. — Zaczęło się. Jill rodzi. Muszę lecieć. Cholera. Mam włączony piekarnik i jestem w trakcie gotowania.

— Wyłącz piekarnik i zmykaj — rzucił podekscytowany. — Zadzwoń, jak będzie po wszystkim.

— Dobrze. Kocham cię. — Miałam się rozłączyć, ale coś mnie tknęło. — Nico? Jeśli chodzi o przyjaciół, to więcej z nimi zachodu, niż ci się wydaje.

— To tak jak z dziewczynami. Też cię kocham. Cześć.

\* \* \*

Pewnie myślicie, że w drodze do szpitala rozmyślałam nad naturą miłości, związków i oczekiwań, dziękowałam Bogu za to, że postawił na mojej drodze tak cudownych ludzi, podawałam w wątpliwość sens poszukiwania partnera i instytucję małżeństwa, ale się mylicie. Myślałam sobie: jasna cholera. Nic więcej nie przychodziło mi do głowy. Za każdym razem, gdy nabierałam głęboko powietrza, starałam się oczyścić umysł, skupić na piosence w radiu, egzaminach. Kiedy myślałam o tym, czy na pewno wyłączyłam piekarnik, i przypominałam sobie, że wychodząc z domu nie zamknęłam wszystkich okien (wręcz idealnie dla dzieci urodzonych w grudniu), nieustannie wracałam do tej jednej jedynej myśli: jasna cholera. Jasna cholera, cholera, cholera.

## Rozdział 13

Utknęłam w korku. Wrzeszczałam i przeklinałam. Szpital był zaledwie osiem kilometrów od naszego domu, a ja odchodziłam od zmysłów. A jeśli nie zdążę? Jeśli przyjadę za późno i dziecko przyjdzie już na świat, urodzi się i będzie małym człowieczkiem? A jeśli Jill uzna, że opuściłam ją w chwili, gdy potrzebowała mnie najbardziej? Można by pomyśleć, że ludzie w Seattle potrafią prowadzić w deszczu. Nic bardziej mylnego. To jedna z najgłupszych życiowych zagadek. Kiedy wreszcie dostałam do szpitala i w końcu znalazłam pokój Jill, odkryłam, że nic, ale to nic się nie dzieje. Jill leżała na łóżku w dżinsach i bluzie. Obok niej, na krześle, siedziała Katie w swoim „stroju geniusza”, który kupiła specjalnie na egzaminy ustne. Rozmawiała o sesji. Nie mogłam w to uwierzyć.

— Pytali cię o Elizabeth Barrett Browning? — mówiła Katie. — Mnie pytali. Kto w ogóle ją czyta?

— Nie, ale pytali mnie o Julię Krystewą — odparła Jill. — I jestem pewna, że żadne z nich nigdy jej nie czytało. Ci ludzie mają jakieś urojenia.

— Mnie pytali o Davida Mameta i jedyne, co pamiętałam, to ten koszmarny film, który wypożyczyłyśmy. Ten ze złotem i bronią, gdzie każdy próbował wywieść w pole pozostałych. Jakbym musiała robić doktorat, żeby go zobaczyć.

— Nie wierzę, że rozmawiacie o egzaminach — rzuciłam po wejściu do pokoju. Poczułam ulgę, widząc, że nic mnie nie ominęło, i niepokój, że jestem jedyną osobą, która zdaje sobie sprawę, że prawidłowa reakcja na to wszystko, co działo się dookoła, zamykała się w dwóch krótkich słowach „jasna cholera”. — Jest już po egzaminach. Kto by się nimi przejmował? Ty rodzisz! A tak przy okazji, zdałaś? — spytałam Jill.

Pokiwała głową i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, jednak rozmyśliła się i zamiast tego uniosła palec.

— Chwileczkę. — Skrzywiła się, a jej ciało naprężyło się niczym struna. Wstrzymałam oddech. Katie wyglądała na znudzoną. Zaraz potem Jill się rozluźniła. — O co pytałaś? A tak, zdałam. Ale zadawali mi naprawdę głupie pytania. Pytali cię o Krystewą?

— Czy to już? Masz skurcze? — Mało brakowało, a zaczęłabym krzyczeć.

— Myślę, że prawdziwe skurcze dopiero się zaczną — odparła leniwie Jill. — Ale tak, mam skurcze. Chociaż, jak dotąd, wcale nie jest źle.

— Nikt się tym nie przejmuje — zauważyła Katie. — Nawet nie kazali się jej przebrać. Powiedzieli, że przedwczesny poród może trwać godzinami, ale chcą, żebyśmy zostały, bo Jill odeszły już wody. Wspomnieli coś o infekcji i kazali nam się zdrzemnąć. Od czterdziestu pięciu minut nikt do nas nie zajrzał.

— Więc psiochymy na egzaminy — wyjaśniła Jill.

Cisza.

— A co u ciebie? — spytała radośnie Katie.

— Odchodzę od zmysłów! — wrzasnęłam i zaczęłam krążyć po pokoju. — Dlaczego jesteś taka spokojna? Czy to boli? — spytałam Jill, po czym, nie czekając na odpowiedź, zwróciłam się do Katie: — Czy to ją boli? — Nic ci nie jest? Boisz się? Przynieść ci coś? Dzwoniłaś do mamy? Jesteś głodna? Powinnaś coś jeść? Co teraz będzie? Cholera — zakończyłam. Nikt nawet nie próbował udzielić mi odpowiedzi.

— Po prostu czekamy — wyjaśniła spokojnie Jill.

— Macie ochotę pooglądać telewizję? — zaproponowała Katie.

Patrzyłam to na jedną, to na drugą, jakby były szalone. Zerknęłam na korytarz, na próżno

wyglądając sztabu pielęgniarek i lekarzy, którzy, moim zdaniem, powinni tam być. Szukałam w pamięci odpowiedzi na pytanie, co powinnyśmy robić?, bo byłam całkiem pewna, że nie chodziło o oglądanie telewizji. Nic jednak nie znalazłam.

— Myślę, że zasłużyłyśmy na chwilę przez telewizorem — odparła Jill.

Na czas egzaminów rezygnowałyśmy ze wszystkiego, również z oglądania telewizji. Tak więc usiadłyśmy i oglądałyśmy powtórki *Przyjaciół*, mniej więcej co pięć minut zerkając na skrzywioną twarz Jill. Czekaliśmy. Czekaliśmy przez cztery odcinki *Przyjaciół*, dwa odcinki *Simpsonów* i dwa niezwykle kiepskie programy typu reality show, w czasie których Katie tłumaczyła:

— Dobra, więc to jest Sophie. To taka podła laska z New Jersey. Kiedyś była blondynką, ale Rob powiedział, że podobają mu się rude, więc się przefarbowała. Jest fryzjerką i początkującą modelką. Ale on i tak jej nie wybierze.

Obejrzałyśmy po jednym odcinku *Prawa i porządku*, jakiegoś tam *CSI*, *Prezydenckiego pokera* i jeszcze jeden odcinek *Prawa i porządku*. Skurcze Jill były coraz częstsze, ale poza tym nic się nie działo. Od czasu do czasu zaglądały do nas pielęgniarki, które oferowały niezbyt przekonujące słowa pokrzepienia. Coś w stylu „Świetnie sobie radzisz” czy „Tak trzymaj”.

— Jakbym miała wstać i iść do domu — wściekała się Jill. — Właśnie postanowiłam, że jeszcze nie urodzę. Dzięki. Może spróbuję znowu za kilka tygodni. — Zrobiła się drażliwa. To zrozumiałe. Tymczasem Katie i ja zaczynałyśmy się nudzić, a siedzenie w małym szpitalnym pokoju sprawiło, że czułyśmy się zmęczone. Marzyłam o swoim łóżku, powrocie do domu i zamknięciu okien, wyrzuceniu jedzenia, posprzątaniu i spokojnej przespanej nocy. W ciągu ostatnich tygodni niemal zapomniałam, co to sen. Bałam się, że kiedy dziecko przyjdzie na świat, już nigdy nie zmruję oka. Tym bardziej chciałam przespać tę noc we własnym łóżku. Zresztą Jill, drzemiąc na szpitalnym łóżku, nie potrzebowała naszego wsparcia. Sytuacja zmieniła się od nerwowego „jasna cholera” do nudnej prozy życia przypominającej czekanie na coś, co nigdy się nie wydarzy. Katie i ja rzucaliśmy monetą, żeby ustalić, która z nas pójdzie do domu, a która zostanie w szpitalu. Ja wygrałam.

Dotknęłam czoła Jill. Otworzyła oczy i spojrzała na mnie sennym wzrokiem.

— Chyba pójdę do domu i trochę się prześpię. Gdyby coś się zmieniło, jestem dziesięć minut drogi stąd.

— Wychodzisz? — Spanikowana uniosła się na łokciach. Wyglądała na zdesperowaną, jakby rozpaczliwie chciała wrócić ze mną do domu.

— Nic się nie dzieje — odparłam. — Pomyślałam, że pójdę do domu, posprzątam trochę i wrócę później.

— Nie zostawiaj mnie tu — szepnęła. — Proszę... Ja też nie chcę tu zostać i czekać, ale nie mogę wrócić do domu.

Katie zerknęła na mnie i przewróciła oczami, ale obie zostałyśmy. Ona położyła się na łóżku obok Jill, ja skuliłam się na dwóch składanych krzesłach. Żadna z nas nie spała. Był to dobry wstęp do tego, co czekało nas w przyszłości. Około czwartej nad ranem Jill miała skurcze średnio co trzy minuty i w zasadzie nie zmrzyła oka. Kiedy o czwartej czterdzieści pięć pielęgniarka weszła do pokoju, Jill miała rozwarcie na osiem centymetrów. O wpół do szóstej lekarze uznali, że czas, aby zaczęła przeć.

\* \* \*

Znacie tę część. Może same rodziłyście albo byłyście przy porodzie. A jeśli nie, widziałyście go, tak jak ja, w telewizji. Zwykle rzeczywistość nijak się ma do tego, co pokazują w telewizji, ale w tym przypadku było dokładnie tak samo. Jill jęczała i wrzeszczała, pociła się

i płakała, ścisnęła mnie za rękę, ścisnęła za rękę Katie, marudziła, że jest spragniona, obolała i zmęczona. Była niezwykle dzielna. Była piękna, a zarazem wyglądała okropnie. Dziecko wychodziło powoli, lepkie, czerwone, pokryte białą grudkową wydzieliną. Było dokładnie tak, jak to sobie wyobrażacie.

Historia, o której nie wspominają w telewizji, dotyczy osób towarzyszących rodzącej kobiecie. Wszystko dlatego, że jest ona równie przerażająca, ale znacznie mniej chwalebna. Byłam przerażona. Zamartwiałam się przez całą noc, aż do świtu, ale kiedy w końcu się zaczęło, gdy zaparłyśmy się o nią i przytrzymałyśmy jej kolana, kiedy w pokoju pojawili się lekarze i pielęgniarki ze wszystkimi lampami, narzędziami i aparaturą potrzebną, gdyby „coś jednak poszło nie tak”, bałam się jak nigdy dotąd. Nie byłam podekscytowana. Nie czułam podziwu. Byłam najzwyczajniej w świecie przerażona. Serce waliło mi tak szybko i mocno, że nie mogłam zebrać myśli i ciężko mi było utrzymać się na nogach. Bałam się tak bardzo, że brakowało mi słów, a przecież zawsze mam coś do powiedzenia. Jill ścisnęła moją rękę, a ja odwdzięczałam się jej tym samym. Dziecko przyszło na świat i płakało; Jill leżała na łóżku i płakała; ja stałam obok, trzymając ją za rękę, i szlochałam — nie dlatego, że wydarzył się cud, nie dlatego, że poczułam ulgę, ale dlatego, że nadal czułam ten sam porażający lęk. Nie potrafię tego wytłumaczyć, a może po prostu nie chcę. Nie chcę wiedzieć, co tak bardzo mnie przeraziło ani dlaczego. Mam rodzinę, którą muszę się opiekować.

Gdzieś daleko, daleko stąd, jak przez mgłę widziałam uśmiechniętych ludzi.

— To chłopiec — oznajmił lekarz.

— Trochę to wyświechtane — parsknęłam, czując, jak wali mi serce.

— To chłopiec, chłopiec! — piszczała Katie, tanecznym krokiem krążąc po pokoju i krzycząc do mnie, jakbym jej nie słyszała. Choć praktycznie jej nie słyszałam.

Jill trzymała dziecko na piersi, nie tyle tuląc je, co przyciskając do siebie. Uniosła głowę, jakby chciała uchronić je przed ześlizgnięciem się.

— To chłopiec, to chłopiec! — krzyczała Katie.

— To chłopiec, chłopiec — szepnęła Jill rozmarzonym głosem. Kiedy wróciłam z odległego miejsca wprost do szpitalnego pokoju, pierwsza spójna myśl, jaka przyszła mi do głowy, brzmiała: jasna cholera. Tuż po niej pojawiła się kolejna: co my zrobimy z chłopcem?

\* \* \*

Zadzwończyłyśmy do mamy Jill, Diane, tuż przed tym, zanim jej córka zaczęła przeć. Jill chciała oszczędzić matce długich godzin — a może nawet dni — siedzenia i czekania. Ona i Diane były sobie bardzo bliskie, do tego stopnia, że bywały dni, kiedy miały ochotę się pozabijać. Ojciec Jill wyprowadził się z domu, zanim nauczyła się chodzić, tak więc jej wspomnienia o nim ograniczały się do mglistych wrażeń. Diane nie wiedziała, co dobrego mogłaby powiedzieć córce o jej ojcu, tak więc w ogóle nic nie mówiła. Miały tylko siebie, dopóki Jill nie wyjechała do college'u. Podziwiała matkę i cieszyła się, gdy Diane wracała wieczorami do domu. Została tak wychowana i postrzegała to jako coś normalnego. Jako dziecko żyła w przekonaniu, że rodziny jej przyjaciół są dziwne, zbyt duże, zbyt obecne, ściśnięte w zatłoczonych domach ze zbyt wieloma pokojami i ludźmi. Później, gdy poszła do college'u, rozpoczęła studia na kierunku badającym różnice kulturowe wynikające z odmienności płci i poznała problemy samotnych rodziców oraz niesprawiedliwość systemu prawnego, doznała swoistego objawienia. Widziała siebie i swoją mamę, ale obraz ten był niewyraźny, niczym odbicie w zamglonym lustrze ukrytym za zwiewną tkaniną. Statystyki nigdy nie oddają stanu faktycznego. Zawsze znajdzie się ktoś, kogo historia jest gorsza od naszej. Mimo to Jill czuła się winna, wiedząc, że jej mama ciężko pracowała i walczyła, że tak wiele poświęciła, podczas gdy



jej córka, początkująca feministka, w ogóle tego nie zauważała. Kiedy pod koniec pierwszego roku zapłakana zadzwoniła do Diane, żeby przeprosić ją za to, iż przez cały ten czas uważała jej starania za rzecz oczywistą, matka wysłuchała w milczeniu i spytała z niedowierzaniem:

— Chcesz powiedzieć, że nie zauważyłaś? Przez te wszystkie lata?

— Nie — szepnęła zawstydzona Jill. Nigdy w życiu nie było jej tak przykro.

— Tych wszystkich rzeczy, bez których musiałyśmy się obejść? Tego, że wszystko musiałyśmy robić same? Jak ciężko musiałam pracować? Jak bardzo było nam trudno? Przez cały ten czas w ogóle o tym nie myślałaś? — spytała Diane.

— Nie myślałam, mamó. Przepraszam. Nie wiedziałam. — Jill szlochała do słuchawki.

Zapadła cisza, aż w końcu Diane nie wytrzymała.

— Dzięki Bogu! — krzyknęła.

Jill nie wiedziała, co powiedzieć. Później, kiedy doszła do siebie, jej matka dodała:

— Nie martwiłam się tym, bez czego musiałam sobie radzić. Komu potrzebne nowe ubrania, kiedy w domu czeka na niego tak śliczna córeczka. Ale martwiłam się, że możesz czuć się głodna, samotna albo smutna, widząc, co mają inne dziewczynki, a czego ty nie mogłaś mieć. Kiedy powiedziałaś, że nie zauważyłaś... Cholera, to było najlepsze, co mogłam usłyszeć.

Jill wiedziała jednak, że w tej historii chodziło o coś więcej. Matka musiała zrezygnować z własnych marzeń; nie poszła do college'u i odkładała pieniądze, by w przyszłości jej córka mogła studiować. Jill tym bardziej musiała udowodnić, że było warto — dwa kierunki główne, dwa dodatkowe i nic nie wskazywało, że w najbliższym czasie pożegna się z uczelnią. Kiedy skończyła college, zdecydowała, że nie pójdzie na uroczystość wręczenia dyplomów. Uznała, że togi i birety są brzydkie i ekstrawaganckie, a cała ceremonia jest pozbawiona sensu. Powiedziała matce, że spędzi ten weekend ze znajomymi, a później spakuje się i wróci do domu. Mogły świętować w spokoju, tylko we dwie. Diane potrzebowała czasu, żeby to zrozumieć.

— Chcesz powiedzieć, że nie idziesz na ceremonię wręczenia dyplomów? — spytała w końcu.

— Tak — odparła Jill. — To głupie i bez znaczenia.

— Nawet o tym nie myśl — odparła ze spokojem Diane. — Ten dyplom to wyłącznie twoja zasługa. Pójdziemy na ceremonię. Obie.

Pamiątkowe zdjęcia, które zrobiono tamtego dnia, do dziś stoją na stoliku nocnym obok łóżka Jill. Są na nich obie, szczęśliwe tulą się do siebie: Jill w todze absolwentki i Diane w birecie córki, ściskająca w dłoni dyplom ukończenia college'u. Diane uśmiecha się do obiektywu, ale wygląda jak żołnierz, który powrócił z wojny — cierpiący na nerwicę frontową, przerażony okrucieństwami, których był świadkiem, ale dumny z tego, czego dokonał i co zdołał ocalić.

Jill i Diane były wyczulone na punkcie statystyk, z których wynikało, że dzieci wychowane w niepełnych rodzinach znacznie częściej kończą jako samotni rodzice niż dzieci z rodzin pełnych. Kiedy Jill ukończyła szkołę średnią i college i nie została matką, Diane odetchnęła z ulgą po raz pierwszy od czasu, gdy córka zaczęła miesiączkować. Wychowała silną, dumną, mądrą młodą kobietę, która szła przez życie bez szwanku. Przypuszczała, że od tej pory dzieci, które przyjdą na świat, będą chciane i planowane. Kiedy rzeczywistość okazała się inna i Diane poznała nasz plan, była bardziej niż my przekonana o tym, że to może się udać. Nie zamierzałyśmy zrujnować sobie życia; wspólnymi siłami podołamy zadaniu. W końcu trzy to zawsze więcej niż dwa.

\* \* \*

Wyszłam z sali, żeby opłukać twarz, i przy gabinecie pielęgniarek wpadłam na Diane.

Odwróciła się i przytuliła mnie tak serdecznie, jakby spotkanie ze mną było najlepszą rzeczą, jaka mogła się jej przydarzyć.

— Jak się masz, skarbie? — spytała. — Jesteś blada.

— Nic mi nie jest — odparłam drżącym głosem, zastanawiając się, czy powinnam jej powiedzieć, czy może powinna zobaczyć na własne oczy. Ona jednak wiedziała.

— Spóźniłam się, tak? — Przyjrzała się mi i najwyraźniej uznała, że jestem blada nie dlatego, że coś jest nie tak, ale dlatego, że z natury jestem delikatna. Utwierdziwszy się w swoim przekonaniu, nie zadawała następnych pytań i postanowiła przekonać się na własne oczy.

— Prawie zdążyłaś — zapewniłam ją. — Zresztą nie ominęło cię nic dobrego.

— Niezbyt przyjemny widok, co? — spytała bezceremonialnie. Ścisnęła mnie za ramię i pozwoliła zaprowadzić się do pokoju córki. — Pamiętam. To nic przyjemnego — dodała ze śmiechem. — Dlatego lepiej rodzic bez obecności bliskich. Wtedy nikt nie musi patrzeć.

— Zobacz, kogo znalazłam — powiedziałam, kiedy weszliśmy do sali. Podczas mojej nieobecności wydarzył się cud. Horda lekarzy i pielęgniarek zniknęła i została zastąpiona jedną schludną, sympatyczną kobietą w zwykłym ubraniu. Metalowe narzędzia, pikające monitory i sprzęt przyniesiony „na wypadek gdyby coś poszło nie tak”, zostały wyniesione, a na ich miejscu pojawiło się małe wiklinowe łóżeczko. Krew, biała grudkowata maź, wszystko zniknęło. Prześcieradła upstrzone brązowymi, żółtymi i czerwonymi plamami były teraz białe, czyste i świeże. Jaskrawe światła zostały wyłączone, rolety podniesione, a przez uchylone okna wpadało do pokoju świeże powietrze i coś, co w grudniu w Pacific Northwest uchodzi za promienie słońca. Na miejscu krzyczącej wniebogłosy spoconej i obolałej Jill pojawiła się spokojna Jill ubrana w zieloną koszulę nocną (Bóg jeden wie, skąd ją wytrzasnęła; z całą pewnością nie należała do niej), tuląca do piersi maleńką istotkę o dużych niebieskich oczach, suchą, czystą i ubraną w nowe mięciutkie ubranka. Katie robiła zdjęcia. Jill, z wypiekami na twarzy, w ogóle nie zwracała uwagi na to, co się dzieje dookoła, i witała promiennym uśmiechem czekający na nią, zupełnie nowy świat. Stałam jak wryta w drzwiach i pomyślałam o wszystkich obrazach przedstawiających Madonnę z Dzieciątkiem Jezus. O gołębiach, skowronkach, kościelnych chórach i benedyktynach, szczeniaczkach, wiośnie i własnym złamanym sercu. Pomyślałam: po co komu chrzest, skoro to dzieje się tu i teraz? Pomyślałam też, że cud narodzin to nic w porównaniu z tym, który wydarzył się, kiedy byłam w szpitalnym holu.

Diane natychmiast usiadła na łóżku i obie z Jill zalały się łzami.

— Moje maleństwa — szeptała do ucha córki. — Moje śliczne, urocze maleństwa.

Katie zrobiła kolejne czterdzieści zdjęć, po czym spojrzała na mnie i bez słowa wyszliśmy z pokoju. Byliśmy przekonane, że tak właśnie należy zrobić. Poza tym nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo jestem głodna.

— To było niesamowite — zachwycała się Katie.

— To było obrzydliwe — odparłam.

Zeszliśmy na dół do bufetu, usiadliśmy pod brzęczącymi fluorescencyjnymi światłami, gdzie popijałyśmy kakao i jadłyśmy na śniadanie (obiad albo kolację; cokolwiek normalni ludzie jedzą o tej porze) twarde jak kamień babeczki. Byliśmy równie zmęczone i oszołomione, jak otaczający nas ludzie, z tą różnicą, że większość z nich była tu przez wzgląd na swoich bliskich — chorych lub umierających — i od tygodnia stołując się w szpitalnym bufecie, z trudem przełykała oleistą letnią zupę okraszoną złymi wiadomościami i rozpaczą. Jadłyśmy w pośpiechu, szeptem podziękowałyśmy za posiłek i wróciłyśmy na górę, by powitać nowy dzień i nasze maleństwo.

Idąc korytarzem, zauważyłyśmy Diane siedzącą na krześle przed pokojem Jill.

— Wykopali mnie, żeby porozmawiać z nią o karmieniu piersią. Kiedy ja rodziłam, nikt

niczego mi nie tłumaczył, a już na pewno nikt nie dotykał moich piersi i nie pomagał mi karmić. — Z wdzięcznością przyjęła kawę i babeczkę, którą dla niej kupiliśmy. — A jak wy się trzymacie? — spytała.

— Cudownie — zaszczębiotała Katie, upojona szczęściem, adrenaliną albo Bóg wie czym jeszcze. — Za to Janey świruje. — Nie miałam pojęcia, że zauważyła. — Ale to takie niesamowite.

— Mam wnuka — powiedziała Diane, jakby wygłaszała swoją kwestię na scenie. Ona również wyglądała, jakby zaczynała świrować. — Co zrobimy z chłopcem?

— Zadałam dokładnie to samo pytanie. — Mówiąc to, pokiwałam głową.

— Nie wiem nic na temat chłopców — ciągnęła Diane.

— Są tacy sami jak dziewczynki — odparła Katie. Miała czterech braci i trzy siostry, więc powinna stanowić dobre źródło informacji, jednak Diane i ja żywiłyśmy co do tego pewne wątpliwości.

— A jeśli wyrosnie na jednego z tych ograniczonych facetów, którzy myślą wyłącznie o damskich piersiach? — zastanawiała się na głos Diane.

— A jeśli będzie męskim szowinistą? — dodałam. — I przestanie się z nami liczyć?

— Jeśli uzna, że jest lepszy, bo ma penisa? — ciągnęła Diane.

— I jeśli będzie myślał penisem? — dorzuciłam.

— Jak się w ogóle myje penisa? — rzuciła Diane, ku uciesze wszystkich tych, którzy kręcili się po korytarzu. — A jeśli wychowacie najbardziej zniewieściałego chłopca na świecie? — dodała.

Słyszając to, zamilkłyśmy. Zastanawialiśmy się, kim będzie chłopiec, którego wychowamy, i jak poradzi sobie w świecie dziecko wychowane przez trzy szalone matki.

— Potrzebujecie imienia — orzekła w końcu Diane i nagle stanęłyśmy przed wyzwaniem, które przerastało nasze możliwości. Kwestie wychowania, męskości i przedstawienia światu tej małej niebieskookiej istotki mogły poczekać. Miałyśmy czas, by nauczyć go wszystkiego, co powinien wiedzieć, by spełniać każdą jego zachciankę, chronić go przed światem i nami samymi. Teraz przede wszystkim musiałyśmy nadać mu imię. Nie wiedzieć czemu, do tej pory żyłyśmy w przekonaniu, że urodzi się dziewczynka. Przecież same byłyśmy dziewczynami, prawda?

Położna wyszła z pokoju Jill i uśmiechnęła się do nas.

— To uroczy dzieciak, ale potrzebuje imienia. Lepiej się nad tym zastanówcie. A tak przy okazji, jeśli chcecie, możemy wstawić na noc dodatkowe łóżko polowe.

Nikomu nie przeszkadzało to, że nie było z nami mężczyzn, że najwyraźniej żadna z nas nie była w stałym związku i wszystkie cztery miałyśmy zamiar zająć się wychowaniem dziecka Jill. Nikt nie pytał o ojca i nikt nie patrzył na nas podejrzliwym wzrokiem. Myślę, że to jedno z dobrodziejstw nowego tysiąclecia. Samotni rodzice nie są i nigdy nie byli czymś nadzwyczajnym. Poza tym uczucie wstydu byłoby nie na miejscu wśród korytarzy i sterylnych pomieszczeń, gdzie takie sytuacje są na porządku dziennym. Mimo to nikomu nie przyszło do głowy, że jesteśmy przyjaciółkami i stanowimy grupę wsparcia. Nie, tu chodziło o coś więcej i wszyscy to czuli i akceptowali. Musiałyśmy wymyślić imię dla dziecka. Mogłyśmy zostać na noc. Wystarczyło na nas spojrzeć, by wiedzieć, że jesteśmy rodziną.

— Położna mówi, że będzie ciągnął cyca jak szalony — oznajmiła uradowana Jill, gdy tylko weszłyśmy do pokoju.

— Kto? — spytała Diane.

Córka spojrzała na nią, jakby była szalona, i wskazała głową dziecko.

— Nie jestem pewna, o kim mówisz — odparła Diane.

— O moim synku. — Jill roześmiała się, ale wiedziała, o co jej chodzi. — Miałyśmy całą

listę imion dla chłopców, ale żadne mi się nie podobało. Do głowy mi nie przyszło, że będziemy ich potrzebować — przyznała.

— Żydzi nazywają dzieci na cześć swoich zmarłych — zaproponowałam.

— Trochę to przerażające — odparła Jill.

— Powinniśmy nazwać go na cześć bohatera literackiego — powiedziała Katie. — Pisarza? Może filozofia?

W pamięci przeskanowałyśmy listy lektur, z przerażeniem myśląc o nazwaniu naszego dziecka Derrida.

— Wszyscy pisarze, z którymi mam do czynienia, to kobiety — odparła Jill.

— A wszystkie książki, które czytasz, kończą się źle — dodała Diane. — To nie wróży nic dobrego. Pewnie dlatego jest tak niewielu chłopców imieniem Hamlet.

— Nie możemy nazwać go na cześć tragedii — oznajmiła stanowczo Jill.

— A zatem coś ze szczęśliwym zakończeniem? — zasugerowała Katie.

— Nie chcę żadnego zakończenia. Żadnych zakończeń dla mojego dziecka.

— Wszystko ma swoje zakończenie — zauważyła Diane.

— Ale nie greccy bogowie — rzuciła Katie. — Co powiecie na Zeusa?

— Zeus był dziwkarem — rzuciła Jill. — Potrzebujemy imienia, które nie będzie kojarzyło się z tragedią, zakończeniem i rozpustą. Czegoś dużego. Czegoś tytanicznego.

— Jak Atlas? — spytała pół żartem, pół serio Diane.

— Jak Atlas — mruknęła pod nosem Jill.

— Piękne — zaszczębiotała Katie.

— Wzniosłe — dodała Diane.

— Inne dzieciaki będą się z niego śmiały — zauważyłam.

— To nic — rzuciła Jill. — Z takim imieniem będzie silny i skopie im tyłki. Damy mu normalne drugie imię. Możemy dać mu imię po siostrze.

W taki oto sposób Atlas Claude Mattison został imiennikiem mitycznego tytana Atlasa, na którego barkach spoczywał ciężar całego świata.

## Rozdział 14

Pojawili się, owinęli Atlasa w becik i włożyli go do łóżeczka, które wyglądało jak plastikowe pudełko po butach z przymocowanymi kółkami. Diane zdążyła już zasnąć na „ojcowskim łóżku”. Katie i ja dzieliłyśmy łóżko polowe. Byłam pewna, że żadna z nas nie zmruży oka, ale zasnęłam, kiedy tylko wyłączyłyśmy światło. Obudziłam się o wschodzie słońca, wciśnięta w metalową poręcz łóżka i — o dziwo — zadziwiająco wypoczęta. Najciszej jak mogłam, wyslizgnęłam się na korytarz i wyszłam ze szpitala. Był zimny, dżdżysty poranek, a zasnucone chmurami niebo groziło ulewą. Wciągnęłam do płuc głęboki haust świeżego powietrza wolnego od zapachu alkoholu, śmierci i narodzin. Nie mogłam uwierzyć, że cały świat wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj. Zadzwoiłam do rodziców, do babci, do Jasona i Lucasa, a na końcu do Nica, by przekazać im wieści.

— Jesteś teraz matką — powiedział Nico tęsknym głosem. — Nie tak to sobie wyobrażałem.

Wróciłam do środka, kupiłam kawę i wyszłam, żeby usiąść na jednej z ławek nieopodal wejścia. Było naprawdę zimno. Ale czułam się cudownie, siedząc na zewnątrz. Przyglądałam się pacjentom wjeżdżającym na przyszpitalny parking. Starszym ludziom, którzy pomagali sobie wsiadać i wysiadać z samochodów. Patrzyłam na ludzi, którzy pochylając głowy, spieszyli w stronę wejścia. Ludzi z kwiatami i balonami. W białych fartuchach i ze stetoskopami. Z aktówkami i pod krawatem. Niektórzy z nich ciągnęli za sobą aparaty tlenowe na kółkach, negocjując jednocześnie zakup nowych wózków inwalidzkich i balkoników. Kilka osób niesło prezenty dla dzieci, balony i figurki bocianów opatrzone napisem „To...”. Siedziałam przy drzwiach, rozkoszując się ciepłem, które uciekało ze środka za każdym razem, gdy ktoś wchodził lub wychodził, ściszałam w dłoniach kubek gorącej kawy i patrzyłam na mijających mnie ludzi.

Czekałam też na Daniela. Z początku nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale tak właśnie było. Odgrywałam w myślach scenę rodem z hollywoodzkich filmów: oto widzę znajomą postać przecinającą parking, choć nie do końca wiem, kim ona jest. Dopiero gdy jest już naprawdę blisko, rozpoznaję, że to on. Zmieszany macha na powitanie i przyspiesza kroku. Skąd wiedziałeś? — zastanawiam się. Może Katie zadzwoniła do niego. Może Jill. Może Diane od samego początku wiedziała, gdzie się podziewał (zawsze miała słabość do Daniela), i zaraz po rozmowie z nami zadzwoniła do niego. „Daj jej dzień — szepnęła. — Przyjdź jutro rano”. Czy czułabym żal i złość? A może wyłącznie radość? Może zaczęłabym okładać go pięściami, krzycząc: „Gdzieś ty był?!”. To wszystko, na co stać scenarzystów.

„Nazwałyśmy go Atlas” — powiedziałabym, kiedy w końcu odzyskałabym głos.

„Atlas — powtórzyłyby ze śmiechem. — Cudownie”. Wchodząc do szpitala, zatrzymałby się i spojrzał na mnie. „Dzięki, że wszystkim się zajęłaś, Janey. Teraz, kiedy wróciłem, to ja o nich zadbam”.

Ale tak się nie stało. Daniel nie przyszedł. Czy tak wyglądałoby szczęśliwe zakończenie? Czy byłoby lepsze od tego, co wydarzyło się później? Pod pewnymi względami na pewno. Pod innymi, nawet wiedząc to, co wiem teraz, nawet po tym, jak wszystko się skończyło, jestem przekonana, że nie potrafiłabym tak po prostu go skreślić. Siedziałam na zewnątrz przez godzinę, czekając, aż się rozwidni, po czym wróciłam do szpitala, by stawić czoła niewiarygodnej rzeczywistości i oswoić się z myślą, że już za kilka godzin wrócimy do domu z niemowlakiem, maleńkim człowiekiem, naszym własnym Atlassem.

\* \* \*

Kiedy weszłam do pokoju, Katie robiła to, co robi najlepiej — rozstawiała wszystkich po kątach. Byłam pewna, że grafik z rozkładem zajęć pojawi się pod koniec tygodnia, a na lodówce zawiśnie karteczka zapisana ozdobnym pismem Katie.

*Karmienie piersią: Jill*

*Kąpanie: Katie*

*Bekanie: Janey*

*Z końcem tygodnia zamienimy się rolami.*

*OK.*

*PS Rachunek za prąd płatny do środy. Składka po \$43.*

*\* \* \**

Gdy wróciłam, Katie mówiła do Jill:

— Dobrze, ty zaczekaj tu na lekarza.

Jill spojrzała na mnie, roześmiała się i przewróciła oczami.

— Janey i ja pojedziemy do domu i wszystko przygotujemy — ciągnęła Katie. — Diane, ty zostaniesz z Jill i zabierzesz ją do domu. Ale najpierw zadzwoń, żebyśmy wiedziały, że jedziecie.

— Dobrze już, dobrze — bąknęła Diane.

Po drodze wstąpiłyśmy do sklepu, choć w domu pełno było maleńkich ubranek, pieluszek, śliniaków, łóżeczek, fotelików samochodowych, wózków spacerowych, zabawek, książeczek, butelek, grzechotek i samochodzików. Nie bardzo więc wiedziałam, czego jeszcze potrzebujemy. I właśnie dlatego miałyśmy Katie. Ona zawsze wie, czego potrzebujesz w danym sklepie. Wie też, który sklep ma to, czego potrzebujesz. Zna najwygodniejsze, najlepsze i najtańsze miejsca, w których należy robić zakupy. Zna twoje potrzeby, zanim ty sama zdążysz je poznać. Kiedy zasugerowałam, że nie musimy robić zakupów, ponieważ Atlas jest zbyt mały, żeby jeść normalne jedzenie, a w domu mamy cały zapas pieluch materiałowych, Katie spojrzała na mnie z politowaniem. Zaczęła wrzucać do wózka jedzenie dla poprawienia nastroju (tłumacząc, że to dla nas, choć na tym etapie sama zaczęłam się domyślać), jedzenie w torebkach i pudełkach („Nawet ty nie będziesz miała czasu na gotowanie” — oznajmiła), jednorazowe pieluchy (na wszelki wypadek), papierowe ręczniki (w razie czego. A gdy przypomniałam, że w domu mamy trzy rolki papierowych ręczników, wybuchła histerycznym śmiechem. Czy wspominałam już, że Katie jest najstarszą z ośmiorga rodzeństwa?). Kupiła łagodny szampon i organiczny płyn do kąpieli, wyjątkowo grube wkładki (zbladłam; nigdy wcześniej takich nie widziałam, ale mogłam się domyślić, dlaczego znalazły się na liście), największą butelkę aspiryny, jaką w życiu widziałam (a gdy uniosłam brwi, rzuciła tylko złowrogie: „Zaufaj mi”). Zastanawiałam się, dla kogo ta aspiryna, i całe mnóstwo czekolady. Później wróciłyśmy do domu.

— Jejku. Widzę, że robiłaś naprawdę fantastyczną kolację — zauważyła Katie, jakbym nadal była w stanie ją odgrzać. W domu było zimno i wilgotno, bo wychodząc, zostawiłam otwarte okna. Mimo to w pokojach nadal unosił się zapach jedzenia. Stanęłyśmy w przedpokoju i rozejrzałyśmy się. Na każdym palniku stał brudny garnek. Na blatach walały się łupiny cebuli, ziarenka papryki, odcięte końcówki strączków fasoli, puste puszki i opakowania po jedzeniu. Błat wokół blendera był upstrzony zaschniętymi plamami (nie jestem perfekcyjną panią domu). Oprócz jedzenia na każdej wolnej przestrzeni leżały ubrania, zeszyty i stosy książek. Nasze łóżka były niepościelone. Nie miałyśmy czystych ubrań. Niemal nic nie leżało na swoim miejscu. Jak przez mgłę pamiętałyśmy o przygotowaniach do egzaminów, nagle dziwnie odległych i niemal nierzeczywistych, ale zapomniłyśmy, że wszystko — nawet dziecko — było pod kontrolą, aż do

czasu, gdy sesja dobiegła końca.

— Dobrze, że nie wracamy do domu na Boże Narodzenie — powiedziała Katie. — Bo doprowadzenie tego wszystkiego do porządku zajmie nam trochę czasu.

To smutne, że będąc dobrą kucharką, jestem kiepską gospodynią, a Katie, która wie, jak robić zakupy i dyrygować ludźmi, jest równie kiepską gospodynią jak ja.

Ona mówi, że stanowimy dwie trzecie kobiety, którą każda z nas powinna być. I właśnie dlatego nasz dom często jest w podobnym — jeśli nie takim samym — stanie jak w tym momencie.

— Lepiej weźmy się do roboty — rzuciłam zachęcająco, jednak żadna z nas się nie ruszyła.

— Może najpierw trochę się zdrzemniemy? — zaproponowała Katie.

— Mogłybyśmy podpalić dom i dostać pieniądze z ubezpieczenia — zasugerowałam nieśmiało.

— Nie mamy ubezpieczenia — przypomniała mi.

— O. Mój. Boże — powiedział ktoś za naszymi plecami.

To była moja babcia. Na jej widok rozplakałam się z wdzięczności.

— Co tu się, do cholery, stało? — spytała mama, rozglądając się po mieszkaniu.

— No, no — zagwizdał tata. — Dobrze, że przywiozłem narzędzia.

— Nie wiedziałam, że przyjeżdża twoja rodzina — pisnęła zachwycona Katie.

— Ja też — odparłam, tuląc się do mamy.

— No cóż, musieliśmy zobaczyć maleństwo, prawda? — wyjaśniła babcia. — Wyjechaliśmy zaraz po twoim telefonie. — Tata spojrział na mnie zapuchniętymi oczami i w milczeniu pokiwał głową.

— Poza tym — ciągnęła babcia — ktoś musi posprzątać ten bajzel.

Sprzątaaliśmy godzinami, wyrzuciliśmy kolację, przygotowaliśmy brunch, pozmywaliśmy blaty i podłogi, wyczyściliśmy wszystkie zakamarki, wytarliśmy kurze i odkurzyliśmy dywany, szorowaliśmy, wycieraliśmy i składaliśmy; znaleźliśmy miejsce (no, może tymczasowe miejsce) dla wszystkich książek. W znacznie krótszym czasie, niż mogłam się tego spodziewać, cały dom wyglądał i pachniał jak miejsce, w którym mogłoby chcieć zamieszkać niemowlę.

— Jeszcze nigdy nie było tu tak czysto — zauważyła Katie.

— Więc cieszcie się tym — odparła mama. — Jutro rano już tak nie będzie.

Jakiś czas później wróciło uczucie, że wszyscy gramy w filmie. Drzwi do domu otworzyły się i w progu stanęła Diane. Tuż za nią stała Jill, trzymając w ramionach ogromny tobołek, w którym — jak przypuszczałam — znajdował się Atlas.

Zaczęły się przepychanki, pieszczotliwe słówka i przekazywanie sobie dziecka z rąk do rąk. Nasi rodzice, naszymi mędracy, udzielali dobrych rad, jak trzymać dziecko, kłaść je i uspokajać, kiedy płacze. Patrzyliśmy, jak Jill karmi Atlasa, i próbowaliśmy nie gapić się na jej piersi. Babcia zmusiła nas do jedzenia (ma to po mnie). Niemal pokłóciłyśmy się o to, która jako pierwsza zmieni pieluszkę. Jason i Lucas wpadli, żeby zobaczyć małego, i przynieśli prezenty. Miałyśmy tyle chętnych rąk do pomocy, że po południu Jill ucięła sobie drzemkę, Katie wybrała się na spacer, a ja i tata poszliśmy wypożyczyć film. Atlas prawie cały czas spał. Kiedy się budził, trochę marudził, a po karmieniu znowu zasypiał. Nie mogliśmy wyjść z podziwu, jaki jest spokojny.

Zaczęłam myśleć, że może będzie łatwiej, niż się tego obawiałam. Nabrałam przekonania, że trafiło się nam jedno z tych grzecznych dzieci i jakoś sobie poradzimy. Poczułam ulgę. Byłyśmy pozytywnie oszołomione. Tymczasem nasi rodzice wymieniali porozumiewawcze spojrzenia, których znaczenie pojęłam dopiero później. Wieczorem, kiedy moi rodzice i babcia

wsiedli w końcu do samochodu i pojechali do hotelu, a Lucas i Jason wrócili do domu, nie czułam się spanikowana ani zagubiona. Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Nie byli przecież daleko. Kiedy Diane uścisnęła nas na pożegnanie i podeszła do drzwi, życząc nam szczęścia i obiecując, że zajrzy do nas jutro, pomyślałam: nie spiesz się, nic nam nie będzie. Dopiero gdy zostaliśmy sami, dotarło do mnie znaczenie tych dwóch słów „nasza czwórka”. Zgasiałam światło, okryłam kocem Jill i Atlasa drzemiących na kanapie, wróciłam do kuchni i zaczęłam czytać książkę. Dla przyjemności. Rzeczywistość przestała przypominać film — zabrakło tego dramatyzmu i zaangażowania — i przywodziła na myśl reklamę wyjątkowo cichej zmywarki do naczyń albo żarówek. Nie miała nic wspólnego z tym, jak wyobrażałam sobie swoje życie, ale czułam, że to ono, i dzięki temu wydawało się jeszcze bardziej realne i lepsze. Pokonałyśmy problemy, urodziłyśmy idealne dziecko i znalazłyśmy sposób, by być rodziną. Szczęśliwe zakończenie! Chciałam zgasić światła, wrócić na palcach do pokoju i przewinąć napisy końcowe.

Oczywiście każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, że narodziny to nie koniec, a ledwie początek. Wie również, że nawet jeśli dziecko jest spokojne pierwszego dnia po powrocie ze szpitala, kiedy nadal jest jeszcze oszołomione, a dookoła kręci się mnóstwo ludzi, którzy chcą wziąć je na ręce, nie znaczy to, że tak samo będzie jutro.



CZEŚĆ II  
*W końcu*  
*(Spotkałam swoją miłość)*

## Rozdział 15

Wyglądało to mniej więcej tak: Jill prowadziła zajęcia w poniedziałki i piątki od dziewiątej rano do południa, a od dwunastej do czternastej w poniedziałki miała konsultacje. W środowe popołudnia, od dwunastej do piętnastej, prowadziła zajęcia z literatury Holocaustu, a we wtorki od piętnastej do osiemnastej z teorii i praktyki gender studies. Katie miała zajęcia we wtorki i czwartki od dwunastej do piętnastej. W czwartki od dziewiątej rano do południa prowadziła wykłady poświęcone poetom romantycznym, a w piątki, w tych samych godzinach, przybliżała studentom sylwetki mniej znanych powieściopisarzy epoki wiktoriańskiej, a zaraz potem miała konsultacje (twierdziła, że w piątkowe popołudnia większość studentów je sobie odpuszcza). Ja uczyłam w poniedziałki, środy i piątki od piętnastej do siedemnastej. W poniedziałki rano prowadziłam zajęcia z literatury średniowiecznej, w środowe poranki próbowałam zainteresować studentów Londynem w czasach Szekspira, a we wtorki i czwartki po południu miałam konsultacje. Do tego we wtorki rano, od dziewiątej do dwunastej, chodziłyśmy na zajęcia z początków współczesnych gender studies. To oznaczało, że zawsze któraś z nas była w domu, nawet jeśli „zmiana warty” odbywała się w ostatniej chwili. Wyjątkiem były wtorkowe poranki, kiedy Atlasem opiekował się Jason, który rozpoczynał zajęcia o trzynastej, po tym jak Jill wracała ze spotkań rady samorządu studenckiego (odbywały się co drugi tydzień). Na początku takie rozwiązanie wydawało się w miarę rozsądne. Byłyśmy zmęczone — nie wysypiałyśmy się, bo Atlas mniej więcej co dwie godziny budził się do jedzenia, a my razem z nim — ale przede wszystkim dlatego, że wraz z początkiem roku akademickiego nastąpił chaos. Wtedy wszystko wydaje się szaleństwem, ale wkrótce zostaje ono opanowane.

Tym razem jednak było inaczej. Chaos nie został opanowany, a my chodziłyśmy coraz bardziej podenerwowane. Musiałyśmy zastosować metodę Nica i planować niemal każdą godzinę dnia. Niebawem okazało się jednak, że niezagospodarowane zielone klocki oznaczające czas wolny w praktyce wcale nie oznaczały chwili wytchnienia. Sądziłyśmy, że będziemy czytać książki z dzieckiem w ramionach. Wyobrażałam sobie siebie leżącą na kanapie, z książką w jednej ręce i dzieckiem w drugiej, głaszczącą stopą Wujka Claude’a i robiącą jednocześnie niezliczoną ilość rzeczy. W praktyce znacznie trudniej jest czytać, robić notatki i odnośniki, spisywać uwagi na marginesie i opiekować się dzieckiem, które rzadko przesympia kwadrans. No, ale pewnie należało się tego spodziewać. I tego, że jak wszystkie rzeczy, które powinny iść zgodnie z planem, ta również nie pójdzie.

\* \* \*

Zaczęło się od choroby Katie. Jest jedną z tych osób, które nieustannie cierpią na — prawdziwe lub wymaginowane — bóle głowy, brzucha, gardła, przeziębienia albo grypy. Cierpi na liczne, nieokreślone alergię, przedwczesny artretyzm, bóle menstruacyjne, szmery serca i wrzody. Jakby tego było mało, jedna jej noga jest krótsza od drugiej o dwa i pół centymetra. Katie wybiórczo nie toleruje laktozy (nie je lodów, ale je pizzę, nie pije mleka, ale je płatki z mlekiem), raz zemdląca z powodu braku snu, dostaje zawrotów głowy, kiedy zbyt długo siedzi przed komputerem, i czerwonej wysypki od ugryzień mrówek. Zwykle ignorowałam jej przypadłości. Ale kiedy sześćdziesiąt dni po urodzinach Atlasa, po powrocie z kościoła, zapadła na tajemniczą chorobę żołądka, która objawiała się nie tyle ciągłym narzekaniem, ile biegunką, Jill próbowała wykopać ją z domu.

— Nigdzie nie idę — obruszyła się Katie.

— Nie możesz zarazić Atlasa — oznajmiła Jill.

— Auuuuuuu — jęknęła żałośnie Katie, przez co jeszcze trudniej było z nią dyskutować.

— W porządku — rzuciła Jill. — Możesz zostać, pod warunkiem że będziesz siedziała w swojej sypialni. Zamkniesz drzwi do pokoju i będziesz korzystała wyłącznie ze swojej łazienki. I nie schodź na dół. Janey przyniesie ci jedzenie i wszystko, czego będziesz potrzebowała.

— Hej — zaprotestowałam. — Ja też nie chcę być chora.

— Lepiej, żebyś to była ty niż Atlas — odparła bez cienia skruchy Jill i odsunęła się od Katie.

Ugotowałam dla Katie zupę z kulkami z macy, przyniosłam jej do pokoju, usiadłam na łóżku i przez chwilę plotkowałyśmy o chłopakach. Jakiś czas później zeszłam na dół, żeby zmienić Jill. Cały dzień kursowałam między piętrami, ale była niedziela, więc niespecjalnie mi to przeszkadzało.

Następnego dnia Katie wcale nie czuła się lepiej. Ja musiałam iść na seminarium, Jill miała zajęcia, a bez Katie nie miałyśmy z kim zostawić Atlasa.

— Cokolwiek to jest, pewnie wcale nie jest zaraźliwe — spróbowałam.

— Chyba żartujesz — parsknęła Jill.

Zajrzałam do Katie i zadzwoniłam do miejscowej przychodni, żeby ją zarejestrować. Kiedy zeszłam na dół, Jill zdążyła opatulić Atlasa w piętnaście warstw ubrań i taszczyła z sobą torbę z pieluchami, zbyt dużą, by wnieść ją na pokład samolotu.

— Podrzucaś go do uniwersyteckiego ośrodka opieki dziennej? — spytałam z niedowierzaniem. Ośrodek prowadzili studenci ostatniego roku pedagogiki na kierunku nauczanie początkowe, co nie zmieniało faktu, że sami wciąż się uczyli.

— Nie mów głupstw — warknęła. — Zabieram go z sobą na zajęcia.

— Nie możesz.

— On śpi.

— A jeśli się obudzi i zacznie płakać? — spytałam.

— No to się obudzi i zacznie płakać — odparła.

— A jeśli jedyną rzeczą, która go uspokoi, okaże się twoja prawa pierś i będziesz musiała nakarmić go na oczach studentów?

— No to się obudzi i zacznie płakać — powtórzyła.

\* \* \*

Dobra wiadomość była taka, że Atlas przespał spokojnie całe zajęcia, a przy tej okazji — oraz kilku innych — sprawił, że studenci Jill byli wyjątkowo cisi i skupieni. Zła wiadomość była taka, że Katie miała czerwonkę amebową. Tamtego wieczoru wróciła do domu po dniu spędzonym w ośrodku zdrowia, klinice i szpitalu, dokąd wysłali ją na kolejne testy, teatralnym gestem osunęła się na podłogę w salonie i przekazała nam nowiny.

— Dobra wiadomość brzmi tak, że choroba nie jest zaraźliwa, jeśli porządnie umyję ręce.

— Hurra! — zawołała Jill.

— Czekają na wyniki, ale podejrzewają, że to czerwonka amebowa.

— Co? — spytała Jill.

— Podejrzewają, że mam czerwonkę amebową. Dlatego wciąż choruję. Dlatego mam biegunkę i dlatego robię dziwne kupy. To typowe objawy. Czerwonki amebowej.

Po kilku miesiącach zajmowania się dzieckiem i sprzątaniami psich odchodów trzy razy dziennie człowiek aż się pali do rozmów o kupach.

— Masz w kupie amebę? — dopytywała się Jill, próbując ukryć Atlasa pod koszulą.

— Właściwie to tak. W jelicie zresztą też — odparła Katie. — Musiałam zarazić się na

misji w Gwatemali. Woda nie była tam najczystsza. Gotowaliśmy ją do picia i przygotowywania posiłków, ale człowiek nigdy nie ma pewności. Raz wypiliśmy wodę z butelki; prawie skończyłam, kiedy jedna z misjonek zasłoniła usta dłonią i zaczęła krzyżeć. Dopiero wtedy zobaczyłam, że na dnie butelki leży ogromny robal.

Jill zbladła.

— To chyba wystarczyło.

— Nie, to nie była ameba. To tylko przykład, co można znaleźć w wodzie butelkowanej w Gwatemali. Ameby są zbyt małe, żeby można je było dostrzec gołym okiem.

— Kiedy będziesz zdrowa? — spytałam.

— Nikt nie wie — odparła Katie odrobinę wkurzona i rozbawiona tym, jak bardzo byliśmy przerażone. — Istnieją lekarstwa, ale może minąć kilka lat, zanim zaczną działać.

— Mogłoby się wydawać, że do tej pory powinnaś się jej już pozbyć — zauważyła Jill.

— Najwyraźniej to nie działa w ten sposób — prychnęła Katie. Objawy pojawiają się i znikają. Nie można nic z tym zrobić. Ale lekarz powiedział, że niedługo powinnam poczuć się lepiej. Zresztą już czuję się lepiej. Zrobiłaś kolację?

Zaczęłam odgrzewać resztki z kolacji.

— Jako dzieci graliśmy w człowieka amebę — odezwała się w zamyśleniu Jill. — Jedna osoba chowała się pod kocem na środku podłogi, podczas gdy reszta oglądała telewizję, jeśli bawiliśmy się w ogrodzie, wtedy pozostali siedzieli i rozmawiali. Po jakimś czasie zapominaliśmy o osobie pod kocem, aż nagle, kiedy nikt się tego nie spodziewał, człowiek ameba podnosił się z ziemi i próbował nas złapać. Wszyscy uciekali, ale jeśli człowiek ameba cię dotknął, stawałeś się częścią ameby i musiałeś razem z nim wejść pod koc. Im więcej dzieci siedziało pod kocem, tym gorzej dla tych, które nie zostały złapane, choć z drugiej strony amebie ciężko było poruszać się z tyloma dziećmiakami siedzącymi pod kocem. To była fajna zabawa.

— Dość dziwna — bąknęłam.

— Jakiś czas później gra się zmieniała — dodała Jill. — Starsze dzieciaki łapały się, wchodziły pod koc, żeby się obściskować i nawet nie myślały o łapaniu innych. Były jak organizmy dwukomórkowe. Albo jednokomórkowce, które się podzieliły. I tylko młodsze dzieciaki nadal chichotały, kryły się i czekały z zapartym tchem, gotowe w każdej chwili uciekać przed człowiekiem amebą.

— Ameby nie są organizmami jednokomórkowymi, prawda? — spytała Katie.

— Nie mam pojęcia — odparła Jill. — Ty powinnaś wiedzieć. W końcu jesteś nosicielką.

— Kiedy byłam w siódmej klasie, mieliśmy dziwnego nauczyciela biologii — zaczęłam.

— Był jakiś taki postrzelony. Kazał nam czytać w domu rozdziały z podręcznika, ale prawie nikt tego nie robił, więc niewiele wynosiliśmy z lekcji.

— Też prowadziłam takie zajęcia — przyznała Jill.

— Ja też — potwierdziła Katie.

— Ja oczywiście byłam przykładną uczennicą, więc zawsze odrabiałam prace domowe, choć nigdy się do tego nie przyznałam ani nie odpowiadałam na żadne pytania. Same wiecie, jak to jest w siódmej klasie. Zresztą już wtedy uchodziłam za kujona i nie chciałam pogarszać swojej sytuacji, awansując na pupila albo wazeliniarza.

— Też tak miałam — przyznała Jill.

— Ja też — dodała Katie.

— Pewnego dnia zapytał nas, co to jest ameba, i oczywiście nikt mu nie odpowiedział. Czekał i czekał, ale nikt się nie odezwał. Wziął więc do odpowiedzi naprawdę lubianego chłopaka, który siedział na końcu sali, i zapytał go, czy jest amebą. „No, chyba tak”, odpowiedział tamten. Słyszając to, pan Fields podrapał się po brodzie, spojrzał na nas

w zamyśleniu i zapytał kolejnego chłopaka, czy jest amebą. Tamten oczywiście potwierdził, że owszem, jest amebą. Pan Fields zaczął chodzić po klasie, wypytując ludzi, czy są amebami. Spoglądał na nas w zadumie i co jakiś czas wtrącał uwagi typu „aha”, „hm” albo „rozumiem”. Wszyscy w klasie przyznali, że są amebami. Byliśmy w gimnazjum. Byliśmy głupi i przerażała nas myśl, że możemy być inni od reszty dzieciaków. W końcu podszedł do mnie. „Jesteś amebą, Janey?” — spytał. Byłam tak wkurzona i poirytowana, że wypaliłam: „Nie, nie jestem amebą. Ameba to jednokomórkowy pierwotniak, zbudowany z protoplazmy. Porusza się dzięki nibynóżkom. Pasożytuje na ludziach”.

— Opowiedz mi o niej — poprosiła Katie.

— Rzeczywiście jesteś kujonem — mruknęła Jill.

— Powiedziałam: „W przeciwieństwie do mnie ameba nie ma określonej formy, ale składa się z jednego lub większej liczby jąder komórkowych otoczonych elastyczną błoną zewnętrzną”.

— To rzeczywiście brzmi jak odpowiedź gimnazjalisty — rzuciła złośliwie Jill.

— Skąd to pamiętasz? — spytała Katie.

— Wszyscy wybuchli śmiechem. „Ale z ciebie idiotka, Janey”, mówili. „Nawet nie wiesz, że jesteś amebą”. I wtedy odezwał się pan Fields. „Nie, powiedział, to wy jesteście idiotami. Ludzie to nie ameby. Ameby to jednokomórkowe organizmy pozbawione mózgow. Wiedzielibyście o tym, jeśli przeczytaliście pracę domową”. Ale to bez znaczenia. I tak wszyscy się ze mnie śmiali. Do końca roku pozostałam Amebą Jane.

— Gimnazja są do dupy — mruknęła Katie.

— Gdyby nie ta sytuacja z amebą, wymyśliliby coś innego — rzekła Jill. — Wszyscy, których znam i lubię, w gimnazjum byli nieudacznikami. Człowiek musi wybrać, czy być szczęśliwym przez trzy lata gimnazjum, czy dopiero po jego ukończeniu. Nie można mieć wszystkiego.

— To samo powiedziała kobieta zajmująca się doradztwem zawodowym. Wycięła postać z komiksu *Far Side* i przyniosła go na spotkanie. Obrazek przedstawiał amebę z lassem i w kowbojskim kapeluszu. Podpisano go „Aż do przyszłego tygodnia, adios amoebas”. Przykleiła go na kartce i napisała w środku „Dla Janey, która mówi, że nie jest jedną z nich”. Powiedziała, że czasami warto.

— Nie wyobrażam sobie cięższej pracy niż bycie doradcą zawodowym w gimnazjum — odezwała się Katie.

— Nauczyciel biologii w gimnazjum — odparłam.

— Wiem, że to nieuchronne, ale chciałabym, żebyśmy mogły oszczędzić Atlasowi tego wszystkiego — powiedziała Jill.

— Faceci mają gorzej — dodała Katie. — Nie dość, że się z nich śmieją, to jeszcze muszą się bić.

— Wiesz, jak podnieść człowieka na duchu — warknęła Jill.

— Wyobrażacie sobie, jakie to musiało być frustrujące dla naszych rodziców? — zastanawiałam się na głos.

— Zaczynam sobie wyobrażać — odparła Jill.

— Kiedy codziennie wracałam do domu zapłakana. Kiedy wydawało mi się, że jestem brzydka i głupia i nikt mnie nie lubi. Co byś zrobiła, gdyby twój synek wracał ze szkoły w takim stanie? Człowiek ma ochotę przyprzeć dyrektora do ściany. Wpaść do szkoły i spuścić łomot tym gówniarzom.

— Brzmi rozsądnie — przyznała Jill.

— A zatem postanowione — rzuciłam i poszłam na górę zadzwonić do rodziców.

## Rozdział 16

Kiedy Katie wydobrzała, postanowiła zrobić coś innego. W piątkowy wieczór zeszła na dół, elegancko ubrana, wyperfumowana; zupełnie niepodobna do siebie.

— Idę na randkę — oznajmiła.

— Domyśliłam się — odparła Jill.

— Ty wiecznie chodzisz na randki — zauważyłam.

— Tym razem to coś innego — powiedziała Katie. — Umówiłam się z doktorantem. Z historii. Zrobił magistra w Oregonie, ale przyjechał tu na studia doktoranckie. Poznałam go na izbie chorych. Skręcił kostkę, grając w piłkę nożną. Uwielbiam piłkarzy. Myślę, że będzie pozytywnie zaskoczony, kiedy zobaczy, jak ślicznie wyglądam. Ostatnim razem, gdy mnie widział, byłam kompletnie wykończona i odwodniona.

— Poznałaś go na izbie chorych? — Prawie padłam z wrażenia. — Był tu przez cały czas? Mormoński historyk robiący doktorat? Jak to możliwe, że nie spotkałaś go w kościele?

— To zakrawa na cud — rzuciła Jill. — Jak ma na imię?

— Ethan — odparła niepewnie Katie, jakby nie miała pewności, czy rzeczywiście ma tak na imię. — Ale jest jeszcze coś: on nie jest mormonem.

Prawie upuściłam Atlasa.

— Umawiasz się z kimś, kto nie jest mormonem? — spytała powoli Jill.

— Nie umawiam się. Idę z nim na randkę — wyjaśniła Katie.

— Dlaczego? — wydusiłam.

— Jak to „dlaczego”?

— Czy on jest religijny? Czy jest pobożnym, nieortodoksyjnym wyznawcą jakiegoś odłamu chrześcijaństwa? — spytałam.

— Nie mam pojęcia — odparła poirytowana. — Myślę, że dzielicie skórę na wilku albo na niedźwiedziu, czy jakoś tak. Za wcześnie, żeby się tym martwić. Nawet się jeszcze nie spotkaliśmy.

Przez chwilę żadna z nas nie odezwała się ani słowem.

— Poza tym — bąknęła w końcu Katie — jeśli wyniknie z tego coś poważniejszego, zawsze będzie mógł się nawrócić.

Jill i ja nadal stałyśmy jak wryte, przetwarzając to, co właśnie usłyszałyśmy, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Chwilę później do domu wszedł Ethan, z laską i gipsem na prawej nodze. Uśmiechnął się do Katie, do Jill, a następnie do mnie i Atlasa.

— Ty musisz być Jill — zwrócił się do mnie.

— Nieźle kombinujesz, ale jestem Janey — odparłam, wyciągając do niego wolną rękę.

— Przepraszam — rzucił i uśmiechnął się do dziecka. — Ale ty na pewno jesteś Atlas.

— Tym razem poszło ci lepiej — odezwała się Jill i nie czekając na dalszy ciąg zgaduj-zgaduli, przedstawiła się gościowi.

Ethan zdjął kurtkę, usiadł na kanapie i zaczął rozmawiać o sprawach uniwersyteckich. Chciał wiedzieć, na jakie zajęcia chodzimy, do jakich profesorów, jakie są nasze specjalizacje i jakich przedmiotów uczymy. Solidaryzował się z nami w kwestii prowadzenia wykładów z przedmiotów obowiązkowych dla studentów w ogóle niezainteresowanych tematem. Opowiedział historię o dzieciaku, który pojawił się na zajęciach z historii pod koniec drugiego tygodnia semestru, tłumacząc, że nie mógł przyjść wcześniej, bo przedłużył sobie zimowe ferie.

— Też miałam podobny przypadek — przyznałam. — Dzieciak przyszedł na zajęcia pod koniec drugiego tygodnia i oznajmił, że w styczniu pracował w kurorcie narciarskim i postanowił

zostać kilka tygodni dłużej, żeby więcej zarobić. Był naprawdę wkurzony, kiedy nie wykazałam zrozumienia.

— Parker Tamlin? — spytał Ethan.

— Tak! — Byłam kompletnie zdumiona, aż do czasu, gdy dotarło do mnie, że nie jest to zwyczajny zbieg okoliczności. Większość studentów pierwszego roku wybiera kursy wprowadzające z angielskiego i historii.

Ethan zerknął na telewizor.

— Kto wygrywa? — spytał.

Stacja ESPN Classic nadawała powtórkę meczu Seattle Mariners z New York Yankees z 2001 roku. Pod koniec lutego tak bardzo brakuje mi meczów baseballowych, że zaczynam oglądać powtórki.

— Mariners — odparłam. — Jeden do zera. Ósma zmiana.

— Ciesz się — parsknął. — Długo to nie potrwa.

Spojrzałam na niego z pogardą.

— Jesteś kibicem Yankeesów?

— Boże broń — odparł. — Kibicuję Metsom.

Katie uśmiechnęła się do mnie. Ethan uśmiechnął się do niej, a ona, widząc to, rozpromieniła się.

— Bawcie się dobrze — rzuciła Jill. — Pamiętaj, że rano muszę być w bibliotece, a Janey idzie na jogę, więc ty opiekujesz się Atlasem.

— Pamiętam — odparła Katie. — Nie wrócimy późno.

Kiedy wyszli, razem z Jill rozebrałyśmy ich związek na części. Byli na randce od pięciu minut — najwyższy czas.

— Będzie chciał zaciągnąć ją do łóżka — oznajmiła Jill.

— A przynajmniej wyciągnąć ją na piwo — powiedziałam.

— Może nie spanikuje tak jak my, kiedy zamówi piwo i zobaczy, że ona zamawia napój imbirowy. — Katie sprawia, że każdy, kto pije coś mocniejszego niż napój gazowany, czuje się jak degenerat. — Może, jeśli ona bardzo mu się podoba, nie będzie miał nic przeciwko, jeśli od razu nie pójdzie z nim do łóżka.

— Może się nawróci.

— Nawrócenie się dla kogoś to raczej kiepski pomysł — uznała Jill.

— Chyba nie zawsze — odparłam. — Jeśli ktoś jest przekonany, jeśli wierzy.

— Może — przyznała — ale nie dlatego, że zakochuje się w dziewczynie, która jest mormonką i nie prześpi się z nim, dopóki sam nie zostanie mormonem.

— Miłość potrafi zmienić człowieka — zauważyłam filozoficznie.

— Ale oni są zupełnie inni. W religii nie chodzi wyłącznie o wiarę. To również kwestie kulturowe. To jak powiedzieć, że rasa to wyłącznie kolor skóry.

— Połączą ich inne rzeczy — odparłam. — Edukacja. Stypendium. Cokolwiek.

— Lubisz go, bo kibicuje Metsom i zgadza się z tobą co do Parkera Tamlina.

— Głupi Parker Tamlin — mruknęłam. — Głupi Yankees.

— A do tego jest historykiem — przypomniała Jill.

— To prawda. — Obie byłyśmy nieufne wobec historii i ludzi, którzy ją studiowali. Wprawdzie nie tak jak wobec republikanów, ale budzili w nas pewną czujność.

— Fajnie byłoby pójść na wesele — zastanawiała się na głos. — Ubrać Atlasa w maleńki smoking. Zorganizować wielkie przyjęcie. Siedzieć w sklepach i patrzeć, jak Katie przymierza setki długich białych sukni.

— Myślę, że dzielisz skórę na niedźwiedziu — skwitowałam.

\* \* \*

Byłyśmy wciąż na nogach, kiedy Katie wróciła do domu. Ethan odprowadził ją do drzwi, ale nie wszedł. Nie wiedziałyśmy, czy pocałował ją, czy nie. Weszła do domu, zdjęła kurtkę i buty, pocałowała Atlasa śpiącego w ramionach Jill i spytała, jak nam minął wieczór.

— Kogo obchodzi nasz wieczór — odparła Jill. — Jak minął twój?

— Mmm, przyjemnie.

— I?

— I nie wiem. Jest miły. Myślicie, że jest miły?

— Polubiłyśmy go — odparłam.

— Wydaje się fajny — dodała Jill.

Cisza. Nic.

— Co robiliście?

— Poszliśmy na kolację. Do Hopvine. A później na deser do Victrolii.

Dłuższa przerwa. Znowu nic, co było wysoce niestosowne.

— I? Dobrze się bawiliście?

— Pił piwo — wyznała wolno Katie. Słyszac to, ja i Jill wymieniliśmy spojrzenia. — Ja nie piłam — dodała, jakby uznała, że to konieczne. — Ale chyba nie miał nic przeciwko. Uczestniczy w ciekawym projekcie. Z profesorem Carlsonem. Jest miły, zabawny i przystojny.

— Ale... — ponagliła Jill.

— Nie jest mormonem.

— Czy na tym etapie to takie ważne? — spytałam.

— Nie wiem. Próbowalam wybadać, co by powiedział, gdyby musiał się nawrócić.

— Oszalałaś? — Jill wyprostowała się na kanapie.

— Nie zapytałam go wprost. Po prostu badałam grunt. Mimo to nie wydawał się zbyt otwarty. Powiedział, że wierzy w Boga, ale nie w religię. Nawet nie wiem, co to znaczy.

— Trochę za wcześnie na takie rozmowy — zauważyłam delikatnie.

— Tak, zresztą zobaczymy.

— Umówiliście się? — spytała Jill.

— W środę zjemy razem lunch. Gdybyś mogła zostać godzinę albo dwie dłużej z Atlasem — zwróciła się do mnie.

— Jasne, nie ma problemu — odparłam zdumiona. Jak powiedzieć komuś, kto o tym nie wie, że pierwsza randka to nie najlepszy czas, żeby pytać kogoś, czy się dla ciebie nawróci? Z drugiej strony, dla kogoś, kto i tak wie, że nic z tego nie będzie, może to wcale nie jest za wcześnie; może to jedyna szansa.



## Rozdział 17

Jak się okazało, to nie eksperymentalne randkowanie, ameby, brak snu czy napięty do granic możliwości grafik, tylko dysertacja. To ona sprawiła, że wszystko się posypało.

Wielki projekt Jill, pisemna praca, którą niebawem miała przedłożyć, na temat kobiet piszących o Holokauście. Tyle że Jill niewiele nad nią pracowała. Muszę przyznać, że w normalnych okolicznościach branie miesięcy, semestrów czy lat wolnego, by napisać dysertację — w którym to czasie piszący rzekomo czytają, zbierają materiały, uczą, podróżują, spoglądają na temat z innej perspektywy, czekają na przesłanie książek z jednej biblioteki do drugiej, na pożyczki studenckie, analizy charakteru pisma, konsultują się z osobami mającymi zdolności parapsychologiczne, czekają na znak z nieba albo na śmierć autora, by w końcu podać kompletną listę dzieł — nie jest niczym nadzwyczajnym, a w kręgach akademickich wręcz pożądanym. Znam ludzi na naszym wydziale, którzy zaczęli pisać doktorat w roku, gdy ja rozpoczęłam naukę w gimnazjum. Są na naszym wydziale kobiety, które odłożyły pisanie pracy na rok, żeby urodzić dziecko, które właśnie kończy liceum. Nie ma na naszym wydziale nikogo — ani jednej osoby — która napisała pracę doktorską w wyznaczonym terminie. Pisanie pracy nie jest procesem ciągłym i nikomu to nie przeszkadza. Dzięki nieukończonym dysertacjom kursy początkowe są prowadzone przez ludzi, którzy praktycznie nie otrzymują za swoją pracę żadnego wynagrodzenia i sprawiają, że sytuacja na rynku pracy jest nieznośna, ale nie na tyle, by groziła wybuchem zamieszek. Jestem w stanie pokusić się o tezę, że władze uczelni dodają do wody jakichś chemikaliów, które dekoncentrują nas i powodują, że — niczym mityczny Syzyf — nie możemy ukończyć raz zaczętej pracy, ale wówczas brzmiałabym jak paranoiczka i wariatka.

Wystarczy powiedzieć, że Jill nie robiła nic, by napisać pracę. Jednak taki stan rzeczy sam w sobie nie był niczym niepokojącym ani dla wydziału, ani dla programu dla absolwentów. Ale u kogoś, kto mieszkał z nią pod jednym dachem i patrzył, jak rezygnuje z pisania, czytania, a nawet zbierania materiałów na rzecz siedzenia na kanapie i oglądania głupawych programów, budził on niepokój. Poza tym Jill stała się płaczliwa. Może się wydawać, że w domu, w którym są trzy kobiety i dziecko, płacz nie jest niczym nadzwyczajnym. Jednak Jill nie należy do płaczliwych osób i gdy raz coś postanowi, niełatwo ją od tego odwieść. Tym bardziej zaczęłyśmy się martwić.

\* \* \*

Jak w każdą środę po zajęciach spieszyłam do domu, żeby zaopiekować się Atlasem, tak by Jill mogła iść na uczelnię, jednak zastałam ją siedzącą na podłodze w pozycji kwiatu lotosu. Miała zamknięte oczy, oddychała głęboko i słuchała jogi dla matek z dziećmi. Leżący na jej kolanach Atlas wodził dokoła zdumionym wzrokiem.

— Jill, musisz już iść. Zajęcia zaczynają się za dziesięć minut. Spieszyłam się, jak mogłam, ale wpadłam na doktora Browna. Sama wiesz, co to oznacza. Facetowi gęba się nie zamyka. Nawet nie jesteś ubrana! — wydyszałam głosem, który mówił, że choć biegłam prawie całą drogę do domu, mamy niemal sześć minut opóźnienia, a to oznacza, że jeśli chce zdążyć na zajęcia, musi już, ale to już wychodzić.

Jill nie otworzyła nawet oczu. Zamiast tego zaczerpnęła głęboki haust powietrza, otwierając czakrę splotu słonecznego, czakrę serca i trzecie oko. Miała na sobie spodnie od dresu. Wolno wypuściła powietrze.

— Nie idę — oznajmiła cichym, spokojnym głosem, jakby to było oczywiste. SeminaRIA doktoranckie odbywają się tylko raz w tygodniu. Człowiek powinien, po prostu powinien, tam

być.

— Nie idziesz? — Nie twierdzę, że urywanie się z zajęć jest jakąś tragedią. Ale jak głupia spieszyłam się do domu i zgodnie z grafikiem nie poczyniłam na ten dzień żadnych konkretnych planów. — Zamierzasz siedzieć tu i ćwiczyć jogę?

— Mmmhmmm — odparła Jill, robiąc przy tym głęboki wdech i wydech.

— Już raz opuściłaś seminarium — przypomniałam, choć niezbyt przekonująco. — Nie możesz znowu nie iść.

Wdech. I wydech.

— Zrezygnowałam z zajęć — odparła ze spokojem.

Wdech. I wydech.

— Co takiego?! — wrzasnęłam schrypniętym głosem.

Jill odwróciła się w moją stronę i otworzyła jedno oko.

— Próbujemy się zrelaksować — oznajmiła. — Zaburzasz naszą harmonię.

Nie odezwałam się. Poszłam do kuchni i przygotowałam lunch. Staralam się ustalić, czy złość, którą czułam, wynikała z autentycznej troski, samolubnej zazdrości czy świadomości, że rezygnacja z zajęć nie oznacza końca świata. Osiem minut później nie mogłam już tego znieść. Jill leżała rozciągnięta na podłodze w pozycji nieboszczyka, z dłońmi zwróconymi w stronę sufitu, gotowa w każdej chwili przyjąć to, co miał do zaoferowania wszechświat. Zaczynałam żalować, że wciągnęłam ją w jogę. Albo działała na nią zbyt dobrze, albo w ogóle nie była jej potrzebna. Jill i tak była już zbyt spokojna.

— Rezygnujesz tylko z tych zajęć czy ze wszystkich? — spytałam, tym razem nieco spokojniej.

— Na razie tylko z tych. — Głos miała nieznośnie spokojny.

— Mogę spytać dlaczego?

— Za kilka minut — mruknęła sennie.

Wróciłam do kuchni. Czy po to ustalałam ten niedorzeczny grafik, żeby teraz rezygnowała z zajęć? Czy po to zgodziłam się wychowywać jej dziecko, żeby siedziała w domu i medytowała, podczas gdy ja ganiałam z miejsca na miejsce z wywieszonym językiem? Czy Atlas nie był jej synem, a co za tym idzie jej problemem? A jeśli tak, dlaczego biegałam w deszczu w swoich najlepszych butach, podczas gdy ona doznawała oświecenia na podłodze naszego salonu?

— Hej — rzuciła z uśmiechem, siadając przy stole i bez pytania częstując się połową mojej kanapki.

Byłam zbyt wściekła, żeby cokolwiek przełknąć, i drugą połówką nakarmiłam Wujka Claude'a.

— Gdzie Atlas?

— Śpi.

Popołudniami zasypiał wyłącznie na moich rękach. Kiedy kładłam go do łóżeczka, nie przestawał płakać. Jill położyła go, zamknęła drzwi i odeszła.

— Nie potrafię go uśpić — przyznałam urażona.

— Był zmęczony po jodze — odparła.

Patrząc na nią, zastanawiałam się, czy zabicie jej byłoby nieprzyzwoite, złe dla mojej karmy i niemożliwe do zaplanowania.

— A więc rezygnujesz z zajęć? — spytałam.

— Nie ze wszystkich zajęć. Tylko z tych jednych. — Głos miała spokojny, łagodny.

— Dlaczego?

— Bo nie dam rady. — Była to prosta, logiczna, doprowadzająca do szału odpowiedź.

— Jak to nie dasz rady? — zażądałam wyjaśnień. — To twoje zajęcia. Prowadzi je twoja promotorka. Robi to dla ciebie. Dotyczą tematu twojej pracy.

— Tak, ale okazuje się, że nie dam rady. Nie mogę brać w nich udziału, nie chcę i już. Koniec, kropka. — Zwięzła informacja przekazana zadowolonym z siebie głosem, do którego najlepiej pasuje określenie „nie do wytrzymania”.

— Jill, jak to możliwe, że ja i Katie możemy, a ty nie? Mamy tyle samo obowiązków. Tyle samo zajęć, studentów, stron do przeczytania i prac do ocenienia. Nie oglądamy codziennie głupiej telewizji. Nie przestałyśmy robić tego, co musimy. Opiekujemy się Atlasem tak samo jak ty, chociaż to nie nasze dziecko. Jak to wytłumaczysz?

— Bo to nie wasze dziecko — syknęła lodowatym głosem. — I to nie wy studiujecie literaturę Holocaustu.

— Do diabła, jakie to ma znaczenie? Kocham go, jakby był mój. Opiekuję się nim, jakby był mój. Poświęcam mu czas, jakby był mój. A poza tym literatura Holocaustu jest łatwiejsza niż dzieła Szekspira. Ty masz do przeczytania prace naukowe z pięćdziesięciu lat. Ja z czterystu z kawałkiem.

Z hukiem odstawiła szklankę z wodą, chwyciła się za włosy na skroniach i szarpnęła.

— W dziełach Szekspira nie ma martwych dzieci — szepnęła przez zaciśnięte zęby, zbyt oszalała, by mówić na głos, i choć to nieprawda, że w dziełach Szekspira nie ma martwych dzieci, postanowiłam się nie odzywać, sądząc, że nie o to jej chodzi. — Nie mogę czytać o martwych dzieciach. — Rozpłakała się. — Nie mogę słuchać o dzieciach, które umierały z głodu, zamarały i ukryte pod podłogą w milczeniu czekały na śmierć. Nie mogę czytać o dzieciach, które rozdzielano z rodzicami i którym kazano wchodzić do komór gazowych. Nie mogę o tym czytać i nie myśleć o tym, tak samo jak nie mogę o tym pisać. Nawet ci, którzy przeżyli i których historia doczekała się szczęśliwego zakończenia. Oni też byli dziećmi, też zostali zupełnie sami, też ukrywali się w latrynach, stogach siana i domach ludzi, którzy nigdy ich nie kochali i chcieli zarobić na ich nieszczęściu. To mnie dobija. Rozdziera mi serce. Nie mogę tego robić. Nawet nie chcę próbować sobie z tym poradzić. Nigdy więcej nie chcę czytać podobnych rzeczy.

Chciałam powiedzieć coś rozsądnego, ale trudno przekonać odchodzącą od zmysłów, świeżo upieczoną matkę, żeby czytała o masowych grobach pełnych martwych dzieci.

— W porządku — spróbowałam. — Więc wybierz sobie jakiś inny temat.

— Nie mogę zacząć od początku. Za późno na to.

— Wcale nie. Mogłabyś wybrać temat nowej pracy, nową specjalizację i nowy program. Mogłabyś zacząć studiować matematykę, gdybyś tylko chciała, a i tak skończyłabyś wcześniej od innych.

— Ludzie zaczną pytać, dlaczego zmieniłam kierunek. Nie mogę im powiedzieć, że z powodu martwych dzieci, bo to oznacza, że skoro nie chciałam czytać o śmierci, nie powinnam była wybierać literatury Holocaustu.

— Teraz wszystko wygląda inaczej — odparłam. — Wybierz coś innego. Jest mnóstwo okresów literackich, które mogą podnieść człowieka na duchu.

— Bzdura — odparła. — Nie pozwolę, by słowa spisane na kartce zrujnowały mi życie. Muszę więc przestać czytać. Może na dobre.

Studiując literaturę, człowiek uświadamia sobie, że snucie opowieści to coś więcej niż wytwór wyobraźni, a wytwory wyobraźni są znacznie bardziej istotne, niż się nam wydaje. Tak czy inaczej, książki opowiadają historie swoich czytelników. Jednak opowiadanie o własnym życiu to nie to samo co kształtowanie go. Jill poczuła, że wszystko wymyka się jej z rąk. Książki przejęły kontrolę nad jej życiem, i to one nim kierowały.

\* \* \*

Jakiś czas później Jill zasnęła, a ja siedziałam, trzymając Atlasa na kolanach i czytałam mu *Moby Dicka*. Nieszczerze lubię tę powieść. Jest dramatycznie długa, wielorybnictwo mnie nudzi, a alegoria wydaje się boleśnie oczywista, choć może niekoniecznie dla dwumiesięcznego dziecka. Mimo to *Moby Dick* jest piękny — wręcz idealny do czytania na głos — i był jedną z ulubionych książek Daniela. Myślę, że chciałby przeczytać ją swojemu synowi, i głęboko wierzę, że można poznać ludzi po tym, co czytają, czując na języku smak ich ulubionych słów i wodząc palcami po grzbietach ich ulubionych książek. Atlas przyglądał mi się z uwagą, wbijając we mnie spojrzenie dużych, jasnych oczu. Ciepły i ciężki w moich ramionach, z główką przyciśniętą do mojej piersi. Nieposkromiona, ogromna nienawiść i pasja, które kierowały Ahabem, wydawały się nieistotne w porównaniu z miłością, którą czułam do tej maleńkiej istotki trzymanej w ramionach. Nagle, kiedy ten mały człowiek emanował wszechogarniającą miłością, która wypełniała sobą cały pokój, dom i moje serce, przestałam wierzyć w emocje tak destruktywne, jak nienawiść i obsesja. Atlas obserwował i słuchał, oddychał ze spokojem, poruszał się w rytm mojego oddechu, w miarę jak Ahab przechadzał się po pokładzie i obserwował spienione wody. Jill weszła do pokoju, przecierając oczy, i położyła się na kanapie, by w półmroku posłuchać opowieści.

— Pomijasz fragmenty — odezwała się, kiedy myślałam, że znowu zasnęła.

— *Moby Dick* to długa opowieść — odparłam. — A polowanie na wieloryby jest nudne.

— Ale o to właśnie chodzi — zauważyła. — Ta książka ma być długa, nudna i pełna nieistotnych szczegółów, żebyś poczuła, jak to jest, kiedy człowiek miesiącami pływa po morzu. Żebyś wiedziała, jak czuje się ktoś, kto się zagubił i stracił kontrolę nad swoim życiem.

— To bajka do poduszki. Zresztą Atlas i tak jej nie rozumie.

— Tak, ale w takim razie po co ją czytać?

Nie chciałam, by wiedziała, że wybrałam ją ze względu na Daniela, ale przypuszczam, że i tak się domyśliła.

— Jest ładna — odparłam i zaraz dodałam: — Ale przestałam w nią wierzyć.

— A dokładnie w co?

— W całą tę nienawiść, żądzę zemsty i krótkowzroczną złość. Jak dla mnie są mało wiarygodne. W rzeczywistości ludzie tacy nie są.

— Są, jeśli nie mają wyboru — powiedziała Jill.

— Zawsze jest jakiś wybór. Możesz obsesyjnie uganiać się za wielorybem, aż zabije ciebie i wszystkich innych. Albo ścigać go przez miesiąc i dać za wygraną. Możesz też zostać w domu z książką i przejmować się innymi rzeczami.

— Może ty byś tak zrobiła, ale kapitan Ahab nie. Nie potrafiłabyś, gdybyś spędziła większość życia na morzu, bez domu, żyjąc w ciągłym niebezpieczeństwie, niekochana. Gdybyś nie umiała odnaleźć się na łodzi po tym, jak wieloryb odgryzł ci nogę.

— A więc nie byłabym prawdziwym człowiekiem, tylko alegoryczną postacią — odparłam.

— Różnica między nimi jest mniejsza, niż ci się wydaje.

— Chodzi o to, że prawdziwi ludzie wolą miłość i lenistwo od nienawiści, złości i fanatycznej pogoni za wielorybem. Różnica między ludźmi a alegorycznymi postaciami polega na tym, że my mamy wybór.

— Niezupełnie — sprzeciwiła się Jill. — Gdybyś była postacią z książki i twoja najlepsza przyjaciółka spodziewałaby się dziecka, musiałabyś je wychować. Nie mogłabyś odejść, nawet jeśli sama nie byłaś na tyle głupia, żeby zająć w ciąży. Odstawiłabyś na bok swoje potrzeby.

Popołudniami siedziałabyś w domu, czytając maluchowi ulubioną książkę jego zbłąkanego ojca, chociaż w tym czasie powinnaś siedzieć w bibliotece i zajmować się swoimi sprawami. Nie miałabyś wyboru. Struktura narracji nie pozwala porzucić przyjaciółki i jej nieślubnego dziecka.

— Ależ pozwala. Mogłabym zostawić ją i dziecko, zadbać o własne sprawy i wspomnieć ich z żalem tuż przed własnym ślubem albo w dniu, w którym zaraza odebrałaby mi syna, albo na łożu śmierci, albo u schyłku szczęśliwego życia w dobrobycie.

— Tylko gdybyś była mężczyzną.

— Tylko gdybym była fikcyjną postacią — odparłam łagodnie. — Ja miałam wybór, Jill. Wszystkie miałyśmy. Od samego początku. I nadal możemy wybierać. Zostałam nie dlatego, że musiałam. Nie przez wzgląd na literaturę ani naszą przyjaźń. To, zważywszy na okoliczności i różne możliwości, był wyłącznie mój wybór.

— Albo tak podpowiada ci historia — odparła Jill.

## Rozdział 18

Tymczasem Katie zmagala się z ograniczeniami własnej fabuły. Według feministycznej teorii literatura na przestrzeni wieków borykala się z brakiem równowagi między historiami mężczyzn i kobiet. Bohaterowie płci męskiej mieli przed sobą świat pełen niekończących się możliwości, podczas gdy bohaterki wychodziły za mąż albo umierały. To denerwuje światłe czytelniczki, takie jak my. Jednak niezależnie od tego, jak głęboko analizujemy fabułę, jak stosujemy teorię i jak długo wpatrujemy się w nią naszym sceptycznym, zmęczonym od nauki wzrokiem, nadal mamy problemy z przyswojeniem niektórych rzeczy, a wiara w miłość w stylu „I żyli długo i szczęśliwie” umiera ostatnia, zarówno w życiu, jak i w literaturze. Co, moim zdaniem, jest jak najbardziej w porządku. Bądźmy szczerzy. Czy może spotkać nas w życiu coś piękniejszego niż prawdziwa miłość? Wyśmiewamy ten pomysł. Lamentujemy nad tym, co należy zrobić w drodze do miłości, której prawda i ponadczasowość okazują się ledwie fasadą. Tandetnie jest o tym mówić. Ale wiemy, że nie ma nic lepszego niż prawdziwa miłość.

Wydaje się nam, że jeśli szukaliśmy czegoś tak długo, natychmiast to rozpoznamy; myślimy, że to takie oczywiste. Problem Katie nie polegał na tym, że była zakochana w mężczyźnie, który nie był mormonem, ani na tym, że spotykała się z kimś, w kim nie była zakochana. Polegał na tym, że nadal nie była pewna swych uczuć i próbowała je sprecyzować. Ich druga randka, lunch w Uwajimaya, azjatyckim hipermarkecie, była nadzwyczaj udana. Ku uciesze Katie, Ethan z chęcią dzielił się wszystkim, co miał na talerzu (ona nienawidzi jeść tego, co sama zamówi). Zjedli sashimi z tuńczykiem, zupę miso, pad thai i letnie roladki z tofu. Sałatkę z wodorostów, awokado z sosem curry i wietnamską kanapkę. Na deser zjedli kremowe ptysie i truskawkowe mochi, które smakowały jak guma balonowa. Katie lubi mieć wybór. Chodzili więc po sklepie, patrząc na rzędy zbiorników z rybami, fantazyjne przekąski w pastelowych opakowaniach z japońskimi opisami, których znaczenia mogli się tylko domyślać, i czarki do podawania sake, o których istnieniu nie mieli pojęcia. Trzymali się za ręce. Katie wróciła do domu obładowana resztkami jedzenia i rozpromieniona. Tylko ona mogła uczynić z wyprawy do sklepu prawdziwą randkę.

— W piątek wieczorem wybieramy się na minigolfa — oznajmiła. — Po tym, jak zdejmą mu gips.

— Zamarzniesz — rzuciłam.

— Ile ty masz lat? Dwanaście? — parsknęła Jill.

— Idziecie na plażę? — spytałam. — W okolicy nie ma minigolfa.

— Jest, w Ballard.

— W hali? — dopytywałam się.

— Jak udało ci się go namówić? — W pełnym niedowierzania głosie Jill pobrzmiwała kpina.

Katie jakby tego nie zauważyła.

— To był jego pomysł — odparła i tanecznym krokiem wyszła z pokoju.

\* \* \*

Randka z minigolfem również przebiegła nadzwyczaj dobrze — ubrali się ciepło — i, co więcej, rozwiązała Katie język w sprawie Ethana. Nie jestem pewna, co sprawiło, że doszła do wniosku, iż może o nim rozmawiać, nie ubarwiając, nie zaklinając rzeczywistości, stawiając czoło pytaniom, na które nie знаła odpowiedzi, ale coś ją do tego skłoniło. Okazało się, że minigolf rozwiązał Katie język także w innych kwestiach. Ona i Ethan obściskiwali się na ławce

przy dołku z wielorybem. Obściskiwali się też przy dołku z klaunem i kolejnym — z zamkiem. Poszli na lody i obściskiwali się w samochodzie na parkingu. Zmarznięci po jedzeniu lodów wstąpili do Joe Bar na gorące kakao i tam również się obściskiwali.

— Jest taki cudowny — zachwycała się. — I taki... delikatny. No i ładnie pachnie.

— Co ty wyprawiasz? — spytała Jill.

— Jest naprawdę mądry. Niektóre z jego badań pokrywają się z twoimi — zwróciła się do mnie.

— I tak nie nawróci się dla ciebie — rzuciła Jill.

— Polubicie go. Jest zabawny i taki kochany. Nie umie grać w minigolfa, ale wcale się tym nie przejmował. I tak dobrze się nam rozmawia. Nigdy dotąd nie spotykałam się z kimś, komu mogłam opowiadać o swojej pracy i kto by mnie rozumiał, a co dopiero był zainteresowany.

— A ty na pewno nie nawrócisz się dla niego — wtrąciła Jill.

— Lubimy słuchać tej samej muzyki. Czytać te same książki i oglądać te same filmy. Lubimy nawet te same lody, chociaż teraz jem sorbet z powodu laktozy. Ale w czasach, kiedy jeszcze jadłam mleczne lody, wybierałam te same smaki.

— To z pewnością ważniejsze od Boga. — Jill nie dawała za wygraną.

— Nie zepsujesz tego, Jill. — Katie nie wytrzymała i wybiegła z pokoju.

— Wiesz przecież, że sama musi się z tym uporać — zwróciłam się do Jill. — Po co ją torturujesz?

— Nie torturuję jej. Ona sama się torturuje — odparła.

\* \* \*

Zabrałam Atlasa i Wujka Claude'a na spacer, tak bym mogła zadzwonić do Nica i zasięgnąć opinii mężczyzny. I dlatego że za nim tęskniłam. Nico ma pewną teorię na temat randkowania, która głosi, że jeśli chcemy, aby wszystko układało się po naszej myśli, muszą być spełnione dwa warunki: nasze dusze i charaktery muszą do siebie pasować. Potrzeba wzajemnej fascynacji, chemii i pożądania, by zedrzeć z siebie ubrania i tak dalej. Ale potrzeba również niedzielnego poranka, gdy człowiek budzi się i rezygnując z seksu, ma ochotę spędzić z tą drugą osobą cały dzień, robiąc różne rzeczy razem. Niewielki kompromis jest również mile widziany, ale powinien on być naprawdę minimalny.

— Tak jak było z nami — wyjaśnił Nico, jakby to mówił po raz pierwszy, a nie osiemdziesiąty. — Byliśmy pokrewnymi duszami i mogliśmy godzinami patrzeć sobie w oczy, a mimo to chcieliśmy spędzić razem kolejny wolny dzień, robiąc razem różne rzeczy: spacerować po parku, napić się kawy, popływać kajakiem, iść na wycieczkę, do kina albo na koncert. Nie było tak, że ja chciałem imprezować co wieczór i brać narkotyki, a ty wolałaś zostać w domu, poczytać książkę, a o wpół do dziesiątej położyć się spać. Nie chciałem polować na zagrożone gatunki wilków, podczas gdy ty chodziłaś na spotkania Greenpeace.

— Z nimi jest tak samo — wyjaśniłam. — Ich dusze i charaktery pasują do siebie. Obściskiwali się, grając w minigolfa. Ethan pasuje do niej bardziej niż faceci, z którymi umawiała się do tej pory. Mogą rozmawiać o pracy, iść do baru kawowego, razem oceniać prace, chodzić na zajęcia, na wiece polityczne albo do biblioteki. Zwykle faceci, z którymi się spotyka, w ogóle nie chodzą do bibliotek. Pamiętasz, ile mieliśmy frajdy, obściskując się między regałami? Zgodnie z twoją teorią wolnego dnia oni też chcą robić razem różne rzeczy.

— Ale nie w niedziele.

— Kto powiedział, że tylko niedziela się liczy?

— Ona — odparł Nico.

## Rozdział 19

Postanowiła zapytać, zanim sytuacja się pogorszy. Postanowiła zapytać, zanim się zakocha i zanim zacznie się o to martwić, by nie skrzywdzić jego i siebie. Zdecydowała, że lepiej wiedzieć, niż się domyślać i mieć złudne nadzieje. Uznała, że Jill jest podła, ale niewykluczone, że ma rację.

— Nie mówię, że już — wygłaszała na próbach, kiedy udawałam, że jestem Ethanem. — Ani w najbliższej przyszłości. Nie mówię, że masz zdecydować o tym tu i teraz. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek cię o to poproszę. Mówię, co by było gdyby. Gdybyśmy się w sobie zakochali i gdybyśmy chcieli być razem do końca życia. Gdybyśmy chcieli założyć rodzinę, czy byłbyś w stanie się nawrócić? Mam na myśli taką sytuację, że ja pokochałabym ciebie i ty pokochałbyś mnie, za kilka lat. Czy byłbyś wtedy w stanie zostać mormonem?

— No... nie wiem — odparłam niezdecydowana, próbując naśladować Ethana. — To trochę za wcześnie. Nie potrafię ci teraz odpowiedzieć. Ale bardzo cię lubię. I podoba mi się, dokąd to wszystko zmierza. Wiem, że chciałbym robić różne rzeczy, by uczynić cię szczęśliwą, i gdyby naprawdę nam na sobie zależało, prawdopodobnie bym to zrobił.

\* \* \*

Tak było wtedy, gdy udawałam Ethana, ale prawdziwy powiedział nie. Prawdziwy Ethan powiedział, że choć w mniejszym lub większym stopniu wierzy w Boga, zdecydowanie, stanowczo i instynktownie nie wierzy w religię. Powiedział, że nawrócenie się tylko po to, żeby ktoś cię nie rzucił, jest nieszczerze i obraźliwe nawet dla prawdziwych wyznawców z czystymi intencjami. Powiedział, że gdyby go kochała, nie wymagałaby od niego, żeby zrobił coś, w co nie wierzy. Nawrócenie się to szykowanie się do walki, po której, jego zdaniem, następuje wojna — chodzenie co tydzień do kościoła, rezygnowanie z rzeczy, które lubił i których nie uważał za złe, i budowanie życia wśród ludzi, którzy znaczyli dla niej tak niewiele, że była gotowa umawiać się z takim poganinem jak on. Powiedział: „Kochaj mnie za to, kim jestem, albo nie kochaj mnie w ogóle”.

— To rozsądne podejście — skomentowała Jill.

— Dlaczego jesteś wobec mnie taka podła? — spytała Katie ze łzami w oczach.

— Wcale nie jestem podła. Jestem szczerą. Każdy normalny człowiek powie ci to samo. Gdyby zareagował inaczej, zaczęłabym się martwić. Jaki normalny człowiek powie: „Tak, jasne, w końcu byliśmy na trzech randkach. Porozmawiajmy o nawróceniu się”. Zapytaj Janey.

Wbiłam wzrok w podłogę.

— Powiedział, że nigdy nie poprosiłby mnie, żebym wyrzekła się swojej religii i zaczęła wierzyć w to co on. I dodał, że powinnam wyświadczyć mu tę samą grzeczność. Odparłam, że rodziny nie działają na zasadzie „żyj i pozwól żyć” i że nie mogę wyjść za kogoś, kto nie jest mormonem.

— I co on na to?

— Powiedział, że nadal możemy być przyjaciółmi.

Jill się roześmiała, a Katie wyglądała, jakby miała ochotę ją udusić.

— Moim zdaniem to miłe, że w ogóle wziął pod uwagę to, co powiedziałaś — wyraziła swoją opinię Jill. — Większość ludzi byłaby przerażona, że po trzeciej randce poruszasz taki temat. Lepiej, żebyś miała tego świadomość.

Katie wyglądała żałośnie.

— A zatem nie jest tym jedynym. — Klasnęłam w dłonie, siląc się na swobodę.



Fakt, że Ethan „nie jest tym jedynym”, nie był winą żadnego z nich. To była wina przeznaczenia, choć właściwie nie wina, tylko jego opóźnione działanie, jako że wszystko w życiu ma swój czas. W każdym razie taka sytuacja — randki, które do niczego nie prowadziły — zwykle nie była powodem do niepokoju.

— Na to wygląda. Ethan nie jest tym jedynym — powtórzyła niepewnie Katie.

— Sporządźmy dla niego listę — zaproponowała odważnie Jill.

Zazwyczaj istnieje długa lista łatwych do wyliczenia powodów, dla których facet nie jest tym jedynym. Katie spisała je, żeby móc porównać z notatkami innych kobiet na swoim wydziale, dla których on również nie był tym jedynym (znaczna większość) i udzielić wskazówek tej jedynej, z którą w przyszłości mógł stworzyć szczęśliwy związek. Cechy te same w sobie nie były takie złe. To ona uważała, że są złe. Być może dla kogoś innego były spełnieniem marzeń. Na liście nie było rzeczy typu „Chris: kiepski rozmówca, fatalny gust, jeśli chodzi o muzykę, niezbyt rozbudowany, nieoczytany, nudny”. Wyglądała raczej tak: „Chris: mówi za dużo o futbolu, obsesyjnie chce zostać dentystą, lubi Led Zeppelin, ulubiona lektura — »Sports Illustrated«”. Dla Katie prawdziwa katastrofa. Idealny, jak się okazało półtora tygodnia później, dla Gracie, uczennicy ostatniej klasy liceum w okręgu, z którego pochodziła Katie, cheerleaderki, fanki Seahawks, miłośniczki Led Zeppelin, o wyjątkowo krzywych zębach.

— Ethan: historyk — zaczęłam.

— Kpi z ciebie, proponując lody na bazie nabiału.

— Jest kiepski w minigolfa — dodałam ochoczo.

— Nie jest mormonem — dorzuciła Jill.

— Nie jest tym jedynym. — Katie westchnęła. — Tyle że Ethan nie potrzebuje listy. Nie będę musiała dzielić się wiedzą na jego temat, bo nie znam nikogo, kto mógłby się z nim umówić. Sęk w tym, że jest inna lista. „Ethan: mądry, zabawny, świątły, feministą, liberał, nauczyciel akademicki”. Trudno znaleźć to wszystko w kościele.

— Na szczęście nie zdążyłaś się do niego przywiązać — pocieszyła ją Jill.

— Tak — odparła Katie — ale naprawdę chciałam. Jestem gotowa.

— To nie działa w ten sposób — zauważyłam.

— Nie, właśnie tak to powinno działać. Rzeczy nie dzieją się, dopóki nie jesteś na nie gotowy, a kiedy jesteś gotowy i najmniej się tego spodziewasz, wówczas się wydarzają.

— Spodziewasz się tego — rzuciła Jill.

— Ależ skąd — oburzyła się Katie. — W tym momencie byłabym pozytywnie zaskoczona.

Kłamstwo. Wiedziałam, o co jej chodzi, ale paniczny strach, że coś się nie wydarzy, to nie to samo co przeświadczenie, że coś nie jest możliwe.

— Może tak naprawdę wcale nie jesteś gotowa — powiedziała Jill.

— Oczywiście, że jestem gotowa. Nawet nie wiesz, jak bardzo tego chcę. Moje ciało jest gotowe. Małżeństwo i rodzina są częścią boskiego planu. Dokładnie to robią wszyscy dookoła. Prawie skończyliśmy studia. Bardzo tego chcę.

— To nie to samo, co być gotowym — sprostowała Jill. Głos miała cichy i spokojny; tak spokojny, że dopiero gdy Katie podniosła wzrok, uświadomiła sobie, że za tymi słowami kryje się coś więcej.

— Co masz na myśli?

— Chodzi o to, że może wcale nie jesteś gotowa. Za bardzo tego chcesz. Musisz być w stanie sama o siebie zadbać. Mieć świadomość, że poradzisz sobie bez męża. Musisz pragnąć czegoś innego, czegoś wyłącznie dla siebie. Czegoś więcej.

— Dzięki — rzuciła Katie. — Ukończyłam kurs wprowadzający do studiów

feministycznych, ale to było naprawdę pomocne.

Na górze rozległ się płacz Atlasa.

— Nie dostaniesz czegoś tylko dlatego, że tego pożądasz. A to, że tego pożądasz, nie oznacza, że jesteś na to coś gotowa. Miłość i związki to wielka odpowiedzialność — dodała Jill.

— Naprawdę? — rzuciła Katie. — Taka jak macierzyństwo?

— Nieważne. — Jill była zmęczona tą rozmową. Wstała i wyszła z pokoju. Nie była zła, tylko zmęczona małostkową postawą Katie. A może poszła uspokoić Atlasa. Nie wiem.

— Och, przepraszam! — krzyknęła za nią Katie. — Przecież nie rozmawialiśmy o tobie, prawda? W końcu ty dostajesz to, czego chcesz, czy jesteś na to gotowa, czy też nie. Nawet nie musisz się starać. Wystarczy, że pomyślisz o dziecku, i szast-prast zostajesz matką. Co do odpowiedzialności, też nie musisz się nią przejmować, bo wszyscy naokoło wypruwają sobie żyły, dwoją się i troją, żeby cię zastąpić.

— Pieprz się, Katie! — zawołała Jill.

Na górze Atlas darł się wniebogłosy. Ja siedziałam jak sparaliżowana. Katie, która niezwykle rzadko słyszy przekleństwa, wyglądała, jakby dostała w twarz. — Nie miałam zamiaru rujnować ci życia. Robiłam, co mogłam, żeby poradzić sobie w mało komfortowej sytuacji. Spośród wszystkich kiepskich opcji wybrałam tę, która, moim zdaniem, stanowiła najmniejsze zło...

— Boże, tak mi przykro, że nie mogłam być lepszym ojcem dla twojego dziecka.

— ...podczas gdy ty chcesz siedzieć tu i planować swoje idealne życie, nie mając pojęcia, jak wygląda prawdziwy świat. To żałosna fantazja. Nie jesteś gotowa na prawdziwe życie. Nawet nie potrafiłabyś go rozpoznać. Jesteś jak idiotka chodząca w deszczu po wrzosowisku z nadzieją, że kiedy zemdleje, ktoś przystojny przyjdzie jej na ratunek, a nie wie, że zamiast tego rozchoruje się i umrze.

— Jasne, szkoda, że nie znam świata tak dobrze jak ty. Właśnie widzę, że jako młoda samotna matka pracujesz na dwóch etatach, wydajesz fortunę na wychowywanie dziecka i ledwo wiążesz koniec z końcem. Byłaś tak odpowiedzialna i gotowa na to, co oferuje świat, że nawet ojciec twojego dziecka nie chciał z tobą zostać.

— Daniel chciał być ze mną — syknęła lodowato Jill.

— Tak, oczywiście. Tylko jakoś go tu nie widzę! — krzyczała Katie. Na górze Atlas zanosił się płaczem.

— Daniel porzucił Atlasa, nie mnie — warknęła Jill.

Katie wzruszyła ramionami.

— Skoro tak to sobie tłumaczysz... Ale coś się tu nie pojawia. Nawet się z tobą nie kontaktuje. Wygląda na to, że nie tęskni zbyt za żadnym z was.

— Jesteś suką, Katie! — zawołała wściekle Jill. — Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, możesz wypominać mi Atlasa. I Daniela. Ale ja przynajmniej kochałam. I byłam kochana. Może sobie z tym nie radzę, ale przynajmniej próbuję. Może sama nie dałabym rady zająć się wszystkim, ale kto powiedział, że masz radzić sobie sama z całym tym gównem? Czy nie dlatego tak bardzo potrzebujesz męża? Właśnie po to są przyjaciele. Nawet przez chwilę bym się nie wahała; nawet bym się nie zastanawiała, gdybyś to ty poprosiła mnie o pomoc. Przykro mi, jeśli cię rozczarowałam. Ale myślę, że to ty rozczarowałaś samą siebie. — Pobiegła na górę i chwilę później usłyszałyśmy, jak przemawia pieszczotliwie do Atlasa. Niedługo potem płacz ustał.

Katie krążyła nerwowo po pokoju, gotując się z wściekłości i mrużąc pod nosem.

— Jak ona śmie mówić mi o małżeństwie, rodzinie i dzieciach? Jest ostatnią osobą, która ma prawo doradzać innym na temat związków i miłości. Robię dla niej wszystko, a ona dla mnie nic. Fantazja? To ona żyje w świecie fantazji... — I tak dalej. W końcu spojrzała na mnie. —

O co ci chodzi? Myślisz, że będziesz tak siedziała i nie odezwiesz się słowem? Wydaje ci się, że jesteś od nas lepsza?

Przez cały ten czas siedziałam w milczeniu, kuląc się na kanapie. W drugim końcu leżał Wujek Claude. Przerażony obrotem spraw, zwinął się w kłębek i nakrył pysk ogonem. Ani on, ani ja nie jesteśmy konfliktowi. Ja nie krzyczę. Na nikogo. Nigdy. Mój opanowany ton i stoicki spokój doprowadzają ludzi do szału i często sprawiają, że sięgają po coś mocniejszego do picia. Nie lubię też, kiedy inni krzyczą. Kiedy robią to w telewizji, wyłączam odbiornik. Kiedy robią to w mojej obecności, wychodzę z pokoju. A jeśli nie mogę tego zrobić, staram się zniknąć i kulę się na kanapie.

— Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia — wyjąkałam ściszym głosem.

— W porządku — odparła Katie. — Ja też. — Po tych słowach ona także wyszła z salonu. Zostałam więc sama w ciemnym pokoju. Na górze Jill i Katie ochłonęły i poczuły się lepiej. Tymczasem ja czułam się coraz gorzej.

\* \* \*

Nazajutrz rano Katie zeszła na dół z Atlasem na rękach. Włączyła telewizor, klapnęła na kanapie i obudziła mnie.

— Chyba tu nie spałaś? — spytała, chociaż wszystko wskazywało na to, że tak właśnie było.

— Owszem, spałam tu — odparłam nieufnie. Byłam półprzytomna. Zastanawiałam się, jaki ma dziś humor, i byłam zła, że muszę mieszkać z tak podłymi, złośliwymi ludźmi. Katie, podobnie jak Atlas, miała zapuchnięte oczy, więc pomyślałam, że powinnam jej odpuścić.

— Uznałam, że tak będzie dobrze — oznajmiła, ani trochę nie przejmując się tym, że mnie obudziła i darła się przez pół nocy. — Ja i Ethan pozostaniemy przyjaciółmi. Nie muszę chodzić z nim na randki, żebyśmy mogli się przyjaźnić. On nie musi się nawracać, żeby być moim przyjacielem. Dzięki temu nadal będę mogła spotykać się z facetem, którego lubię, który jest mądry, zabawny i interesuje się tym co ja, więc nawet jeśli zacznę umawiać się z mężczyznami, którym daleko do ideału, nadal będę miała to, na czym mi zależy. Muszę tylko podzielić te cechy między różnych facetów. Tak jak Jill. Ona też nie potrafiła znaleźć idealnego ojca, więc wykorzystała Daniela dla seksu i spermy, a nas do pilnowania dziecka i wspierania jej w trudnych chwilach.

Chyba sama nie była przekonana co do prawdziwości tych słów. Ja tym bardziej.

— Dlaczego myślisz, że Ethan zgodzi się być w połowie twoim chłopakiem? — spytałam.

— To on zaproponował, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

— Tak się tylko mówi, Katie. Chociaż wcale się tak nie myśli.

— Kto by nie chciał się ze mną przyjaźnić? Kto by nie chciał przyjaźnić się z nami wszystkimi?

— Wielu ludzi — odparłam.

— Wysłałam mu maila i jutro wieczorem zaprosiłam go do nas na kolację. W ramach zawieszenia broni.

— Kto przygotowuje tę kolację? — spytałam tak oschle, jak było to możliwe, nie dlatego, że nie wiedziałam, bo przecież wiedziałam, ale dlatego że byłoby miło, gdyby mnie zapytała.

— Ty jesteś kucharką — odparła, bo po pierwsze była to prawda, a po drugie nie załapała. Szczerze mówiąc, zazwyczaj zniechęcam innych do gotowania. Z tej prostej przyczyny, że im to nie wychodzi.

## Rozdział 20

Myślałam, że Ethan będzie się czuł przytłoczony obecnością tylu kobiet, w dodatku doktorantek. Obawiałam się, że emocje i napięcie sprawią, że atmosfera zrobi się gorąca. Dlatego zaprosiłam Jasona i Lucasa. Kiedy człowiek gotuje, nie ma znaczenia, czy robi to dla czterech, pięciu czy siedmiu osób. Zrobiłam zupę z soczewicy, naleśniki i kuskus. Przygotowałam bogatą w witaminy sałatkę z trzech rodzajów groszku i chlebek kukurydziany. Upiekłam szarlotkę, żeby delektować się jej smakiem i celebrować słodycz nowego życia, w którym nikt nie będzie chciał zabijać swoich współlokatorów. Uznałam też, że praktycznie będzie, jeśli przygotuję sangrię z potrójną dawką alkoholu. Jedyńm sposobem na przetrwanie kolacji, w czasie której Katie i Ethan będą próbowali pozostać przyjaciółmi, podobnie jak ja, Katie i Jill, był alkohol. Nawet jeśli Katie się to nie podobało, nie powinna narażać mnie na dodatkowy stres.

Przygotowanie naleśników zostawia się na ostatnią chwilę, co z jednej strony jest prawdziwym błogosławieństwem, z drugiej zaś istnym utrapieniem. To stresujące, kiedy na uroczystej kolacji człowiek zostawia tak wiele na ostatni moment; trudno wszystko przygotować i dopilnować, by było gorące. Czasami jednak lepiej nie mieć wyboru i zrzucić na kogoś innego obowiązek zabawiania gości, podtrzymywania rozmowy i zajmowania się dzieckiem. Ethan i Katie wykazali się niezwykle spokojem i przyzwoitością, choć oboje wydawali się dziwnie smutni i przygnębieni. Miałam wrażenie, że nie widziałyśmy Lucasa i Jasona od wieków, choć oczywiście nie było to prawdą. Mimo to studiowanie razem, uczenie się, wspólne wypadki do biblioteki, opiekowanie się dzieckiem i sypianie na naszej kanapie to nie to samo co kolacja, alkohol i rozmowy na różne tematy (inne niż książki i dzieci). Zerkając na nich z kuchni, po raz pierwszy od dwóch dni poczułam coś na podobieństwo przebaczenia. Jason i Lucas okazali się bardzo pomocni — jeśli na przekór wszelkim społecznym zakazom stanowili rodzinę, my również miałyśmy prawo nazywać się rodziną. Również Ethan mnie uspokoił, bo skoro nie uważał nas wszystkich za kompletnych dziwaków, może wcale nimi nie byliśmy. Zwykle dom pełen ludzi kojarzy się z miłością. Siedzący ze mną w kuchni Wujek Claude czekał cierpliwie, aż coś spadnie na podłogę, podczas gdy ja kroiłam i siekałam, sączyłam sangrię i słuchałam śmiechu przyjaciół dobiegającego z salonu. Po raz pierwszy od dawna czułam się naprawdę dobrze.

Jill i Katie nawet nie proponowały mi pomocy, bo i tak zawsze odmawiałam. W kuchni są niedokładne i lekkomyślne. Tłumaczenie im, co powinny zrobić, zajmuje więcej czasu, niż gdybym zrobiła to sama, a taka pomoc może się okazać przydatna jedynie wtedy, gdy jest obojętne, czy warzywa są pokrojone w kostkę czy w plasterki, co w moim przypadku stanowi zasadniczą różnicę. Poza tym czuję się zakłopotana, gotując w obecności Lucasa. W końcu przygotowanie kolacji w domu, dla przyjaciół, to nie to samo co bycie szefem kuchni w restauracji, i choć Lucas zawsze miło wyraża się na temat mojego gotowania, ja nadal czuję się niezręcznie. Mówi, że wszyscy jego znajomi mają ten sam problem. Nawet matka przestała dla niego gotować. Przyjaciele nigdy nie zapraszają go na kolację. Jeśli chce zjeść coś, czego sam nie przygotował, musi jeść na mieście. Od czasu do czasu gotuję dla niego, ale nigdy wtedy, kiedy patrzy. Dlatego poprosiłam o pomoc Jasona i Ethana. Ponieważ ten pierwszy zdążył się już upić, poleciłam mu nakryć do stołu. A że umiejętności Ethana nadal pozostały nieodkryte, zleciłam mu posiekanie ziół i obranie szalotek. Czy zachowuję się jak ktoś, kto lubi dowodzić innymi? Tylko kiedy gotuję.

Katie, Jill i Lucas patrzyli, jak Atlas przewraca się po podłodze, i słyszałam, jak klaszczą i wiwatują za każdym razem, gdy mu się to udało. Jill i Katie znowu były przyjaciółkami, jakby

nic się nie wydarzyło. Ethan i ja przygotowaliśmy kolację i rozmawialiśmy o baseballu. Ja kroiliśmy kabaczki do naleśników.

— To wygląda zupełnie jak czapki, które w latach siedemdziesiątych nosili Pirates<sup>3</sup> — skwitował Ethan.

— Koszmarne stroje — odparłam.

— Ale bywały gorsze. Prawdę mówiąc, było wiele gorszych.

— Wymień choćby jeden — rzuciłam mu wyzwanie.

— Wszystkie te jasnoniebieskie stroje wyjazdowe z lat osiemdziesiątych. Dziwaczne koszulki khaki noszone ostatnio przez San Diego Padres. Jednokolorowe stroje, tak modne przez jakiś czas: czerwone czapki, czerwone koszulki, czerwone spodenki, czerwone buty i czerwone sznurowadła. Jakbym widział Houston Astros w latach osiemdziesiątych.

— Dla Astros to był pewnego rodzaju coming out — odparłam. — Te stroje nie były brzydkie. Były gejowskie. Tęcze? Gwiazdki? To nawet nie jest subtelne.

— Żaden gej nie założyłby czegoś tak paskudnego — zażartował Ethan. — A spodenki, które na tamtym pamiętnym meczu mieli White Sox?

— To nieprawda.

— Ależ prawda.

— Nie ma szans. Jak mogły im spadać?

— Nie mam pojęcia. Ale myślę, że mieli w majtkach mnóstwo piachu.

— Nie wierzę ci — odparłam. Wpisał coś w wyszukiwarce w telefonie i pokazał mi wyniki. Przez chwilę byłam zbyt oniemiała, żeby gotować.

— Rozmawiacie o baseballu?! — zawołała z pokoju Katie. — Baseball jest nudny. Przestańcie gadać i weźcie się do roboty. Umieramy z głodu.

— I omija was widok Atlasa przewracającego się po podłodze — dodała, chichocząc Jill. — Przynieście jedzenie.

Dziś rano zmęczony leżeniem na brzuszku Atlas zaczął się przewracać, podczas gdy ja czytałam mu na głos opowieść o potwornej zarazie, która pod koniec szesnastego wieku dziesiątkowała mieszkańców Londynu. Od kilku tygodni dźwigał się na rączkach, ale tego ranka włożył prawą rączkę pod lewe ramię, odepchnął się i przewrócił na plecy.

— O mój Boże, dziewczyny! — wrzasnęłam, zapominając, że po pierwsze nie mam dziesięciu lat, po drugie tak naprawdę wcale do nich nie mówię i po trzecie napędzę im niezłego stracha. Jill zbiegła na dół błada jak ściana, zanim zdążyłam podnieść się z podłogi. Tuż za nią pojawiła się zdyszana Katie.

— Obrócił się — pisnęłam zachwycona, wskazując Atlasa, który leżąc na plecach, próbował włożyć do ust palce stopy.

— Ale mnie przestraszyłaś — zbeształa mnie Katie.

Jill wybuchła płaczem, sprawiając, że poczułam się fatalnie za to, że jej nienawidziłam.

— Nie chciałam cię wystraszyć — przeprosiłam, otaczając ją ramieniem. — Byłam taka podekscytowana.

— Nie o to chodzi — tłumaczyła, szlochając. — Nie wierzę, że mnie to ominęło. Powinnam tu być. Nie powinnam była zasypiać. Właśnie dlatego większość matek nie dosypia. Bo nie chcą, żeby coś je ominęło. — Po tych słowach usiadła na podłodze obok Atlasa, ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała. Wyciągnął ku niej swą malutką rączkę, wsunął ją pod siebie i przetoczył się na brzuch.

Przez kolejną godzinę siedziałyśmy w piżamach i patrzyłyśmy, jak przetacza się po podłodze, aż w końcu wpadł pod kanapę, skąd musiałyśmy go wyciągać, i po raz kolejny zaczął przewracać się na dywanie. Potem wyszłam na spacer z psem. Po powrocie wzięłam prysznic

i razem z Katie poszłyśmy do sklepu. Zadzwoiłam do rodziców i babci, żeby opowiedzieć im o wyczynach Atlasa. Następnie trochę popracowałam i zaczęłam przygotowywać kolację. Jill przez cały dzień siedziała na podłodze i przyglądała się Atlasowi. Nie chciała, by cokolwiek jej umknęło, i cieszyła się za każdym razem, gdy się przewrócił, zupełnie jakby zrobił to po raz pierwszy (nie jego pierwszy, ale jako pierwszy człowiek; jakby w całej historii ludzkości nikt nigdy nie przetoczył się na plecy albo brzuch).

\* \* \*

Kolacja była smaczna. Upiliśmy się wszyscy. Nawet Katie, choć nie tknęła alkoholu. Wystarczyło, że przebywała w naszym towarzystwie. Śmialiśmy się i wygłupialiśmy, przekazując sobie Atlasa, tak by każdy mógł coś zjeść i dlatego, że nie chcieliśmy kłaść go do łóżeczka. W całym tym zamieszaniu, po cieście i kawie, popijając sangrię, Jason nachylił się do Katie i poprosił ją, żeby urodziła mu dziecko. Słyszając to, wybuchliśmy śmiechem. Uznaliśmy, że to niezwykle zabawne. Tyle że on mówił poważnie.

— To dość pokaźna przysługa — odparła Katie.

— Bo jesteś dobra w wyświadczeniu przysług. Pozwalasz mi spać na swojej kanapie — odparł Jason. — I masz u mnie dług. Opiekuję się dzieckiem. I dałem ci wszystkie swoje notatki z egzaminów ustnych. Dzięki temu oszczędziłaś mnóstwo czasu i pracy. Poza tym jestem dobry w łóżku.

— To prawda. — Lucas pokiwał głową.

— Rozmawiamy o tym od dłuższego czasu. Myślimy o dziecku, odkąd jesteśmy razem. Zawsze wiedzieliśmy, że chcemy zostać rodzicami.

Lucas i Jason spojrzeli na siebie z miłością. Katie wyglądała na przerażoną. Jill i ja wymieniliśmy spojrzenia, nie wiedząc, czy śmiać się, czy zacząć się niepokoić. Ethan z uśmiechem na twarzy rozglądał się po pokoju, jakby w poszukiwaniu ukrytych kamer.

— Dlaczego ja? — spytała Katie.

— Bo jesteś wprost idealna — odparł ochotczo Jason. Wyglądało na to, że rzeczywiście rozmyślał o tym od dłuższego czasu. — Spośród wszystkich osób, które znam, tylko ty jesteś w stanie zrozumieć seks dla prokreacji. Dasz początek nowemu życiu.

— To micwa — zauważył Lucas.

— Urodzisz dziecko ludziom, którzy nie mogą go mieć. Uszczęśliwisz tym wiele osób.

— Moja matka kupiłaby ci mnóstwo prezentów — dodał Lucas.

— Czy wyście poszaleli? Niby po co miałabym to robić? — spytała Katie. Obaj rozpromienili się, myśląc, że naprawdę bierze to pod uwagę, choć ja byłam przekonana, że żadna siła na świecie nie zmusiłaby Katie do podjęcia takiej decyzji.

— Cóż, myśleliśmy o tym — odparł Jason. — Chodzi o radość z pomagania innym. Akt dobroci. Boski plan stworzenie nowego życia...

— Dlaczego Jason? — przerwałam mu, żeby zapytać Lucasa. — Dlaczego on, a nie ty?

— Pierwotny plan zakładał, że obaj prześpiemy się z Katie. — Była tak czerwona, czy to ze złości, czy z zakłopotania, że zaczęłam obawiać się o jej zdrowie. — Tak, żebyśmy nie wiedzieli, kto naprawdę jest ojcem dziecka. Ale nie jesteśmy podobni, więc, chcąc nie chcąc, i tak pewnie byśmy się dowiedzieli. Dlatego pomyśleliśmy, że Katie czułaby się bardziej komfortowo, gdyby przespała się z kimś, kogo zna lepiej. Poza tym seks z dziewczynami mnie przeraża. Bez urazy. Nie jestem nawet pewien, czy dałbym radę.

— Boże, nie zamierzam iść z nikim do łóżka — wybuchła Katie. — Nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy.

Tymczasem Lucas mówił dalej, jakby w ogóle jej nie słyszał:

— Oczywiście wykupilibyśmy ci dobre ubezpieczenie zdrowotne, fajne ubrania ciążowe, cokolwiek byś potrzebowała. Dostałabyś też trzydzieści tysięcy dolarów.

Niemal zakrztusiłam się sangrią. Krew odpłynęła z twarzy Katie. Trzydzieści tysięcy to niemal trzy lata naszej pracy. Lucas mógł o tym nie wiedzieć, ale Jason był tego świadomy, dlatego wszystkie trzy spojrzaliśmy na niego, czekając na dalsze wyjaśnienia. Kiedy wspomniał o przysłudze, myślałam, że właśnie tak to sobie wyobrażał.

— Prawdę mówiąc, takie rozwiązanie zaoszczędziłoby nam niepotrzebnych wydatków i nerwów — wyjaśnił. — Sami wiecie, matki zastępcze, adopcje, wprowadzanie plemników do jamy macicy. Wszystko to jest naprawdę drogie. Do tego jeszcze trauma emocjonalna. Jeśli załatwimy to w kręgu przyjaciół, zaoszczędzimy pieniądze i pozbedziemy się uczucia, że robimy coś niezgodnego z naturą. Znamy matkę, więc gdyby potrzebna była nerka albo jakiegokolwiek informacje...

— Nie daj Boże — wtrącił Lucas.

— Nie daj Boże — ciągnął Jason — ale wiedzielibyśmy, dokąd pójść. Wiemy, że nie zmieniałabyś zdania w ostatniej chwili, bo jesteśmy przyjaciółmi, i wiem, że nigdy byś nam tego nie zrobiła.

— A do tego już jesteś matką zastępczą — dodał Lucas. — Atlas nie jest twoim dzieckiem, a opiekujesz się nim jak swoim własnym. W tym przypadku byłoby tak samo, tyle że miałabyś więcej roboty przed i znacznie mniej po...

Nie dokończył. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Taka cisza byłaby nie do zniesienia, gdyby nie fakt, że byliśmy już zdrowo wstawieni. Wiedziałam, że Katie w życiu się na to nie zgodzi. Tylko czysta miłość była w stanie przekonać Jasona, że będzie inaczej. Jeśli Katie chciałaby mieć dziecko, musiałaby to zaplanować, a nie sądziłam, żeby zrobiła to teraz.

— Kocham was. Wiecie o tym. Ale nie mogę... nie potrafiłabym.

— Może przemyśl to sobie — zaproponował Jason.

— Nie spiesz się. Po prostu się zastanów — dodał Lucas. — Dla nas.

— Seks byłby... wybacź moją szczerość, ale wiem, że się tym przejmujesz. Byłby delikatny, przyjemny i szybki. I na pewno nie obrzydliwy — dodał pospiesznie Jason.

— Nie zrobię tego — powtórzyła cicho Katie.

— Przewidzieliśmy, że tak zareagujesz — ciągnął Lucas. — Ale jeśli się nad tym zastanowisz, zobaczysz, że to wcale nie jest takie dziwne.

— Poza tym wiesz, że się kochamy — dodał Jason.

— Wiesz, że bylibyśmy świetnymi rodzicami i stworzylibyśmy maleństwu dom pełen miłości.

Katie się zawahała. Kiedy się odezwała, głos miała łagodny, ale stanowczy.

— Bycie gejem jest... czymś, czego... nie pochwalam...

— Katie! — jęknęła Jill.

— Co? Oni mogą prosić mnie o coś takiego w trakcie kolacji, ale ja muszę uważać na to, co mówię?

Lucas zwiesił głowę, ale Jason wyglądał na gotowego do batalii.

— Znacie moje podejście — ciągnęła Katie urażonym głosem, jakby to ją obrażono. — Po co w ogóle pytaliście? Co sobie myśleliście?

— Że kochanie nas znaczy tyle samo co przyznanie, że nie jesteśmy grzesznikami? — odparł Jason. — Że skoro nas kochasz, weźmiesz pod uwagę to, że mogłabyś nam pomóc i urodzić nasze dziecko?

— Ja nie... nie uważam, żeby wychowywanie dzieci przez gejowskie pary było dobrym pomysłem.

— Bylibyśmy świetnymi rodzicami — oświadczył ze spokojem Lucas.  
— Dziecko potrzebuje matki i ojca — upierała się.  
— Jak możesz tak mówić? — spytał Jason. — Jak ci się wydaje, co to jest? — Niedbale machnął ręką, jakby miał na myśli nas wszystkich, pokój i cały dom.  
— To, co robimy, jest wspaniałe — odparła Katie. — Ale tymczasowe. Nie będziemy robiły tego bez końca.  
Nie powiedziała, że nie możemy. Że, być może, będzie inaczej. Powiedziała, że nie będziemy. Jakby była o tym przekonana. Jakby miała w głowie plan awaryjny.  
— Dlaczego nie spytaliście Janey?  
— Janey za bardzo by się przywiązała. — Jason wzruszył ramionami. — I koniec końców nie chciałyby oddać nam dziecka.  
— Czyli co? Ja jestem wystarczająco nieczuła, żeby to zrobić? — zapytała wściekle Katie.  
— Tak, jesteś wystarczająco nieczuła — odparł Jason.  
\* \* \*

Cóż mogę powiedzieć o uroczystych kolacjach takich jak ta? Są wstrząsające, ale nie są niczym niezwykłym wśród przyjaciół, tak więc nie muszę tłumaczyć, co czułyśmy, kiedy sytuacja stała się na tyle niezręczna, że wszyscy wstali od stołu i pod różnymi pretekstami wrócili do domu. Odetchnęliśmy z ulgą, zadowolone, że w końcu zostałyśmy same i mamy dom tylko dla siebie; zupełnie jakbyśmy bladym świtem wróciły wykończone po całonocnej imprezie. Jednak takie kolacje utrudniają wszelkie powroty. No bo jak tu wrócić, gdy poprosiło się przyjaciółkę o to, by się z tobą przespała i urodziła twoje dziecko, nawet jeśli w głębi duszy wiedziałeś, że powie „nie”, to kiedy to usłyszałaś, poczułaś nieopisaną ulgę.

— Przepraszam, Katie. Nie chcieliśmy cię zdenerwować. Ale musieliśmy zapytać. Nadal mnie kochasz? — spytał Jason, wychodząc.  
— Mimo że wprawiliście mnie w zakłopotanie? I zrobiliście ze mnie potwora?  
— Tak.  
— Tak, nadal cię kocham. A ty wciąż mnie kochasz?  
— Chociaż odmówiłaś, nawet się nad tym nie zastanawiając? Chociaż uważasz mnie za grzesznika i jesteś bigotką?  
— Tak.  
— Tak, nadal cię kocham.

Tak to właśnie jest z Katie. Człowiek musi brać na nią poprawkę. Ona naprawdę wierzy w to, w co wierzy, nawet jeśli obraża to innych. To jest jej świat. Jeśli ją kochasz — a my ją kochamy — musisz się z tym pogodzić. To są jej reguły. Katie jest wyrozumiała, bo nie próbuje nas nawracać, mimo iż w głębi duszy wierzy, że wszyscy pójdziemy do piekła. Czasami mam jej to za złe. Przyznaję, że to raczej mało prawdopodobne, ale zastanawiam się, czy nie kocha mnie na tyle, by przynajmniej dać mi szansę? Taka właśnie była filozofia Jasona. Wiedział, że powie „nie”, ale z miłości do Lucasa próbował.

— Dzięki za wszystko — rzucił Ethan. Spojrzał na nas zamglonym wzrokiem, uściskał każdą z nas i wyszedł z Lucasem i Jasonem, jakby przyjaźnili się od podstawówki. — Świetnie się bawiłem. Zorganizowałyście naprawdę... — urwał i po chwili dokończył: — niesamowitą kolację. Z chęcią przyjdę na kolejną.

Zamknęłyśmy drzwi i przez chwilę podziwialiśmy odwagę, jaką wykazał się, obiecując wrócić. Zostawiłyśmy porzucane po całym domu sterty brudnych naczyń i położyłyśmy się spać.



Leżąc w ciemnościach, próbowałam zdecydować, czy czuję się urażona, że zapytali Katie, a nie mnie. Ja także bym się nie zgodziła. Mieli rację, mówiąc, że za bardzo bym się przywiązała. I choć prawdą jest, że miło by było, gdyby mnie zapytali, nie można zadawać takich pytań, jeśli człowiek rzeczywiście tak nie myśli. Już samo mówienie o tym jest czymś zbyt osobistym. Dlatego wiedziałam, że Jason i Lucas nie zaproponowali tego od tak sobie. Chęć posiadania dziecka nie była kaprysem. Przemyśleli to wszystko, zanim postanowili zapytać Katie. Zastanawiali się nad tym, planowali i czekali, aż zerwie z Ethanem, by porozmawiać z nią, zanim znajdzie kogoś innego. Musieli brać pod uwagę każdą znaną im kobietę w wieku rozrodczym i zdecydowali się na osobę, która — ich zdaniem — potrafiła oddzielić seks od przyjemności i poród od macierzyństwa. Ja nigdy nie byłam dobra w tym pierwszym, a z drugim na pewno bym sobie nie poradziła. Dlatego powiedziałabym „nie”. Poza tym trudno — i smutno — byłoby im odmówić. Ale mimo wszystko powinni byli mnie zapytać.

\* \* \*

Następnego dnia Katie miała gotowy plan.

— Już wiem, co zrobię — oznajmiła radośnie przy śniadaniu.

— Tak? Co?

— Będę modliła się o mężów dla moich przyjaciółek z Kościoła. A one będą modliły się o męża dla mnie. W ten sposób to nie ja będę prosiła o coś dla siebie. I to nie ja będę desperacko chciała znaleźć męża. Będę za to chciała szczęścia i mężów dla moich przyjaciółek. Żadnego samolubstwa. Żadnej obsesji. Skupię się na innych. Uważam, że to bardzo dojrzałe podejście.

Oto, w jaki sposób Katie obeszła swoją fabułę. Z tego, co usłyszała od Jill, wywnioskowała, że nie może myśleć wyłącznie o tym, by się zakochać i wyjść za mąż. Rozmowa z Jasonem i Lucasem uświadomiła jej, że była samolubna, troszcząc się wyłącznie o siebie, i najpierw musi pomóc przyjaciółom. Tak więc została bohaterką rodem z powieści Jane Austen; dziewczyną, która tak bardzo skupiała się na miłości i szczęściu otaczających ją ludzi, że zapomniała o sobie. Tymczasem gdzieś z boku dojrzywała miłość, na którą nieświadomie się szykowała. A cokolwiek się stanie, wydarzy się bez jej żenująco oczywistego wysiłku.

## Rozdział 21

Atlas jakoś przeżył semestr, podobnie jak my. Nie było mu łatwo, kiedy zapłakany przechodził z rąk do rąk, widząc, jak jedna opiekunka mija się w drzwiach z drugą, która zdyszana wraca do domu, myślami nadal będąc w bibliotece. Sądziłam, że zbyt mocno przywiąże się do Jill, że będzie za nią płakał albo — co gorsza — przywiąże się do mnie lub do Katie, ale tak się nie stało. Czuł się doskonale w każdym towarzystwie, nie tylko z naszą trójką, ale również z Jasonem, Lucasem, a nawet z Ethanem, który — od czasu do czasu — nadal wpadał na kolację, i oczywiście ze swoimi dziadkami — Diane i moją rodziną. Ci odwiedzali nas tak często, jak było to możliwe, ale nie na tyle często, by zdążył ich zapamiętać. Mam nadzieję, że przekonał się, iż w pobliżu zawsze jest ktoś, kto go kocha, nawet jeśli nie był pewny, kim jest ta osoba. Musiał też wiedzieć, że ten ktoś raczej na pewno będzie wykończony, zajęty lub sfrustrowany.

W tamtym czasie Atlas był najbardziej opanowaną osobą w domu. Jill przechodziła kryzys wiary związany z kierunkiem studiów i badaniami. Kryzys Katie spowodowany był możliwościami oferowanymi przez miłość, mężczyzn i małżeństwo. A mój? Cóż, mój kryzys spowodowany był nimi obiema. Niezdolność moich współlokatorek do przejścia kontroli nad własnym życiem doprowadzała mnie do rozpacz. Zgubny w skutkach wpływ słowa pisanego, chroniczny brak Tego Jedyne, nieumiejętność dogadania się, przygotowywania własnych posiłków i podtrzymywania przyjaźni dobijały mnie. Zajmowanie się Atlasem sprawiało mi radość. Ale było też brzemieniem. Myśl ta powoli wpełzała do mojego umysłu, w końcu zadomowiła się w nim na dobre i nie chciała się wynieść. Patrzyłam krzywym okiem na wszystko, co robiła Jill, a co nie miało związku ze studiami, żalując, że poświęcam dla niej pracę i wolny czas. Miałam za złe Katie jej obsesję na punkcie spotykania się z facetami, którą odczytywałam jako swoistą ucieczkę od rzeczywistości. Wściekałam się na Jasona, kiedy raz w tygodniu spał u nas, zamiast wracać do domu. Od czasu do czasu wściekałam się również na Daniela, który najwyraźniej dał sobie spokój z całym tym zamieszaniem, choć jego nieobecność — tak rażąca i irytująca w pierwszych tygodniach po powrocie Atlasa ze szpitala — przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Wiedziałam, że złość, jaką czuję, w znacznej mierze jest niesprawiedliwa. Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę nic na to poradzić i że rujnuje ona krótkie chwile, które mogłam poświęcić na niczym niezmaconą, wolną od poczucia winy pracę. Ale nie potrafiłam się jej pozbyć. Jill coraz bardziej oddalała się od swoich obowiązków na uczelni i coraz bardziej zagłębiała się w jogę i medytację. Jestem pewna, że tego było jej trzeba i że jej to pomagało, ale z trudem opanowywałam złość, gdy wracałam zdyszana do domu i zastawałam ją siedzącą na podłodze w pozycji lotosu, czerpiącą duchowe spełnienie z czynności, które do niedawna wydawały się jej śmieszne. Katie panowała nad swoim życiem zawodowym, ale ze swojego życia duchowego uczyniła prawdziwy manifest. Kościół, z którym zawsze była blisko związana, zupełnie zdominował jej życie. Bez przerwy mówiła o Bogu, modlitwie i o tym, że to On sprawuje władzę nad naszym życiem i przeznaczeniem. Podobnie jak w przypadku Jill, byłam pewna, że dzięki temu Katie odnalazła równowagę i radziła sobie z problemami, mimo to uważałam, że jest to nieszczerze i irytujące, a poza tym byłam zazdrosna o spokój Katie, który był mi tak bardzo obcy. Chciałabym wierzyć, że żadna z tych rzeczy nie miała wpływu na Atlasa, ale wiem, że to nieprawda. Wszyscy opowiadamy cudze historie.

Dla pocieszenia i zdrowia psychicznego zaczęłam znowu biegać. Biegałam w college'u, ale przestałam ze względu na kontuzję kolana. Poza tym joga wydawała się znacznie łagodniejszą i bardziej leczniczą formą sportu. Jednak Jill wszystko popsuła i choć wiedziałam,

że zgodnie z założeniami jogi to, co robiła w pokoju gościnnym, było dobre dla nas obu, nie potrafiłam tego znieść. Bieganie, niezależnie od tego, jak wpływa na kolana, pomaga się uspokoić. Kiedy nie słyszysz niczego poza własnym oddechem, możesz być myślami wszędzie albo nigdzie, w zależności od tego, co wolisz. Trudno się złościć, gdy człowiek walczy o każdy oddech, kiedy nogi krzyczą, żebyś się zatrzymał, a reszta ciała gna do przodu, coraz dalej i dalej.

Bieganie zimą przyspiesza nadejście wiosny i lata, ponieważ to najprzyjemniejsza rzecz, jaką można robić w lutym na świeżym powietrzu. Choć na zewnątrz jest zimno i ciemno, zimowe miesiące pozwalają ćwiczyć i się nie przegrzać. To z całą pewnością duży plus. Oznacza również, że choć każdy milimetr twego ciała czeka na upragniony lipiec, jakaś część ciebie (prawdopodobnie są to uda) rozkoszuje się zimowym marazmem, a ponieważ — jak każdy wie — nic nie spowalnia upływu czasu tak, jak pragnienie, by coś się skończyło, bieganie przyspiesza nadejście wiosny.

Wkrótce zaczęłyśmy myśleć o końcu roku. To jedna z najlepszych rzeczy na uniwersytecie — bez względu na to, jak kiepsko wyglądają sprawy, kończą się i zaczynają od nowa średnio co piętnaście tygodni. A w ciągu piętnastu tygodni człowiek jest w stanie zrobić wszystko. Nieważne, że lato nie oznaczało końca depresji Jill, obsesji Katie i mojej złości; było nowym początkiem, szansą na to, by przemyśleć pewne rzeczy i poczynić plany. Przede wszystkim jednak koniec zajęć oznaczał prawdziwy nawal wolnego czasu. Nadal musiałyśmy prowadzić zajęcia, gromadzić materiały i pisać, ale to nie to samo. Kiedy człowiek spędza na uniwersytecie tyle czasu co my, ciało i umysł automatycznie myślą o tym, by latem zrobić sobie wolne.

Nadejście lata zwiastowało również koniec pewnego etapu, zupełnie jakbyśmy przetrwały pierwszą rundę. Przypomniało mi również o ubiegłym lecie, kiedy to wszystko się zaczęło. I choć wiosną dopadła mnie tęsknota za własnym mieszkaniem i własnym nieskomplikowanym życiem, miałam wrażenie, że wszystko to wydarzyło się dawno, dawno temu. W tym czasie chaos i niepewność zostały zastąpione dziwnym uczuciem niestabilnego rozejmu i chwiejnej, kruchej, desperackiej równowagi. Również w tym samym czasie chaos stał się Atlase i fakt ten był niezwykle radosny. Rzeczy miały się jeśli nie dobrze, to z pewnością lepiej niż przedtem. Nawet jeżeli nie było nam łatwo. Jak już powiedziałam, w ciągu piętnastu tygodni można zrobić naprawdę wszystko, tak więc gdzieś między ósmym a dwunastym tygodniem moja złość zaczęła tracić na sile, choćby dlatego, że już niebawem obecna sytuacja miała zostać zastąpiona przez kolejną.

\* \* \*

Pewnego popołudnia wyszłam pobiegać, mimo że dzień był pochmurny, a prognozy pogody nie zwiastowały niczego dobrego. Coraz częściej zdarzało się, że biegając, traciłam poczucie czasu i rzeczywistości. Nie wiedziałam, jak daleko i jak długo biegnę. Nie wiedziałam nawet, dokąd biegnę, i kiedy rozpadało się na dobre, byłam kilka kilometrów od domu. To nieprawda, że w Seattle zawsze pada deszcz, a kiedy już pada, rzadko jest on intensywny. Znacznie częściej jest to ciągnąca się miesiącami, gęsta mżawka. Ulewy zwykle zwiastują nadejście wiosny. W pewnej chwili zawróciłam, wystarczająco rozgrzana, by cieszyć się pogodą, i zaczęłam biec w stronę domu w strugach deszczu, który niebawem przerodził się w prawdziwą późnowiosenną ulewę. Ulice i chodniki zmieniły się w rwące rzeki. Strumienie wody spływały po moich włosach, twarzy, ubraniach i skórze, sprawiając, że zamiast biec, przeskakiwałam między kałużami niczym bawiąca się w deszczu mała dziewczynka. Samochody trąbiły, a siedzący w nich ludzie wskazywali mi palcami i śmiali się albo patrzyli na mnie, obawiając się o moje zdrowie psychiczne i bezpieczeństwo. Ja tymczasem śmiałam się do utraty tchu;

przemoczona biegłam pośród lejących się z nieba strumieni wody, które sprawiały, że czułam się coraz bardziej oczyszczona.

Co więcej, kiedy w końcu wróciłam do domu, był on pogrążony w ciemności i pusty. Nie miałam pojęcia, gdzie są wszyscy. Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie obchodziło. Stałam na środku kuchni, ociekając wodą, zasluchana we własny ciężki oddech, wśród gęstniejącego mroku spotęgowanego przez ciemne deszczowe chmury, przez które wszystko dookoła wydawało się dziwnie niebieskie, i zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Wziąć kąpiel. Porozmawiać w spokoju przez telefon. Ugotować kolację wyłącznie dla siebie. Prostota, którą można było porównać jedynie do luksusu. Minęło tyle czasu. Nie miałam pojęcia, jak bardzo — bardziej niż za czymkolwiek innym — tęskniłam za samotnością. Nie jest egoizmem myślenie wyłącznie o sobie, kiedy człowiek jest sam. Zdjęłam przemoczone ubrania i zostawiłam je rozrzucone na kuchennej podłodze, włożyłam suche spodnie dresowe i bluzę, sięgnęłam po byle co do jedzenia i usiadłam na kanapie, żeby obejrzeć cokolwiek w telewizji albo w ciszy i samotności posłuchać deszczu tłukącego o szyby. Zamknęłam oczy i poczułam, jak mięśnie, o których istnieniu nie miałam nawet pojęcia, rozluźniają się pierwszy raz od miesięcy.

Wychodzące na werandę szklane drzwi rozsunęły się z cichym westchnieniem, ukazując uśmiechniętego, mokrego, nagiego Atlasa siedzącego na biodrze uśmiechniętej, ociekającej wodą nagiej Jill. Widząc mnie, prawie go upuściła.

— Ale mnie przestraszyłaś! — powiedziała szeptem, jakby bała się, że czar pryśnie.

— Ty mnie też — odszepnęłam.

— Bawiliśmy się w deszczu — wyjaśniła.

— Mnie złapał w trakcie biegania.

Pokiwała głową. Na podłodze wokół nich utworzyły się kałuże, a ich zmarznięta, wilgotna skóra zmieniła kolor na jasnoczerwony. Promienieli, mokrzy i lśniący, zmarznięci i rozgrzani. Nawet w ciemnościach byli tak piękni, że nie mogłam oderwać od nich wzroku. Atlas roześmiał się, zadowolony z powrotu do domu albo rozbawiony widokiem przemoczonej do suchej nitki matki. Jill także się roześmiała, nadal rozbawiona tym, co wydarzyło się na zewnątrz, widokiem mnie siedzącej na kanapie i nieco zawstydzona własną nagością. I nagle zaczęła płakać. Nie był to spazmatyczny, głośny płacz i poniekąd przypominał śmiech i spływające po twarzy krople deszczu, z tą różnicą, że wypływały one z jej oczu.

— Tak mi przykro, Janey — szepnęła. — Nie wiedziałam, że tak to będzie wyglądało. Nie wiedziałam, że będzie tak ciężko.

— Ja też — odparłam zduszonym głosem.

— Nie chcę was stracić — ciągnęła, chowając twarz we włosach Atlasa.

— Nie stracisz nas — zapewniłam ją i mówiłam szczerze.

— Chcę dla niego tak wiele — dodała. — Warto poświęcić wszystko, nawet mnie, nawet was, byle tylko był kochany.

— Zawsze będzie kochany. Ty też. Nikogo nie będziemy poświęcać.

— Myślisz, że wszystko się ułoży? — spytała.

Zastanawiałam się, co miała na myśli. Naszą przyjaźń, swoją karierę, moje zdrowie psychiczne, dzieciństwo Atlasa?

— Wszystko będzie dobrze — obiecałam, cokolwiek to było. — Ułoży się. Będzie tak jak trzeba, a nawet lepiej. W końcu mamy wiosnę — dodałam na potwierdzenie swych słów.

Uśmiechnęła się szeroko, wolną ręką przetarła oczy i nos i przypomniawszy sobie, że jest naga, oblała się rumieńcem.

— Myślisz, że to mają na myśli, mówiąc o czystej miłości? — spytała.

— Pewnie tak. — Uśmiechnęłam się. Czułam, że powoli uwalniam się spod jej uroku. —

Lepiej wysuszczone się i zagrzejcie, zanim oboje się rozchorujecie — poradziłam, naśladowując swoją babcię. — Weź kąpiel, a ja go ubiorę. Zjemy na kolację placki ziemniaczane. — Nie przepadałam za nimi, ale ona je uwielbiała. Czasami to nieprawda, że zachowanie zmienia się wraz z podejściem. Nie tyle Jill i Katie musiały się zmienić, ile ja powinnam przestać się złościć i pamiętać o otwartej, ślepej, świadomej, nieograniczonej, jednoznacznej, bezwarunkowej miłości — czystej miłości — zanim to wszystko nabierze znowu sensu. Musiałam odnaleźć ją w miejscach, w których ukryła się przed światem, wyciągnąć na światło dzienne, otulić się nią, udekorować nią dom, poczuć na skórze jej dotyk, wpleść ją we włosy i pozwolić, by niczym świeży wiosenny deszcz spłynęła z nieba, zanim będę mogła ją poczuć, podzielić się nią, rozkoszować jej obecnością i zrozumieć — w końcu — co tak naprawdę znaczy. Przynajmniej ta jej część. Przynajmniej dziś.

CZEŚĆ III  
*Pierwsze lato*

## Rozdział 22

Pierwsze lato. Pierwsze lato Atlasa na tym świecie. Jedyna w swoim rodzaju, najlepsza pora roku. Ale przede wszystkim pierwsza połowa letniego semestru. Określenia te stanowią przykład rażącego braku poszanowania dla praw natury, mechaniki kwantowej i rządzących czasem zasad fizyki. Upychanie tego, co zwykle zajmuje piętnaście tygodni, w trzykrotnie krótszym czasie, być może nie wydaje się szokujące, ale takie właśnie jest, ze względu na to, co oznacza w praktyce, i kompromisy, na które musiałyśmy się zgodzić, by osiągnąć zamierzony cel. Nigdy nie prowadzę zajęć w drugiej połowie letniego semestru. Prawdę mówiąc, nienawidzę tego okresu. Letni semestr zaczyna się tuż po tym, jak kończy się wiosenny, i nietrudno przeżyć jego pierwszą połowę, zwłaszcza że człowiek ma wówczas znacznie mniej roboty. Druga połowa rozpoczyna się pięcioma tygodniami wolnego, ale później człowiek pracuje bez przerwy aż do świąt Bożego Narodzenia. Boże Narodzenie.

Kiedy raz zmusili mnie, bym prowadziła zajęcia w drugiej połowie letniego semestru, i poskarżyłam się Nicowi, że będę musiała pracować aż do Gwiazdki, przypomniał mi o pięciu tygodniach wolnego. Ludzie, którzy pracują od dziewiątej do siedemnastej i w ciągu roku mają zaledwie dziesięć dni wolnego, daliby się zabić za te pięć tygodni. Tylko że oni, w przeciwieństwie do mnie, mają wolne weekendy. Tymczasem ja muszę czytać, pisać i gromadzić materiały. No i oceniać prace studentów. Dwa kursy z kompozycji dzieła literackiego, po dwudziestu pięciu studentów w grupie, pięć prac na studenta, każda po pięć stron, pięć minut na stronę — nawet ja potrafię liczyć. Ale nie muszę. Wystarczy powiedzieć, że potrzebuję na to cały weekend. Kolejnym powodem, dla którego te pięć krótkich tygodni wolnego nie powinny być aż takim powodem do zazdrości, jest to, że ludzie, którzy mają normalną pracę, tak naprawdę wcale nie pracują od dziewiątej do siedemnastej. Mają przerwy na kawę, na papierosa i na wodę, wychodzą na lunch, organizują przyjęcia dla współpracowników i biorą udział w imprezach integracyjnych, na przykład w parkach linowych. My też to robimy (no, może z wyjątkiem wypraw do parków linowych), ale nie w godzinach pracy. Poświęcamy na to czas, który normalnie przeznaczylibyśmy na sen, bo przecież w wolnym czasie musimy sprawdzić prace studentów i przygotować się do zajęć. Kolejnym argumentem Nica był fakt, że, tak czy inaczej, to tylko pięć tygodni wolnego, więc jakie to ma znaczenie, czy będzie to pierwsze pięć tygodni, czy drugie. Trzy słowa: aż do świąt.

Piętnaście tygodni ograniczone do zaledwie pięciu to matematyka, z którą nawet ja potrafię sobie poradzić. Jest to równoznaczne ze spotykaniem się na dwie godziny dziennie, brakiem wolnych dni i czasu na obijanie się. Znaczy to też, że każdy stracony dzień sprawia, iż studenci zostają w tyle, choć żyją w przekonaniu, że mogą częściej urywać się z zajęć, bo przecież te odbywają się każdego dnia. Liczba godzin jest dokładnie taka sama jak w wiosennym semestrze, ale czas przeznaczony na prace domowe jest skrócony do jednej trzeciej — jedna trzecia czasu na czytanie, na zbieranie materiałów, pisanie prac i ukończenie projektów. Jedna trzecia czasu na ocenianie. Sami więc widzicie, że jest to nie lada wyzwanie. Z drugiej strony uwielbiam letni semestr. Dobrze jest skupić się na jednej rzeczy, zamiast na pięćdziesięciu. Człowiek żywa się ze studentami i czuje, że wykonał mnóstwo roboty. Przede wszystkim jednak ma okazję wyjść z domu i na cały poranek uwolnić się od swoich współlokatorek (które również prowadzą zajęcia w drugiej połowie letniego semestru) i ich dziecka. Jeśli masz konsultacje, wychodzisz na lunch z przyjaciółką, a później idziesz pobiegać i nie widzisz żadnej ze współlokatorek aż do późnego popołudnia.

Nie ma nic bardziej męczącego niż letni semestr. Dobrze, że mija tak szybko, bo człowiek

nie jest w stanie wytrzymać takiego tempa dłużej niż kilka tygodni. Czasami sprawdzanie prac, planowanie i spotkania ze studentami zajmują tak wiele czasu, że nie starcza go na nic innego. Ale to coś więcej niż letni semestr. Czas zostaje nagięty. Abstrakcyjne teorie fizyki znajdują zastosowanie. Letnie semestry, mimo czasu spędzanego w pracy, bywają więc dziwne i obfitują w wydarzenia. Ten semestr odmienił cały świat. Pięć tygodni później ten świat był innym miejscem i choć pozornie taki sam, miał niewiele wspólnego z dawnym życiem, tak odległym, że nie miałam pewności, czy rzeczywiście było to moje życie.

\* \* \*

Prowadziłam zajęcia ze wstępu do literaturoznawstwa. Pierwszy dzień jest zawsze najłatwiejszy. Wówczas studenci najbardziej przypominają tych, o których marzy wykładowca, przygotowując się do kursu, a jedyne, co muszą robić, to słuchać, uśmiechać się i śmiać się w odpowiednich momentach. Pierwszego dnia, kiedy nie mieli jeszcze nic do czytania, zdecydowałam — inspirując się Atlasem — poczytać im na głos. Omawialiśmy *Lorax*<sup>4</sup>. Nie ma to jak dobra literatura. Usiedliśmy w kole, tak bym mogła pokazywać im obrazki. Początkowo byli nieufni, jakby mieli mi za złe, że traktuję ich jak przedszkolaków. Jednak wkrótce odprężyli się i przypomnieli sobie, jak to miło, kiedy ktoś opowiada ci historię, którą znasz; kiedy możesz zapomnieć o fabule i skupić się na narracji, wsłuchać się w głos czytającego, czekać z niecierpliwością na znajome zakończenie i odkryć w nim coś więcej niż to, co zostało napisane. Istnieje powód, dla którego czytamy dzieciom, i nie robimy tego dlatego, że same nie potrafią czytać. Jest różnica między czytaniem samemu a słuchaniem, gdy ktoś czyta nam na głos. Miałam ochotę zaprezentować moim nowym studentom metaforę dotyczącą seksu i masturbacji, ale uznałam, że pierwsze zajęcia to chyba niezbyt odpowiedni moment. Na następny raz mieli przeczytać i zinterpretować kilkanaście wierszy.

Uśmiechnęłam się, widząc na ich twarzach ulgę („Wydaje się miła” i „Nie będzie tak źle”) i sama wyszłam na zewnątrz, żeby powygrzewać się na słońcu.

Na schodach na zewnątrz wpadłam na Ethana, który najwyraźniej postanowił zrobić to samo.

— Co robisz przed moim budynkiem? — spytałam, siadając obok niego.

— Nie wiedziałem, że jest twój — odparł.

Odwróciłam się i spojrzałam na wiszącą nad drzwiami tabliczkę.

— Tu jest napisane „Wydział Anglistyki” — zauważyłam.

— Rzeczywiście — przyznał i wzruszył ramionami. — Letni semestr. Remontują wydział historii, żeby zdążyć przed jesienią. Usuwają azbest albo coś takiego. Człowiek od razu czuje się lepiej, kiedy pomyśli o ostatnich czterech latach, które tam spędził. W każdym razie do tego czasu wszystkie nasze zajęcia odbywają się w tym budynku.

— Co to za zajęcia?

— Z historii Stanów Zjednoczonych? A twoje?

— Literatura — odparłam radośnie, obejmując kolana ramionami i uśmiechając się do niego, jakby to był niesamowity zbieg okoliczności. Uwielbiam pierwszy dzień zajęć.

— Omawialiście *Lorax*? — spytał, patrząc na książkę w moich rękach.

— Tylko dziś. Wyjątkowo.

— Brzmi ciekawie.

— A ty? O czym dziś mówiłeś?

— Zrobiłem miniwykład podsumowujący kurs wstępny, na wypadek gdyby zapomnieli albo w ogóle w nim nie uczestniczyli.

— Wystarczyła ci na to godzina?



— No cóż, kurs wstępny obejmuje okres od czasów, gdy pojawiły się pierwsze zapiski, mniej więcej do roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątego dziewiątego. Dotyczy wyłącznie cywilizacji zachodniej, więc jest to wykonalne.

— Wydają się mili? — spytałam.

— Na razie tak — odparł. — A twoi?

— Wydają się sympatyczni.

Siedzieliśmy w milczeniu, czując euforię zmieszaną z ulgą. Adrenalina i nerwy, które zawsze towarzyszą pierwszym zajęciom, powoli nas opuszczały, a ich miejsce zajmował spokój, który nadchodzi wraz z zadaniem pierwszej pracy domowej, kiedy człowiek nie wie, na co się porywa, i nie ma do sprawdzenia żadnych prac.

— Skoczmy na lunch? — spytał w końcu.

— Dzisiaj mam zamiar pobiegać, ale możemy wyskoczyć jutro.

— W takim razie jesteśmy umówieni — odparł. — Należysz do tych, którzy lubią biegać sami? Bo chętnie bym z tobą pobiegał. Oczywiście nie dziś — mówiąc to, spojrzął na swoje jasne spodnie i krawat — ale któregoś dnia.

— A twoja kostka?

— To tylko zwichnięcie. Już się zagoiła. Moglibyśmy biec wolno.

— Brzmi świetnie — odparłam. Co prawda, nie zawsze lubię biegać w towarzystwie, ale w tym wyjątkowym dniu nie byłam w stanie odmówić jemu — ani nikomu innemu — niczego.

\* \* \*

— Spotkałam Ethana — oznajmiłam po powrocie do domu. — Jutro wybieramy się na lunch, gdybyście miały ochotę z nami wyskoczyć. A w środę idziemy pobiegać.

— A tak, zapomniałam ci powiedzieć, że ma zajęcia w tym samym budynku co ty, tylko na górze — powiedziała przeproszającym tonem Katie.

— Jak tam pierwszy dzień? — spytała Jill.

— Dobrze. Wydają się mili. Uśmiechają się. Niektórzy nawet próbowali się udzielać.

— Jak podobał się im *Lorax*? — dopytywała się Jill, która, podobnie jak Katie, wydawała się dziwnie podenerwowana.

— Podobał się. Mieli wiele interesujących spostrzeżeń na temat... — Nie dokończyłam. — Co z wami?

Jill nie mogła oderwać oczu od Katie, a ta wyglądała, jakby lada chwila miała wybuchnąć.

— Poznałam chłopaka — pisnęła.

Spojrzałam na Jill, która próbowała stłumić złośliwy uśmiešek.

— Uważa, że ten jest inny — rzuciła. Zakłopotana wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

— Ma na imię Peter. Właśnie przeprowadził się aż z Utah. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, ale jest w porządku. Chce studiować zoologię. Jest przystojny i miły. No i maluje. Uważa, że jestem zabawna. Jest odpowiedzialny za jedzenie na pikniku, który organizujemy w czwartek, a ponieważ ja odpowiadam za gry i zabawy, musimy współpracować...

— Dlaczego? — wtrąciła Jill.

— Co masz na myśli?

— Jedzenie i gry nie mają z sobą nic wspólnego.

— Nie bądź śmieszna — fuknęła Katie. — To pięćdziesiątka. Jak myślisz, co się stanie, jeśli dasz im lody i każesz im ścigać się w workach? A gdyby nakarmił ich sałatką z makaronem, a ja wrzuciłabym ich do basenu i kazała grać w marco polo?

— Koszmar — przyznała Jill.

— No więc kiedy się spotykacie? — spytałam.

— Och, jeszcze nie zaprosił mnie na randkę. Ale zrobi to. Wiem o tym. Jutro rano spotykamy się, żeby omówić szczegóły dotyczące pikniku.

Po tych słowach tanecznym krokiem pobiegła na górę, by przymierzać — kolejno — ubrania swoje, moje i Jill.

\* \* \*

We wtorek próbowaliśmy zdefiniować pojęcie „wiersz”. Nie było to łatwe. Moi studenci wiedzieli, że potrzebny jest rym. Wiedzieli też, że nie musi on brzmieć dobrze. Nie mieli jednak pojęcia, czemu służą wiersze. Początkowo twierdzili, że będą w stanie rozpoznać wiersz, kiedy go zobaczą, ale pokazałam im kilka napisanych przez Roberta Hassa i udowodniłam, że się mylą. Wiersze Hassa wyglądają i brzmią jak proza. Zapewniłam ich, że uważa się je za poezję, i odesłałam do domu, każąc napisać pracę, w której — w zależności od upodobań — mieli obronić tę tezę lub wyjaśnić, dlaczego uważają, że to chłam.

Ethan i ja postanowiliśmy zjeść na zewnątrz. Wyszliśmy z baru kanapkowego i usiedliśmy pod drzewem na dziedzińcu. Opowiedziałam mu o zajęciach i dałam wydruk z wierszami Hassa.

— To proza. Nawet nie próbuj mi wmówić, że jest inaczej — rzekł ze śmiechem. — To błędna odpowiedź, tak?

— Formalnie? Nie ma błędnych odpowiedzi.

— A jak jest w rzeczywistości?

— Tak naprawdę to są wiersze. Surowe, wizualne, liryczne, niejasne. Robert Hass jest poetą. A wy, o czym rozmawialiście?

— Zaczęliśmy od religii w Europie w renesansie. Na razie to tylko wykład, ale naprawdę ekscytujący. Opowiadanie im, co się wówczas wydarzyło i do czego doprowadził ten długi łańcuch połączonych z sobą wydarzeń... No co? — spytał, bo uśmiechałam się złośliwie.

— To iluzja — odparłam. — Gawędziarstwo. Bawienie się narracją.

— Och, a więc jesteś jedną z tych. — Przewrócił oczami. — Dlaczego ci z anglistyki nie wierzą w historię?

— Bo historia jest znacznie bardziej skomplikowana, podejrzana, pełna półprawd, wypaczona i niekompletna, niż próbujecie im wmówić...

— Wypaczona?

— A historycy spisują ją i zapamiętują, jakby to wszystko naprawdę się wydarzyło...

— Uczysz fikcji, Janey.

— Ty też — upierałam się. — Nie ma dokładnych zapisów tego, co wydarzyło się... powiedzmy wczoraj, więc jestem pewna, że ktokolwiek będzie opowiadał o tym za kilkadziesiąt, kilkaset lat, będzie kłamał jak z nut.

— Ale wtedy już cię nie będzie.

— Właśnie. Nie będzie nikogo, kto mógłby go poprawić.

— A ty, mówiąc o Szekspirze, nie uczysz historii? — spytał. — Nie opowiadasz swoim studentom o prasie drukarskiej, zaludnianiu obu Ameryk, zarazie i napływie ludzi do Londynu?

— Tak, ale tylko po to, żeby pokazać im to, czego nie wiemy. Poza tym to nie jest historia, to informacje dodatkowe.

— Dokonujesz jasnego podziału.

— W każdym razie są to fakty, o których z całą pewnością możemy powiedzieć, że są prawdziwe. My niczego nie wymyśliłyśmy.

— Mogę po raz kolejny powtórzyć, że to, czego uczysz te dzieciaki, jest fikcją?

— Tylko dlatego, że fikcja jest zmyślona, nie oznacza, że nie jest prawdą. Czego dowiadujemy się o życiu autora z dzieł Szekspira? Może był katolikiem, a może nie. Może ożenił się z własnej woli, a może nie. Może kochał rodzinę, a może porzucił ją przy pierwszej lepszej okazji. A może i to, i to. Historia niczego nas nie uczy. Dowiadujemy się prawdy z *Króla Leara*. Starość jest przerażająca. Ciężko pozbyć się uczucia, że zostało się zdradzonym, nawet jeśli wiesz, że nie masz racji. Jest niewiele rzeczy gorszych od szaleństwa, ślepoty, utraty władzy, szacunku i miłości rodziny, nawet śmierć nie jest gorsza. Burze na świecie towarzyszą burzom w naszych duszach. Obie to potężne metafory. Fikcja jest dużo prawdziwsza od historii. Historia dotyczy innych ludzi. Fikcja jest o tobie.

— Podajesz jako przykłady bohaterów literackich. Ja również. Różnica polega na tym, że moi bohaterowie naprawdę istnieli. Dowiadujemy się od nich tego samego co, powiedzmy, z *Króla Leara*. Próbujemy oddać cześć temu, co podziwiamy, i unikać tego, co doprowadziło do ich upadku. Zmieniają się szczegóły, nie wzorce, nie nadrzędna...

— Narracja? — dokończyłam.

— Do niczego się nie przyznam — odparł.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, rozkoszując się pogodą. W końcu wyrzuciliśmy resztki lunchu i umówiliśmy się na bieganie. Odchodząc, odwróciłam się jeszcze.

— Ethanie, wracając do nieuniknionych fabuł, Katie poznała kogoś.

— O, to świetnie — odparł, bo cóż innego mógł powiedzieć w takiej sytuacji? Choć nie wiem, czy rzeczywiście tak myślał. — Kto to taki?

— Ma na imię Peter. Poznała go w kościele.

— Co za jeden?

— Nie miałam okazji go spotkać. Dziś wieczorem idą na pierwszą randkę. — Dostałam SMS-a, kiedy wyszłam z zajęć.

— Wygląda na to, że to coś poważnego — rzucił Ethan. — Do zobaczenia jutro.

Ruszyłam do domu, żeby przekonać się, jak bardzo poważnie zapowiada się związek Katie i Petera.

## Rozdział 23

W środę, w czasie biegania, opowiedziałam o wszystkim Ethanowi. Przez pierwszy kilometr czułam się jak zdrajca, plotkując za plecami Katie z facetem, który był nie tyle naszym wspólnym znajomym, co jej byłym chłopakiem (jakby tego było mało, rankiem tego dnia, przy kawie, opowiedziałam o wszystkim Jasonowi). Na swoją obronę mam kilka rzeczy. Po pierwsze uczestniczenie w życiu uczuciowym Katie to jak bycie trzynastolatką, dlaczego więc nie zachowywać się w ten sposób? Po drugie była tak podekscytowana, że wątpię, by cokolwiek zauważyła albo żeby się przejmowała. Po trzecie dobrze jest biegać i rozmawiać, jako że poprawia to krążenie. A po czwarte plotkowanie jest zbyt fajne, by tego nie robić.

Peter pojawił się punktualnie, niemal co do sekundy. Miał krawat i biało-czarne buty z lakierowanej skóry. Przyniósł też kwiaty. Był miły, młody i wyraźnie zdenerwowany, ale dzielnie stawił czoła całej naszej trójce. Atlas wrzeszczał, Jill i ja jak urzeczony wpatrywałyśmy się w jego buty. Katie uparła się, że zaczeka na górze i zrobi wielkie wejście (po przymierzeniu sześćdziesięciu kreacji uznała, że wystąpi w sukience Jill, z szeroką spódnicą, która nadawała jej zejściu dramatyczny filmowy charakter). Zanim dotarła do pokoju gościnnego, była na nas wściekła, bo nie mogłyśmy przestać chichotać. („Nie ułatwiacie pierwszej randki”, wtrącił Ethan. Słyszając to, odwróciłam się i rzuciłam przez ramię: „Dla ciebie byłyśmy miłe”). Posłała nam wściekle spojrzenie i cała w uśmiechach odwróciła się do Petera. Z błyszczącymi oczami przyjęła od niego kwiaty, podała mi je bez słowa (jakbym była jej pokojówką), ani na chwilę nie spuszczać go z oka. Wziąwszy go pod rękę, niemal wyfrunęła z domu. Poszli na kolację i do kina. Tymczasem my zamówiłyśmy jedzenie na wynos i wypożyczyłyśmy film. Przerwałyśmy oglądanie w połowie, żeby położyć Atlasa spać, kiedy Katie i Peter wrócili do domu.

Nie pytając, jak minął im wieczór, pobiegłyśmy na górę.

— Zawsze są takie rozchichotane? — dopytywał się Peter, jednak nie usłyszałyśmy odpowiedzi. — Są jak moje nastoletnie siostry — dodał.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła — zanim zaproponowała mu coś do picia, zanim zdjęła buty i przygasiła światło — było wyłączenie elektronicznej niani, którą ukryłyśmy w kącie pokoju. Jednak leżąc na podłodze w pokoju Atlasa, patrząc na wiszącą nad łóżeczkiem karuzelę i słuchając jego oddechu, miałyśmy jako takie pojęcie o tym, co dzieje się na dole. Słyszałyśmy śmiech. Ściszone głosy. A później nic.

Kiedy kwadrans po czwartej Katie przyszła w końcu na górę, obie z Jill spałyśmy na podłodze w pokoju Atlasa, przykryte sześcioma albo siedmioma dziecięcymi kocykami.

— Dlaczego śpicie na podłodze?

— Przez przypadek — odparła Jill. — Próbowaliśmy was podsłuchiwać. Ten pokój jest najbliżej. Jak było?

— Świetnie — odparła Katie. Wślizgnęła się między nas i okryła jednym z kocyków. — Jest taki wspaniały. — Głos miała senny, przez co zgadłam, że chwilę temu się obudziła. — Rozmawialiśmy naprawdę długo. Potem mnie pocałował. Potem długo się całowaliśmy. A później zasnęliśmy. Kiedy się obudziliśmy, poszedł do domu. Umówiliśmy się na jutro wieczór.

— To znaczy na dziś? — spytała Jill.

— Tak, na dziś. — Katie uśmiechnęła się i odwróciła.

Jill i ja wyszłyśmy na korytarz.

— To mogło być zwykłe MBZ — rzuciła Jill.

— Możliwe. — Wzruszyłam ramionami. — Idę do łóżka. — Za kilka godzin zaczynałam

zajęcia.

\* \* \*

— To prawda. Mogło chodzić o MBZ — przyznał Ethan, kiedy zakończyłam swoją opowieść. — Tak było w naszym przypadku.

— Tak, wiem — odparłam, dysząc. Trudno opowiadać długie historie, kiedy człowiek biegnie.

— Wiesz? — spytał przerażony.

— Oczywiście.

MBZ dla niewtajemniczonych to Macanko Bez Zobowiązań, mormoński odpowiednik pettingu. Od typowego macanka różni się tym, że nie prowadzi do niczego poważniejszego. Tak wygląda sytuacja w przypadku znacznej większości macanek na całym świecie. Zwykle uczestnicy macanek przyjmują rzeczy takimi, jakie są, albo — przynajmniej — potrafią rozpoznać, z czym mają do czynienia, niekoniecznie nadając temu jakąkolwiek nazwę. Tymczasem Katie i spółka poszli o krok dalej i zaczęli doprecyzowywać. Kościół mormoński, w którym obowiązują ściśle reguły nie tylko w sprawie seksu przedmałżeńskiego, ale rozmaitych sposobów dotykania (powyżej i poniżej pasa, nad albo pod ubraniami, a nawet samego siebie), nie ma nic przeciwko obściskiwaniu się i rozumie, że czasami człowiek może mieć na to ochotę tylko dlatego, że obściskiwanie się jest fajne. Tak przynajmniej twierdzi wielu jego wyznawców. To doprawdy dziwna religia.

W środę wieczorem planowałam oceniać prace dotyczące wiersza nie wiersza Hassa. Tym razem Peter pojawił się w dzinsach i koszulce, mniej zdenerwowany i skrępowany naszą obecnością. Atlas był przeziębiony i marudny, ale kiedy Peter wziął go na ręce, mały uspokoił się, przytulił się do niego i zamknął oczy. Katie wyglądała, jakby lada chwila miała się rozplakać. Rozmawialiśmy z Peterem o college'u, przeprowadzce do Seattle, o domu, jego misji, rodzinie i pikniku dla dzieci, który organizował razem z Katie. Zadawał uprzejme pytania i udzielał uprzejmych odpowiedzi. Kiedy wyszli, Jill i ja zaczęłyśmy komentować.

— Wydaje się miły.

— Tak.

— I jest naprawdę przystojny.

— Tak.

— Chyba rzeczywiście lubi Katie.

— To dobrze, bo ona też go lubi.

— Myślisz, że podjęła decyzję?

— Jeszcze zanim go poznała — odparłam.

Wszyscy troje siedzieliśmy na podłodze w salonie. Rano, kiedy byłam na uczelni, Atlas nauczył się siedzieć i mimo choroby przez większość wieczoru demonstrował swoje nowo nabyte umiejętności, zachęcany do tego naszymi brawami i piskami. Sprawdzał prace w przerwach między oklaskiwaniem Atlasa, rzucaniem gumowej piłki Wujkowi Claude'owi i rozmową z Jill.

— Myślisz, że kiedy zostaniesz matką, będziesz potrafiła robić wiele rzeczy naraz? — spytała Jill.

Słowo „kiedy” sprawiło, że znieruchomiałam. Potrzebowałam chwili, dwóch albo nawet trzech, zanim w mojej głowie pojawiła się myśl: Ale przecież ja już mam dziecko. Nie powiedziałam tego na głos i zignorowałam pytanie.

— Ty jesteś w tym coraz bardziej kiepska — odparłam, nie dlatego, że chciałam być złośliwa, ale dlatego, że nadarzyła się okazja, by powiedzieć, co o tym myślę.

— Nigdy nie potrafiłam robić naraz zbyt wielu rzeczy — bąknęła. — Jeśli coś robię, lubię

się w to angażować. Wolę prowadzić jedne zajęcia, pisać jedną pracę i czytać jedną książkę.

— Na studiach doktoranckich tak się nie da.

— Wiem, dlatego... postanowiłam odpuścić. Czy jest coś ważniejszego niż bycie dobrą matką?

Nie czułam się jak przyjaciółka, która do końca nie wie, jakie jest jej miejsce w rodzinie. Czułam się jak ojciec z lat pięćdziesiątych, którego rola w rodzinie była zbyt duża i niedoceniana. Miałam jedynie zarabiać na utrzymanie. Robić zakupy, planować posiłki, przygotowywać je i zmywać naczynia. Co nie do końca jest uczciwe.

— Masz wokół siebie mnóstwo ludzi, którzy pomagają ci wychowywać dziecko — zauważyłam.

— Nie chodzi mi o zmienianie pieluch, opiekę nad dzieckiem, usypianie go, karmienie i takie tam. Mam na myśli emocjonalną energię, poświęcanie mu całej swojej uwagi, wolność, dzięki której będę świadkiem jego drobnych postępów i porażek, i to, że nigdy nie powiem, że mam coś ważniejszego do roboty.

— Czy to trochę nie... ogranicza? Nie dobijałoby cię, gdybyś była dla kogoś absolutnie całym światem?

— Nie, myślę, że to by było cudowne — odparła Jill. — Jak sądzisz, dlaczego się uspokoił, kiedy Peter wziął go na ręce?

— Peter chyba potrafi zajmować się dziećmi. Katie wyglądała, jakby miała się rozplakać. Nie mówiła przypadkiem, że ma młodsze siostry?

— Tak, ale chodzi o to, że my też potrafimy opiekować się dziećmi, zwłaszcza Atlasem, a i tak przez całe popołudnie był marudny.

— Jest przeziębiony.

— Nie było tego widać, kiedy Peter wziął go na ręce.

— Zmiana otoczenia?

— Zmiana płci.

Zmiana tonu. Znałam ten głos i przygotowałam się na to, co zaraz usłyszę.

— Myślę, że to dlatego, że jest facetem — ciągnęła.

— Atlas?

— Peter. Myślę, że Atlas potrzebuje mężczyzny. Może kobiety nie są dla niego wystarczająco dobre. Może czuje się inaczej, kiedy to facet nosi go na rękach. Może istnieje jakiś związek, którego my nie jesteśmy w stanie mu zapewnić.

— Jest przeziębiony, Jill. Ma Jasona. Dobrze wiesz, że nie o to tu chodzi.

Atlas, który siedział na podłodze i starał się utrzymać równowagę, spojrzał na nas nerwowo i uśmiechnął się. Nie wyglądał, jakby coś go bolało. Nie sprawiał też wrażenia, jakby potrzebował skupić na sobie całą uwagę Jill. Wyglądał, jakby potrzebował czegoś, o co mógłby się oprzeć. Poza tym nic mu nie było. Kiedy o północy kładłam się spać, Katie wciąż jeszcze nie wróciła, więc jej randka z Peterem musiała być udana.

\* \* \*

Czwartek przyniósł chwilowy spokój. Na zajęciach przerobiliśmy połowę rozdziału dotyczącego poezji i wstępnie przedstawiłam studentom temat kolejnej pracy. Prosto z uczelni poszłam do domu, żeby zająć się Atlasem i pozwolić Jill i Diane spędzić z sobą trochę czasu — czasami córka potrzebuje matki. Katie wpadła na pomysł, że będzie udawać nieprzystępną, i postanowiła, że po pikniku do końca dnia nie spotka się z Peterem. Spędzili trzy godziny, wisząc na telefonie.

Okazało się, że Peter nie interesuje się baseballlem, ale był facetem i lubił rozmaite sporty.

Upewniwszy się, że nie jest kibicem New York Yankees, Katie zaprosiła go na kolację w piątkowy wieczór. Miał to być niezobowiązujący rodzinny piknik na podłodze naszego salonu — wspólne oglądanie meczu połączone z rozmową, tak by żadna z tych rzeczy nie zdominowała drugiej. Nie wiem, czy bała się, że powiemy coś żenującego, może myślała, że znudzimy Petera swoim towarzystwem, albo obawiała się, że zmusimy go do osobistych wyznań, zadając zbyt dużo pytań, których wolał nie słyszeć — a ona nie chciała ich poznać — lub na które nie miał zamiaru odpowiadać.

— Normalna, swobodna kolacja. Nie więcej niż dwa dania — ostrzegła mnie. — W tym deser. I niech to będzie jedzenie pasujące do meczu, jakieś hot dogi, prażona kukurydza, coś w tym stylu. A może po prostu zamówimy pizzę.

Jakby przygotowanie prawdziwego posiłku stanowiło wstęp do prawdziwej rozmowy i miało wszystko zepsuć.

— Prędzej czy później i tak się dowie, że jesteś mądra, dużo czytasz, głosujesz na liberałów, jesteś feministką, nie umiesz gotować, a twoje współlokatorki są nadopiekuńcze i okropne — uprzedziłam ją.

— Mam nadzieję, że później niż prędzej — odparła.

\* \* \*

Wreszcie nadszedł upragniony piątek.

— Jeden tydzień za nami, cztery przed nami — oznajmiłam swoim studentom, którzy po tygodniu letniego semestru i napisaniu jednej pracy mieli już dość. Dwa dni wolnego. Dwa długie dni, w czasie których nie będą musieli oglądać ani siebie nawzajem, ani mnie, a tym bardziej myśleć o poezji. Zazdrościłam im tych (prawdopodobnie fikcyjnych) beztroskich weekendów, bezmyślnej wakacyjnej pracy, po której szli na imprezę, podczas gdy ja miałam w perspektywie sprawdzanie prac i piknik na podłodze własnego domu, którym coraz bardziej się denerwowałam. Niepokój, podobnie jak grypa, mononukleozą czy wysypka, jest bardzo zaraźliwy. Kiedy wróciłam do domu, roześmiany Atlas siedział w dmuchanym foteliku na skraju kuchennej podłogi, którą Katie szorowała szczoteczką do zębów.

— Jeśli dobrze pamiętam, miało być normalnie i swobodnie? — powiedziałam.

— Tak, ale uznałam, że będzie normalnie, swobodnie, a do tego czysto i przyjemnie — wyjaśniła, dłonią w gumowej rękawiczce odgarniając włosy z twarzy.

— Skąd wzięłaś te rękawiczki?

— Jestem perfekcyjną panią domu, więc przechowuję pod zlewem tony takich rękawiczek.

— Pytam poważnie, skąd je wytrzasnęłaś?

— Poszłam do sklepu i wydałam czterdzieści dolarów na środki czyszczące.

— To bardzo normalne — rzuciłam.

— Zamknij się — warknęła.

Jill i ja stroiliśmy się przed kolacją niemal tak długo jak Katie. Kiedy w końcu byłyśmy gotowe, Jill ubrała Atlasa w śmieszny pajacyk-smoking. Uznałam, że nie mogę zaserwować zwykłych hot dogów i popcornu. Nie chodzi o to, że jestem jakąś neurotyczką, nie używam mikrofalówki czy nie zniżę się do tego, by zamawiać pizzę. Uwielbiam pizzę. Ale kiedy po raz pierwszy zapraszasz kogoś do domu na kolację, wypada coś przygotować. Sprzeczałam się z Katie przez godzinę, zanim w końcu udało mi się ją przekonać, że chociaż to jej randka, w kuchni rządzę ja i taka jest moja decyzja. Zgodziłyśmy się, że musi to być jedzenie, które będzie można zjeść przed telewizorem. Burgery z łososiem, sałatka i sernik z malinami. Wszystkie, z wyjątkiem Atlasa, wyglądałyśmy bardzo swobodnie w (starannie dobranych)

dżinsach, koszulkach i boso. Peter pojawił się w podobnym stroju z dziesięciminutowym opóźnieniem. Jedliśmy na podłodze, bawiąc się z Atlasem i Wujkiem Claude'em, rozmawialiśmy o reklamach, komentatorach i meczu. Mariners i Orioles rozgrywali zwykły mecz, jeden ze stu sześćdziesięciu dwóch, który na tym etapie rozgrywek był właściwie bez znaczenia, zwłaszcza że zakończył się nudnym wynikiem 5:2. Po meczu Jill i ja wyszłyśmy z psem na spacer. Kiedy wróciłyśmy, Peter i Katie byli tak pochłonięci rozmową, że nawet na nas nie spojrzeli. Poszłyśmy na górę, nie życząc im nawet dobrej nocy.

Sześć godzin później, o piątej rano, Katie wślizgnęła się do mojego łóżka.

— Powiedział, że miał sen — szepnęła, nie dlatego, że była piąta rano, ale dlatego, że chciała, by zabrzmiało to jak wyznanie. — Brał udział w wyścigu tandemów, gdzie każdy miał swojego partnera i tylko on jechał sam. I chociaż był szybki, silny i naprawdę dobry, nie mógł nadążyć za resztą. W pewnej chwili zatrzymał się, żeby coś przekąsić, i spotkał mnie. Powiedziałam, że z nim pojedę i wspólnie dogoniliśmy pozostałych uczestników, wyprzedziliśmy ich, wygraliśmy wyścig i razem jeździliśmy po świecie. — Płakała.

— Jak myślisz, co to znaczy? — spytałam.

Zignorowała mnie.

— Powiedziałam mu, że miałam sen, w którym spałam. Śniesz czasem, że zasypiasz? Kiedy jesteś tak zmęczona i jest ci tak dobrze, że musisz przestać opowiadać sobie historie i zwyczajnie zasnąć? Tyle że ja spałam obok niego, z głową na jego piersi i nogami na jego nogach. To było najcudowniejsze uczucie, jakiego w życiu doświadczyłam.

— Co powiedział?

— Że jestem uosobieniem idealnej żony. Że czekał całe życie, by mnie spotkać. Zastanawiał się, dlaczego spośród wszystkich miejsc na świecie Bóg wysłał go właśnie do stanu Waszyngton, i teraz już wie, że stało się to dlatego, żeby mógł mnie spotkać. Powiedział, że Bóg chce, żeby się ożenił. Mówi, że patrzy na mnie i Atlasa, i wie, że będę cudowną matką.

— Co mu powiedziałaś?

— To samo, ale zmieniłam zaimki.

Przytuliłam ją po części dlatego, że cieszyłam się jej szczęściem, a po części dlatego, że obawiałam się, że jest szalona. Żałowałam też, że nie mogła zaczekać i opowiedzieć mi wszystkiego o bardziej przyzwoitej godzinie. A skoro i tak nie spałam, zczekałam, aż Katie zaśnie, i zeszałam na dół obudzić Jill.

— Poprosił ją, żeby za niego wyszła — syknęłam.

— Kto? — spytała sennie.

— Miał sen, że zjeździł z nią na rowerze cały świat. A jej się przyśniło, że zasnęła z głową na jego piersi. Powiedział, że ona jest spełnieniem jego marzeń o idealnej żonie i że Bóg chce, żeby byli razem i mieli dzieci. Ona też w to wierzy.

— Spotykają się od wtorku — mruknęła Jill.

— Wiem. To szaleństwo.

— Gdzie ona jest? Śpiewa przed domem? O szóstej rano szuka firmy organizującej przyjęcia ślubne?

— Jest dość podekscytowana. Doświadcza ekstazy wypełnionej mądrością, poczuciem misji i pobożnością.

— Może po prostu jest zmęczona.

— Myślisz, że to za wcześnie?

Jill dopiero teraz otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

— Żartujesz?

— Może tak długo szukała, że jest w stanie rozpoznać prawdziwą miłość?



— Od wtorku.

— Powinnyśmy z nią porozmawiać?

— Wątpię, żeby udało nam się ją przekonać. To jak próbować zmienić pogodę. Może on podchodzi do tego mniej poważnie, niż się jej wydaje? — Usłyszałyśmy, jak Katie wstaje i idzie do łazienki. Chwilę później zajrzała do nas. Robiłam, co mogłam, żeby udawać niewiniątko, a Jill dokładała wszelkich starań, żeby nie wyrzucić nas obu ze swojej sypialni.

— Rozmawiacie o mnie? — spytała Katie.

— Nie — rzuciłam.

— Tak — odparła w tej samej chwili Jill.

Katie spojrzała na nas w zamyśleniu.

— Myślę, że w niedzielę wieczorem powinnam zaprosić wszystkich na kolację — oznajmiła w końcu. — Najwyższy czas, żeby Peter poznał moją rodzinę.

## Rozdział 24

Wyglądało to zupełnie tak, jakbyśmy organizowały koronację. Z perspektywy czasu nietrudno zauważyć, jak ważny był to wieczór, a nasze starania, by uczynić go jeszcze bardziej szczególnym, okazały się tego warte. W tamtym czasie obawialiśmy się, że straciliśmy rozum, ale żadna z nas nie potrafiła przestać. Jason i Lucas od razu zgodzili się przyjść. Zresztą spędzanie sobotnich wieczorów w ich towarzystwie powoli stawało się tradycją. Z czasem do grona stałych bywalców dołączył również Ethan. Starszy brat Petera, Eli, był akurat w mieście, więc również przyjął nasze zaproszenie. Zaprosiłyśmy Diane, która — gdy Jill rozmawiała z nią przez telefon — wydawała się nieszczęśliwa. Plus nasza czwórka. Nawet jeśli dla którejś z nas nie wystarczy krzesel przy stole, i tak będzie panował potworny ścisk.

Koniec końców Katie pożyczyła z kościoła składany stół i krzesła i postanowiłyśmy przenieść imprezę na zewnątrz. Zmiana planów posłużyła jej za pretekst do kupienia kilku tysięcy świeczek i papierowych lampionów. Zaprosiłyśmy wszystkich na późny wieczór — chociaż ja i Ethan następnego dnia mieliśmy zajęcia, a Jason, Lucas, Diane i Eli musieli wrócić do domu — żeby rozkoszować się zachodem słońca i księżycową letnią nocą, światłem świec i widokiem zasypiającego Atlasa. W sobotnie przedpołudnie — od dziewiątej do dwunastej — układałyśmy menu. Od dziewiątej do dwunastej. Później uparłam się, że pójde na godzinę pobiegać. Kiedy wróciłam, poszłyśmy na zakupy. Zaliczyłyśmy targ warzywny, jeden supermarket i dwa mniejsze sklepy spożywcze. Zakupy to zajęcia, które zwykle zlecam innym, jednak okazja była zbyt ważna, bym mogła zaufać złośliwym bóstwom gotowania albo moim współlokatorom, które kompletnie nie wiedzą, jak wybrać dobry produkt — odpowiedni kawałek sera czy choćby świeży chleb — a nie najlepiej przyjmują jakiegokolwiek porady („To zwracanie uwagi na szczegóły, powiedziałam; „Drobiazgowość i upierdliwość”, odparły).

Zamiast pytać, po co biegałam po obleganym przez turystów mieście w letnie sobotnie popołudnie, z dzieckiem, dwoma współlokatorkami, długą na trzy strony listą zakupów i wszystkimi mieszkańcami Seattle, należałoby zapytać, skąd wiedziałam. Chociaż dla Katie był to niezwykle ważny wieczór i chociaż ją kochałam i chciałam dla niej jak najlepiej, powinnam była trzymać się z dala od tego wszystkiego. Nie wiedzieć czemu, Jill i ja straciliśmy dystans, który pozwalał nam obserwować z rozbawieniem i niepokojem tempo, w jakim rozwijał się związek Katie i Petera. Zamiast tego dałyśmy się porwać. Zupełnie jak w kinie, kiedy człowiek tak bardzo utożsamia się z głównym bohaterem, że gdy po seansie idzie do toalety i spogląda w lustro, dziwi się, że widzi w nim własną twarz. Być może była to również wina Atlasa. Syn Jill był również moim synem. Jej problemy moimi problemami. Czy życie uczuciowe Katie i możliwości, które tak nagle się przed nią otworzyły, były również moimi możliwościami? Nie byłam tak przerażona, wybuchowa i stremowana jak ona, ale uparłam się, że przygotuję kolację godną królowej.

Chodziłyśmy po sklepach przez trzy i pół godziny, wypożyczyłyśmy film (*Wielkie otwarcie*, tak na dobry początek), zamówiłyśmy tajskie jedzenie i zaczęłyśmy gotować. W niedzielę rano Katie poszła do kościoła. Diane przyjechała wcześniej i zabrała Jill i Atlasa do zoo. Jill była pewna, że jej matka cierpi na depresję. Diane była pewna, że to Jill jest przygnębiona. Martwiły się o siebie nawzajem, obie uważały, że mają rację, i cieszyły się, że choć na chwilę mogą zapomnieć o własnych problemach. Włączyłam iPoda, ustawiłam losowe odtwarzanie i tańcząc, zaczęłam krzątać się po kuchni. Kroiłam, mieszałam i ubijałam. Narobiłam strasznego bałaganu, pokrywając każdą wolną przestrzeń skorupkami jaj, łuskami kukurydzy, strąkami groszku, opakowaniami po jedzeniu, skórkami sera i torebkami herbaty.

Kiedy na blatach nie było już ani skrawka wolnego miejsca, sprzątnęłam bałagan, by zyskać odrobinę przestrzeni. Po czym znów nabałagałam. Dwukrotnie. Około szesnastej włożyłam do piekarnika minitarty i poszłam do pokoju gościnnego, żeby wyłączyć muzykę i włączyć mecz. Kiedy wróciłam do kuchni, zastałam w niej Ethana, który śmiertelnie mnie przeraził.

— Pukałem i widziałem, że ktoś jest w domu, ale nikt nie otwierał, więc wszedłem. Pomyślałem, że przyda ci się pomoc.

Byłam wniebowzięta, słuchając muzyki, tańcząc, krojąc i mając cały dom wyłącznie dla siebie, ale nie byłam pewna, czy potrzebuję pomocy. Poza tym Ethan skończył właśnie biegać i nadal był brudny i spocony.

— Możesz pomóc — oznajmiłam. — Ale najpierw idź pod prysznic.

Uśmiechnął się. Myślał, że żartuję.

— Ale spóźnię się na mecz — jęknął.

— Umyj się szybko, to spóźnisz się tylko na pierwszą rundę.

\* \* \*

— A więc to coś poważnego — powiedział Ethan po wyjściu z łazienki. Miał lekko zaróżowioną skórę, zmierzwione, wilgotne włosy i pachniał jak Atlas po kąpieli (prawdopodobnie dlatego, że użył jego szamponu).

— Mówisz o Peterze i Katie?

— Nie, o kolacji — zażartował.

— Wygląda na to, że obie te sprawy są poważne. Denerwuję się i nie wiem dlaczego.

— To ważny wieczór.

— Źle się z tym czujesz? — spytałam.

— Nie. Dlaczego?

— Z powodu Katie.

— Nie, cieszę się, że jest szczęśliwa. Ale martwię się o ciebie.

— O mnie? Dlaczego?

— Wygląda na to, że cierpisz na urojenia i wydaje ci się, że gotujesz dla osiemdziesięciu osób.

— Trudno gotować w małych ilościach — odparłam.

— Pomogę ci — zaproponował i zaczął podjadać miniaturowe tarty, które czekały na warstwę bitej śmietany i wiśni. To nie było pomocne. Pomocne było to, że został przez całe popołudnie, kroił to, co kazałam mu kroić, i nie wściekał się, kiedy mówiłam, że robi coś nie tak, i kazałam mu zacząć od nowa.

\* \* \*

W końcu słońce zbliżyło się do horyzontu, a dom wypełnił się zapachami i ludźmi, których kochałam. Lato w Seattle to coś, na co warto czekać cały rok. Dni są ciepłe, słoneczne, bezchmurne i bardzo długie. Jest widno aż do dwudziestej drugiej, a wieczory są chłodne, piękne i wolne od wszelkiego robactwa. Nasze twarze nabrały rumieńców od blasku świec, wina i rozmów. Śmiałyśmy się głośno, z pełnymi ustami, i jedliśmy, dopóki nie poczuliśmy się nasyceni. Dzięki moim staraniom kolacja była pyszna. Zadowolona z siebie, poczułam odprężenie i ogarnął mnie błogi spokój. Seattle latem jest tak piękne, że koniec deseru oznacza dopiero początek wieczoru. Wyglądało na to, że nikt nie zamierza iść do domu. W pewnej chwili zupełnie trzeźwy Peter podniósł się z krzesła i oznajmił, że chce zadać pytanie.

— Tak, Peterze! — zawołał Jason.

Peter odchrząknął.

— Chciałem prosić was wszystkich o błogosławieństwo i pozwolenie na ślub z panną Katherine Louise Cooke.

Nie mogłam na niego patrzeć — to było zbyt krępujące — ale sądząc po twarzach innych gości, Peter nie był nawet w połowie tak zakłopotany jak my wszyscy. Siedzieliśmy w niezręcznej, bolesnej ciszy, podczas gdy on stał przed nami cały rozpromieniony. Katie, która również emanowała blaskiem, nagle kopnęła mnie pod stołem. „Powiedz coś”, zdawały się krzyczyć jej oczy.

„Ale co?” — odpowiedziałam bezgłośnie.

W końcu, Bogu niech będą dzięki, głos zabrał Jason. I choć nie tego spodziewaliśmy się usłyszeć, on, jako jedyny, się odezwał.

— Dlaczego prosisz nas?

— To tradycja — odparł Peter.

— Żeby pytać przyjaciół?

— Żeby pytać rodzinę. — W tej samej chwili Katie zaczęła płakać, a ja uznałam, że Peter jest facetem, który na nią zasługuje.

— Masz moje pozwolenie i błogosławieństwo — odezwałam się płaczącym głosem. Katie i Peter nagrodzili mnie promiennymi uśmiechami. Tymczasem Jill patrzyła na mnie przerażonym, wściekłym, nieprzejednanym wzrokiem.

— Oszalałaś? — rzuciła wściekle.

— Nie — odparłam.

— Jesteś pijana?

— Troszkę — przyznałam.

— Znasz ją od tygodnia. — Tym razem skierowała swój gniew na Petera.

— Dokładnie.

— Dokładnie co?

— Dokładnie od tygodnia. Jutro minie tydzień, odkąd poznałem Katie, ale jest po północy, więc tak naprawdę to już dziś. — Wziął Katie za rękę i uściśnął ją.

— A zatem prosisz ją o rękę dokładnie tydzień po tym, jak się poznaliście? — spytał drwiąco Lucas.

— Dokładnie — powtórzył Peter.

— Kto by pomyślał, że tydzień to wystarczająco długo? — mruknęła Jill.

— Ja — odparł Peter.

— Niby jak?

— Wiem wszystko, co powinienem wiedzieć. Wiem, że Katie jest miła i mądra. Zabawna i fajna. Wiem, że pragnie, by jej życie kręciło się wokół Kościoła, rodziny i dzieci. Lubi dzielić się jedzeniem, oglądać programy typu reality show i jeść kwaśne cukierki. Nie lubi lodów na bazie nabiału. Uwielbia zakupy. Dla swoich przyjaciół zrobiłaby wszystko. Nie potrafi gotować ani sprzątać... — Najwyraźniej wyznała mu to i owo. — Chce uczyć. Lubi minigolfa i kocha puszczać latawce. Czasami myśli, że studia doktoranckie są do dupy... — To była nowość. Podobnie jak to, że słowo „dupa” nie zaliczało się do przekleństw. — ...Lubi kaczki. Mówi po hiszpańsku. I jest kobietą, która została mi przeznaczona. — Urwał i zastanawiał się przez chwilę. — Przynajmniej tak sędzę.

Jak dla mnie była to całkiem obszerna lista, w każdym razie jak na tygodniową znajomość.

Jednak Jill pozostała niewzruszona.

— Naprawdę myślisz, że to wystarczy?

— Dla mnie to wystarczająco wiele — skwitował. No tak: miła, mądra, zabawna, fajna,

Kościół i rodzina. — Tak naprawdę wiedziałem od samego początku i mogłem się oświadczyć tydzień temu.

— Katie? — Jason spojrział na nią i uniósł brwi. — Chciałabyś coś dodać?

— Ja też — wydusiła Katie.

— A więc teraz odebrało ci mowę? — Jill zmierzyła ją wściekłym spojrzeniem, jednak Katie udawała, że tego nie widzi.

— Cóż, ponieważ nikt z nas nigdy nie brał ślubu, nie jesteśmy chyba właściwymi osobami, które należałoby o to pytać — odezwała się Diane. — Ale skoro jestem starsza od was o jakieś dwadzieścia lat, myślę, że mam już nieco wiedzy, którą mogą poszczycić się starsi ludzie. Dlatego daję wam moje błogosławieństwo.

— Ja nie mam nic przeciwko temu — przyznał Lucas, choć sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że nie jest do końca przekonany i właściwie mało go to obchodzi.

— Ja też — dodał Jason.

— I ja — dorzucił zakłopotany Ethan. — Nie wiem, po co wam moje pozwolenie, ale nie mam nic przeciwko.

— Właśnie dlatego tu jestem — odezwał się Eli. Teraz jego „przypadkowa” wizyta w mieście nabrała sensu.

Pozostała więc Jill. Patrzyliśmy na nią wyczekująco.

— To tylko tydzień! — rzuciła, jakby chciała się obronić.

Wzruszyłam ramionami jak ktoś, kto wierzy, że czasami należy pozostawić rzeczy samym sobie i, być może, wszystko się ułoży. A jeśli nie, zawsze będą mogli zerwać zaręczyny. Mój wzrok mówił: „Proszę, zgódź się. Niezręczność tej sytuacji dobija mnie”. Ale ona tylko mruknęła:

— Jeszcze do tego wrócimy.

Jednak Peterowi to wystarczyło. Delikatnym szarpnięciem zmusił Katie, by wstała od stołu, przyklękła na jedno kolano, spoglądał na nią w milczeniu przez chwilę, która wydała się nam wiecznością, i szeptem wyznał (choć wszyscy nadal siedzieliśmy przy stole), że jest najpiękniejszą, najcudowniejszą osobą, jaką spotkał w swoim życiu, i jest pewien, że wspólnie stworzą wspaniałą rodzinę. Dodał również, że pragnie, by spędziła z nim całą wieczność i nie czekając na decyzję Jill, zgodziła się zostać jego żoną. Tymczasem my siedzieliśmy ze wzrokiem utkwionym w ziemię, talerze, buty i trawę. Siłą woli starałam się sprawić, żeby Katie i Peter odeszli od stołu i porozmawiali gdzieś indziej. Modliłam się, żeby Atlas obudził się i zaczął płakać. Żałowałam, że po słowach Jill nie rzuciłam hasła, że najwyższy czas pozmywać naczynia. Gdybym to zrobiła, byłabym teraz w kuchni, podczas gdy oni nadal prowadziliby tę dyskusję. Ale tak się nie stało. Katie wydusiła z siebie ciche „tak” i oboje się popłakali. Jestem pewna, że w ich życiu był to piękny, szczególny moment. Chciałam umrzeć.

— Może sprzątniemy ze stołu — zaproponował Ethan. Wszyscy jak na komendę zerwali się z krzeseł i zaczęli zbierać talerze, szklanki i kieliszki do wina...

— Chcielibyśmy coś ogłosić — oznajmił Jason, kiedy zaczęłam wierzyć, że uda się nam uciec. Wszyscy wrócili na swoje miejsca. Trzymał Lucasa za rękę i uśmiechał się. — Jesteśmy w ciąży.

— To znaczy szesnastoletnia córka mojego kucharza jest w ciąży — wyjaśnił Lucas. — Nie chce poddać się aborcji, ale nie jest gotowa zostać matką.

— Oni też są mormonami — dodał Jason, jakby to miało coś zmienić. Katie skrzywiła się. — Spodobał jej się pomysł z dwoma tatusiami i to, że będzie miała kontakt z dzieckiem.

— A nam podoba się to, że znamy matkę i jej rodzinę.

— Dziecko przyjdzie na świat w Halloween.

Zachowywali się jak dumni rodzice.

— A najlepsze jest to — dodał Jason, który był już nieźle wstawiony i cały czas chichotał — że to nie my jesteście w ciąży, więc możemy nadal upijać się winem.

— Nie, to wcale nie jest najlepsze — oburzył się Lucas. — Najlepsze jest to, że będziemy tatusiami. — Spojrzeli sobie w oczy, myśląc o rzeczach, o których zwykle myślą rodzice, i po raz drugi w ciągu dziesięciu minut szczerze zatęskniłam za zmywaniem naczyń.

Zadawaliśmy mnóstwo pytań. Zwyczajnych pytań. Jaka ona jest, kto jest ojcem dziecka, czy znają płęć, kto się będzie nim zajmował i czy zastanawiali się już nad imieniem. Oczywiście było jeszcze za wcześnie na wszystkie te pytania i wiem z doświadczenia, że potrzeba dziewięciu miesięcy nie tylko po to, żeby urodzić dziecko, ale by oswoić się z myślą, że będzie się rodzicem. Naturalnie w przypadku Jasona i Lucasa wszystko było znacznie bardziej skomplikowane, wiedziałam jednak — również z doświadczenia — że nawet w najdziwniejszych sytuacjach, gdy rodzice niekoniecznie są małżeństwem, i tak stanowią rodzinę, pozbawioną snu, wywróconą do góry nogami, czasami zrozpaczoną, a jeszcze częściej przepełnioną radością. Nagle zaręczenie się z kimś, kogo zna się zaledwie od tygodnia, nie wydawało się już takie dziwne — tak czy owak, wszyscy w jakiś sposób tworzymy rodzinę. Nawet wychowywanie dziecka przyjaciółki już dawno przestało być dla mnie czymś niezwykłym. Byłam matką Atlasa. Nasze relacje nie były ani bardziej skomplikowane, ani łatwiejsze niż w innych rodzinach.

Mam wrażenie, że w tamtej chwili, tuż przed świtem, było zupełnie jasno. Zaczynaliśmy opadać z sił, zmęczeni jedzeniem, siedzeniem i winem, wyczerpani emocjonalnie i boleśnie świadomi tego, że wielu z nas musi jeszcze tej nocy wrócić do domu, a rano wstać do pracy. Odpowiedzi — te związane z małżeństwem i planami wychowywania dzieci — mogły poczekać do jutra albo do kolejnej niedzielnej kolacji. Zmęczona pomyślałam z radością, że jutro podczas biegu będę miała okazję porozmawiać o tym z Ethanem; kiedy wrócę do domu — z Jill i nieco później przy kolacji — z nią, Katie i Atlassem.

I w tym momencie usłyszałam głos Diane. Cichy, niewiele głośniejszy od szeptu.

— Ja też mam wam coś do powiedzenia.

W pierwszej chwili pomyślałam, że się z kimś spotyka. Druga myśl była taka, że może sama jest w ciąży. Trzecia była straszna jak piekło i czarna niczym noc, gdy uświadomiłam sobie, jak kiepsko Diane wygląda, i przypomniałam sobie obawy jej córki. Czyżby Diane miała raka? Problemy z sercem? Cukrzycę? Stawiałam na raka. W ciągu tych kilku sekund, kiedy zbierała się, żeby powiedzieć nam prawdę, zobaczyłam, jak kurczy się w sobie i marnieje w oczach, zostaje z niej skóra i kości, mętne, zapadnięte oczy, i jak odchodzi, zanim Atlas zdąży ją zapamiętać. Zobaczyłam to tak wyraźnie, że gdy usłyszałam, co ma nam do powiedzenia, poczułam niewypowiedzianą ulgę.

— Rozmawiałam z Danielem — zaczęła drżącym głosem, jakby czekała na naszą reakcję i krytyczne uwagi, a zarazem nie zniósłaby sprzeciwu z naszej strony. Byłam w stanie to sobie wyobrazić: wielką bańkę powietrza pełną złych wieści, leżącą pośród naczyń, lśniąca i rozedrganą, jakby w środku zamknięto tysiące maleńkich istot, które próbowały się wydostać.

Milczeliśmy, przekonani, że po raz kolejny znaleźliśmy się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Była to jedna z tych rozmów, które Diane i Jill powinny przeprowadzić na osobności. Wiedzieliśmy jednak, że to niemożliwe. Jak to mówią: w grupie bezpieczniej. A może chodziło o siłę? Myślę, że byliśmy tam, by ochronić Jill przed wieściami o Danielu i by ochronić Diane przed Jill.

— Z początku dzwonił mniej więcej raz w miesiącu, później co kilka tygodni. W końcu umówiliśmy się na kawę i od czasu do czasu Daniel odwiedzał mnie w domu. Nie poznał Atlasa, nie pozwalałam mu przychodzić, kiedy opiekuję się dzieckiem. Ale bardzo by chciał. Tylko nie

wie jak.

Nastała długa cisza, w czasie której ukradkiem zerkaliśmy na Jill. Była czerwona na twarzy i bez przerwy wstawiała od stołu i siadała na krześle.

— Od kiedy? — spytała w końcu zduszonym głosem.

— O co dokładnie pytasz?

— Kiedy zaczął dzwonić?

— Kilka miesięcy przed urodzeniem Atlasa.

— Kilka miesięcy... przed... Żarty sobie robisz?

— Chciał wiedzieć, jak się czujesz.

— Więc dlaczego nie zadzwonił do mnie?

— To skomplikowane, Jill.

— W takim razie dlaczego nie zadzwonił do Janey?

— Bo mieszkacie razem — odparła cierpliwie Diane. — Chciał mieć pewność, że ty i dziecko macie się dobrze.

— Chciał mieć pewność, że po tym wszystkim damę sobie radę — rzuciła Jill, mrużąc oczy. — Bo gdybym zmieniła zdanie, znowu moglibyśmy być razem.

— Być może. Ale wciąż do mnie wydzwaniał. Chciał znać płeć dziecka i jego imię. Pytał, jak się macie. Czuł się fatalnie. Wcale nie musiał się ze mną kontaktować.

— Nie musiał — powtórzyła wściekle Jill. — A teraz się spotykacie.

— Spytał, czy mógłby wpaść, kiedy Atlas będzie u mnie. Powiedziałam, że nie. Zapytał więc, czy moglibyśmy się spotkać i obejrzeć zdjęcia. Umówiliśmy się na kawę.

— Ale na jednej kawie się nie skończyło.

— Atlas rósł, a ja wciąż przynosiłam nowe zdjęcia. Dan chciał je widzieć.

Kręciło mi się w głowie. Położyłam rękę na drżącym ramieniu Jill. Wyglądała, jakby nie mogła złapać oddechu.

— A teraz cię odwiedza?

Diane wzruszyła ramionami.

— Ja pracuję, Jill. Tak jest łatwiej, niż bez przerwy spotykać się gdzieś na mieście.

— Bez przerwy?

— Czasami przynosi coś do jedzenia. Siedzimy i oglądamy zdjęcia.

— O czym rozmawiacie? — spytała Jill podniesionym głosem.

— O Atlasie. O tym, co robi. O tobie. O nim.

— O mnie? O nim?

— Zastanawia się, czy nadal może być częścią twojego życia. Czy nie jest za późno? Dlaczego wtedy nie mógł zostać? Co się zmieniło, a co pozostało bez zmian? Rozmawiamy o tym, dlaczego ci nie powiedziałam. I o tym, że powinnam to zrobić.

— I?

— Przyznałam mu się, że boję się, że będziesz zła. Że nie zrozumiesz. I będziesz miała wrażenie, że cię zdradziłam.

— A nie zdradziłaś?

— Robiłam to dla ciebie. On po prostu potrzebował pomocy. To wszystko. Próbowałam go zmienić; sprawić, żeby był godny... ciebie i Atlasa.

— Dobry. Boże. — Jill z hukiem odstawiała talerz na stół, wstała, przewracając krzesło, cisnęła na ziemię papierową serwetkę i rozejrzała się, jakby się zastanawiała, co jeszcze może popchnąć albo czym rzucić. W końcu, jak na spóźniony sygnał, usłyszeliśmy płacz Atlasa.

Pierwsza zerwałam się od stołu, jednak chwilę później wszyscy byli już na nogach. Pobiegałam na górę uspokoić dziecko. Katie wylewnie żegnała się z Peterem i Elim. Zażenowani

całą sytuacją Jason, Lucas i Ethan wślizgnęli się do pokoju, dziękując mi i przeprasząc, że muszą zostawić mnie samą. Kiedy siedziałam w ciemności i kołysałam Atlasa do snu, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę przy nim nigdy nie czułam się samotna. Przez otwarte okno zobaczyłam, że Jill postawiła krzesło i wróciła do stołu, by kontynuować burzliwą rozmowę z matką.

— Co on wyprawia? Gdzie, do cholery, się podziewał?

— Ma pracę. Mieszka w Renton. Sam. Gra w zespole. — Nawet na górze słyszałam pogardliwe prychnięcie Jill.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś? Tylko nie mów, że bałaś się, że będę zła. Nigdy dotąd nie bałaś się ze mną rozmawiać. Poza tym to chyba oczywiste, że jestem wściekła.

— Chciałam poczekać i zobaczyć. Przekonać się, czy mówi poważnie, czy dojrzał i czy zasługuje na ciebie i Atlasa...

— Niby dlaczego ty miałabyś o tym decydować?

— Bo tak właśnie potoczyły się sprawy.

— I?

— I co?

— Zasługuje na nas?

— Niewiele mu brakuje. Jeśli mam być szczerą, chyba nie ma na świecie faceta, który byłby wystarczająco dobry dla mojej córki i wnuka. Ale pracuję nad tym.

— I... co? Myślisz, że tak po prostu może wrócić?

— Nie ja o tym zadecyduję — odparła Diane.

— Ale tego chcesz.

— Niezupełnie. Najważniejsze jest to, czego oboje będziecie chcieć. Ja chcę, żeby Daniel był lepszym mężczyzną, lepszym partnerem i lepszym ojcem. Matki nigdy nie mają tej możliwości, kiedy decyzja zostanie podjęta. Dlatego postanowiłam działać, zanim będzie za późno.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. My także. Słyszałam jedynie oddech Atlasa i ściszone głosy Katie i Petera, którzy szeptali coś na dole.

I nagle:

— A jeśli będzie chciał, żeby przyznano mu opiekę nad dzieckiem?! — wrzasnęła Jill. — Jeśli będę musiała zgodzić się, by Atlas spędzał z nim weekendy, święta, każdą środę i wakacje? Jeśli nigdy nie będę mogła zamieszkać dalej niż osiemdziesiąt kilometrów od pieprzonego Daniela Davisona?

— Może powinnyśmy przełożyć te rozmowę na kiedy indziej? — zaproponowała łagodnie Diane.

Usłyszałam, jak Jill zatrząskuje za nią drzwiami i przez dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści pięć minut wkłada do zlewu brudne naczynia i pakuje do pojemników resztki jedzenia (choć gdy jakiś czas później zeszałam na dół, kuchnia wyglądała niewiele lepiej niż w chwili, kiedy Jill zaczęła sprzątać). W końcu wpadła do salonu.

— Nadal tu jesteście?

— Tak.

— I rozmawiacie na mój temat?

— No... Tak.

— No i co o tym myślicie?

— Naprawdę... nie wiem.

— Co o tym wszystkim myślicie?!

— Myślę, że twoja mama cię kocha. Chce wszystkiego, co najlepsze dla ciebie i Atlasa.



Znalazła się w trudnej, niezręcznej sytuacji i zrobiła, co mogła. Ale rozumiem też, że możesz czuć się zła i zdradzona. To znaczy, ja bym się tak czuł. Powinna była ci powiedzieć już na samym początku.

— Jak to możliwe, że chcesz być częścią tej popieprzonej rodziny? — zwróciła się do Petera.

— Mam wrażenie, że już do niej należę.

— W porządku. W takim razie macie moje pieprzone błogosławieństwo — rzuciła Jill.

— Dziękuję — odparł Peter.

Atlas westchnął i uśmiechnął się przez sen, jakby wszystko było w najlepszym porządku, a jego mały świat nie został przewrócony do góry nogami.

## Rozdział 25

A to był dopiero pierwszy tydzień. Tydzień drugi: opowiadanie. Dział poświęcony poezji i jej analizie ma przynajmniej jakieś znaczenie. Z opowiadaniem jest znacznie trudniej. Dlatego poświęcamy im tydzień numer dwa. Opowiadania wydają się bardziej oczywiste od poezji, ale to tylko pozory. Z wierszami można sobie poradzić. Mają rymy i rytmy, dzięki którym łatwiej je zrozumieć. Są wystarczająco krótkie (przynajmniej te, które zwykle omawia się w pierwszym tygodniu letniego semestru), żeby czytać je tak długo, aż w końcu nabiorą jakiegoś sensu. Opowiadania to całkiem inna historia. Czytasz je i rozumiesz słowa. Wiesz, co się dzieje w każdym zdaniu. Śledzisz dialogi i fabułę. A po przeczytaniu całości wiesz, co naprawdę się wydarzyło. Choć nie zawsze tak jest. Bywa, że docierasz do końca i myślisz, że gdzieś w tym wszystkim jest jakieś drugie dno, ale nie, to nie ten rodzaj opowiadania. Tak naprawdę to tylko opis wędrówki przez las, wspomnienia związane z kołdrą albo starością. Opowiadania przerażają studentów, ponieważ w przypadku wierszy wiedzą, że tak naprawdę chodzi o coś innego, niż może się wydawać, i traktują to jako zabawę. To jak gra, w której uczestnicy muszą znaleźć rozmaite przedmioty. Opowiadania mogą — ale nie muszą — skrywać drugie dno. A jeśli ono istnieje, trzeba je znaleźć jak odbicie w gabinecie luster — wiesz, że gdzieś jest, ale w kawałkach, pod dziwnymi kątami, a żeby je odtworzyć, musisz patrzeć i widzieć, wyobrażać sobie i obserwować.

Mówienie o kolejnych warstwach znaczeń, wydobywanie ich na powierzchnię i zastanawianie się nad tym, jak to możliwe, że opowiadania mogą znaczyć jedno, a zarazem być tego absolutnym zaprzeczeniem, rozmyślanie o tym, jak szczegóły mogą oznaczać wszystko albo nic, sprawia, że niełatwo rozmawiać o takich rzeczach na porannych zajęciach i udawać, że to wszystko fikcja, która nijak się ma do naszego życia. Kiedy człowiek raz zacznie dokonywać analizy literackiej, nie może się od niej uwolnić. To coś, czego nie da się wyłączyć.

Wracałam do domu po zajęciach, rozmyślając o dziwnym splocie wydarzeń, i zastanawiałam się, jakie to ma znaczenie, że po tygodniu znajomości Peter oświadczył się Katie, że tego samego wieczoru, po roku nieobecności, w naszym życiu pojawił się Daniel, a spełnienie największego i najskrytszego marzenia Katie zbiegło się w czasie z... no właśnie, z czym w życiu Jill? Najgorszym koszmarem? Największą obawą? A może ona również tego pragnęła? Dotarło do mnie, że nie mam pojęcia. Najzwyczajniej w świecie przestałyśmy rozmawiać o Danie. Fakt, że porzucił swoje nienarodzone dziecko, był dużo gorszy niż to, że Jill rozstała się ze swoim chłopakiem, dlatego nigdy nie opłakiwałyśmy ich rozstania ani nawet o nim nie myślałyśmy. Nigdy nie miałyśmy okazji zachowywać się tak, jak zwykle w takich sytuacjach zachowują się dziewczyny, żeby udowodnić swą solidarność. Tak więc nie było lodów popijanych margaritą, imprez do białego rana i ostentacyjnego palenia zdjęć. Myślę, że podeszłyśmy do tego zbyt bez troski. Nie można przecież nienawidzić wszystkich mężczyzn. Trudno przewidzieć, kiedy będą potrzebni jako dawcy nasienia. Nie było nawet kajmakowych brownies z kawałkami czekolady (i czekoladowymi wiórkami), a to przecież uświęcone tradycją tworzenie więzi, od którego zaczyna się cały proces uzdrawiania. Jednym słowem: przyjaźń. Nawet jeśli zostaniesz porzucona i jest ci smutno, to nic, bo masz przy sobie przyjaciółki. Przyjaciółki to dowód na to, że twoje życie wcale się nie skończyło.

Jill została oszukana. Kiedy Dan odszedł, byliśmy tak rozdarte między współczuciem a złością, między zrozumieniem dla tego, co czuł, i przekonaniem, że to, co zrobił, było nie w porządku, że dałyśmy sobie z tym spokój. Poza tym świadomość, że potrzebujemy Daniela i chcemy, żeby wrócił, sprawiała, że czułyśmy się słabe i traciłyśmy wiarę w to, że jesteśmy

gotowe razem wychować dziecko. Musiałyśmy w to wierzyć, choć z drugiej strony czegoś nam brakowało i zastanawiałam się, jak często Jill myślała o Danielu. I co wówczas czuła? Złość, tęsknotę, nienawiść czy może miłość? Prawdopodobnie wszystko naraz.

Słyszac za plecami tupot stóp i sapanie, instynktownie zeszaam na prawo, by przepuścić kogoś, kto biegł za mną. Okazało się, że to Ethan.

— Cześć. Wołaam cię i wołaam. Co z tobą?

— Zamyśliłam się — rzuciłam przepraszająco.

— Tak. Jest poniedziałek? Mieliliśmy pobiegać?

— Cholera. Ethan. Przepraszam, kompletnie zapomniałam.

— Nic się nie stało. To był niesamowity weekend. Zresztą wciąż jestem pełen po wczorajszej kolacji.

— Przejdziesz się ze mną?

— Jasne. Nad czym tak myślisz? To znaczy dokładnie, bo ogólnie się domyślam.

— Dziś rano na zajęciach zaczęliśmy omawiać opowiadania. Staram się spojrzeć na tę całą sytuację tak, jakby na jej podstawie powstała antologia. To, że Daniel postanowił wrócić tego samego wieczoru, kiedy Katie się zaręczyła, może oznaczać, że chce się ustakować i stworzyć z Jill prawdziwą szczęśliwą rodzinę. Możemy też uznać, że zbieżność w czasie oświadczeń Petera z powrotem Daniela sugeruje, że mężczyźni generalnie są niestabilni, a instytucja małżeństwa rzadko komu wychodzi na dobre.

— To dwie skrajności — zauważył Ethan.

— Tak — przyznałam.

— Biedne, zagubione dzieci Derridy — bąknął ze smutkiem. — Przez niego wszyscy jesteście pokręceni.

— Jasne. A wasza historyczna dyscyplina z pewnością bardzo by nam pomogła — zakpiłam.

— Nie, jeśli Atlas nie wyrośnie na cesarza, a Peter i Katie nie zaczną wzmacniać pozycji chłopów, nie zapoczątkują nowej ery, nie rozpętają wojny, nie zaprowadzą pokoju, nie doprowadzą do industrializacji albo coś w tym stylu. Inaczej pozostaną tylko statystykami, wzorcami. Jednak historia uczy, że nitki i powiązania są bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać.

— To znaczy?

— To znaczy, że to, co wydaje się istotne i zrozumiałe, tak naprawdę nie jest wyznacznikiem niczego konkretnego. Rzeczy, które wydają się znakami, wcale nimi nie są. Na przykład Jill i Katie wcale nie muszą się od siebie różnić. Dlaczego uważasz je za swoje literackie przeciwieństwa?

— Są jak lustra — wyjaśniłam. — Są inne, choć takie same.

— A ty? Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla ciebie? Nie masz chłopaka, który jest niestały w uczuciach, nie jesteś zaręczona ani nie masz dziecka.

— Jestem narratorem, ale nie wszechwiedzącym — odparłam głosem, który nawet mnie samej wydawał się nieszczęśliwy.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

— Jest ci smutno z powodu tego zamieszania i martwisz się, że jedna z twoich przyjaciółek decyduje się na małżeństwo z facetem, którego ledwie zna, a druga przygotowuje się do walki o opiekę nad dzieckiem, która jest totalnie nie w porządku, bo ojciec dziecka miał okazję zostać, a zamiast tego okazał się tchórzem i uciekł? A może dlatego, że sama nie masz dziecka i nikt ci się nie oświadczył?

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Po pierwsze dlatego, że nie znałam odpowiedzi. Po

drugie dlatego, że niepokoił mnie sposób, w jaki Ethan zaczynał nas postrzegać. Poza tym żadna z odpowiedzi nie wydawała się właściwa. Szliśmy w milczeniu. Gdy dotarliśmy do podjazdu pod moim domem, rzucił tylko:

— Rozchmurz się. Nie jest aż tak źle. Zapomniałaś o Jasonie i Lucacie. Będą przecież rodzicami. Co to oznacza?

— Że stracimy nianię? — próbowałam zgadywać.

— Jesteś taka przyziemna — rzucił.

— Chcesz wejść?

— Żartujesz? Żebym jeszcze bardziej dał się wciągnąć w cały ten dramat? Do zobaczenia jutro.

\* \* \*

W domu czekali na mnie Jill i Atlas, oboje dziwnie bladzi.

— Zwymiotował — oznajmiła. — Myślę, że to symbol. Znak. — W domu pełnym doktorantek anglistyki nikt nie jest odporny.

— Rzeczy, które wyglądają jak znaki, zwykle nimi nie są — odparłam. — Dzieci czasami wymiotują. — Wzięłam Atlasa na ręce, licząc na to, że nie przechorujemy całego popołudnia. Był trochę spocony i nie wiedziałam, czy to dlatego, że rzeczywiście jest chory, czy może dlatego, że Jill, która nie wyglądała najlepiej, tuliła go do siebie z całej siły. A może to był znak. Atlas był jednak spokojny, co — sądząc po oczach Jill (nie wspominając o jej włosach), gonitwie myśli w mojej głowie i panującym w kuchni bałaganie — czyniło go jedynym spokojnym człowiekiem w całym domu.

Przez chwilę kołysałam go w ramionach. Czasami działał na mnie uspokajająco. Lepiej niż joga i lepiej niż medytacja. Kiedy był spokojny, patrzyłam na jego anielską twarzyczkę, czułam jego idealną wagę i ciepło, słuchałam jego oddechu i wiedziałam, naprawdę wiedziałam, że dopóki nic mu nie jest, dopóty wszystko inne będzie w porządku. Wierzyłam w to nie tylko dlatego, że był taki uroczy i absorbujący, choć taki właśnie był. Dzięki niemu czułam się tak, jakbym wspinała się, by zająć należne mi miejsce we wspaniałej historii czasu. Wszyscy mieli dzieci, a to należało do mnie. Wszyscy czuli to samo wobec swoich dzieci i to samo czułam ja wobec swojego. Bez względu na to, jak zagmatwana była — albo wydawała się — nasza sytuacja, chwile, gdy trzymałam Atlasa w ramionach, były absolutnie ponadczasowe. Nie miało znaczenia, kim jest on, a kim ja, albo gdzie się znajdujemy i w jakim momencie. Zajmowaliśmy miejsce pośród matek i synów, i tylko to się liczyło. Oczywiście nie działało się tak, gdy bez powodu Atlas krzyczał wniebogłosy (albo wymiotował), ale zdarzały się naprawdę cudowne momenty i trzymałam się ich kurczowo, jakby lada chwila mogło się to skończyć.

W przeciwieństwie do mnie Jill nie zwracała uwagi na to, co się działo, i odchodziła od zmysłów. Widząc to, przytuliłam Atlasa i kazałam jej zająć się zmywaniem naczyń. Spojrzała na mnie zdumiona, jakby nie przyszło jej do głowy, że kolacja dla dziesięciu osób to impreza, po której należy posprzątać, ale zareagowała na moją propozycję jak na najlepszą usłyszaną w życiu wiadomość. Chwilę później z dziką radością wzięła się do roboty. Sprzątała i zmywała przez dwie i pół godziny, a kiedy skończyła, kuchnia rzeczywiście lśniła czystością. Przez cały ten czas paplała jak najęta — najwyraźniej tego właśnie było jej trzeba — podczas gdy Atlas spał smacznie w moich ramionach, bez gorączki i wymiotów, zupełnie jakby kuchnia pełna naczyń była wszystkim, czego potrzeba, by rozwiązać każdy problem tego świata. A jest ich wiele.

— Rozmawiałam z mamą — zaczęła. — Nie mogłam z nią nie porozmawiać. Byłam taka wściekła, ale jako nastolatka przez trzy lata zachowywałam się naprawdę nieznośnie, a ona mi wybaczyła, więc czułabym się fatalnie, gdybym teraz się na nią wypięła. Pomyślałam, że jeśli

coś jej się stało w drodze do domu i nie miałybyśmy okazji porozmawiać, chyba bym się zabiła. Dlatego zadzwoniłam do niej. Powiedziała, że próbuje nauczyć go, jak być mężczyzną. Wiesz, zupełnie jakby wierzyła, że w gruncie rzeczy on jest lepszy, niż się wydaje, i naprawdę zasługuje na to, żeby być ze mną i z Atlassem. Powiedziała, że zawsze tak uważała, ale on nie był jeszcze gotowy. Był zbyt niedojrzały. Zagubiony. Ale sądziła, że to nie powinno rozstrzygać o całej sprawie. Należało to naprawić i wybaczyć mu jego zachowanie. Jej zdaniem było ono całkowicie zrozumiałe i Daniel nie zasługiwał na to, by go karać, a tym samym pozbawiać Atlasa ojca. Powiedziała, że ja nie znajdę miłości swojego życia, a on już zawsze będzie czuł się winny za to, że w młodości źle ocenił sytuację i porzucił rodzinę. Chciała to naprawić, ale nie mogła mi o tym powiedzieć, bo wiedziała, że się wkurzę, i tak właśnie było. Byłam naprawdę wściekła. Jemu też nie mogła powiedzieć, bo człowiek nie powinien słyszeć czegoś takiego na swój temat. Myślę więc, że próbowała go... podszkolić. Nauczyć go, jak dbać o syna, pokazać mu, że powinien myśleć o mnie, zamiast o sobie, widzieć w nas jedność, a nie przeciwstawiać mnie i moje potrzeby swoim własnym. Chciała go przekonać, że bycie ojcem nie jest takie straszne. Że nadal może grać w siatkówkę i w zespole. Że jego życie się nie zmieni całkowicie, ale stanie się lepsze, pełniejsze. To oczywiste, że będzie musiał poświęcić odrobinę swej wolności... Zresztą co miał z nią zrobić! A bycie dorosłym jest inne, niż się wydaje, ale to, co dostanie w zamian, wszystko mu wynagrodzi. Nie pouczała go. Po prostu pokazywała mu zdjęcia, opowiadała mu o nas, o tym, jak byłam mała, o byciu rodzicem, o tym, co poświęciła, co zyskała i co udało się jej zatrzymać: przyjaciół, życie towarzyskie i wszystko to, na czym jej zależało. Powiedziała, że dała mu do poczytania różne rzeczy. Nie wiem dokładnie, co miała na myśli, opowiadki, wiersze, listy, które pisałam, kiedy byłam dzieckiem, czy coś innego. Książki o matkach samotnie wychowujących dzieci? Nie mam pojęcia. Ale to najwyraźniej podziałało. Była to swoista reedukacja, która miała uczynić go godnym mnie i Atlasa. Jak więc mogłabym się na nią gniewać?

— To samo dzieje się z bohaterami Szekspira — zauważyłam.

— U Szekspira wszyscy umierają. Uczą się i umierają. Jak coś takiego ma mi pomóc?

— Tylko w tragediach — odparłam. — Mężczyźni w komediach Szekspira uczą się i zenią. Jego bohaterowie są pełni wad. Nieufni i niegodni zaufania. Podli i mściwi. Mają błędne wyobrażenie o miłości i związkach, a do tego niewłaściwe priorytety, bo dbają wyłącznie o urodę i pieniądze. Albo są tak zajęci wygłupami ze swoimi kolegami, że nawet nie starają się dorosnąć. A szekspirowskie kobiety są naprawdę niesamowite. Potrafią dostrzec w nich idealnych mężczyzn. Widzą silnych, miłych, inteligentnych facetów, na których wyrosną, i wiedzą, że wystarczy trochę czasu, wysiłku i cierpliwości, by dojrżeli i udowodnili, że są ich godni. Tak więc szkolą ich. Prowokują, uczą i kształtują. Ubierają się jak inni chłopcy, bo tu masz rację: nikt nie chce słuchać na swój temat takich rzeczy, zwłaszcza od osób, które kochamy. W końcu jednak ci chłopcy dorastają i stają się samodzielni. Uczą się, co świadczy o tym, jak mądre są te kobiety, że potrafią zobaczyć to, co od początku umykało naszej uwadze. W nagrodę otrzymują miłość i małżeństwo.

— Ale kiedy człowiek kończy to czytać, czuje się do dupy — oburzyła się Jill. — Odkładasz książkę i wiesz, że twoja ulubiona bohaterka utknęła w związku z facetem, który jest podły i nieufny. Helena poślubia swojego koszmarnego byłego chłopaka, który pokochał ją ponownie tylko dzięki działaniu czarodziejskiego pyłu. Viola wiąże się z tym naiwnym, nadąsanym kolesiem, który i tak pewnie jest gejem.

— Dobrze, ale nie o to tu chodzi. Ci faceci niczego się nie nauczyli, więc koniec końców biorą ślub, ale nie są z tego powodu przesadnie szczęśliwi. Pomyśl o Beatrice albo o Rosalind. Przyklaskujesz ich małżeństwom nie dlatego, że bohaterowie czy bohaterki od samego początku

byli idealni, ale dlatego, że czegoś się nauczyli. Nie ma idealnych ludzi. Przyklaskujemy tym, którzy słysząc słowa krytyki na swój temat, potrafią coś w sobie zmienić.

— Tak, ale to nie moja mama i Daniel mieliby wziąć ślub. — Jill zachichotała.

— To tylko metafora, Jilly.

— Jak myślisz, czego muszę się nauczyć? — spytała.

— A twoim zdaniem, czego?

— Czy ktoś nie powinien pomóc mi to odkryć?

— Czasami. Ale zwykle kobiety same do tego dochodzą.

— Nie powinnam mieć jakiegoś pomocnika? Kogoś, kto udziela bohaterce wszelkich odpowiedzi?

— Nikt nie może udzielić jej odpowiedzi. Ona sama musi je znaleźć. Naprawienie wszystkiego nie jest takie trudne. Najważniejsze to odpowiedzieć sobie na pytanie, co właściwie wymaga naprawy. Beatrice odkrywa, że bycie surową i bojaźliwą wcale jej nie służy. Postanawia kochać i być kochaną, i tak się dzieje. Rosalind uświadamia sobie, że życie jest krótkie, a miłość cenna. W końcu dociera do niej, że nie ma wieczności, by udawać chłopca i ganiać po lasach. Obawia się, że Orlando przestanie ją kochać, gdy ona straci swą dziewczęcą świeżość, a jej młodość i uroda przeminą. Musi nauczyć się ufać, że będzie kochał ją zawsze, nawet po osiemdziesięciu latach bycia razem, gdy będzie stara i siwa.

— Ale ja nie bałam się bycia kochaną. Byłam na to gotowa. To on powiedział „nie”.

— Twoja wina nie na tym polega — odparłam.

— A na czym?

— Nie powiem ci. — Wzruszyłam ramionami. Nie wiedziałam. Poza tym to była podróż, którą musiała odbyć sama. Różnica między dziełami Szekspira a prawdziwym życiem polega na tym, że w prawdziwym życiu nie ma wróżek, dawno niewidzianych bliźniaków ani przebierających się za mężczyzn mądrych kobiet, które rozwiążą nasze problemy. Chociaż, z drugiej strony, kuchnia była sprzątnięta, naczynia wysuszone i odłożone na miejsce, blaty wytarte, a Atlas spał smacznie w moich ramionach.

## Rozdział 26

Nie miałam pojęcia, kto dzwoni, kiedy rozległ się dzwonek telefonu, ale wiedziałam to zaraz po tym, jak powiedziałam „halo”, jeszcze zanim usłyszałam odpowiedź. Może rozpoznałam wstrzymywany oddech po drugiej stronie. Może chwila ciszy była dłuższa niż zwykle, dzięki czemu miałam czas do namysłu. Odebrałam, powiedziałam „halo” i poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła, jeszcze zanim usłyszałam „Cześć, Janey”. Jego spokojny, smutny głos miał w sobie zapowiedź czegoś ważniejszego. A ja nie mogłam wykrztusić ani słowa.

— Jesteś tam? To ja. — W obliczu ciszy, która powitała go po drugiej stronie słuchawki, przestał być małym, przerażonym chłopcem i na powrót stał się Danielem. Zidentyfikował problem, z którym mógł się zmierzyć. — Dobra, nie musisz nic mówić. Po prostu posłuchaj. Będę mówił, dopóki nie usłyszę, że się rozłączyłaś.

Byłam wzburzona, ale nie dlatego odebrało mi mowę. Po prostu nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę. Zwykle uprzejmości, tak częste w rozmowie z kimś, kogo nie widziało się od dłuższego czasu, wydawały się nie na miejscu, jednak pominięcie ich i przejście do sedna sprawy również byłyby niestosowne.

— Zdaję sobie sprawę, że musisz być zła — ciągnął — ale wiem, że mnie wysłuchasz. Nie chodzi o to, że przygotowałem na tę okazję jakieś specjalne przemówienie. Dzwoniła Diane i wiem, że powiedziała Jill. Pomyślałem więc, że lepiej zadzwonię.

Urwał i przez chwilę oboje milczeliśmy, a ja zastanawiałam się, czy naprawdę o to chodziło.

— Trzymałem się z daleka nie dlatego, że mi na niej nie zależy. Tęsknię za nią. Nadal ją kocham. — Ją, nie ich. — Po prostu pomyślałem, że powinienem dać wam... jej trochę przestrzeni; dużo przestrzeni. Mówiąc, że nie chcę tego dziecka, podjąłem decyzję, więc nie mogłem tak po prostu zadzwonić i zapytać... no wiesz, co u was słyhać. Czuję się, jakbym miał do wyboru wszystko albo nic, a ponieważ nie wybrałem wszystkiego musiałem odejść z niczym.

— W porządku — wydusiłam w końcu. — Co u ciebie?

Odetchnął głęboko i wiedziałam, że się uśmiechnął, chociaż nie miałam pojęcia, czy dlatego, że poczuł ulgę, czy może dlatego, że uznał moje pytanie za absurdalne.

— W porządku. Dostałem pracę. Jestem redaktorem technicznym w Tacoma. Czasami gram w zespole. Mam się dobrze... chyba. Tęsknię za wami... tęsknię za Jill.

Nie zagłębiał się w szczegóły i nie zapytał, jak się mam ani co u nas słyhać. Pewnie wiedział, że nie mogłabym odpowiedzieć na jego pytania, nie wspominając o Atlasie, o Jill, o radościach i wyzwaniach związanych z wychowywaniem dziecka, które nie do końca było moje, tak jak nie do końca było jego. W ten oto sposób wyczerpaliśmy listę tematów do rozmowy.

— Chciałbyś porozmawiać z Jill? — spytałam. Odparł, że chce, tym samym spokojnym, wystraszonego głosem. Zakryłam słuchawkę ręką i zawołałam Jill. Zeszła na dół z Atlasem na rękach, spojrzała na mnie i już wiedziała, o co chodzi. Krew odpłynęła jej z twarzy tak gwałtownie, że przez chwilę bałam się, iż rozleje się czerwoną kałużą u jej stóp. Podałam jej telefon i wstałam, żeby wyjść z pokoju. Chciałam zostawić ją samą w fotelu, w małym, ciepłym, przytulnym kąciuku, gdzie skulona mogła spokojnie porozmawiać z Danielem. Byłam w połowie schodów, gdy usłyszałam, jak mnie woła. W milczeniu ścisnęłam słuchawkę, a gdy się odwróciłam, bez słowa podała mi Atlasa.

\* \* \*

Na górze Atlas i ja zamknęliśmy drzwi do jego pokoju, usiedliśmy na podłodze i bawiliśmy się pogryzionymi klockami. Nie miałam zamiaru podsłuchiwać i z całą pewnością nie chciałam, żeby on usłyszał choćby fragment tej rozmowy, ale chciałam powiedzieć komuś (a tak naprawdę wszystkim) o tym, co się stało. Zadzwoiłam więc do Katie. Była u Petera, a nasza rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Katie: Halo?

Ja: Zadzwoił Dan. Rozmawiają przez telefon.

Katie: Zaraz wracam.

Jak widać, ani miłość, ani zaręczyny nie były ważniejsze od tego, co działo się w życiu Jill. Przyjechała niecałe dziesięć minut później. Myślałam, że jest czerwona i zdyszana, bo biegła całą drogę, ale okazało się, że Peter podrzucił ją pod dom. Wyglądała tak, bo wlokła za sobą ogromny worek czegoś dziwnie kanciastego.

— Gdzie ona jest? — wysapała, osuwając się na podłogę i kładąc głowę na kolanach Atlasa, który popatrzył na nią jak na histeryczkę.

— Na dole. W pokoju gościnnym. Nie słyszałaś jej, wchodząc do domu?

Katie wzruszyła ramionami.

— Nic nie mówiła ani nie płakała. Albo robiła to bardzo cicho.

— Co to? — spytałam, wskazując głową worek Świętego Mikołaja.

— Worek na pranie Petera. Tylko on był na tyle duży, żeby wszystko pomieścić.

— Pomieścić co?

— Rzeczy związane ze ślubem — odparła radośnie. Chwilę później z worka na pranie wyciągnęła kilka magazynów dla panien młodych, segregatory z próbkami zaproszeń, dziesiątki katalogów z ofertami kwaciarni, firm cateringowych, fotografów, didżejów, dekoratorów ciast, organizatorów przyjęć, lokali, wypożyczalni smokingów i zakładów fryzjerskich. Były wśród nich książki o tym, jak wybrać idealną suknię, zaplanować idealne przyjęcie, dobrać idealne kolory i przygotować idealne ozdoby. Katie przytасzczyła do domu stos broszur ze zdjęciami plaż i trzymających się za ręce zakochanych par, przewiązane różową wstążką, z dołączonym bilecikiem, na którym ktoś napisał starannym pismem „Zaplanuj idealny miesiąc miodowy z biurem podróży Suns and Lovers”. Kiedy ostatnia rzecz trafiła z worka wprost na podłogę, Katie sięgnęła po torbę i wyjęła z niej sześć kawałków ciasta w plastikowych torebkach.

— Próbki — ogłosiła podekscytowana.

Nie mając pewności, jak długo Daniel i Jill będą rozwiązywali własne problemy, ucieszyłam się, że ktoś pomyślał i przyniósł do domu jedzenie.

Niespełna dziesięć minut później ułożyliśmy wszystko w równe stosy. Atlas zasnął na podłodze, obsypany białym i różowym lukrem, z okruchami ciasta we włosach i na rączkach. Katie i ja — również w lukrze i okruchach — przeglądałyśmy magazyny z modą dla panien młodych, zginając rogi stron z sukienkami, które przypadły nam do gustu, albo — znacznie częściej — podnosząc opasłe tomiszczka i pokazując sobie kreacje tak ohydne i niestosowne, że rozbawione pytałyśmy się: „A co powiesz na tę?”.

Po jakimś czasie nie mogłyśmy już patrzeć na modę ślubną. Obudziłyśmy Atlasa, wykapałyśmy go i położyłyśmy spać. Do tego czasu zdążyłyśmy już zgłodnieć. Próbowaliśmy przypomnieć sobie, co takiego mamy w lodówce i spiżarni, co mogłybyśmy zjeść palcami, bez konieczności podgrzewania i gotowania. Ostatecznie zdecydowałyśmy się na kawałki sera, wiśnie, precle, sos boloński i resztki lasagne (trudno ją zjeść palcami, ale sytuacja zmusza ludzi do różnych rzeczy). Ukradkiem zeszyliśmy na dół. Kończyliśmy przetrząsać lodówkę, kiedy usłyszałyśmy głos Jill.



— Już nie rozmawiam przez telefon. Po prostu sobie siedzę. Możecie zapalić światło.

Poczułam się rozczarowana, bo tak naprawdę świetnie się bawiłam. Fajnie było układać klocki z Atlasem, karmić go maleńkimi kawałkami ciasta i przeglądać z Katie katalogi mody ślubnej. Zabawnie było zakradać się do własnej kuchni po to, żeby przygotować naprędce kolację, która nie wymagała więcej przygotowań niż podane w plastikowych woreczkach kawałki ślubnego tortu. Tymczasem Jill wszystko zepsuła. Siedziała po ciemku, sama i przygnębiona, podczas gdy ja zastanawiałam się, jak urozmaicić naszą kolację, mając do dyspozycji słoik musztardy.

Gdy Katie włączyła światło, Jill zamrugowała jak oślepienie nocne zwierzę i ukryła twarz w dłoniach.

— Gdzie jest Atlas?

— Śpi.

— On... dałyśmy mu trochę ciasta.

— Co robiłyście na górze?

— Przeglądałyśmy katalogi ślubne.

— Dzięki, że zostawiłyście mi trochę przestrzeni.

— Nie ma sprawy.

— Jest jeszcze trochę ciasta?

Katie i ja wymieniliśmy pełne skruchy spojrzenia. Jak mogłyśmy nie zostawić jej ani kawałka ślubnego tortu? Z drugiej strony, skąd mogłyśmy wiedzieć, że będzie miała ochotę na ciasto? Optymistycznie wzięłam to za dobry znak i sięgnęłam po miskę, gotowa zrobić ciasto marchewkowe.

— I co powiedział?

Siedziała nieruchomo w kącie pokoju, zakrywając twarz rękami. Kiedy jednak usłyszała pytanie, zwinęła się w kłębek na podłodze i z kolanami pod brodą przypominała wielką piłkę o twarzy Jill.

— My tylko... rozmawialiśmy — bąknęła zza kolan. — Opowiadał mi o pracy, mieszkaniu i życiu. Przeprosił za to, że rozmawiał z moją mamą bez mojej wiedzy. Martwił się o mnie, ale nie o Atlasa. Przeprosił, że nie zadzwonił wcześniej. Powiedział, że chciał zadzwonić zaraz po tym, jak Atlas... nazwał go „dzieckiem”, jakby nie miał imienia... przyszedł na świat, ale czuł, że nie może. Później z każdym dniem było mu coraz trudniej. Uznał, że jest już za późno, a poza tym nie wiedział, co mógłby mi powiedzieć. To śmieszne, ale zaproponował, że prześle mi pieniądze. Cały czas pytał, jak się mam. Pytał też o Atlasa, ale nie sprawiał wrażenia, jakby rzeczywiście go to obchodziło. Poza tym, jak odpowiedzieć na pytanie: „Jak się czuje dziecko?”. Co miałam mu powiedzieć? Dziś rano zwymiotował, ale chyba już mu lepiej. A przynajmniej było lepiej, dopóki moje współlokatorki nie nakarmiły go ciastem. Nie widział Atlasa na oczy, więc nie wiem, co miał na myśli, pytając, „jak się czuje”?

— To dziwne — zastanawiała się na głos Katie. — Bo twoja mama mówiła coś innego.

— To znaczy?

— Myślałam, że obchodzi go Atlas. Z tego, co zrozumiałam, Daniel cały czas o was wypytywał, chciał oglądać zdjęcia, zastanawiał się nawet, czy się tu nie wprowadzić i nie poprosić cię o rękę.

— Chciałaby — rzuciła lekceważąco Jill, a ja zastanawiałam się, na co liczyła Diane i jak ktoś, dla kogo najważniejsze było dobro Jill i Atlasa, chciał rozwiązać całą tę sytuację. — Prawie w ogóle nie pytał o „dziecko”.

— Może uznał, że nie ma prawa — odparłam. — Pewnie był przestraszony i zdenerwowany. Czuł się niezręcznie i miał wyrzuty sumienia.

— Trzymasz jego stronę?

— Nie. — Absolutnie, kompletnie, totalnie nie. Nie-nie-nie-nie-nie. — Chcę tylko powiedzieć, że pewnie nie chciał wyjść na palanta. Chyba wcale nie jest palantem, ale wyszedł na palanta, bo to dość trudna, niezręczna sytuacja.

— A więc jednak trzymasz jego stronę. To jego wina, że sytuacja jest trudna. To on odszedł i to on nas porzucił. To on nie zadzwonił, tylko potajemnie spotykał się z moją mamą.

— Na czym stało? — Katie postanowiła zmienić temat.

— Powiedział, że zadzwoni znowu za kilka dni. Nie odpowiedziałam, więc się rozłączył. — Przez chwilę milczała. — Wychodzę — rzuciła w końcu. Włożyła buty, chwyciła kluczyki i słuchawkę telefonu i ruszyła do wyjścia. Zanim zamknęła drzwi, odwróciła się i syknęła: — Nie dotykajcie mojego dziecka.

\* \* \*

Odpuściłyśmy sobie kolację. Zjadłyśmy połowę surowego ciasta, które zaczęłam przygotowywać dla Jill, zanim wyszła z domu. Drugą połowę upiekłyśmy i udekorowałyśmy jej imieniem i uśmiechniętą buźką. Miałyśmy nadzieję, że to poprawi jej humor i Jill nie pomyśli, że się z niej naśmiewamy. Dziwne, że chciała odkręcić wszystko teraz, po tym, jak Daniel porzucił ją w czasie, gdy upierała się, że da sobie radę, i nie chciała z nim być, jeśli on tego nie chciał. Dziwne, że wściekała się, że nie pytał o Atlasa, skoro dzień wcześniej panikowała na myśl o tym, że będzie chciał odebrać jej dziecko. Dziwne też, że przyszło jej do głowy, że stoję po jego stronie, kiedy całym sercem byłam po stronie jej, Atlasa i swojej. Koniec końców było to także moje życie. Tak czy inaczej, Jill i Atlas byli nierozłączni. Tak czy inaczej, Katie zamierzała nas opuścić. Bez względu na to, czy Daniel wróci, czy też nie, mogłam liczyć jedynie na to, że pozostaniemy przyjaciółkami i ułożymy swoje życie na nowo. Daniel mógł znowu zniknąć. Sąd mógł przyznać mu częściową opiekę nad dzieckiem. Mógł ożenić się z Jill, wprowadzić się i stworzyć z nią szczęśliwą rodzinę. Ale w kwestii Atlasa niczego nie mogłam być pewna.

\* \* \*

Zadzwoniłam do Nica, wiedząc, że jako osoba postronna stanie po mojej stronie.

— Jesteś niesamowitą przyjaciółką — powiedział.

— Dziękuję.

— I niesamowitą matką — dodał.

— Dziękuję.

— Przechodzisz samą siebie, Jill nie powinna się na ciebie wściekać. Powinna paść przed tobą na kolana i bić ci pokłony.

— Wiem.

— Jesteś cudowną kobietą, Janey, najmiłszą i najbardziej życzliwą osobą, jaką znam. Każdy, kto miał wystarczająco dużo szczęścia, by cię poznać, nie mówiąc o tych, którzy mają cię na co dzień, powinien być dozgonnie wdzięczny losowi — ciągnął, mówiąc dokładnie to, co chciałam usłyszeć. Chwilę później dodał ściszym głosem: — Rozumiem Dana. Wiem, jak to jest, kiedy człowiek uświadamia sobie, że popełnił błąd i chciałby wrócić, ale nie może.

— Co masz na myśli?

— Za pierwszym razem nie wszystko jest tak jak trzeba. I nie da się odkręcić wszystkich błędów. Człowiek jest zbyt młody, żeby docenić to, co ma. A gdy to sobie uświadamia, nagle wydaje mu się, że jest za późno, a później rzeczywiście jest już za późno. Dan ma szczęście. Atlas jest jego przepustką. Odkąd pojawiło się dziecko, ma wymówkę, żeby wrócić do Jill.

— On chce wrócić ze względu na dziecko — zauważyłam.

— Wcale nie. Chce wrócić, mimo że mają dziecko. To nie to samo. Chce wrócić dla Jill. Zaufaj mi.

— Skąd wiesz? — spytałam, ale nie odpowiedział.

\* \* \*

Jakiś czas później wróciłam do pokoju Atlasa i zaczęłam pakować broszury i katalogi z powrotem do worka na pranie, z którego w cudowny sposób się wydostały. Zwykle nie zwracam uwagi na bałagan, jaki panuje w moim pokoju, a tym bardziej w innych, ale miałam przerażającą wizję, że któraś z nas biegnie w środku nocy do płaczącego Atlasa i potyka się o porozrzucane na podłodze katalogi z modą ślubną. Tyle że oprócz Atlasa byłam w domu jedyną osobą, tak więc pocieszałam go na głos, choć spał i nie rozumiał, co do niego mówię.

— Wszystko będzie dobrze — obiecałam mu szeptem. — Zawsze będziemy cię kochać i nigdy cię nie opuścimy. Nigdzie się nie wybieramy. Nie pozwolimy, żeby przydarzyło ci się coś złego. Twoja mama wcale nie jest szalona. Po prostu się denerwuje. A twój tata wcale nie jest zły. Tylko... nie wie, co ma robić. Twoja mama nie gniewa się na babcię ani na mnie. Ona też nie bardzo wie, co ma robić. Masz szczęście. Mieszkasz wśród szaleńców, ale oni wszyscy bardzo cię kochają. — Tymczasem Atlas spał jak gdyby nigdy nic. W głębi duszy zazdrościłam mu jego spokoju, nieświadomości i bezsilności. I dosłowności, w jakiej żył, podczas gdy ja po raz kolejny grzęzłam w metaforach. Może Ethan miał rację: Jill i Katie, Daniel i Peter wcale nie byli swoimi literackimi przeciwieństwami? Może Jill i ja byłyśmy niczym swe lustrzane odbicia, z niestałymi w uczuciach, marnotrawnymi, byłymi kochankami, którzy przebąkaliwali coś o tym, że, być może, zmienią zdanie. O tym, że są zagubieni i nie wiedzą, co robić.

— Dzięki za ciasto. — Usłyszałam za plecami głos Jill. Trzymała talerz w jednej ręce, drugą wpychając do ust kawałki ciasta. — Mmm fudofne. — W pierwszej chwili pomyślałam, że chciała przez to powiedzieć, że jest cudowne, ale mogło jej chodzić o cokolwiek. — Zgadnij, kto obściskiwał się na naszej werandzie. — Przełknęła i szarpnęła za rękaw zawstydzoną Katie. Godzinę temu Katie zadzwoniła do Petera, żeby pójść z nim na spacer. Najwyraźniej nie uszli za daleko.

— Przyjechał po mnie i trochę nas poniosło — wyjaśniła Katie.

— To naprawdę wielki worek — zauważyła Jill. Miała czerwone oczy, ale była spokojna i uśmiechała się.

— Planowanie wesela to mnóstwo roboty — odparła z powagą Katie, choć nie przekonała tym ani Jill, ani mnie. Katie uwielbiała planować przyjęcia. Widziała w tym nawet swoje powołanie. Gdyby nie to, że jej ojciec, profesor z dwoma doktoratami, dostałby ataku szału, jakiego nie widziano w całej historii Salt Lake City, zostałaaby organizatorką przyjęć weselnych. — W całym tym zamieszaniu zapomniałam wam powiedzieć, że wybraliśmy datę. Dwudziesty dziewiąty czerwca. Postanowiliśmy pobrać się tuż po zakończeniu pierwszej połowy letniego semestru, tak by z niczym to nie kolidowało.

— Nie sądzę, żeby przyszłoroczny grafik pierwszej połowy letniego semestru wyglądał tak jak w tym roku — powiedziała Jill. — Pytałaś w dziekanacie?

— Nie mówię o przyszłym roku. Zamierzamy się pobrać tego lata.

Spojrzałyśmy na nią, jakby postradała rozum.

— To za miesiąc — wykrztusiła Jill.

— Tak, wiem — odparła radośnie Katie. — Czyż to nie wspaniałe?

— Po co ten pośpiech?

— Nie spieszmy się. Po prostu nie widzimy powodów, żeby zwlekać ze ślubem. Nasz biskup pozwolił nam wybrać datę. Ślub odbędzie się w ogródku za domem, nie w świątyni

w Utah, żebyście wszyscy mogli przyjść. Można zorganizować naprawdę ładną ceremonię bez większego wysiłku, jeśli ma się głowę do planowania. A ja mam.

— Po prostu chcecie się z sobą przespać — rzuciła Jill. — Jesteście napaleni. Dlatego tak wam się spieszy.

— Po co więc ten worek z katalogami? — spytałam. Wysoki na metr, stał w kącie, gdzie sama go zawlokłam (podniesienie go nie wchodziło w rachubę).

— Co masz na myśli? Musimy zaplanować ślub.

— Ale przecież nie będziecie mieli czasu, żeby zamówić zaproszenia, ciasta ani kwiaty. Firmy cateringowe, lokale i fotografowie nie znajdą wolnych terminów. Takie rzeczy planuje się na kilka miesięcy przed ślubem. Kiedy moja kuzynka wychodziła za mąż, zamówiła suknię z półtorarocznym wyprzedzeniem.

— Zaczekajcie i zobaczycie — odparła Katie. — Mormoni są bardzo pracowici. W ostatniej chwili potrafimy zorganizować fantastyczny ślub.

— Jasne — bąknęła Jill. — Bo wszyscy jesteście tacy napaleni.

## Rozdział 27

Najważniejsze w opowiadaniach jest to, że są krótkie. Powieści, filmy, nawet sztuki teatralne wciągają nas i nie wypuszczają ze swych objęć. W tym czasie poznajemy poglądy, bohaterów, zawiłe motywy i skomplikowane fabuły. Człowiek tygodniami żyje książką, nosi ją z sobą w torbie, myśli o postaciach jak o swoich przyjaciółach i przeżywa ich problemy jak własne. Z opowiadaniem jest inaczej. Ledwie pozna się bohaterów, ich problemy, intrygi, a tu koniec. Rozwiązane czy nierozwiązane, jasne czy kompletnie niejasne, tak czy owak, nie pozostaje nic więcej... chyba że chodzisz na zajęcia z literaturoznawstwa. Wówczas w ciągu nocy masz do przeczytania pięć opowiadań. Rezultat jest irytujący. Kiedy tylko człowiek zagłębi się w jedną historię, ta niespodziewanie dobiega końca, a — co gorsza — niemal od razu trzeba przeskoczyć do kolejnej. To niemal jak chodzenie z jednej randki na drugą. Efekt jest taki, że po zajęciach z opowiadań każdy czuje się jak zdzira.

Jest to dział, z którego moi studenci piszą jedną minipracę na dzień. Przygotowują krótkie opracowania, które i tak robią wodę z mózgu, tak więc pod koniec tygodnia wszyscy — ja i moi studenci — czujemy się kompletnie zdezorientowani. Nikt już nie wie, co czytamy, co piszemy, czego się uczyliśmy i co będziemy omawiać. Wszystko miesza się w jedną całość, aż do czasu gdy zaczynamy dyskusję na temat bohaterów Alice Walker w opowiadaniach Eudory Welty, kiedy to można usłyszeć uwagi takie, jak: „No wiecie. Ten facet z cukierkiem? Jego imię zaczyna się na J?” i spostrzeżenia typu „To naprawdę dobra praca, ale wydarzenie, do którego nawiązujesz w trzecim akapicie, nie pochodzi z tego opowiadania, tylko z tego, które omawialiśmy we wtorek”. Perspektywa skrócenia zakresu materiału wydaje się kusząca, ale władze wydziału upierają się, że trzy zaliczenia to trzy zaliczenia — nieważne, w jakim czasie — tak więc musimy zmieścić w jednym tygodniu to, co zwykle zajmuje trzy.

Z drugiej strony sprawdzanie prac na temat opowiadań wywołuje zupełnie odwrotny wpływ na czyjeś życie. Nie pozostawia zbyt wiele czasu na inne rzeczy, takie jak: planowanie ślubu, rozmyślanie o Danielu, myślenie o Nicu, kłótnie ze współlokatorkami ani opiekowanie się Atlasem dłużej niż godzinę. Nadal biegałam z Ethanem i znalazłam czas na to, by w połowie tygodnia wyskoczyć na lunch z Jasonem, przekazać mu najnowsze wieści i obejrzeć zdjęcia USG (plus fotografia, na której Jason i Lucas uśmiechali się po obu stronach brzucha — „Zdjęcie sprzed”, jak oznajmił Jason). Resztę czasu spędzałam, czytając i oceniając prace. I choć każdy powie (słusznie zresztą), że sprawdzanie prac jest absolutnym minusem tej roboty, to stanowi również miłą odskocznnię od rzeczywistości.

Pod koniec tygodnia numer dwa wszystko wydawało się w porządku. Przygotowania do ślubu posuwały się w szybkim tempie, a co najważniejsze, Katie i Peter nadal sprawiali wrażenie zakochanych. Daniel zadzwonił jeszcze raz i więcej się nie odezwał. Tym razem rozmowa wyglądała nieco lepiej i nie doprowadziła do żadnej kłótni. Moi studenci poczuli, że najgorsze mają już za sobą i teraz będzie już tylko z górki. I mieli rację. Po maratonie pełnym wierszy i opowiadań przyszedł czas na dramaty, filmy, powieści — łatwiej domyślić się ich znaczenia, choć trudniej je zrozumieć. W piątek pożegnaliśmy się jak starzy znajomi, nie życząc sobie udanego weekendu, ale długiego. Po zajęciach poszłam pobiegać z Ethanem, który później odprowadził mnie do domu. Przez cały czas, kiedy moje stopy uderzały o ziemię, a płuca walczyły o każdy kolejny oddech, w głowie pojawiało się jedno jedyne słowo. Do-brze. Do-brze. Dobrze-dobrze-dobrze-dobrze-dobrze. Wszystko będzie dobrze.

I było. W domu Katie i Jill siedziały przy kuchennym stole, przeglądając segregatory z wzorami zaproszeń, a Atlas obgryzał pojemnik Tupperware. Ethan i ja usiedliśmy i również

zaczęliśmy przeglądać zaproszenia. Niebawem wymieniliśmy segregatory na katalogi z modą ślubną. Zbliżała się pora kolacji, a ja nie miałam ochoty gotować, tym bardziej ucieszyłam się, gdy zadzwonił Jason i zaproponował, że wpadną obaj z Lucasem i przywiozą resztki jedzenia z restauracji. Wkrótce potem do drzwi zapukał Peter, który przywiózł mrożoną kawę i sprite'a dla siebie i Katie. Daniel nie zadzwonił, a Atlas poszedł grzecznie spać i wszystko było tak jak należy.

Wtedy zadzwoniła moja mama, żeby powiedzieć mi, że babcia jest w szpitalu.

\* \* \*

— Dobrze, dobrze, dobrze — powtarzałam w kółko, przez całą drogę na północ, choć tym razem nie była to nieśmiała ocena sytuacji, a raczej żarliwa modlitwa. Moja mama, wiedząc, że przez cały tydzień nie dosypiałam, sprawdzając prace studentów, upierała się, żebym zaczekała z podróżą do rana.

— Nie ma potrzeby, żebyś teraz przyjeżdżała — powtarzała. — Nic jej nie jest. Śpi. Nawet nie będzie wiedziała, że tu jesteś.

— Ale ty tak — odparłam.

— Nawet nie zdążyłaś wziąć prysznic — zauważył Ethan. — Nic nie zjadłaś. Powinnaś coś zjeść.

— Już nigdy więcej nie będę głodna — oznajmiłam.

Całą drogę — dobrze-dobrze-dobrze-dobrze. Jazda nocą ma w sobie coś dziwnego, idealnie nadaje się do recytacji dwusylabowej mantry, w miarę jak kolejne kilometry zostają w tyle, dwie osie podążają za sobą na łączeniach asfaltu, wzdłuż linii oddzielających pasy ruchu i świateł odblaskowych, a równo rozmieszczone latarnie oświetlają jeden fragment drogi za drugim, przeplatając światło z ciemnością, przez co czasami człowiek ma wrażenie, że nie wie, gdzie jest i dokąd jedzie. Światło-mrok-próg zwalniający — dobrze-dobrze-dobrze. Nie zasłabła, więc trochę mnie to uspokoiło. Nie przestała oddychać, a jej serce nie przestało bić, nie przywieziono jej do szpitala na sygnale, nie wyniesiono nieprzytomnej z zatłoczonej restauracji, a żaden obcy człowiek nie reanimował jej na podłodze gdzieś w publicznym miejscu. Wiedziałam, że to by się jej nie spodobało. W poniedziałek była u lekarza. Ten sam lekarz zadzwonił po południu i uznał, że dobrze by było, gdyby na kilka dni trafiła do szpitala i zrobiła badania. Pojechała tam sama, załatwiła wszystkie formalności i zadzwoniła do mojej mamy, kiedy była już na sali, ubrana w szpitalną koszulę. To doprowadziło mamę do hysterii, ale świadomość, że to zachowanie typowe dla babci, kazała nam wierzyć, że wszystko będzie dobrze-dobrze-dobrze. Jednak im dłużej jechałam, tym bardziej obawiałam się, że skoro lekarz dzwonił w sprawie wyników i zamiast podać je pacjentowi, wysyłał go do szpitala, coś jednak musiało być nie tak.

Dotarłam na miejsce. Znalazłam rodziców. Płakałam i oni też płakali. Chwilę później wyszedł do nas lekarz. Czułam się jak w kreskówce *Far Side*, kiedy właściciel krzyczy na swojego psa, tłumacząc mu, co zrobił źle, jak bardzo jest zdenerwowany i co się stanie, jeśli sytuacja się powtórzy. Jednak pies nie słyszy niczego poza niezrozumiałym bełkotem, który brzmi mniej więcej tak: „bla-bla-Ginger-bla-bla-bla-bla”. Tamtego dnia w szpitalu czułam się jak pies. Lekarz mówił wiele różnych rzeczy, opowiadał o nich spokojnym, cierpliwym głosem, ja jednak usłyszałam tylko jedno słowo: „rak”.

Po rozmowie z lekarzem, kiedy rodzice zeszli na dół w poszukiwaniu automatu z kawą, ja weszłam do pokoju, w którym spała babcia. W szpitalnej koszuli, z zapiętym wokół nadgarstka identyfikatorem wyglądała... staro. Dopiero tam, w szpitalnej sali, uświadomiłam sobie, jak bardzo różni się od mojego wyobrażenia o niej, obrazka, który powstał w dzieciństwie, portretu

pamięciowego sprzed dwudziestu jeden lat. Portret ten przedstawiał kobietę znacznie większą, bardziej kolorową i silniejszą od tej, której rękę trzymałam w dłoniach. Twarz tej kobiety była zapadnięta i blada jak otaczające ją prześcieradła, jej czoło znaczyły głębokie bruzdy, a filigranowe ciało ledwie poruszało się pod kocem. Od jak dawna tak wyglądała? Jak to możliwe, że nikt z nas niczego nie zauważył? Zawsze była stara — babcie z definicji są stare — ale byłam pewna, że słowo „stara” nie oznacza tego, co widziałam teraz. Głaskałam jej rękę i powtarzałam szeptem — choć bez aparatu słuchowego już dawno przestała słyszeć, co się do niej mówi — dobrze-dobrze-dobrze-dobrze-dobrze.

\* \* \*

Zadzwoiłam do domu. Jill odebrała po pierwszym sygnale.

— Wszystko w porządku?

— Nic nie jest w porządku.

— Co się dzieje?

— Ma raka. — Usłyszałam szelest, kiedy przekazywała informacje Katie albo komuś innemu, kto był z nią w pokoju.

— Och, Janey, tak mi przykro. Co jeszcze powiedzieli?

— O czym?

— No wiesz, jak ona się czuje.

— Ma raka — powtórzyłam.

— Wiem, kochanie. To straszne. Mówili co dalej?

— Dalej?

— Da się go zoperować? Wyleczyć? Będzie miała operację, radioterapię, chemioterapię?

— Nie wiem. — Pewnie o tym mówił doktor, kiedy rozmawiał z rodzicami. Przekazywał dobre wieści i dawał nadzieję, jeśli w ogóle była jakaś nadzieja.

— Daj mi z nią porozmawiać. — Usłyszałam głos Katie, a chwilę później kolejną porcję szmerów.

— Och, Janey, tak mi przykro. Jak ona się czuje? — spytała. — Zrobimy, co w naszej mocy. Potrzebujesz czegoś? Peter i ja możemy jutro podrzucić ci ubrania. Posiedzieć z tobą.

— Nie, są tu moi rodzice. Pożyczę ubrania od mamy. Nic mi nie będzie. Niedługo wrócę, w poniedziałek rano mam zajęcia.

— Możemy cię zastąpić — odparła Katie. — Wszystkim się zajmiemy. Będziemy modlić się za twoją babcie — dodała i, szczerze, był to najlepszy pomysł, jaki słyszałam w ciągu ostatnich kilku dni, jeśli nie tygodni.

Pięć minut później zadzwonił Ethan.

— Och, Janey, tak mi przykro. — Nagle wszystkim było bardzo przykro.

— Szybki jesteś.

— Prosiłem, żeby zadzwoniły do mnie, jak tylko się czegoś dowiedzą. Nie chciałem cię denerwować, ale się martwiłem. Jak się czujesz?

Jak się czułam? Jak ja się czułam? Nikt mnie o to nie pytał, nawet ja sama nie zadałam sobie tego pytania, a ponieważ odpowiedź była jednoznaczna i brzmiała źle, natychmiast się rozplakałam. Jill zamęczałaby mnie pytaniami. (Pewnie odchodzisz od zmysłów? Co się stało? O czym myślisz? Co się zmieniło?) Katie paplałaby tylko po to, żeby odwrócić moją uwagę. Tymczasem Ethan milczał i czekał. Kiedy się wyplakałam, powiedział cicho:

— Moja babcia przeżyła lata, chorując na raka. Naprawdę długie lata.

Później opowiedział mi o nowych sposobach leczenia i naprawdę dobrych lekarstwach, o tym, jak współczesna medycyna radzi sobie z tą chorobą i że jego babcia w ogóle nie cierpiała.

Dobrze było wiedzieć, że istnieją rzeczy, które dają nadzieję i które można zrobić. I podobało mi się, jak opowiadał o nich swoim spokojnym, cierpliwym głosem.

— Co teraz zrobisz? — spytał.

— Pojadę do rodziców. Spróbuję się przespać i wrócę tu rano.

— Może zadzwonisz do mnie później? Pogadamy chwilę, zanim położysz się spać? Może to pomoże ci zasnąć.

— Będzie już późno.

— I tak nikogo nie obudzisz.

— Poza tobą.

— Poza mną — przyznał. — Ale nie będę miał nic przeciwko.



## Rozdział 28

Następnego dnia rano, kiedy rodzice i ja przyjechaliśmy do szpitala dziesięć minut przed porą odwiedzin, niosąc kwiaty, napoje gazowane o zapachu waniliowym, chipsy o smaku soli i octu, kanapki z serem i precle w czekoladzie — ulubione precle babci — Katie i Atlas siedzieli już w poczekalni. Atlas spał oparty o Katie, a ona spała z głową opartą o ścianę i otwartymi ustami. Roześmiałam się i obudziłam Atlasa, który rozpromienił się na mój widok i wyciągnął ku mnie swoje małe ramionka. Jednak w ciągu krótkiej chwili, kiedy rozkoszowałam się tym widokiem, straciłam szansę, żeby go przytulić. Byłam zbyt wolna. Moja mama wzięła go na ręce i zasypała pocałunkami jego policzki, brzusek i maleńkie stópki. Atlas śmiał się i piszczał, próbując dotknąć jej ust, rozkosznie różowutki i radosny. Katie budziła się znacznie wolniej.

— Co wy tu robicie? — Byłam uradowana ich widokiem.

— Pomyśleliśmy, że przyda ci się towarzystwo — odparła. — A twojej babci odrobina miłości Atlasa.

— Gdzie jest Jill?

Katie nieznacznie uniosła brwi.

— Z Danem — bąknęła pod nosem. — Wyszła późnym wieczorem, chwilę po tym, jak rozmawialiśmy przez telefon. Nie wróciła na noc. Zadzwoiła około piątej, żeby zapytać, czy będę mogła przez cały dzień opiekować się Atlasem. I tak już nie spaliśmy, więc wsiedliśmy do samochodu i przyjechaliśmy.

— Jak to się stało? — syknęłam szeptem.

Katie wzruszyła ramionami.

— Około dwudziestej trzeciej zadzwonił jej telefon i chwilę później wyszła z domu.

— Przyniesiecie mi w końcu to dziecko, czy będziecie tak stać i gadać? — zagrzmiała ze szpitalnej sali moja babcia.

Była inną kobietą niż ta, której rękę trzymałam ubiegłej nocy. Siedziała na łóżku oparta o puchate poduszki, ubrana i uczesana, z delikatnie upudrowanymi policzkami. Na nogach miała buty (najwyraźniej uznała, że woli zgrzeszyć i wejść do łóżka w butach niż okazać słabość przed własną wnuczką). Pośród szelestu kwiatów i jedzenia, zamieszania z przynoszeniem wody i lodu do napojów, uścisków i sadowienia się zauważyłam w jej oczach ciepły blask. Obdarzyła nas szczerym, niewymuszonym uśmiechem i znowu wydawała się sobą. Zignorowała wypowiedziane szeptem „jak się masz” i spojrzała mi prosto w oczy.

— Nic mi nie jest, dziecinko. — Głos miała stanowczy, zdecydowany, niemalże poirytowany tym, że ktoś może myśleć inaczej. — A teraz dajcie mi to dziecko.

Moja mama przekazała jej Atlasa.

Nagle znowu wszystko było dobrze-dobrze-dobrze. Babcia gaworzyła do Atlasa, który odpowiadał jej tym samym. Moi rodzice pytali Katie o Petera, Ethana, o Jill, Daniela i Diane, o nienarodzone dziecko Jasona i Lucasa, o plany związane ze ślubem i o uczelnię. Babcia od czasu do czasu wtrącała się do rozmowy, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Atlasa. Znała świetną krawcową, która mogła w ostatniej chwili uszyć suknię ślubną. Była pewna, że Diane było przykro, bo w głębi duszy chciała jak najlepiej dla Jill i Atlasa. („Czasami trudno być babcią, powiedziała, poczekacie, to zobaczycie”). Uważała, że to wspaniałe, iż w dzisiejszych czasach dwóch miłych młodych mężczyzn może mieć dziecko i nikt nie ma prawa głośno wyrażać dezaprobaty. Karmiła Atlasa maleńkimi kawałkami kanapki z serem, wkładała mu je do ust i zbierała z brody, by jeszcze raz włożyć mu je do buzi, wystawiając przy tym język i naśladując go.

Kiedy do pokoju wszedł lekarz, wszyscy poderwali się, zaczęliśmy zbierać resztki lunchu, wycierać papierowymi chusteczkami kąciki ust, w pośpiechu chować śmieci i pojemniki z jedzeniem. Natychmiast też spowaźnieliśmy, jakby przyłapano nas na podjadaniu w czasie lekcji, śmianiu się na głos w bibliotece albo przekazywaniu sobie notatek podczas (otępiająco nudnego) wykładu pod tytułem „Poezja i zawrót głowy”, prowadzonego przez renomowanego profesora z uniwersytetu należącego do Ivy League, eksperta w dziedzinie poezji wiktoriańskiej. Nie żeby coś takiego kiedykolwiek mi się przydarzyło.

— Cieszę się, że czuje się pani lepiej.

Lekarz powitał babcię skinieniem głowy, choć, moim zdaniem, było w tym geście coś nieszczerzego, jakby chciał powiedzieć „Cieszę się, że czuje się pani lepiej, bo to, co mam do powiedzenia, do reszty zrujnuje pani życie”. Albo „Jak, na Boga, możecie się uśmiechać, będąc w takim miejscu, wiedząc, jak wygląda sytuacja, i nie mając żadnych powodów do radości?” On jednak mówił:

— Musimy poczekać na onkologa, który będzie dopiero w poniedziałek, i na wyniki testów, które powinniśmy dostać rano. Chcielibyśmy zatrzymać panią w szpitalu przynajmniej do końca weekendu, żeby mogła pani odpocząć i żeby mieć panią na oku.

— Jeśli ktokolwiek myśli, że spędzę tu kolejną noc, gorzko się rozczaruje, bo nie mam takiego zamiaru — odparła ze spokojem babcia. — Jak pan widzi, jestem już spakowana i gotowa do wyjścia. Rodzina przyjechała, żeby zabrać mnie do domu. Możecie do mnie zadzwonić, kiedy dostaniecie wyniki. Ja tymczasem odpocznę w domu.

Lekarz wyglądał na osłupiałego. Prawdopodobnie nieczęsto zdarzało się, by ktokolwiek, zwłaszcza drobna staruszka, rozmawiał z nim w ten sposób. Chciałam wierzyć, że jej determinacja, by jak najszybciej wrócić do domu, to znak, że jest zdrowa i że rak, którego u niej wykryto, to jeden z tych niezłśliwych, z którymi można żyć długie lata. Jednak głos w mojej głowie uparcie powtarzał dwie rzeczy. Po pierwsze chęć powrotu do domu mogła być zarówno dobrym, jak i złym znakiem, sekretną wiedzą o tym, że lekarze nie będą w stanie jej pomóc, i lepiej będzie, jeśli spędzi ten czas w domu, gdzie czekało na nią mnóstwo obowiązków. Po drugie, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie cierpiała, moja babcia zagryzie zęby i zignoruje ból. Postawi na swoim.

\* \* \*

Przywieźliśmy ją do domu. Rodzice spędzili popołudnie, pomagając jej się rozpakować. Katie i Atlas wrócili do domu. Ja zadzwoniłam do Nica i zaproponowałam spotkanie na plaży w Stanley Park. Na naszej plaży.

— Przyjdź sam — poprosiłam.

Czekałam na niego przy kłodzie, na której pierwszy raz się całowaliśmy. (Czy to naprawdę była ta sama kłoda? Wyglądała niemal identycznie). Spoglądałam na Zatokę Angielską i promienie słońca, które tańczyły na wodzie, kajakarzach, wodnych taksówkach, turystach i biegły dalej w kierunku gór i tego, co kryło się za nimi. Był to cudowny widok. Czy czułam majestat przyrody, boską tajemnicę, błahość ludzkiego życia i ulotny moment, kiedy wszystkie te rzeczy łączą się w jedną całość? Nie. Czułam się zła i rozgoryczona, zamknięta w sobie, nieistotna i nieszczęśliwa.

— Masz ochotę popłakać? — spytał Nico, tuląc mnie do siebie.

— Nie — odparłam.

— A masz ochotę się napić?

— Nie.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił mnie; niech Bóg go błogosławi. — Jest silną

kobietą. Ma w sobie ogromną wolę walki.

— Tak — przyznałam.

— Ty też dasz sobie radę — dodał. — Jesteś tak samo silna. I masz wokół siebie mnóstwo ludzi, którzy cię kochają.

— Tak — odparłam.

— Co mogę zrobić? — spytał.

— Posiedź ze mną — poprosiłam. — Nie musimy nic mówić. Nie chcę rozmawiać.

Tak więc siedzieliśmy w milczeniu, wspominając i rozmyślając każde o innych rzeczach. Mieszkając wśród kobiet i dzieci, człowiek zapomina, jak dobrze jest tak po prostu posiedzieć w ciszy. W końcu Nico delikatnie ścisnął mnie za rękę.

— Musimy zjeść coś, co poprawi nam humor — oznajmił. — Najlepiej coś indyjskiego.

— W porządku — zgodziłam się. Było zbyt gorąco na indyjskie jedzenie, ale smutek sprawił, że stałam się bardzo uległa.

\* \* \*

W domu rodziców, w środku nocy, pośród ciszy rozległ się dzwonek telefonu (niczym rozziewający upiorny wrzask). Zanim się obudziłam, mój mózg krzyczał: JESZCZE NIE! Wstrzymałam oddech i leżąc na łóżku, słuchałam głosu mamy. „Dziękuję bardzo”, mówiła i „Zaraz będę”, dzięki czemu wiedziałam, że wszystko jest w miarę w porządku. Babcia wstała, żeby pójść do łazienki, upadła i nie mogła wstać, więc waliła w podłogę tak długo, aż sąsiedzi z dołu wygramolili się z łóżka, żeby zobaczyć, o co jej chodzi, i pomóc, ewentualnie zabić ją, w zależności od tego, co zastaną w mieszkaniu. Zadzwonili pod 911 i jedenaście godzin po tym, jak opuściła szpital, musiała do niego wrócić.

Przywieźliśmy ją do domu przed ósmą. Miała stłuczone biodro, rękę, nadgarstek i ramię, ale poza tym nic jej nie było. Lekarze ostrzegli rodziców, że lekarstwa, które bierze, osłabiają ją i będzie miała zawroty głowy. Nie wolno jej było chodzić bez balkonika. Nie mogła być sama. Jeśli sprzeciwiała się pozostaniu w szpitalu (o czym nawet nie chciała słyszeć), musiała wyrazić zgodę na całodobową opiekę pielęgniarską. Jeśli nie zgadzała się na całodobową opiekę pielęgniarską (o czym również nie chciała słyszeć), musiała wyrazić zgodę na to, by któreś z nas było z nią przez cały czas.

Tak oto opuściłam ulubiony tydzień letniego semestru, w którym omawiam dramat. Dramat jest mi niezmiernie bliski, nie dlatego, że moje życie pełne jest dramatów, ale dlatego, że są one obecne w życiu każdego z nas. Zajęcia z dramatu to nie tylko sztuki, to również gra, iluzja i szukanie znaczeń, nie w słowach, ale w czymś bardziej rzeczywistym i stałym — w dekoracjach, kostiumach, gestach i modulacji głosu. Mówiąc o dramacie, odzyskujemy panowanie nad zajęciami. Stajemy się reżyserami. Przyjmujemy sztukę do naszego życia. Chwytny okazję, by opowiedzieć światu nasze własne historie, napisać własne zakończenia i morały, co pozwala przezwyciężyć nasze własne problemy i troski. Zajęcia z dramatu to moja ulubiona część semestru. Niemniej jednak...

— Wracaj na uczelnię — upomniała mnie babcia.

— Za nic w świecie! — prychnęłam.

— Nic mi nie jest, kochanie.

— Mnie też.

— Masz zajęcia.

— Są dosłownie setki ludzi, którzy mogą mnie zastąpić w tym tygodniu.

— Chyba w przerośni?

— Jak sobie chcesz — odparłam.

Ja i mama podzieliłyśmy obowiązki. Z początku planowałyśmy, że będziemy opiekować się babcią na zmianę, ale w dzień to nie było konieczne. Babcia była lubianą osobą. Miałam wrażenie, że wszyscy sąsiedzi są jej przyjaciółmi. W ciągu dnia jeden za drugim przychodzili kolejni goście. Dwie siostry z naprzeciwka, młodsze od niej o przeszło dziesięć lat, przyszły ze swoją koleżanką i godzinami grały z babcią w brydża. Młoda para, mieszkająca dwa piętra niżej, przyszła pewnego ranka ze śniadaniem, które wystarczyłoby dla pięćdziesięciu osób — bajglami, pastami, kawą i jajkami. Zostali aż do popołudnia, kiedy wszyscy znowu zgłodnieli i zamówili pizzę.

— Kiedy się wprowadziliśmy, nie znaleźmy tu nikogo — wyjaśniła kobieta, trzymając w dłoni słuchawkę i czekając na połączenie z pizzerią. — Liczyliśmy, że zaprzyjaźnimy się z ludźmi w naszym wieku, ale oni tylko pozdrawiali nas skinieniem głowy i odchodzili bez słowa. Pewnego wieczoru twoja babcia przyszła do nas z lasagne i sałatką, pokazała nam na mapie, gdzie są jej ulubione parki, restauracje i kina, i zaproponowała, że podczas naszej nieobecności podleje kwiaty. To niesamowita kobieta.

Pokiwałam w milczeniu głową i spytałam, czy nie powinni być w pracy albo na urlopie.

— Ależ nie. — Kobieta machnęła ręką. — Kiedy dowiedzieliśmy się, że jest chora, wzięliśmy dzień wolnego.

Jeden z pracowników ochrony przyszedł któregoś ranka z płytami DVD w jednej ręce i butelką wina w drugiej. Innego poranka do drzwi zapukała wymizierowana kobieta w stroju chirurga — najwyraźniej tuż po dyżurze — ze szczeniaczkiem.

— Pomyślałam, że to poprawi jej humor — wyjaśniła, kiedy piesek skakał wokół babci. — Ona zawsze wszystkich pociesza. Jest najbardziej przyjazną osobą w tym budynku.

I tak od rana do wieczora. Sąsiedzi wpadali z wizytą, przynosząc jedzenie, kwiaty, prezenty i rozmaite opowieści. Babcia witała ich uśmiechem i jak przystało na wzorową gospodynię, dwoiła się i troiła, by każdy z nich dostał coś do jedzenia i picia. Zwykle siedziałam i przysłuchiwałam się rozmowom, a od czasu do czasu wychodziłam na lunch, do biblioteki, baru kawowego albo przez kilka godzin pracowałam. Przede wszystkim jednak siedziałam w domu i nocami na zmianę z mamą opiekowałam się babcią.

Te noce — a było ich tylko trzy — były kompletnie nieprzespane, choć kiedy spałam w domu z tatą, również nie mogłam zasnąć, tak więc nie miało to większego znaczenia. I choć kolejny tydzień bez snu dał mi się we znaki, to noce, które spędziłam poza domem, były dziwnie kojące, spokojne i poniekąd przynosiły wytchnienie. Leżałam czujna w pokoju obok — tak by babcia mnie nie widziała — gotowa w każdej chwili zerwać się z łóżka i upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Jednak ona, chociaż zgodziła się, bym spała w jej mieszkaniu, nigdy, przenigdy nie obudziłaby mnie, by powiedzieć, że musi iść do łazienki. Nie należała do tego typu osób. Mimo to czuwałam, na wszelki wypadek. Dwie noce przespała całe. Jednej poszła do łazienki i wróciła do sypialni, nie robiąc przy tym najmniejszego hałasu. Mimo to wolałam nie zostawiać niczego przypadkowi i bojąc się, że upadnie, co jakiś czas wchodziłam do jej sypialni i stojąc w świetle księżyca, nasłuchiwałam, czy oddycha.

Jednak to nie środek nocy był najbardziej niesamowity, ale czas tuż przed położeniem się spać. Pierwszej nocy, kiedy przygotowała się do snu, zawołała mnie, a gdy weszłam do sypialni, pokazała mi, żebym usiadła na łóżku, i zapytała, czy posiedzę z nią, dopóki nie zaśnie.

— Naprawdę? — spytałam, zaskoczona tym niecodziennym przejawem słabości.

— Nie, żartowałam — prychnęła. — To samo mówiłaś, gdy kładłam cię spać, kiedy byłaś małą dziewczynką. „Zostań ze mną, dopóki nie zasnę”. Byłaś taka słodka.

— Długo to trwało? — Położyłam się obok niej na łóżku.

— Zwykle zasypiałaś, zanim zdążyłyśmy zgasić światło.

Rzeczywiście, zawsze szybko zasypiałam.

— Posłuchaj — ciągnęła. — Kiedy przyjdzie czas... nie mówię, że to już, ale kiedy już nadejdzie, musisz pozwolić mi odejść.

— O czym ty mówisz?

— Żadnych heroicznych czynów. Żadnych rurek do karmienia ani respiratorów.

— Dobrze — odparłam. — Zmieńmy temat.

— Żadnego modlenia się przy łóżku i obietnic składanych Bogu, przez które do końca życia będziesz żyła w stresie i poczuciu winy. Żadnego płaczu, załamywania rąk i niejedzenia. Nie życzę sobie tego.

— Dobrze — powtórzyłam na tyle wymijająco, na ile było to możliwe.

— Mówię poważnie. — Usiadła. — I nie pozwól, żeby mama robiła jakiegokolwiek głupoty. Dopilnuj tego. Po mojej śmierci przez dwa tygodnie będzie użalała się nad sobą, i na tym się skończy. Masz o to zadbać.

— Jak mam to zrobić?

— Znajdź sposób — odparła babcia. — Kiedy mnie zabraknie, ty jedna musisz być twarda. Twoja mama jest zbyt uczuciowa. Liczę na ciebie. Nie chcę, żeby rozpaczała i użalała się nad sobą.

— Zobaczę, co da się zrobić — obiecałam.

— Dopilnuję, żebyś się tym zajęła — odparła, przewracając się na bok i szykując do snu.

— I nie myśl sobie, że żartuję.

Nie żartowała. Dobrze o tym wiedziałam.

\* \* \*

Drugiej nocy, tuż po tym, jak pocałowałam ją na dobranoc i zgasiałam światło, zawołała, żebym włączyła je z powrotem.

— Zajrzyj do pierwszej szuflady w komodzie — poleciła. — Mam coś dla Atlasa.

Zrozumiałam od razu.

— Zatrzymaj to — odparłam. — Dasz mu, kiedy poczujesz się lepiej.

— Chcę dać mu to teraz.

— Co to takiego? — spytałam.

— Zajrzyj do szuflady, to zobaczysz — odparła.

Zrobiłam to. W szufladzie znalazłam czarne aksamitne pudełko (już samo pudełko wystarczyło, by Atlas nie posiadał się ze szczęścia), a w nim perłowe spinki do mankietów inkrustowane onyksami i złotem. Były piękne.

— Należały do twojego dziadka — wyjaśniła. — Chcę je dać Atlasowi.

— To urocze — odparłam. — Dasz mu je, kiedy podrośnie. Będzie zachwycony.

— Jane Eleanor Duncan, dlaczego robisz wszystko, żebym musiała to powiedzieć?

— Może wcale nie umierasz. Może wszystko będzie dobrze. Może będziesz żyła z rakiem przez kolejnych dwadzieścia lat. Tak jak babcia Ethana. On mówi, że istnieją naprawdę niesamowite leki. Po co mamy wmawiać sobie, że umierasz, skoro, być może, wyzdrowiejesz?

— Bo równie dobrze mogę umrzeć — odparła. — Jeśli tak się stanie, nie będzie żadnego później i nie będę miała okazji dać Atlasowi tych spinek. To mój jedyny prawnuk. Wiem, że w przyszłości to się zmieni, ale będzie jedynym, którego zdążyłam poznać, i chcę mu podarować spinki do mankietów, które należały niegdyś do jego pradziadka. Nie zrobię tego, będąc w śpiączce, tak jak nie zrobię tego, będąc martwa, więc daję je tobie, żebyś mu je przekazała.

— Możemy zmienić temat?

— Ty możesz — odparła. — Ale ja nie. Kiedy człowiek umiera, trudno myśleć o czymś

innym. Kiedy umiera, ma do załatwienia mnóstwo rzeczy. To bardzo stresujące.

— Myślisz, że to zabawne?

— Trochę. A ty nie?

— Nie. Uważam, że to wcale nie jest zabawne.

— Och, kochanie, już dobrze. To nic strasznego. Gdybym miała trzydzieści lat, byłaby to tragedia. Gdybym za dwa dni miała przejść na emeryturę, gdyby moja żona była w ciąży z naszym pierwszym dzieckiem albo gdybym żyła zbyt krótko, by cię poznać... byłaby to tragedia. Ale, skarbie, mam osiemdziesiąt siedem lat. Widziałam, jak moja córka staje się kobietą. Widziałam, jak jej córka staje się kobietą. Żyłam wystarczająco długo, by poznać Atlasa. Nie cierpiałam. Nie chorowałam. Nic nie wskazuje na to, że przez kolejne piętnaście lat będę żyła jak warzywo, nie pamiętając, jak mam na imię. To nie jest tragedia, kochanie, to po prostu smutne. Czasami rzeczy bywają smutne, ale nie jest to coś, z czym nie potrafilibyśmy sobie poradzić. Czasami nawet dobrze jest być smutnym. To znaczy, że byliśmy szczęśliwi. I któregoś dnia znowu będziemy.

— Nie jestem gotowa, by się z tym pogodzić — odparłam ze łzami w oczach.

— Wiem, kochanie — przyznała. — Ale to cholerna szkoda, prawda?

Wydawało mi się, że to niezbyt stosowne, by ona (stara i chora) pocieszała mnie (młodą i zdrową). To ona musiała pogodzić się z czymś okropnym i to ona potrzebowała wsparcia. A tymczasem, nawet stara i chora, była silniejsza ode mnie. Była babcią, a ja leżałam skulona obok niej, pozwalając, by głaskała mnie po plecach. Była tą samą silną, spokojną kobietą, która nad wszystkim panowała, przy której zawsze mogłam pozostać małą dziewczynką. Ale myślę i mam nadzieję, że obie znalazłyśmy w tym jakieś pocieszenie.

\* \* \*

Ostatnia noc, którą spędziłam u babci przed powrotem do domu, zaczęła się tak:

— Nie wmawiaj sobie, że to ostatni raz. Nie umrę jutro tylko dlatego, że wracasz do szkoły. Nie róbmy się cikliwe.

Tak więc siedziałyśmy i oglądałyśmy mecz baseballowy, popijałyśmy coca-colę i udawałyśmy, że babcia, która zawsze chciała, żebym dla niej gotowała, tym razem nie miała ochoty, ponieważ zjadła obfity lunch (choć tak naprawdę nie byłam pewna, czy od kilku dni miała coś w ustach). W połowie piątej rundy zamyśliła się i nie odrywając wzroku od telewizora, spytała ni stąd, ni zowąd:

— Czy Ethan jest fanem baseballu?

— Tak — odparłam zaskoczona.

Zmrużyła oczy.

— Jest kibicem Yankees?

— Metsów.

— To dobrze.

Większość ludzi zaraża się miłością do sportu dzięki swoim ojcom. Tymczasem ani mój tata, ani ja nie przepadamy za sportem. Jednak baseball to nie tylko sport, ale fabuła i narracja. Zakochałam się w nim nie dzięki ojcu, ale dzięki babci. Ona i dziadek mieszkali w Baltimore, jednak kiedy na świat przyszła moja mama, przeprowadzili się do Vancouver i wydawali mnóstwo pieniędzy na gonitwy koni. W pewnym momencie podjęli świadomą decyzję, że zamiast tego zostaną fanami baseballu — najpierw kibicowali Baltimore Orioles, a gdy przeprowadzili się do Kanady, zaczęli kibicować Montreal Expos. To wówczas przyszedł na świat. Niska frekwencja na meczach i kiepska gra Expos nigdy nam nie przeszkadzały. Każdego lata ja i babcia spędzałyśmy tydzień w Montrealu, gdzie szlifowałam swój francuski, siedząc na

trybunach stadionu olimpijskiego pośród pięciu tysięcy innych kibiców. Babcia kochała Expos, Orioles i Mariners, których mecze oglądała w telewizji, jednak przede wszystkim nienawidziła Yankees. Wygląda na to, że taka niechęć jest dziedziczna.

Wydawała się zadowolona, kiedy usłyszała, że Ethan nie jest kibicem Yankees, jednak nie pociągnęła tematu. I nagle, pod koniec siódmej rundy, oznajmiła:

— Mam też coś dla Ethana, ale nie jest jeszcze gotowy, by to dostać. Kiedy będzie, daj mu to. Ale musisz jeszcze poczekać.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

— Co to? — spytałam w końcu.

Ruchem głowy wskazała komodę.

— W górnej szufladzie. Zegarek dziadka.

— Dawno temu dałaś go tacie.

— Tamten był dobry. Ten to coś innego.

Podeszłam do komody i otworzyłam szufladę. Razem zajrzałyśmy do pudełka. Cyferblat przypominał srebrną piłkę do baseballu, a wskazówki — srebrne kije baseballowe. Pasek wykonano ze skóry, a czerwone drobne szwy wyglądały jak te na piłce do baseballu. To była najfajniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam. Z tyłu na kopercie wygrawerowano napis „Z wyrazami miłości od twojej najwierniejszej fanki”. Natychmiast zapragnęłam go mieć.

— Pamiętaj, to nie dla ciebie — przypomniała babcia, jakby czytała w moich myślach.

— Jak to możliwe, że nigdy go nie widziałam?

— Nie był dla mnie. Jest dla nas za duży. — Mówiąc to, położyła rękę obok mojej, jakby chciała porównać nasze długie palce, paznokcie i chude nadgarstki. — Mimo to niemal codziennie zaglądam do pudełka, żeby na niego popatrzeć. Dzięki niemu wracają wspomnienia. Widzę rękę, na której nosił ten zegarek, jego dłoń i palce. To był zegarek, który nosił na co dzień. Widzę, jak wracał w nim do domu, jak jadł obiad i bawił się z twoją mamą. Jak mnie dotykał.

— Dlaczego chcesz podarować go Ethanowi?

— Z tego samego powodu.

— Bo patrząc na zegarek, widzisz, jak cię dotykał?

— Bo kiedy nadejdzie czas, może mnie już tu nie być.

— Czas na co?

— Myślę, że wiesz — odparła.

— Dlaczego sama mu go nie dasz? Jest znacznie starszy od Atlasa. Nie włoży go sobie do ust ani nic takiego.

— Ponieważ nie mogę.

— Dlaczego?

— Z tego samego powodu.

— To znaczy?

— Myślę, że wiesz.

\* \* \*

Kiedy zasnęła, leżałam w łóżku, rozmyślając o tym, co, jej zdaniem, wiedziałam. Przypuszczała, że Ethan jest we mnie zakochany, że weźmiemy ślub i do końca życia będziemy razem, że ona nie dożyje naszego ślubu, dlatego musi już teraz przekazać tę rodzinną pamiątkę, że będziemy mieć dzieci, jej prawnuki, rodzeństwo — tak jakby — Atlasa, jedyne prawnuka, którego zdążyła poznać. Tak przynajmniej się jej wydawało. Znała Ethana wyłącznie z opowieści, więc nie przypuszczałam, by miała rację. Nie wierzyłam, że Ethan chciałby się ze mną ożenić. Nie byłam pewna, czy Atlas już zawsze będzie częścią mojego życia. Bałam się, że

nigdy nie będę miała własnych dzieci. Pomyślałam, że jeśli kiedyś wyjdę za mąż, babcia będzie musiała być na moim ślubie, bo bez niej cała ceremonia nie miałaby sensu. Przyszło mi do głowy, że jeśli kiedyś będę miała dzieci, babcia z całą pewnością zdąży je poznać, bo przecież wcale nie umierała. Byłam przekonana, że wszystko będzie dobrze. Dziwna mieszanka posępnego pesymizmu i ślepej, ignoranckiej nadziei... Nikt mnie nie kocha i nie pokocha, a babcia będzie żyła tak długo, jak długo będę wierzyła, że nic jej nie jest. Wszystko będzie dobrze-dobrze-dobrze.

\* \* \*

Po północy zadzwoniła moja komórka, wrywając mnie — choć sama nie mogłam w to uwierzyć — ze snu. Dzwonił Ethan.

— Och, Janey, przepraszam, że cię obudziłem. Mówiłaś, że i tak nie zaśniesz. Chciałem tylko sprawdzić, co u ciebie.

— Nie spałam — skłamałam.

— Właśnie, że spałaś — odparł ze śmiechem. — Co słyhać?

— Dobrze. W porządku. — Mmmmm, sen.

— Jak twoja babcia?

— Bardzo dobrze. Nabiera sił. Wyzdrowieje.

Pewnie wydało mu się to dziwne, więc pospiesznie zmienił temat.

— Posłuchaj, wziąłem dziś za ciebie zastępstwo. Katie była umówiona w sklepie z sukniami.

— Ale przecież w tym samym czasie masz zajęcia.

— Połączyliśmy grupy. Rozmawialiśmy o umiejętności czytania i pisania w Anglii w renesansie, a potem zajęliśmy się rewolucją przemysłową, do której doszło dwieście lat później. Było bardzo literacko i historycznie. Zabawnie. Naprawdę miło i interdyscyplinarnie. Siedzieliśmy pod drzewem i dyskutowaliśmy. Później dobrałem ich w pary i przysłuchiwałem się, jak wymieniają spostrzeżenia na temat wpływu prasy drukarskiej na historię, literaturę i późniejsze technologie. Było naprawdę ciekawie. Może powtórzmy to w przyszłym tygodniu, kiedy wrócisz?

— Moja babcia uważa, że weźmiemy ślub — rzuciłam sennie.

— Kto?

— Ty i ja.

Na chwilę w słuchawce zapanowała cisza i myślałam, że się zdrzemnęłam.

— Dobrze — szepnął w końcu.

— Tak, dobrze — bąknęłam, rozłączyłam się i poszłam spać.



## Rozdział 29

To była długa, męcząca i smutna podróż do domu. Padał deszcz, na drogach panował ruch, czekało mnóstwo roboty i choć Katie (i Ethan) zastępowali mnie na zajęciach, byłam przekonana, że nie sprawdzili za mnie prac. Mimo to nie mogłam skupić się na przygotowaniu do zajęć ani niczym innym. Martwiłam się o babcię. Martwiłam się o to, jak poradzę sobie bez niej, skoro nawet nie potrafiłam sobie wyobrazić czegoś takiego jak ja-bez-mojej-babci. Bałam się, że zasnę za kierownicą, i wyobrażałam sobie, jak bardzo wkurzyłoby to moich rodziców, którzy błagali mnie, żebym zaczekała z wyjazdem do rana. Martwiłam się tym, że nie pomagam Katie w przygotowaniach do ślubu (co ze mnie za najlepsza przyjaciółka?). Bałam się, że Atlas zdążył mnie już zapomnieć. Że Daniel wróci i go nam odbierze. Albo że odbierze nam Atlasa i Jill, nie wiedziałam, co byłoby gorsze. Bałam się, że będę zmuszona wybierać. Nie wiedziałam, kiedy sprawdzę i ocenię prace, o czym, do diabła, będą kolejne zajęcia i kiedy zdążę je przygotować. Martwiłam się, co włożę na ślub Katie. Czy potrzebowałam eleganckiej sukienki? Letniej sukienki na ramiączkach? A może spódnicy i czegoś wyjątkowego na górę? Skąd mogłam to wiedzieć, nie konsultując się z babcią, która wiedziała wszystko na temat etykiety i tym podobnych rzeczy? Nie dawała mi spokoju myśl, że Jason i Lucas spodziewają się dziecka, że Jill ma Atlasa, Katie lada chwila będzie miała piętnastoro dzieci, że nawet Daniel Davison ma syna i że tylko ja, być może, nigdy nie zostanę matką. Martwiło mnie to, że w środku nocy, wyrwana z pierwszego od dwóch tygodni snu, powiedziałam Ethanowi, iż babcia jest przekonana, że weźmiemy ślub. Człowiek nie powinien prowadzić rozmów w środku nocy. A jeśli już, powinien odczekać co najmniej piętnaście minut, zanim sięgnie po słuchawkę.

Wjechałam na podjazd, gdy zadzwonił telefon. Z przerażeniem zobaczyłam na wyświetlaczu numer telefonu rodziców. Mama najwyraźniej zapomniała o korkach i była święcie przekonana, że powinnam dotrzeć do domu mniej więcej godzinę temu; a ponieważ nie dawałam znaku życia, zaczęła panikować. Babcia czuła się dobrze. Ja czułam się dobrze. Wszystko (nic) było w porządku.

— Idź spać — powiedziała.

— Dopiero zjechałam pod dom — odparłam.

— To wejdz do środka i połóż się spać — upierała się.

— Mam do zrobienia mnóstwo rzeczy.

— Zrobisz je jutro. Studenci mogą poczekać dzień dłużej na swoje prace. Nic im nie będzie.

— I tak nie mogę spać — odparłam.

W domu dobiegała końca niedzielna kolacja. Zupełnie o tym zapomniałam. To niesamowite, że świat — nawet ten najbliższy — istnieje nadal, nawet jeśli twój własny mały światek stanął w miejscu. Zadziwiające, że ludzie jedzą, nawet jeśli dla nich nie gotujesz. (Prawdę powiedziawszy, wyglądało na to, że zamówili sushi). Atlas też jeszcze nie spał. Kiedy weszłam, wszyscy poderwali się od stołu, otoczyli mnie i zaczęli wypytywać, jak się czuję, jak się czuje moja mama i babcia. Trzymany przez Petera Atlas wyciągnął ku mnie swoje pulchne ramionka. Wujek Claude gwałcił mi nogę. Trzy osoby częstowały mnie jedzeniem. Ucieszyłam się na ich widok. Naprawdę. Czułam się jak wtedy, gdy wracałam do rodzinnego domu, w którym spędziłam osiemnaście lat. Ale nie potrafiłam im tego okazać. Byłam zbyt zmęczona. Przeprosiłam wszystkich, zjadłam pikantny kawałek tuńczyka i położyłam się spać. Dziesięć minut później do drzwi mojego pokoju zapukał Ethan.

— Cześć — rzucił.

— Cześć.  
— Chciałem się przywitać, zanim zdązysz zasnąć.  
— Cześć — powtórzyłam.  
Usiadł na skraju łóżka i przez chwilę głaskał mnie po głowie.  
— Wszystko w porządku? — spytał.  
— Tak. Po prostu jestem zmęczona.  
— To dobrze — odparł. — Dobranoc. Zobaczymy się rano.  
Zamknęłam oczy. Chwilę później ktoś znów zapukał do drzwi. Tym razem była to Jill.  
— Wszystko w porządku? — spytała.  
— Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczona. — Powtarzałam te słowa jak mantrę.  
— Biedna Janey. — Usiadła na łóżku. — Mogę ci jakoś pomóc?  
— Nie bardzo. Po prostu muszę się wyspać.  
— Co właściwie jest między tobą a Ethanem?  
— Co? Nic. Dlaczego pytasz?  
— Między innymi dlatego, że przyszedł tu zaraz po tym, jak poszłaś się położyć.  
— Pewnie poszedł skorzystać z łazienki — wyjaśniłam.  
— Tak, jasne — prychnęła.  
— A tutaj? Co słychać? — spytałam.  
— Wszystko w porządku. Cisza. Żadnych nowości.  
— A Daniel?  
— Opowiem ci jutro.  
— Dobrze. — Uśmiechnęłam się i ucisnęłam jej nadgarstek. W odpowiedzi pocałowała mnie w czoło i życzyła mi dobrej nocy. Zdążyłam zamknąć oczy, kiedy ktoś znów zapukał do drzwi. Tym razem był to Jason.  
— Jutro rano mam spotkanie. Postanowiłem, że przenocuję u was — oznajmił, gramoląc się na łóżko.  
— Na dole jest kanapa.  
— Katie i Peter obściskują się na niej — wyjaśnił. — Na którą nastawiłaś budzik?  
— Na ósmą.  
— To dobrze. Do zobaczenia rano.  
— Dobranoc, Jason. — Byłam zbyt zmęczona, by się z nim wyklócać.  
— Dobranoc. Hej, Janey? Naprawdę wszystko w porządku?  
Rozplakałam się. Sama nie wiem dlaczego. Nie mam pojęcia, dlaczego płakałam teraz, a nie wtedy, gdy żegnałam się z babcią, w czasie długiej podróży do domu, na podjeździe, kiedy usłyszałam głos mamy, gdy weszłam do domu, a Atlas wyciągnął ku mnie rączki albo gdy Ethan wszedł do pokoju, żeby powiedzieć mi... Cokolwiek chciał mi powiedzieć... I nie wtedy, kiedy Jill przyszła przytulić mnie na dobranoc. Jason próbował mnie uspokoić, tulił moją głowę do swojego ramienia i podawał mi chusteczki. Powtarzał, że jutro poczuje się lepiej, że potrzebuję snu i że wszystko będzie dobrze-dobrze-dobrze. Powiedział, że moja babcia jest jedną z najbardziej niesamowitych osób, jakie miał okazję poznać, i żałuje, że jego babcia — z którą nie rozmawiał, odkąd kazała mu iść do piekła, gdy wyznał, że jest gejem — nie jest taka jak ona. Powiedział, że jest jedną z najsilniejszych osób, jakie zna, i zawsze dostaje to, czego chce. Wyznał, że gdyby tu była, powiedziałałaby mi, że powinnam się przespać. Pociągnęłam nosem i podziękowałam mu. Wydmuchałam nos, otarłam oczy i spróbowałam zasnąć.  
— Janey, co właściwie jest między tobą a Ethanem? — spytał Jason.

## Rozdział 30

Kiedy ubiegłej nocy wjechałam na podjazd i zadzwoniła moja komórka, myśleliście, że moja babcia umarła? Myśleliście, że gdy pełna mrocznych i deszczowych rozmyślań podróż dobiegła końca i wreszcie zajechałam przed pełen światła, wypełniony miłością dom, moja mama zadzwoniła, by przekazać mi potworne, nieuniknione wieści? (Nieważne, że nie wyjechałabym, gdyby babcia nie czuła się lepiej, a coś takiego byłoby koszmarnym zbiegiem okoliczności). Jeśli tak sądziliście, to dlatego — co wyjaśniłam w poniedziałek rano swoim studentom — że oglądacie za dużo filmów.

Dział poświęcony filmom pojawia się zwykle pod koniec semestru. Gdyby przenieść te zajęcia na wcześniejszy termin, studenci pomyśleliby, że to jakiś żart. Poza tym nie mogą analizować filmów na samym początku. W pierwszej kolejności powinni analizować wiersze, ponieważ ich znaczenie jest niejasne. Czytasz je i nie wiesz, o co tak naprawdę chodzi. Dlatego trzeba je rozgryźć. Z filmami jest inaczej. Każdy wie, o co chodzi. A nie chodzi o nic. Po prostu są. Tak właśnie myślą studenci, gdy zaczynamy dział poświęcony filmom. Potrzeba całego semestru, by zrozumieli, że podobnie jak wiersze pozbawione są znaczenia, dopóki my go nie odkryjemy, tak samo jest z tekstami, które od początku wydają się jasne i które — pozornie — nie zawierają żadnej głębi. Poza tym, jeśli w pewnym momencie człowiek nie zrobi przerwy, studentów dopadnie zmęczenie, a co za tym idzie, wyniki końcowych egzaminów będą fatalne. Dlatego właśnie dział poświęcony filmom jest przedostatnią częścią kursu.

Zawsze tak było. Mieliśmy za sobą trzy tygodnie zajęć. Do końca semestru pozostały więc już tylko dwa. Byliśmy prawie na finiszu. Latem studenci stają się sobie bliscy, ponieważ grupy są małe, a oni spędzają z sobą naprawdę dużo czasu. Kiedy więc dotarliśmy do filmów, kilkoro z nich przyniosło na zajęcia popcorn dla całej grupy. Dwoje z nich, po trzech tygodniach znajomości, zakochało się w sobie bez pamięci. Siedzieli, trzymając się za ręce, na tyłach sali i obawiałam się, że w czasie filmu zaczną się obściskować. Kilku innych stworzyło klikę i ci chichotali w trakcie zajęć, szeptali coś i przekazywali sobie liściki. Czułam się jak wśród dziewczątoklasistów, ale muszę przyznać, że było to zabawne.

Oglądaliśmy *Memento*, historię opowiedzianą od końca, w której kluczowa scena pojawia się jako pierwsza. Chodzi o to, by nie dociekać, co takiego się wydarzyło, ale dlaczego się wydarzyło; na tym polega zagadka, to jest najważniejsze i właśnie to nurtuje nas najbardziej. Moi studenci uznali, że sposób, w jaki ta historia zostaje opowiedziana — od końca do początku — musi mieć w sobie jakiś haczyk, w przeciwnym razie byłoby to bowiem bezsensowne. Ich wniosek: znajomość fabuły jest pozbawiona sensu — dosłownie — dopóki nie dowiemy się, dlaczego stało się tak, a nie inaczej. Argumentowałam, że na tym polega literatura, bo takie też jest życie — w tajemnicy nie chodzi o to „co”, ale „dlaczego”. Nie zgodzili się ze mną. Twierdzili, że w życiu wiemy, dlaczego coś się dzieje, ponieważ bezpośrednio w nim uczestniczymy; znamy własne myśli i rozpaczliwie chcemy się dowiedzieć, co z tego wyniknie.

— Jakież przykłady? — spytałam.

— Czy pani obecny związek zakończy się rozstaniem, czy małżeństwem? — odezwała się zakochana dziewczyna z końca sali (jej chłopak oblał się rumieńcem, który widziałam z drugiego końca pomieszczenia).

— Czy szybki numerek po pijaku i bez zabezpieczenia sprawi, że ktoś, kogo znamy, zostanie porzucony? — spytał ktoś inny i poczułam ulgę, kiedy reszta wybuchła śmiechem, co sugerowało, że podobna historia przydarzyła się komuś, kogo znali, a nie któremuś z nich osobiście.

— Dobrze, ale czy w tej sytuacji pytanie „dlaczego” nie jest najważniejsze? — spytałam.

— Nie chodzi o tajemnicę. Wiemy dlaczego. On jest dziwkarzem. Ona jest dziwką. Oboje zdecydowanie za dużo wypili. Ona była w tym stałym związku od szkoły średniej. To żadna tajemnica. Tajemnicą jest to, co się wydarzyło.

Mieli rację. Chodziło o to, że mieli dziewiętnaście lat. Kiedy człowiek ma dziewiętnaście lat, życie jest pełne tajemnic w rodzaju „co wydarzy się później”, podczas gdy „dlaczego” wydaje się absolutnie jasne i nie ma nic do rzeczy. Nie chodzi o to, że jestem staroświecka, ale różnica kilku lat wystarczy, by człowiek zaczął koncentrować się nie na tym „co”, ale „dlaczego”. Nie chodzi o to, że wiedziałam, co wydarzy się w moim życiu, ani o to, że w tym momencie w moim życiu nie było większych intryg, niedokończonych spraw, pytań, które pozostawały bez odpowiedzi, i pozornie nierozwiązalnych problemów. Nie wiedzieć czemu, żadna z tych rzeczy nie wydawała mi się szczególnie ważna. Interesowały mnie powody, dla których robimy to, co robimy, wybieramy i kochamy to, co robimy, a także to, co motywuje nas do działania i robienia rzeczy, które, tak czy inaczej, pewnie by się wydarzyły. Po co oceniać coś, nad czym nie mamy kontroli, zamiast to, co robimy? Wszystko to byłoby bardzo pouczające, zważywszy na to, co wydarzy się później, gdybym tylko była w stanie przypomnieć sobie tę mądrość albo nawet jakąkolwiek inną. Kiedy robi się gorąco, wszyscy mamy dziewiętnaście lat.

I może właśnie dlatego oglądamy filmy: żeby pojąć prostotę czasu w naszym życiu, kiedy wszystkie „dlaczego” są jasne i sensowne, a jedyną tajemnicą jest to, co się wydarzy. Chodzimy do kina, gdy jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby wyjść na kolację i rozmawiać. Wypożyczamy DVD, kiedy potrzebujemy przerwy, ponieważ nasz mózg jest obolały po całym dniu czytania, pisania, myślenia i pracy. W filmach chodzi o akcję, która rozgrywa się w naszym życiu. Podczas gdy w książkach spodziewamy się, że fabuła będzie podążała logicznie, od jednego wątku do drugiego, a zakończenia będą miały swą zapowiedź gdzieś na początku, pośród pełnych symboliki krajobrazów. Filmy mają nas zdekoncentrować i zaskoczyć.

\* \* \*

Po powrocie do domu zastałam i jedno, i drugie. Katie klóciła się z Jill. Słyszałam je z odległości piętnastu metrów.

— Nie możesz prosić Janey, ona musi odpocząć.

— Nie proszę Janey. Proszę ciebie.

— Nie mogę. Po południu mam przymiarkę sukni.

— Ile razy można przerabiać pieprzoną sukienkę?

— Nie przerabiam jej. Po prostu chcę mieć pewność. To moja suknia ślubna. To dość ważne, żeby dobrze leżała.

— To bez znaczenia, Katie. To tylko sukienka. Rozmawiamy o moim życiu. Niewykluczone, że mówimy o miłości mojego życia. Ojcu mojego dziecka.

— Dan co tydzień zmienia zdanie. Ja wychodzę za męża raz w życiu.

— Dan tylko raz zmienił zdanie. A może nawet nie. Ale nie dowiem się, jeśli nie wyjdziemy.

— Weź Atlasa z sobą.

— Nie jest jeszcze gotowy.

— Atlas czy Daniel?

— Daniel.

— Cóż, powinien być gotowy, nie sądzisz? Najwyższy czas.

— Staram się, ale nie mogę zrobić wszystkiego naraz. Ostatnio Atlas jest jakiś marudny. Nie chcę go denerwować.

— Dlaczego nagle udajesz?

— Wcale nie udaję.

— Udajesz, że to nic złego, że nie chce widzieć Atlasa. Zupełnie jakbyś spotykała się z nim i ukrywała, że masz syna. Jeśli chce wrócić, dlaczego nie chce widzieć własnego dziecka?

— Tego chcesz, Katie? Żebyśmy byli miłą, kochającą się rodziną? To się nie stanie z dnia na dzień. Muszę nad tym popracować.

— Jeśli mam być szczerą, nie wygląda to na pracę. Mam wrażenie, że wszystko kręci się wokół chodzenia na imprezy, upijania się i seksu.

— Nie wiesz, co robimy — warknęła Jill. — I nie obchodzi mnie, co sobie myślisz.

— Pod warunkiem że rezygnuję z własnych planów, żeby zajmować się twoim dzieciakiem.

— A, więc nagle to mój dzieciak.

— Wcale nie nagle — rzuciła Katie.

— Zajmę się nim — oznajmiłam, wchodząc do domu. Stojąc na podjeździe, uświadomiłam sobie, że kłótnia nie skończy się tak szybko, jak się tego spodziewałam.

Katie posłała Jill pełne wściekłości spojrzenie.

— Wszystko w porządku. Nic mi nie jest — uspokoiłam je. — Chętnie się nim zajmę. Stęskniłam się za nim.

— Na pewno nie masz nic przeciwko? — spytała słodko Jill, na co Katie przewróciła oczami. Chwilę później Jill była już przy drzwiach.

Spojrzałam na Katie.

— Nie było mnie tylko przez tydzień.

Pokręciła głową.

— Po raz pierwszy spotkali się tego dnia, kiedy wyjechałaś. Mówiłam ci o tym. Wyszła późnym wieczorem po tym, jak zadzwonił, i w środku nocy zadzwoniła do mnie i spytała, czy następnego dnia nie zaopiekowałabym się Atlasem. Ale kiedy następnego dnia kładłam się spać, nadal jej nie było. I tak jest mniej więcej od tygodnia. Wpada jak do hotelu; zagląda na chwilę i zaraz wychodzi. Nigdy nie zabiera Atlasa. Przez ostatni tydzień w ogóle rzadko go widuje. Właściwie nie pyta, czy mi to nie przeszkadza, i wraca do domu później, niż się umawialiśmy. Poza tym oczekuje, że będę się nim zajmować, kiedy ty nie możesz. W tym tygodniu dwa razy prosiłam Jasona o pomoc, gdy zastępowałam cię na zajęciach. A za niecałe dwa tygodnie wychodzę za mąż.

— Co się z nimi dzieje?

— Nie wiem. Nie chce o tym rozmawiać. Kiedy pytam, zbywa mnie. Podczas niedzielnej kolacji po raz pierwszy od tygodnia widziałam ją dłużej niż pięćdziesiąt minut. Wróciła do domu niedługo przed tobą. I wyszła zaraz po tym, jak położyłaś się spać.

Jak zwykle poświęciłam mniej czasu na rozważenie swojej rzeczywistej reakcji niż na to, jaka powinna ona być. A może najzwyczajniej w świecie byłam zbyt zmęczona, by poczuć — słusznie zresztą — oburzenie. Jill postępowała nie fair, licząc, że Katie zajmie się wszystkim, i lekceważąc jej ślub tylko dlatego, że uważała jej decyzję za zbyt pochopną. Zachowywała się nie w porządku, wciskając mi Atlasa, kiedy miałam na głowie tyle różnych rzeczy, i przedkładając Daniela nad własnego syna. A do tego była samolubna i nieuprzejma. Z drugiej strony wiedziałam, jakie to dla niej ważne. Musiała się przekonać, czy Daniel rzeczywiście chce na powrót stać się częścią naszego życia. Musiała wysłuchać jego opowieści i opowiedzieć mu swoją własną. Mieli wiele do nadrobienia. Powinniśmy więc postarać się jej nie zabić.

\* \* \*

Tamtej nocy Jill nie wróciła do domu ani nawet nie zadzwoniła. Katie, Atlas i ja położyliśmy się wcześniej, bez kolacji, kompletnie wykończeni, rozdrażnieni, czując, że lada chwila wybuchniemy. Rankiem dostaliśmy wiadomość od Jill, że wróci do domu przed południem, ale ja musiałam iść na zajęcia, a Katie i Peter jechali do Portlandu na spotkanie z właścicielami firmy cateringowej. Tymczasem Jill nie odbierała telefonu. Pełne skruchy zadzwoniłyśmy więc do Jasona, który zgodził się odwołać spotkanie ze swoim promotorem i zaopiekować się Atlasem do powrotu Jill. Po zajęciach zaszyłam się w bibliotece, żeby sprawdzać zaległe prace.

Czasami prawdą jest, że napięta sytuacja w domu, stres w życiu prywatnym, chorzy krewni, denerwujący współlokatorzy, planowanie ślubu i piękna, słoneczna pogoda nie służą wydajności pracy. Wówczas pozostaje tylko jedno wyjście. Zakopana wśród stosów książek, w sztucznym świetle czytałam o teorii filmu, sporządzałam notatki, pisałam streszczenia i na jakiś czas zapomniałam o bożym świecie. Jest coś nurtującego w uczuciu, że człowiek ma wszystko pod kontrolą. Niektórzy sprzątaj dom (ja do nich nie należę); inni planują przyjęcia, zbiórki pieniędzy albo uroczystości kościelne; a jeszcze inni przestają jeść. Motywacja jest zawsze taka sama. Być może nie potrafię kontrolować innych rzeczy, ale jeśli chcę się dowiedzieć czegoś więcej, zrobię to. To bardzo inspirujące. Przypomina uczucie, które towarzyszy wysiłkowi fizycznemu. Wracalam do domu dziwnie podekscytowana, jakbym została rozgrzeszona. Dowiedziałam się czegoś nowego, produktywnie spędziłam popołudnie, przygotowałam się do kolejnych zajęć i nadrobiłam zaległości. To inny rodzaj euforii wywołanej przyływem endorfin, ale równie przyjemny.

\* \* \*

Byłam na podjeździe, kiedy zadzwonił mój telefon. Wówczas moje życie zaczęło na dobre przypominać film.

## Rozdział 31

Dzwonił Jason. Zanosił się płaczem do tego stopnia, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Kiedy odebrałam, po drugiej stronie panowała cisza. Gdyby nie jego imię na wyświetlaczu, nie miałabym pojęcia, kto dzwoni. Serce podeszło mi do gardła, nogi ugięły się pode mną i klęcząc w trawie przed domem, pomyślałam, czy to nie słodkie z jego strony, że tak bardzo przeżywa śmierć mojej babci? W następnej chwili, pierwszej, którą musiałam przeżyć bez niej, zaczęłam go pocieszać. Powtarzałam coś w rodzaju „Już dobrze, dobrze; bardzo cię lubiła; miała dobre życie; dziękuję, że ją kochałeś”. Mówiłam to zupełnie bezmyślnie i niepotrzebnie, nie słysząc, że w kółko powtarza tylko „nie, nie, nie”. Dopiero po chwili dotarło do mnie z ulgą — choć wstyd się do niej przyznać — że to nie moją babcię oplakuje. Nie było to przyjacielskie łkanie. To był szloch zrozpaczonego rodzica.

— Twoje dziecko? — jęknęłam i natychmiast pożałowałam, że nie byłam wystarczająco delikatna.

— Nie — wydusił w końcu. — Twoje.

\* \* \*

Nie pamiętam, żebym jechała do szpitala, ale musiałam się tam dostać. A gdy dotarłam na miejsce, nie pamiętam, żebym w ogóle stamtąd wychodziła. Było zupełnie tak, jak tamtej nocy, kiedy siedziałam przy łóżku babci i trzymałam ją za rękę. Jak wtedy, gdy czekałam na oddziale urazowym po tym, jak upadła. Jak wtedy, gdy Jill rodziła, kiedy czekałyśmy, by zabrać Atlasa do domu, i liczyłyśmy na powrót Daniela. Ale było zupełnie inaczej, niż gdybym to ja chorowała na raka, miała zawał, rodziła czy wracała do domu. Miałam wrażenie, że od zawsze tkwię w tym szpitalu i że upłynęły wieki, zanim znalazłam oddział pomocy doraźnej i znajome twarze. W całym tym zamieszaniu na krótką chwilę, dosłownie na ułamek sekundy, przysłała mi do głowy pocieszająca myśl, że to najlepsze miejsce na świecie, do którego mogliśmy trafić.

Znalazłam Jasona, z twarzą mokrą od łez i oszalałym wzrokiem, skulonego w kącie pokoju, jakby bliskość ścian mogła sprawić, że przestanie się trząść.

— Kiedy przyszedłem o dziesiątej, wciąż jeszcze spał. Przez cały ranek pracowałem. Zajrzałem do niego około południa, ale pomyślałem, że nadal śpi. Później zadzwonił Lucas, zacząłem czytać Kanta i do głowy by mi nie przyszło, żeby sprawdzić, co robi...

— Dlaczego nie pojechałeś do domu? — spytałam, jakby w tej chwili miało to jakieś znaczenie. — Gdzie była Jill?

— Zadzwoniła i zapytała, czy mogę zostać dłużej. Powiedziała, że ona i Dan muszą jeszcze porozmawiać.

— Nadal jest z nim?

— Nie wiem. Nie mogę się do niej dodzwonić. Myślę, że wyłączyła telefon. Kiedy około czternastej wszedłem do pokoju, całe łóżeczko było w wymiocinach. Atlas był spocony, ale wciąż spał, więc delikatnie nim potrząsnąłem. Był rozpalony i mokry od potu. I nagle zaczął się trząść. Myślę, że dostał jakiegoś ataku.

Znowu zaczął płakać. Patrząc na niego, zobaczyłam to, czego nie byłam w stanie dostrzec przez telefon. Nie szlochał jak przyjaciel ani nawet jak rodzic. To był płacz człowieka trawionego wszechogarniającym, wszechobecnym lękiem, najgorszym, jaki można sobie wyobrazić. Czulałam, że nadchodzi niczym burza, jednak próbowałam zachować spokój, przynajmniej do czasu, aż wyciągnę z Jasona każdą, choćby najdrobniejszą informację. Dopiero wtedy mogłam pozwolić, by i mnie pochłonął.

— Zadzwoń na dziewięćset jedenaście. Nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem nawet wsadzić go do samochodu, bo nie mam fotelika. Miałem wrzucić go do bagażnika jak zakupy i liczyć na to, że nie będzie się przewracał?

Roześmialiśmy się nerwowo, świadomi, że nie jest to odpowiedni temat do żartów.

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiem. — Jason wzruszył ramionami. — Chyba nadal na oddziale. Wyciągnęli go z karetki i zabrali na salę. Kazali mi tu czekać. Pewnie dlatego, że nie jestem ojcem.

Zza masywnych drzwi wahadłowych wyszła nasza wybawczyni w fartuchu lekarskim. Przez moment widziałam panujący na oddziale chaos — łózka, nosze, pacjentów z kroplówkami, ludzi biegnących z podkładkami do pisania, bandaże, monitory — ale nigdzie nie dostrzegłam Atlasa. Zanim pokonałam dzielące nas od niej mniej więcej sześć kroków, słyszałam w głowie te oto słowa: „Przykro mi, ale nie mogliśmy nic zrobić”. Albo: „Falszywy alarm. Ha, ha, ha. To dość powszechny błąd. Nic mu nie jest”. Oraz takie, które rozbrzmiewały echem w mojej głowie: „Rak. To rak. To zawsze jest rak”. Zamiast tego usłyszałam pytanie:

— Czy pani jest matką?

Bez wahania, bez chwili namysłu potrzebnej, by zastanowić się nad konsekwencjami, bez poczucia, że nie do końca jest to prawda, odpowiedziałam:

— Tak.

\* \* \*

Atlas był biały i kruchy jak skorupka jajka, z kroplówką przypiętą do jego maleńkiego ramienia, rurką pod małym noskiem i czujnikami na falującej drobnej piersi. Po raz kolejny dotarły do mnie strzępy najważniejszych informacji: być może to grypa, pewnie chorował od kilku dni, jednak symptomy zostały zignorowane, niebezpiecznie wysoka gorączka, odwodniony, obniżona świadomość, czekają na wyniki.

„Od jak dawna miał gorączkę? Kiedy ostatnio jadł? Jak dużo? Pokarm stały, mleko z piersi czy w proszku? Kiedy po raz ostatni się wypróżnił? Kiedy po raz ostatni miał mokrą pieluszkę? Czy wymiotował? Miał biegunkę? Był marudny czy spokojny? Płakał czy tylko marudził? Jak długo spał?”. Oto pytania, jakie zadawała mi pani doktor.

Tyle że ja nie wiedziałam. Byłam w Vancouver. Zajmowałam się własną rodziną, podczas gdy tutaj wszystko rozpadało się na kawałki. Beze mnie nikt nie potrafił o siebie zadbać. Nikt nie potrafił zająć się czymkolwiek. Jill była tak pochłonięta swoim własnym dramatem, że nie zauważyła, że jej odwodnione dziecko płonie z gorączki. Katie była tak przejęta przygotowaniami do ślubu, że nie miała czasu dla dziecka, którego nawet nie uważała za swoje. Atlas przechodził z rąk do rąk — „Nie mam czasu”, „Mam na głowie ważniejsze rzeczy”, „Masz, ty go weź”. Świat mógłby być pełen znaków — bijących na dzwonnicy kościelnych dzwonów, alarmów wyjących w koszarach, wyjących psów, niespokojnych dzieci, zawodzących wdów i ryczących aniołów — a i tak nikt nie zwróciłby uwagi na tę kakofonię. Dlatego gdy zostałam sama z chorym dzieckiem, mogłam tylko przyznać, że nie wiem. Nie wiedziałam, jak długo spał, ile jadł ani jak często płakał.

— Nie było mnie w mieście — wyjąkałam.

— Kto był z Atlasem?

— Eee... opiekunka?

— Ten pan, który zadzwonił na pogotowie? Poślę kogoś, żeby go przyprowadził.

— Nie, nie. Inna opiekunka. Ktoś inny.

— W takim razie proszę do niej zadzwonić.

— Cóż, nie mogę. Nie mogę się do nich... niej... dodzwonić.



— Objawy musiały być widoczne od kilku dni. Jak długo była pani poza miastem? Nikt do pani nie dzwonił?

— Nie. Nie sędzę. Nie wiem.

Lekarka spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Pobraliśmy krew i zrobiliśmy kompleksowe badania toksykologiczne. Czy pani nadal karmi piersią? Jeśli coś pani wzięła i on to przyjął, proszę natychmiast powiedzieć. W takich przypadkach czas odgrywa kluczową rolę. Czy ojciec dziecka ma z tym coś wspólnego? Jest coś, o czym chciałyby mi pani powiedzieć?

Zgadywała. Zachowywałam się dziwnie, ale nie wiedziałam dlaczego. Brałam prochy, które dostały się do organizmu dziecka? Byłam na haju i zapomniałam go nakarmić albo nie zauważyłam, że ma gorączkę? Poszłam w tango i na kilka dni zostawiłam go samego? A może byłam na prochach i uciekałam przed wymiarem sprawiedliwości, agresywnym ojcem albo własną przeszłością?

Oczywiście nie brałam narkotyków, choć nagle uświadomiłam sobie, że nie jestem pewna, czy to samo mogę powiedzieć o Jill. Fakt, że wyjechałam z miasta, żeby zaopiekować się chorą babcią, stanowił idealną, pozbawioną poczucia winy wymówkę, jednak nie mogłam jej tego powiedzieć, bo nie pozwoliliby mi tam zostać, wiedząc, że nie jestem matką Atlasa. A ponieważ nie mogłam pozwolić, by został sam w szpitalu, przyznając się, że nie jestem jego matką, zrobiłam jedyną rozsądną rzecz. Udałam, że moje dziwne zachowanie wynika nie z niewiedzy, ale ze strachu. Dlatego skłamałam.

— Przepraszam, przepraszam — powiedziałam, kręcąc głową, jakbym chciała oczyścić umysł. — Ubiegłej nocy zasnął dość wcześnie. Miał niewielką biegunkę, ale w podręczniku dla matek wyczytałam, że takie rzeczy się zdarzają. No i trochę wymiotował. Ostatni raz jadł wczoraj po południu... nie... rano. Nie płakał. Zauważyłam, że ma gorączkę dopiero... dziś rano... ale pomyślałam, że sen dobrze mu zrobi. Nie biorę narkotyków i nie sędzę, żeby cokolwiek przyjął. — Był to najgorszy z możliwych scenariuszy. Zdecydowałam jednak, że lepiej będzie, jeśli trochę podkoloryzuję, tak by wzięła pod uwagę wszystkie możliwości i nie ignorowała kolejnych symptomów. To, że ubiegłej nocy Atlas był zmęczony i marudny, nie wydało mi się dziwne, bo sama byłam zmęczona i rozdrażniona. A ponieważ nie miałam apetytu, nie dziwiło mnie, że ktoś inny może go nie mieć. Nie wydawał się rozpalony. I nie wyglądał na chorego. Rankiem jak zwykle się spieszyłam, więc mogłam tylko zgadywać, co wydarzyło się naprawdę.

Lekarka przyglądała mi się bacznie przez dłuższą chwilę, jakby biła się z myślami. W końcu uznała, że jestem oszalałą z rozpaczu matką, i powiedziała, że mogę zostać z Atlasem, dopóki nie dostaną wyników, co mogło jeszcze trochę potrwać. Przykucnęłam przy jego łóżku, gdzieś między pragnieniem zrównania się z jego drobnym ciałkiem a modlitwą. Proszę, niech gorączka spadnie; proszę, niech wszystko będzie dobrze, niech wyzdrowieje, niech będzie zdrowy, zdrowy, zdrowy. Modliłam się do nikogo. Nie mogłam zwracać się do Boga. Pamiętałam zakaz mojej babci. Mimo to podświadomie targowałam się z tym Nikim. Czy zrezygnowałabym z niego, gdyby to miało go ocalić? Czy gdyby wyzdrowiał i gdyby Jill wyszła za Daniela i zabrała go daleko stąd, tak bym nigdy więcej go nie zobaczyła, poszłabym na taki układ? Czy poświęciłabym dla niego własną babcię? Gdybym musiała wybierać, kogo pozostawić przy życiu, kogo bym wybrała? Atlas nie był nawet moim krewnym, a poza tym nie miałam żadnej gwarancji, że stanie się tak, jak postanowię. Gdybym poświęciła babcię i dała mu siedemdziesiąt procent szans na wyzdrowienie albo pozwoliła jej żyć z rakiem, przez co jego szanse spadłyby do trzydziestu, co wtedy? To były pytania, z jakimi zmagiał się mój umysł. Umysł, który nie posiadał mocy spełniania życzeń i nie miał do zaoferowania nic znaczącego, z czego mógłby zrezygnować. Próbowałam objąć Atlasa, nie zwracając uwagi na kroplówkę

i płataninę rurek, przytulić jego małe ciało do mojego. Zamknęłam oczy, zapominając o świecie — niespokojnych snach, dręczących mnie koszmarach, setkach myśli, które nie dawały mi spokoju, i braku sił do walki z osaczającymi mnie demonami.

\* \* \*

Obudziłam się, kiedy potężny człowiek z policyjną pałką potrząsnął gwałtownie moim ramieniem.

— Proszę pani, proszę za mną. — Zamarłam, jednak Atlas wyglądał... dokładnie tak jak wtedy, gdy weszłam na salę. Nadal był rozpalony i wciąż spał, ale był i miałam wrażenie, że nic się nie zmieniło. Próbowałam protestować, ale mężczyzna postawił mnie na nogi i pchnął w kierunku drzwi. Chwilę później znalazłam się po drugiej stronie pomieszczenia, zbyt daleko, by dotknąć Atlasa, i zbyt daleko, by go zobaczyć. Mężczyzna ścisnął mnie za ramię i poprowadził korytarzem w stronę podwójnych drzwi, a potem kolejnym, do pustego pokoju, w którym jedynym meblem było twarde krzesło. Oboje staliśmy.

— Jak się pani nazywa? — Wyglądał na zdenerwowanego i najwyraźniej nie wierzył w żadne z moich kłamstw.

— Janey Duncan.

— Jest pani matką tego chłopca? — Mówiąc to, wskazał na drzwi, w stronę korytarza i pokoiku, w którym leżał Atlas.

— Tak — odparłam spokojnie, uważając, by nie podnosić głosu. Mimo to zabrzmiałam bardziej wyzywająco niż rzeczowo.

— Dlaczego więc dziecko nosi inne nazwisko?

Kto powiedział im, jak nazywa się Atlas? Pewnie Jason, kiedy przyjechał do szpitala.

— Mattison to nazwisko mojego męża — odparłam beznamiętnie. Byłam zła, że uznali, iż Atlas nie jest moim synem, tylko dlatego, że mieliśmy inne nazwiska.

— W takim razie kim są ludzie, którzy siedzą w poczekalni i twierdzą, że są rodzicami Atlasa Mattisona?

Nie miałam pojęcia.

— Ludzie?

— Proszę pani, chcę, żeby powiedziała pani prawdę i wyjaśniła, co tu się dzieje.

Jak mogłam to zrobić? Dlatego postanowiłam kłamać dalej. Nie miałam wyboru. Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć, o co naprawdę chodzi. Poniekąd rzeczywiście byłam matką Atlasa, a on w tej chwili potrzebował matki.

— Jestem jego matką. — Wzruszyłam ramionami. — Nie wiem, co powiedzieć. Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie.

Zmierzył mnie wzrokiem i mrużąc oczy, spoglądał mi w oczy. Nagle westchnął i rzekł ze spokojem:

— Jedna z tych osób jest bardzo zdenerwowana. Nakrzyczała na personel. Ona również nazywa się Mattison. Chwilę temu opuściła szpital, twierdząc, że jedzie do domu po świadectwo urodzenia. Jeśli kłamie, jest nam bardzo przykro, ale sama pani rozumie, że musimy być ostrożni. Na świecie nie brakuje szaleńców. Ale jeśli wróci ze świadectwem urodzenia...

Nie dokończył, więc nie wiedziałam, co się stanie. Pójdę do więzienia, a może postawią mi zarzut uprowadzenia dziecka? Dostanę zakaz zbliżania się do Atlasa? Mężczyzna nakrzyczy na mnie, a może nawet uderzy mnie swoją pałką? Nie miałam pojęcia i prawdę powiedziawszy, niewiele mnie to obchodziło. Był to dręczący mnie szczegół, gdzieś na dnie umysłu zaabsorbowanego rozpalonym od gorączki, chorym Atlasem. Poza tym nic innego nie miało znaczenia.

— Proszę tu zaczekać — powiedział ochroniarz, kierując się w stronę drzwi. Nie był ani uprzejmy, ani opryskliwy. — I nigdzie nie wychodzić.

Usiadłam na krześle i czekałam. Co innego miałam zrobić?

\* \* \*

Zaczęłam, jak zawsze, analizować. Po co skłamałam? Przecież i tak się dowiedzą. Przyznanie się do winy, kiedy człowiek zostaje przyłapany po raz pierwszy, obrócenie wszystkiego w żart, głupi wypadek, nieszkodliwe nieporozumienie spowodowane jak najbardziej zrozumiała, złą ocenę sytuacji, a nawet wymuszone, wymruczane pod nosem przeprosiny są lepsze i znacznie bardziej rozsądne od kolejnych, coraz gorszych kłamstw. Skąd wiem? Bo prowadzę zajęcia na temat filmu. Bo już wcześniej widziałam ten film. Tylko dwunastoletni chłopcy i bohaterowie filmowi wierzą, że kolejne kłamstwa wydobędą ich z tarapatów. Każdy widz (przynajmniej ten, który nie jest dwunastoletnim chłopcem) krzyczy do ekranu, nawet jeśli robi to w głowie: „Ty idioto. Pogarszasz tylko sprawę. Wycofaj się”. To sprawia, że widzowie są niespokojni i czują się niezręcznie, wiedząc, że gdyby bohaterowie powiedzieli prawdę, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej, a ponieważ tego nie robią, w ciągu najbliższej godziny najprawdopodobniej pożegnają się z życiem; nieważne, że tylko w filmach kłamstwo jest traktowane w kategorii przestępstwa, za które karą jest śmierć. Myślę, że spanikowałam. Poczulałam, że moja miłość i lojalność wobec Atlasa są podawane w wątpliwość. A przecież pod wieloma względami naprawdę byłam jego matką. I byłam wściekła na Jill. Przede wszystkim jednak cierpiałam na „syndrom fabularny”. Czułam się jak w filmie, a w filmie jedynym wyjściem jest brnąć dalej.

Zasadniczo nienawidzę szpitali. Tak, wiem, wszyscy nienawidzą szpitali. Ale to oczywiste, że jest inaczej, kiedy chodzi o ciebie. Czuję więc, że — w przeciwieństwie do wszystkich — naprawdę nienawidzę szpitali. Moim zdaniem to brudne, pełne zarazków miejsca, zimne, bezduszne i niebezpieczne jak diabli, ponieważ w każdej chwili można tu spotkać kogoś z raną postrzałową, trzymającego się za pierś albo kaszłającego tak długo, aż zacznie płuć czerwonymi kawałkami — sama nie wiem — płuc? A ja nie chcę oglądać takich rzeczy. Tak samo jak nie chcę złapać choroby, która jest tego przyczyną. Jednak w tamtej chwili szpital był jedynym miejscem, które podnosiło mnie na duchu. Ludzie, którzy tu pracowali, opiekowali się Atlasem i sprawiali, że czułam się lepiej. No i trzymali mnie z daleka od Jill. Od Jill i Daniela, od Katie i wszystkich. A tylko tego pragnęłam.

Zadzwoiłam do babci, żeby się zameldować, a tak naprawdę po to, żeby mnie pocieszyła, jednak kiedy usłyszałam jej głos, dotarło do mnie, że nie mogę powiedzieć jej, że Atlas zapadł na jakąś — wciąż niezidentyfikowaną — chorobę, a ja jestem przetrzymywana jako zakładniczka w szpitalu, gdzie w każdej chwili ktoś może wypluć na mnie kawałek swojego płuca. Nie mogłam powiedzieć jej, że być może wkrótce trafię do więzienia za to, że podałam się za matkę chłopca, którą — biologicznie — nie jestem. Gdyby się nad tym zastanowić, potężny mężczyzna z pałą nie zapytał mnie, czy urodziłam Atlasa. Gdyby był moim adoptowanym synem, poprawna odpowiedź na pytanie „Czy jest pani matką tego chłopca?” brzmiałaby „tak”. Gdyby był moim przybranym synem, odpowiedź również brzmiałaby „tak”. Gdyby był synem mojej siostry, która zostawiła go, jako niemowlaka, na progu mojego domu, a sama zgłosiła się do szpitala psychiatrycznego, nie informując o tym odpowiednich organów, odpowiedź wciąż brzmiałaby „tak”. A zatem dzieliliśmy włos na czworo. Miałam przynajmniej taką nadzieję. Tak czy inaczej, nie mogłam powiedzieć o tym babci. Na dźwięk jej głosu rozplakałam się i nie mogłam przestać. Jednak to moja babcia, rozumie mnie bez słów, dlatego nazwała mnie swoją biedną dzieciną i obiecała, że wszystko będzie dobrze, a ja jej uwierzyłam.

Przeniosłam się z krzesła na wyłożoną płytkami podłogę i usiadłam przy ścianie, by wyprostować nogi i znaleźć oparcie dla głowy, kiedy drzwi do pokoju stanęły otworem. Pojawił się w nich ten sam potężny mężczyzna; natychmiast się odsunął, robiąc miejsce dla dwóch kobiet, w których rozpoznałam funkcjonariuszki policji.

— Janey Duncan?

— Tak?

— Pojedzie pani z nami na posterunek i odpowie na kilka pytań.

— Aresztujecie mnie?

Zatrzymały się i wyglądały na zdumione.

— A jest jakiś powód, dla którego mielibyśmy panią aresztować?

— Nie. — Staralam się, żeby mój głos zabrzmiał pewnie i udawałam oburzoną.

— Proszę z nami. — Nie była to prośba, tylko rozkaz.

Jechałyśmy w milczeniu. Siedziałam na tylnym siedzeniu radiowozu, za kratką, ale nie byłam skuta kajdankami. Jeszcze nie. Na komisariacie szłam za policjantką numer jeden, podczas gdy jej towarzysza, zachowując czujność, podążała tuż za mną. Pokój, do którego mnie zaprowadziły, był równie ponury, jak ten w szpitalu, choć znajdowało się tu znacznie więcej mebli (stół z dwoma krzesłami). Policjantki włączyły światło, zamknęły drzwi i przyjęły pozy glińiarzy, jakie zwykle widuje się w filmach — jedna przestawiła krzesło tyłem do przodu i usiadła na nim okrakiem, druga skrzyżowała ramiona na piersi i, wyraźnie zła, oparła się o ścianę.

— Czy jest pani matką Atlasa Mattisona? — spytała ta, która siedziała na krześle naprzeciw mnie. Głos miała spokojny, jakby wypytywała mnie, czy lubię lody o smaku czekoladowym.

— Nie — odparłam równie spokojnie, jakbym odpowiadała na pytanie o lodach.

Nie wyglądała na zaskoczoną. Najwyraźniej od początku знаła prawdę.

— Dlaczego w takim razie powiedziała pani, że jest jego matką?

— Inaczej nie mogłabym go zobaczyć. Musiałam być z nim. — Nadal byłam spokojna, rozsądna, a nawet pewna siebie.

— Co łączy panią z tym chłopcem?

Trudne pytanie i naprawdę nie miałam pojęcia, jak na nie odpowiedzieć.

— Jestem jego... — Kim? Matka najwyraźniej nie wchodziła w grę. Powiedzieć, że jestem jego opiekunką, to zdecydowanie za mało. Ciotka, kuzynka, ktoś z rodziny... to brzmiało bardziej wiarygodnie, choć nadal nie oddawało tego, kim naprawdę byłam dla Atlasa. Słowo „przyjaciółka” brzmiało jak nic nieznacząca, chłodna odpowiedź. Poza tym nie byłam pewna, czy Jill poręczy za którąkolwiek z nich. — Opiekujemy się nim wspólnie — wyznałam w końcu. — Mieszkam z Atlassem i opiekuję się nim. Kocham go — dodałam, choć nikt mnie o to nie pytał.

Policjantki wymieniły spojrzenia i zmierzyły mnie chłodnym, beznamietnym wzrokiem.

— Dlaczego dziecko choruje? — spytała ta, która siedziała naprzeciw mnie.

Mogę sobie wyobrazić zdumienie i zmieszanie, jakie malowało się na mojej twarzy, kiedy mój mózg przetwarzał pytanie, bo policjantka złagodniała, jeszcze zanim zdążyłam odpowiedzieć.

— Nie mam pojęcia — odparłam zduszonym głosem.

— Podała mu pani coś? — spytała ta, która stała w kącie pokoju.

— Nie! — Świadomość tego, co chodzi im po głowie, sprawiła, że byłam przerażona, zmieszana i oburzona.

— Kiedy ostatni raz widziała pani dziecko?

— Ostatni tydzień spędziłam w Vancouver, ale byłam z nim całe wczorajsze popołudnie

i ubiegłą noc. Gdyby ktokolwiek zauważył, że coś się z nim dzieje, zadzwoniliby do moich rodziców. Kiedy wróciłam do domu, wydawał się taki jak zawsze i nikt nic nie mówił, więc oni też musieli uważać, że wszystko jest w porządku.

— Nie widziała go pani dziś rano? — spytała ta, która opierała się o ścianę.

— Nie. Wstałam wcześniej, poszłam na zajęcia i spędziłam popołudnie w bibliotece.

— Gdzie pani pracuje? — wtrąciła ta siedząca na krześle.

— Na Uniwersytecie Rainier. — Moja odpowiedź najwyraźniej zrobiła na nich wrażenie.

Ważna informacja: kiedy cię aresztują, dobrze jest mieć pracę, która wzbudza szacunek.

— Kim jest matka dziecka? — rzuciła ta w kącie.

— To Jill. Jill Mattison.

— A jego ojciec?

Przewróciłam oczami i niewykluczone, że zgrzytnęłam zębami. Westchnęłam i pokręciłam głową.

— Daniel Davison — wyznałam w końcu, choć robiłam wszystko, by zabrzmiało to dwuznacznie.

— A pani i Jill jesteście... kochankami? — zagadnęła ta, która siedziała naprzeciw mnie.

— Nie — odparłam ze śmiechem, po raz kolejny wprawiając je w zakłopotanie. Nagle dotarło do mnie, co tak naprawdę chodziło im po głowie. Jill i ja byłyśmy kochankami i wspólnie wychowywałyśmy dziecko jej i Daniela. Jill była niezdecydowana i wciąż zastanawiała się, czy do niego nie wrócić. Wściekłam się, bo dziewczyna, z którą byłam, rzuciła mnie i próbowała odebrać mi dziecko, które pomagałam wychować jej jak swoje własne. Sprzeczka kochanek. Nic więcej. Głupie lesbijki.

Zauważyłam też, że taki scenariusz wzbudzał ich sympatię. To tłumaczyłoby, dlaczego chłopiec był mój, choć wcale go nie urodziłam, dlaczego traktowałam go jak syna, mimo iż nie miałam świadectwa urodzenia, żeby to udowodnić, dlaczego kłamałam i dlaczego Jill była taka wściekła. Nagle ze sprawcy stałam się ofiarą, nieszkodliwą i niesprawiedliwie osądzoną. Nie miałam ochoty wyprowadzać ich z błędu, ale choć taki scenariusz był bliski prawdy, do prawdziwych nie należał.

— Jill i ja jesteśmy przyjaciółkami — wyznałam. — Zaszła w ciążę. Ojciec dziecka porzucił ją. Jesteśmy na studiach doktoranckich, więc nie mamy za dużo pieniędzy. Nasza przyjaciółka, Katie, i ja zamieszkałyśmy z Jill i wspólnie wychowywałyśmy dziecko. Nasz przyjaciel, Jason, który przywiózł Atlasa do szpitala, również nam pomaga. Na zmianę opiekujemy się dzieckiem, kąpiemy je i karmimy. Byłam przy nim, kiedy przyszedł na świat, i od tamtej pory jestem przy nim niemal każdego dnia. Opiekuję się nim jak własnym dzieckiem. Jill i Katie mają ostatnio wiele na głowie, więc wzięłam sprawy w swoje ręce. To układ zbiorowy. Nie urodziłam go, ale w gruncie rzeczy Atlas jest moim synem.

Zauważcie, że było to krótkie, proste i całkowicie szczerze wyjaśnienie. Mnie samej wydało się jak najbardziej rozsądne i w pełni tłumaczyło moje zachowanie. Jak ktoś, kto kochał Atlasa, mógł zostawić go samego na oddziale intensywnej opieki medycznej? Jak ktokolwiek mógł wątpić w moją miłość do niego? I jak ktokolwiek mógł obwiniać mnie za to, co zrobiłam?

Policjantki wydawały się przekonane, mimo to nawet się nie ruszyły.

— Proszę tu poczekać — powiedziała w końcu jedna z nich, choć nie jestem pewna która.

Patrzyłam na stół i podłogę. Nagle wydałam się sobie mała, smutna i ponura. Zmartwiona, przerażona, zła i pełna oczekiwania.

## Rozdział 32

— Coś ty im, do cholery, powiedziała?

Jakiś czas później drzwi otworzyły się i stanęła w nich Jill, roztrzęsiona i czerwona z wściekłości. Tuż za nią szedł Daniel Davison i policjantka spod ściany, która posłała znaczące spojrzenie — do dziś nie wiem komu — i zamknęła drzwi.

— A ty? Co im powiedziałaś? — odparłam znużonym głosem. Byłam wykończona całą tą sytuacją.

— Ja!? Prawdę. Powiedziałam, że kłamiesz i próbujesz odsunąć nas od naszego dziecka.

W pierwszej chwili pomyślałam, że „nasze” znaczy jej i moje, jednak chwilę później dotarło do mnie, że mówiła o dziecku jej i Daniela. Przeskakiwała z tematu na temat i trudno było za nią nadążyć.

— Zapytali mnie, czy byłabyś w stanie porwać dziecko, i odpowiedziałam, że to całkiem prawdopodobne. Zapytali, czy byłabyś w stanie podać mu coś, od czego mógłby zachorować, i powiedziałam, że tak. Pytali, czy ostatnimi czasy zachowujesz się dziwnie, i potwierdziłam, że tak właśnie jest. Zapytali, czy przychodzi mi do głowy jakikolwiek powód, dla którego chciałabyś stanąć między nami a naszym dzieckiem, i powiedziałam, że tak; mogłam podać mnóstwo powodów. Powiedziałam, że łączy cię z nim nienaturalna więź, wydaje ci się, że jesteś jego matką, byłaś zła na ojca dziecka i chciałaś mnie skrzywdzić. Zapytali, czy przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny byłaś sama z dzieckiem, i odpowiedziałam, że tak. Spytali, czy podejrzewam, że otrułaś Atlasa albo celowo podałaś mu coś, od czego się rozchorował, i odparłam, że jest to prawdopodobne.

— Robisz to, bo jesteś szalona czy najzwyczajniej w świecie zła? — spytałam kpiąco, drżąc na całym ciele. Nie mogłam spojrzeć jej w oczy, a co dopiero wytrzymać jej spojrzenia.

— Nie wiem, Janey. A ty, jaka jesteś? Co miałam powiedzieć? Jason zadzwonił do mnie i powiedział, że próbował się ze mną skontaktować od kilku godzin. Mówił, że Atlas jest na OIOM-ie; że nie chce się obudzić i nikt nie wie dlaczego. Od razu przyjechaliśmy do szpitala, ale nie pozwolili nam go zobaczyć, bo pacjentów może odwiedzać tylko najbliższa rodzina, a z Atlasem jest obecnie jego matka. Powiedziałam, że to ja jestem jego matką, ale mi nie uwierzyli. Nawet Jason poręczył za mnie, ale i tak nie pozwolili mi zobaczyć się z dzieckiem. Zaczęli zadawać pytania, dopiero kiedy wróciłam do szpitala z aktem urodzenia. Gdy wychodziłam z domu, wszystko było w porządku, a potem dowiaduję się, że jest z tobą na oddziale intensywnej terapii. Niby co miałam sobie pomyśleć?

— Nie braliśmy pod uwagę otrucia ani tego, że celowo mogłaś mu podać coś, od czego zachorował. — Daniel ujął to nieco bardziej delikatnie. Zachowywał się, jakby był zawstydzony, a jednocześnie chciał mnie zbesztać. — Ale kiedy o tym wspomnieli, przestraszyliśmy się. Nie rozumiemy, jak to możliwe, że w tak krótkim czasie tak bardzo się rozchorował. Obiecałaś, że będziesz się nim opiekować, a zaraz potem Atlas ląduje w szpitalu i nie możemy go nawet zobaczyć. — Nastąpiła cisza, w czasie której wyobrażałam sobie, jak stojące za lustrem weneckim dwie policjantki proszą o wsparcie. — Jeśli coś mu dałaś, Janey, proszę, proszę, powiedz nam, żebyśmy mieli więcej czasu. Wyniki testów toksykologicznych pokażą, co jest nie tak, ale byłoby lepiej, dla wszystkich, gdybyś już teraz powiedziała nam prawdę.

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Brakowało mi sił, żeby krzyknąć z wściekłości albo ze stoickim spokojem powiedzieć im całą prawdę, tak więc musiałam wybierać. Nie lubię krzyknąć. Nie lubię konfrontacji. Próbowałam stłumić emocje, a zamiast tego rozplakałam się. Mogłam uderzyć w płacz albo wybuchnąć śmiechem. To drugie daje poczucie godności i wyższości.

Jednak zbyt wiele zostało stracone.

— Naprawdę myślicie, że mogłabym go otruć? — Chciałam, żeby wszystko było jasne.

— Nie wiemy.

— Nie otrułam Atlasa, wy idioci.

— W takim razie dlaczego zachorował?

— Nie wiem. Tak samo jak nie wiecie tego wy ani lekarze. Wstępne badania toksykologiczne niczego nie wykazały. Robią kolejne testy. Chyba nikomu nie przyszło do głowy, że Atlas mógł zostać otruty.

— W takim razie dlaczego odebrałam telefon od przerażonego Jasona, który powiedział, że Atlas jest w szpitalu i miał atak.

— Próbował dodzwonić się do mnie, ale w bibliotece nie ma zasięgu. Katie jest w Portlandzie. Dlatego padło na was. Kiepski wybór, przyznaję, ale jak sami wciąż powtarzacie, jesteście jego rodzicami. Był przerażony, bo wydzwaniał do was od kilku godzin, ale nikt nie odbierał. Gdzie byliście? Oboje macie telefony. Odpowiedzialni rodzice mają włączone komórki za każdym razem, gdy zostawiają dziecko z opiekunką.

— Ty miałaś się nim opiekować. Nie Jason. Myśleliśmy, że można ci zaufać — powiedział Daniel.

— Cóż, Dan, nie do końca jest tak, jak mówisz. — Starłam się zachować spokój. — Ty w ogóle nie myślałeś. Oszedłeś, zanim Atlas przyszedł na świat. Nie obchodziło cię, kto będzie się nim opiekował, w ogóle nic cię nie obchodziło. Nie masz pojęcia, kto dziś rano miał zajmować się Atlasem. Po prostu wyszedłeś z założenia, że ktoś to robi. Nawet nie widziałeś go na oczy. Nagle dwadzieścia minut temu zaczęło cię to interesować. Tak więc jeśli chodzi o ciebie, nie jest to kwestia myślenia czy zaufania. A co do ciebie, Jill, to jesteś w błędzie. Nie ja miałam opiekować się Atlasem. Miałaś to robić ty. Od końca maja codziennie rano mam zajęcia. Katie jest w Portlandzie, więc to chyba jasne, że ona również nie mogła zostać z dzieckiem. Dlatego rano, kiedy nie wróciłaś do domu, musiałyśmy zadzwonić po Jasona. Wczoraj zgodziłam się zaopiekować Atlasem, mimo że to nie była moja kolej, a Jason musiał odwołać poranne spotkanie z promotorem. Mimo że ja jestem kompletnie wykończona i mam masę zaległości, a Jason i Lucas przed urodzeniem dziecka mają na głowie masę rzeczy. Ale skąd ty miałabyś o tym wiedzieć? Przecież nie masz pojęcia o tym, jak opiekować się dzieckiem. Robią to za ciebie inni. A skąd miałabyś wiedzieć o tym, jak żyją inni? Co cię to obchodzi? W końcu to ich życie, nie twoje.

— Mamy harmonogram opieki nad Atlasem, ale to nie znaczy, że on jest twój.

— Tak, teraz rozumiem, po co ci opiekunka. Ja mam zajęcia, Katie wychodzi za mąż, a Jason spodziewa się dziecka. A gdzie ty byłaś?

— To bez znaczenia.

— Gdzie się podziewałaś?

— Została na noc u mnie. Ja wziąłem dzień wolnego — wyjaśnił Daniel. — Mamy do omówienia wiele rzeczy, dużo spraw do rozwiązania i tyle samo do nadrobienia. — Był poważny, bardzo poważny, jakby to, że mają wiele do omówienia, było najważniejszą rzeczą na świecie; jednak błakający się na jego ustach, przelotny uśmiech podpowiadał mi, z jakiego powodu przez całe popołudnie nie odbierali telefonu.

— Dlaczego powiedziałaś, że jesteś jego matką? — spytała Jill.

— Nie chciałam, żeby był sam — odparłam. — W przeciwnym razie nie wpuściliby mnie do niego.

— To nie jest powód, żeby kłamać — rzuciła.

— Tak? A znasz lepszy?

— Wiemy, że go kochasz, Janey. Pozwalamy ci się nim opiekować. Pozwalamy ci spędzać z nim czas. Jesteśmy wdzięczni za twoją pomoc, ale on nie jest twój. — Jill uspokoiła się i zamiast krzyczeć, zaczęła traktować mnie protekcjonalnie. Nadal była wściekła, ale teraz stała się znacznie bardziej irytująca. Wyobraziłam sobie, że chwytam jedno z krzeseł i rzucam w nią albo w lustro weneckie. Zobaczyłam sypiący się na policjantów deszcz odłamków i szłam o zakład, że wiedząc, co wydarzyło się w pokoju, pozwolą mi zabrać Atlasa, dokądkolwiek zechcę.

— Jill — westchnęłam. — Nie jestem twoją opiekunką do dziecka. Nie jestem twoją nianią, pokojówką, kucharką ani gosposią. Jestem członkiem twojej rodziny i twoją przyjaciółką, ale ty nie zachowujesz się jak przyjaciółka. Opiekuję się Atlassem jak własnym synem i dobrze o tym wiesz. Jestem przy nim znacznie częściej niż ty. Tak jak ty zmieniłam swoje życie, żeby to wszystko działało jak należy. Nie skarżyłam się, że poświęcam mu więcej czasu, uwagi i pieniędzy niż jego rodzice. Byłam przy tobie, kiedy Daniel odszedł, i jestem przy tobie, kiedy próbuje zdecydować, czy wrócić, czy też nie. Z nas dwóch to ja jestem odpowiedzialna. Tak więc nie obchodzi mnie, która z nas go urodziła. Atlas jest mój.

W tym momencie wyszłabym z pokoju — stałam na wprost drzwi, a poza tym miałam dość tej rozmowy — gdyby nie fakt, że wciąż byłam aresztowana i nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko usiąść i czekać.

Chwilę później do pokoju weszły obie policjantki.

— Dzwonili ze szpitala. Powinna pani tam jechać.

Pani? Ale która?

— Uznano, że nie zostało popełnione żadne przestępstwo. Mogą więc państwo iść.

— O co chodzi? — spytałam.

— Proszę pani, nie jestem lekarzem. Dowie się pani wszystkiego na miejscu. Dziękujemy za współpracę i przepraszamy za kłopot.



## Rozdział 33

Do szpitala musiałam wrócić w towarzystwie Jill i Daniela. Kiedy wyszliśmy na parking, wsiedli do samochodu, podczas gdy ja stałam, rozglądając się jak idiotka, która nie bardzo wie, dokąd pójść.

— Po prostu wsiadaj — rzuciła Jill. Nadal była wściekła, ale najwyraźniej miała ochotę na wspólną przejażdżkę samochodem.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, że wypuścili mnie tak szybko, bez prawnika, papierkowej roboty, ani nawet telefonu. Daniel przypuszczał, że tak naprawdę wcale nie zostałam aresztowana i zatrzymano mnie wyłącznie w celu złożenia zeznań. Powiedział, że gdybym była bezrobotna i przygnębiona, oglądałabym dziennie trzy, czasem cztery odcinki *Prawa i porządku* i wiedziałabym, jak to wygląda. Był słodki. Zupełnie jakby nasze życie, życie nas wszystkich, nie wisiało na włosku. Jakby nasz syn nie leżał zupełnie sam na oddziale intensywnej opieki, cierpiąc z powodu niezdiagnozowanej choroby. Jakbym chwilę temu nie została aresztowana — przywieziona na komisariat w celu złożenia zeznań — za otrucie, czy też uprowadzenie, ich albo mojego, albo naszego synka.

\* \* \*

W szpitalu czekał na nas Jason, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyglądał mniej więcej tak, jak wtedy, gdy go zostawiłam, tyle że wezwał posiłki. Był z nim Lucas. I Ethan. Na nasz widok wszyscy trzej poderwali się z krzesel.

— Wiedzą coś, ale nie chcą nam powiedzieć — zaczął Jason.

— Wszystko w porządku? — spytał Ethan. Mnie. Zapytał mnie, czy wszystko jest w porządku.

Unikając kontaktu wzrokowego, skinęłam głową i powiedziałam stanowczo „nie” emocjom, które byłyby nie do opanowania, gdyby raz wydostały się na zewnątrz.

Lucas ze spokojem podszedł do pokoju pielęgniarek. Chwilę później wrócił i czekaliśmy w milczeniu. Wiedziałam, że Jason chce zapytać, co się wydarzyło po aresztowaniu mnie przez policję, po tym, jak Jill przedstawiła ojca dziecka i akt urodzenia i siedząc w poczekalni, krzyczała, że dziecko na oddziale intensywnej terapii należy do niej. Jednak nawet on nie wiedział, jak zacząć tę rozmowę. W końcu wyszedł do nas lekarz. Najwyraźniej wiedział o wszystkim, bo przyglądał się nam, aż w końcu się odezwał:

— Może znajdziemy pomieszczenie, w którym będziemy mogli porozmawiać.

Poszliśmy za nim korytarzem do tego samego pustego pokoju, w którym czekałam wcześniej. Lekarz zamknął drzwi i wziął głęboki oddech.

— Atlas ma bakteryjne zapalenie opon mózgowych.

Z początku dotarło do mnie tylko tyle, że nie ma raka; zaraz jednak zmusiłam się do tego, by skupić się i słuchać...

— ...bardzo dobrze i mądrze, że przywieźli go państwo do szpitala. To uleczalna choroba, ale bardzo, bardzo poważna i niestety często kończy się śmiercią dziecka...

Bardzo dobrze i mądrze. Bardzo dobrze. Bardzo dobrze...

— ...przez kilka dni podawać dożylnie antybiotyki i płyny, z powodu wymiotów i biegunki. To bardzo zaraźliwa choroba, więc każdy z państwa, kto miał z nim kontakt w ciągu ostatnich kilku dni, będzie musiał przyjmować ryfampicynę, tak na wszelki wypadek. Istnieje spora szansa, że Atlas wyjdzie z tego bez szwanku, choć przez jakiś czas może być bardzo osłabiony...

— Spora szansa? — przerwałam mu.

— Czasami dzieci przez długi czas cierpią z powodu efektów ubocznych: problemów z sercem, uszkodzeń mózgu, głuchoty. Jednak na razie proszę się tym nie martwić. Robimy, co w naszej mocy, żeby mu pomóc.

— Możemy go zobaczyć? — spytałam.

— Nie dziś. Proszę wrócić jutro i...

— Ale jeśli on potrzebuje matki... — zaczęła Jill.

— Nie dziś — powtórzył stanowczo lekarz. — Jutro państwo to sobie wyjaśnią.

„Jutro państwo to sobie wyjaśnią”. Nie miał na myśli bakteryjnego zapalenia opon mózgowych, z którym walczyli wszelkimi możliwymi sposobami. Miał na myśli nas, rodzinę Atlasa, to, która z nas jest jego matką, a która nie, kto może się z nim zobaczyć, kto jest bez winy, a kogo należy obwiniać. Przez chwilę staliśmy w milczeniu. I nagle Jill oznajmiła:

— Zostaję na noc u Dana. — Skinęła głową w moją stronę. — Niech ktoś odwiezie ją do domu. — Odwróciła się i wyszła. Tuż za nią dreptał Daniel.

— Odwiozę cię do domu — zaproponowali jednocześnie Jason i Ethan.

— Mam tu samochód. Po prostu ktoś musiał odwieźć mnie do szpitala po tym, jak ona kazała mnie aresztować.

— Masz ochotę na drinka? — spytał Lucas.

— Dzięki, marzę o tym, żeby wrócić do domu.

— Może zostawisz tu samochód? — rzucił Ethan. — Odwiozę cię do domu i przyjadę po ciebie z samego rana przed zajęciami. Moglibyśmy zatrzymać się gdzieś po drodze i zjeść jakąś kolację.

— Powinnam wracać do domu.

— Nie wiem, czy to dobry pomysł. Będziesz tam zupełnie sama.

O tym nie pomyślałam. Zgodziłam się więc, żeby odwiózł mnie do domu, i obiecałam, że zastanowię się nad kolacją, wdzięczna, że choć raz nie muszę o wszystkim myśleć. Pożegnałam się z Jasonem i Lucasem. Jason przytulił mnie i powiedział, że nie ma w tym żadnej mojej winy. Ja również go przytuliłam i podziękowałam mu za to, że był taki dobry i mądry.

— Gdybyś zwlekał z... — zaczęłam.

— Nawet o tym nie myśl — odparł.

\* \* \*

Ethan nie zdążył uruchomić silnika, kiedy się rozplakałam. Siedziałam w fotelu pasażera, a paniczny szloch wstrząsał całym moim ciałem. Łzy kapały mi na bluzkę, a ja tarłam ręką oczy, z trudem chwytając powietrze i kołysałam się w przód i w tył. Ethan wysiadł z samochodu, podszedł do drzwi od strony pasażera, otworzył je, przykucnął na ziemi i przyciągnął mnie do siebie. Trwaliśmy tak, dopóki się nie uspokoiłam: ja wychylałam się z samochodu, zgięta wpół, drżąca, z twarzą mokrą od łez, a on, kucając, wyciągał ku mnie ręce. Słyszałam jego szepty tuż przy moim uchu. W końcu wszystko dobiegło końca.

— Nie sądzę, żebym mogła wyjść gdzieś na kolację — wyjaśniłam.

— W takim razie zjedźmy u ciebie.

— Chyba nie mam ochoty gotować.

— Ja ugotuję.

— Ty?

— Nie tylko ty potrafisz gotować. Ja gotuję dla siebie prawie codziennie. Czasami dobrze jest pozwolić komuś innemu przygotować kolację. Janey — dodał po chwili — wszystko będzie dobrze.

Nie uwierzyłam mu, ale miło, że to powiedział.

\* \* \*

Kiedy weszliśmy do domu, dioda w telefonie mrugała, informując o nagranych wiadomościach.

Katie.

„Hej, to ja. Nie mogłam się do was dodzwonić, a chciałam sprawdzić, czy wszystko w porządku, i powiedzieć, że dojechaliśmy cali i zdrowi. Spróbowaliśmy około pięćdziesięciu milionów przystawek. Jutro czeka nas kolejna porcja. Mamy tu prawdziwe urwanie głowy, ale świetnie się bawimy. Chciałam też, żebyście wiedziały, że wczoraj wieczorem i dziś rano Atlas miał biegunkę. Poza tym nic mu nie było. Zresztą to pewnie nic takiego. Mam nadzieję, że u was wszystko dobrze. To tyle. Do zobaczenia jutro. Zadzwońcie. Pa.

## Rozdział 34

Nazajutrz rano Ethan i ja wróciliśmy do szpitala. O dziesiątej zaczynaliśmy zajęcia, więc byliśmy na miejscu jako pierwsi. Lekarz, który rozmawiał z nami poprzedniego dnia, zostawił karteczkę z listą nazwisk. Mogliśmy — wszyscy — odwiedzać Atlasa bez względu na porę. Nadal wydawał się zbyt mały, rozpalony i ospały, z wpółprzymkniętymi powiekami i rozchyłonymi ustami, jednak pielęgniarka powiedziała nam, że jego stan się nie pogorszył, co znaczyło mniej więcej tyle, że reaguje na leki.

Byłam sceptyczna. Mimo to poszłam na zajęcia. Z nauczaniem jest tak, że niezależnie od sytuacji człowiek idzie i prowadzi zajęcia, a gdy to robi, wszystko inne przestaje mieć znaczenie. Stajesz przed grupą ludzi, udając zdrowego psychicznie, opanowanego dorosłego człowieka, i stajesz się nim, przynajmniej na czas trwania zajęć. Nieważne, co dzieje się w twoim życiu, jeśli musisz stanąć przed studentami i coś powiedzieć, prawdopodobnie wymyślisz coś sensownego.

Ponieważ miałam w głowie jedynie gatunki literackie, postanowiłam, że od tego właśnie zaczniemy. Jak zauważyła moja babcia: „To, że historia jest smutna, nie czyni z niej tragedii”. Wszystkie opowieści są smutne, przynajmniej trochę. Poprosiłam studentów, żeby pomyśleli o łzach, które ludzie wylewają w najszcześniejszych momentach swojego życia — kiedy kończą szkołę, zakochują się, biorą ślub albo gdy na świat przychodzą ich dzieci. Nie wszystkie z tych łez są łzami szczęścia. Każda opowieść ma w sobie szczyptę smutku; jednak tragedia to coś zupełnie innego. Opowieści żyją własnym życiem, poza wszelkimi ramami, niezależnie od wszystkiego. Ludzie opowiadają je po to, żeby znaleźć miejsce, które mogliby nazwać domem.

Jaka jest więc definicja „domu”?

— To zależy, co się w nich dzieje — odparła Sarah Iverson.

— Kiedy dzieją się smutne rzeczy, możemy mówić o tragedii — zawtórował jej Brent Haddon. — Kiedy wesołe, mamy do czynienia z komedią.

— Kiedy jest dużo seksu, mamy wówczas romans — odezwał się z tyłu sali Pete Fansom.

W czwartym tygodniu letniego semestru trudno wymagać od studentów interesujących, wnikliwych i kreatywnych spostrzeżeń. Mimo to nie dawałam za wygraną. Przeważająca część opowieści nie ma nic wspólnego z tymi, o których wspominałam wcześniej. Zakończenia są dwuznaczne. Przede wszystkim widzimy, jak szybko komplikują się nawet najprostsze sprawy. Często bohaterowie przechodzą ze stanu pełnej stabilizacji, kiedy mają poczucie, że — mniej więcej — panują nad wydarzeniami i je rozumieją, do stanu dezorientacji i smutku, gdy tracą pewność i mają mętlik w głowie. I wówczas nadchodzi koniec. To oczywiste, że taka jest literatura, bo takie przecież jest życie.

Z filmami jest nieco łatwiej. W większości gatunków domyślamy się, jakie będzie zakończenie, a największą frajdę sprawia nam świadomość, że mieliśmy rację. Oglądając film, fajnie jest wiedzieć, że cały lęk, niezdecydowanie, niedola, cierpienie, niesprawiedliwość i katusze i tak znajdą szczęśliwe zakończenie. Większość filmów nie ma nic wspólnego z tragedią. Mają nas zbawiać i podnosić na duchu. Obserwujemy losy bohaterów, którzy przeżywają trudne chwile, wiedząc, że i tak wszystko będzie dobrze i że dzięki swym cierpieniom nauczą się tego, czego nie nauczyliby się w innych okolicznościach. Dobrze jest obserwować te historie, żyć nimi za pośrednictwem innych i przez kilka godzin żyć życiem, które nie jest naszym. Moi łebscy studenci wymienili wyjątki — jest ich oczywiście mnóstwo — ale przynajmniej mieli świadomość, że rzeczywiście są to wyjątki. Tym bardziej denerwowało mnie, że choć moje życie tak bardzo przypomina scenariusz filmowy (umierający krewni, rzadkie choroby, rodowe waśnie, nieuzasadnione aresztowania), jego koniec i tak będzie inny.

— Może jednak nie będzie — pocieszał mnie Ethan, kiedy po zajęciach jechaliśmy do szpitala.

— Nie, będzie inny.

— Dlaczego?

— Bo nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Niby jak z całego tego bałaganu, cierpienia, złości i lęku może wyniknąć coś dobrego? Nie ma mowy. Nie wiem, jak coś takiego mogłoby doczekać się szczęśliwego zakończenia. Moim zdaniem jest tu za dużo wątków. Zbyt poważnych wątków. Coś takiego może się zdarzyć tylko w filmach. Nagle uświadamiasz sobie, że było warto, że czegoś się nauczyłeś i stałeś się lepszym człowiekiem. Nie sądzę, żeby w tym przypadku było to możliwe.

— Oczywiście, że nie — odparł. — Przynajmniej nie teraz. Musisz poczekać. Nie będziesz wiedziała, dopóki to się nie skończy.

— Nie liczę na to, że doczekam końca. Nie jestem narratorem wszechwiedzącym. Zresztą to jest od początku narracja w pierwszej osobie.

— Na to wygląda.

— Na końcu umrę.

— To nie jest tragedia, Janey — odparł z powagą.

— Skąd wiesz? — szepnęłam.

— Bo w niczym nie przypomina tragedii. Owszem, wygląda to na próbę, ale nie ma nic wspólnego z tragedią.

— Życie nie działa w ten sposób. Nawet literatura nie działa w ten sposób.

— W tym wypadku zadziała — obiecał. — Zobaczysz.

\* \* \*

Kiedy wróciłam do domu, Katie stała na środku salonu i wyglądała na kompletnie zagubioną.

— Cześć.

— Cześć.

— Jak tam podróż?

— Świetnie. Co z Atlasem?

— Reaguje na leczenie. Możesz odwiedzić go, kiedy tylko chcesz.

— A jak twoja babcia?

— Też lepiej, dzięki.

— Właśnie wybierałam się do szpitala.

— To dobrze. Atlasowi przyda się towarzystwo. Wpadnę do niego później.

— Tak, jasne. A wieczorem zamówimy pizzę i wypożyczymy film.

— Brzmi nieźle.

— Janey?

— Tak?

— Gdzie podziały się nasze meble?

\* \* \*

Naturalnie znalazłyśmy wiadomość. Zupełnie tak jak w filmach. Żadnych niedomówień. Jeśli mam być szczerą, znałam jej treść, jeszcze zanim znalazłam list, i choć dostarczał on wyjaśnienia, nie podawał żadnych powodów, ani jednego powodu. Co gorsza, został napisany przez Daniela. Nawet w liście Jill nie zwracała się do mnie. Mówiła do nas.

*Drogie K. i J.*

*Nie martwcie się — wszystko jest w porządku. Ale ten układ, nawet jeśli kiedykolwiek działał, teraz nie ma już sensu. Jill przeprowadza się do mnie. Jesteśmy sobie przeznaczeni... teraz to wiemy. Jak pewnie zdążyliście zauważyć, zabraliśmy już większość jej rzeczy. Wiemy, że miałyście wspólne meble, ale doszliśmy do wniosku, że Atlas powinien mieć wokół siebie jak najwięcej znajomych rzeczy, tak by ułatwić mu adaptację w nowym miejscu. To oczywiste, że on zostanie z nami, i wiem, że chcecie dla niego wszystkiego, co najlepsze. Wkrótce skontaktujemy się z wami i damy wam znać, gdzie jesteśmy, ale to jeszcze musi poczekać. Myślę, że wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że powinniśmy mieć trochę większą swobodę. Nauczyłem się więcej, niż możecie sobie wyobrazić, ale jak same zauważycie, są pewne rzeczy, które może naprawić jedynie czas i rozłąka.*

*Do zobaczenia wkrótce*

*Dan (i Jill)*

— Co za dupek — parsknęła Katie.

Chwilę później zadzwonił telefon. Obie rzuciłyśmy się w stronę aparatu, bojąc się, że dzwonią ze szpitala z wiadomością, że stan Atlasa się pogorszył, albo że to skruszona Jill chce nas przeprosić i wszystko naprawić. Ja dodatkowo bałam się, że to policja, która jednak postanowiła mnie aresztować. Jak się okazało, dzwonił mój ojciec, by powiedzieć, że babcia umarła.

## Rozdział 35

Żydzi grzebią swoich zmarłych niemal od razu — w ziemi, w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli to możliwe — co w czasach przed wynalezieniem chłodzi było jedynym rozsądnym wyjściem, zważywszy na gorący klimat, choć teraz stanowi pewne utrudnienie. Przygotowanie uroczystości pogrzebowych stanowi niezwykle potrzebną ucieczkę od rzeczywistości, jednak kto tak naprawdę, obcując ze śmiercią, ma siłę i ochotę przejmować się takimi rzeczami? Powtarzałam sobie, że babcia w ogóle nie zawracałaby sobie głowy czymś takim. Ja zresztą również. Miałam do przemyślenia zbyt wiele rzeczy i ze zbyt wieloma problemami musiałam sobie poradzić. W natłoku obowiązków prawie nie miałam czasu, żeby się z nią pożegnać. Mama upierała się, by wszystko odbyło się tak jak należy, i powtarzała, że pewnego dnia docenię to, że przez tydzień słuchałam ludzi wspominających kobietę, z której śmiercią nie mogłam się pogodzić.

Mimo moich protestów Katie zawiozła mnie do domu. Uznała, że nie powinnam prowadzić i być sama, a poza tym następnego dnia i tak musiałam przyjechać na pogrzeb. Jadąc, rozmawialiśmy o Atlasie, o Jill i Danielu, i o nas, ani słowem nie wspominając o mojej babci. Kilka godzin później, w środku nocy, siedzieliśmy we czwórkę przy kuchennym stole w domu moich rodziców, jedliśmy ciasto czekoladowe i rozmawialiśmy o przygotowaniach do ślubu, starając się zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Wczesnym rankiem uświadomiłam sobie, że nie zorganizowałam zastępstwa na poranne zajęcia. Skruszona zadzwoniłam więc do Ethana, przeprosiłam, że go obudziłam, i zapytałam, czy mógłby jeszcze raz połączyć grupy albo przynajmniej wyjaśnić moim studentom powód mojej nieobecności.

— Nie mogę — odparł sennie. — Jutro muszę być na pogrzebie.

\* \* \*

Przyjechał z Jasonem, Lucasem i Peterem. Był też Nico, choć bez Caroline, a gdy w pewnym momencie podniosłam wzrok, dostrzegłam stojącą z tyłu samotną Diane. Moja mama zerknęła na nich i szepnęła mi do ucha:

— Masz wokół siebie mnóstwo ludzi, którzy cię kochają.

Nie odpowiedziałam, w obawie, że jeśli otworzę usta, wydobędzie się z nich żalorny skowyt, który nigdy nie ustanie. I dlatego, że byłoby niegrzecznie przyznać, że moi przyjaciele nie znaczyli nic bez mojej rodziny — bez babci i Atlasa.

Nie będę mówiła o pogrzebie, bo w ogóle go nie pamiętam, tak mocno zaciskałam powieki i tak bardzo próbowałam oczyścić umysł. Ceremonia nad grobem była krótka i pełna słońca, kwiatów i pięknej pogody, zupełnie jakby ktoś postanowił w ten sposób ulżyć naszemu cierpieniu. Ktoś puścił w obieg zapisaną fonetycznie żydowską modlitwę za zmarłych, tak byśmy wszyscy mogli ją odmówić, ja jednak milczałam. Każdy miał rzucić na trumnę garść ziemi, jednak tego również nie zrobiłam. A gdy spuszczano trumnę do grobu, uparcie gapiłam się na swoje stopy. Słyszałam płacz mamy, która stała otoczona przyjaciółkami. Zauważyłam, kiedy Ethan podszedł i objął mnie ramieniem, ale udawałam, że jest inaczej. Stałam nieruchomo, jakby nieświadoma jego bliskości, jednak on najwyraźniej nie zwracał uwagi na moją obojętność. Odchodząc od grobu, zauważyłam też, że faceci w ogrodniczkach, których zapewne nie nazywano już grabarzami, a którzy nie wyglądali by lepiej, nawet gdyby mieli do dyspozycji wszystkie kostiumy The Royal Shakespeare Company — zasypywali już grób, wypełniając dziurę, która pozostała po mojej babci. Jakby coś takiego było w ogóle możliwe. A gdy wsiadłam do samochodu, używali dziwnego wyciągu, by nakryć grób ogromną kamienną płytą. Jej ciężar

wstrząsnął ziemią; czułam to nawet z odległości dziesięciu metrów. Płyta była ciężka, miała zatrzymać babcię w ziemi, tak by nawet wtedy, gdy przemieni się w wampira, nie mogła uciec. Później zwymiotowałam na podłogę samochodu.

\* \* \*

W domu rodziców w tajemniczy sposób pojawiły się półmiski z przekąskami. I, jak mawia Nick Carraway, pośród powitalnego zamieszania, pełnego filiżanek i ciasteczek, dało się wyczuć niemal namacalne konwenanse. Ludzie wchodzili i wychodzili. Myśleli: przynajmniej to mamy już za sobą. Myśleli: piękna ceremonia, ciekawe, co na deser. Odwracali się do siebie i mówili: „To straszne, że spotkało ich takie nieszczęście, a co tam u ciebie?”. Tak to już jest. Nie byłam zła. Prawdę powiedziawszy, gdyby ktoś poprosił mnie, żebym zaczęła snuć opowieści o babci, mogłabym znowu zwymiotować. Dlatego byłam wdzięczna. Siedziałam sama na tyłach domu, z nadzieją, że jeśli będę naprawdę cicho, może nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

Katie wyszła i usiadła obok mnie, wręczyła mi jakiś napój gazowany, kanapkę i ciasteczko i pokazała mi swój telefon. Dwa nieodebrane połączenia od Jill. Atlas! Przeraziłam się i znowu zwymiotowałam.

— W porządku — rzuciła. — Nie musisz niczego jeść. Ale przynajmniej się napij.

— Dzwoniłaś do niej? Może chodzi o Atlasa?

— Próbowałam, ale nie odbiera. Gdyby działo się coś naprawdę złego, zostawiłaby wiadomość.

Nie byłam tego taka pewna, ale nie zamierzałam się kłócić, bo, prawdę mówiąc, co jeszcze mogłam zrobić.

— Powinnaś wejść do środka — zwróciłam się do Katie. — Coś zjeść.

— Wolę zostać tu z tobą.

— Ale ja chcę być sama — odparłam.

— Nikt nas tu nie znajdzie.

— Zupełnie sama — powtórzyłam z naciskiem.

— Jesteśmy same — upierała się Katie.

Z tym też się pogodziłam.

Przez chwilę siedzieliśmy na słońcu. Wyrwałam garściami trawę i usypałam niewielką kupkę. Katie spoglądała na opaleniznę na swoich stopach, przez którą jej palce wyglądały, jakby były brudne. Tyłne drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, jednak nie odwróciłam się, bo naprawdę nie chciałam nikogo widzieć, ale było gorzej, niż mogłam się tego spodziewać.

— Dlaczego żadna z was nie odbiera telefonu? — zaczęła Jill.

— Przyjechałaś! — zawołała Katie.

— Uprzedziłabym was, gdybyście odbierały telefony.

— Wyłączyłam swój na czas ceremonii. Dlaczego nie wysłałaś wiadomości?

— Bo prowadziłam.

— Mogłaś zatrzymać się na poboczu.

— Spieszyłam się. I tak byłam już spóźniona.

— Nie było cię na cmentarzu.

— Na granicy była długa kolejka.

— Skoro i tak czekałaś, mogłaś mi wysłać wiadomość.

— Z granicy?

— Tak.

— Nie pomyślałam. Byłam rozkojarzona.

— Dzwoniłam do ciebie.



— Naprawdę? Nie słyszałam telefonu.

— Słuchałaś głośno muzyki?

— Nie aż tak głośno. Byłam...

— Jak tam Atlas? — wtrąciłam.

Jill spojrzała na mnie, jakby zapomniała, że w ogóle tu jestem. Jakby nie pamiętała, czy rozmawia ze mną, czy nie.

— Na moje oko bez zmian. Ale lekarz mówi, że reaguje na leczenie.

— Został sam? — Wszyscy jesteśmy tu.

— Jest z nim Daniel.

— Sam?! — Ja i Katie krzyknęłyśmy niemal jednocześnie.

— Nie sam. Jest z nim cały personel szpitala. Poza tym musi poznać swojego syna.

Z tym również się pogodziłam.

— Naprawdę mi przykro — wydusiła z siebie Jill. W końcu.

— Najwyższy czas — odparłam.

— Nie o tym mówię — warknęła i chwilę później dodała nieco łagodniej: — Przykro mi z powodu twojej babci. Była niesamowitą osobą. Wspaniałą babcią. I cudowną prababcią.

— Och — wykrztusiłam. — Dzięki. Dziękuję, że przyjechałaś — dodałam ostrożnie. — Dobrze, że jesteś. Chciałaby, żebyś tu była.

— Nie bądź śmieszna — odparła Jill. — To oczywiste, że musiałam przyjechać.

\* \* \*

Przed wieczorem goście zaczęli się rozjeżdżać. Jill wróciła do domu, do Atlasa i Daniela. Miło, że przejechała taki szmat drogi, żeby zaraz potem wracać. Ludzie, którzy cały dzień krzatali się po domu, w końcu postanowili sobie pójść. A inni, ci, którzy spędzili cały dzień w pracy, wrócili do domu, zjedli kolację i położyli dzieci spać, już byli w drodze do moich rodziców. Moi rodzice mieli mnóstwo przyjaciół. Babcia miała mnóstwo przyjaciół. Może obecność tych wszystkich ludzi powinna była podnieść mnie na duchu. Ale tak się nie stało.

Mama zawołała mnie na górę do swojego pokoju.

— Znalazłam to w mieszkaniu.

W mieszkaniu... Mieszkaniu mojej babci. Jak to możliwe, że tak szybko stało się „mieszkaniem”? Trzymała w dłoniach piękne drewniane pudełko przewiązane białą wstążką. Na przyklejonej do niego karteczce widniało wypisane niechlujnym pismem babci moje imię.

— Co to?

— Nie wiem. Musisz je otworzyć.

Obróciłam pudełko w dłoniach. Potrząsnęłam nim. Znowu je obróciłam.

— Może nie teraz.

Mama wzruszyła ramionami. Zrozumiała albo była zbyt zmęczona, by się wyklócać.

— Zostawiła to dla mnie?

— W jej mieszkaniu jest tysiąc różnych rzeczy. Możesz zabrać, co tylko chcesz. Wiem, że miała jakąś biżuterię, porcelanę i srebra, które chciała ci dać. W końcu i tak trzeba będzie wszystko przejrzeć. Zrobić tam porządek.

— To musi być coś szczególnego, co chciała mi podarować.

— Może miała umysł zaprzątnięty innymi sprawami. Pewnie podpisała pudełko, żeby nie zapomnieć ci go dać, kiedy zobaczycie się następnym razem.

— Może.

Czy śmierć zawsze jest taka nagła? Z definicji?

\* \* \*

Ethan i ja skorzystaliśmy z chwili spokoju i poszliśmy trochę pobiegać. Musiałam rozładować emocje. Słońce staczało się za horyzont, jakby się wahało, czy to zrobić. Zrobiło się chłodno, delikatny wiatr unosił zapachy lata i świata, który kręcił się nieprzerwanie. Mijaliśmy ludzi zajętych codziennymi sprawami — grillowaniem, pracą w ogrodzie, zabawą z dziećmi, rozmową z sąsiadami, czytaniem książek na ganku — a ja zazdrościłam im tej normalności. Ich babcie nie umarły; ich dzieci nie cierpiały na rzadką chorobę, która groziła śmiercią, i nie zostały wykradzione przez ich najlepszych przyjaciół.

— To pocieszające, że zwykli ludzie nadal wiodą swoje zwykłe życie — zauważyłam, oddychając z trudem, kiedy wracaliśmy do domu.

— Co masz na myśli?

Opowiedziałam mu o żyjących babciach i dzieciach, które pozostawały przy swoich rodzicach.

— Ich babcie prawdopodobnie nie żyją — zauważył Ethan.

— Jak to? Spójrz na nich. Są szczęśliwi.

— Kto?

— Oni. — Z roztargnieniem machnęłam ręką w stronę ludzi, a właściwie siedzącej na ganku staruszki, która huśtała się na huśtawce pochłonięta czymś, co wyglądało na krzyżówkę.

— Idę o zakład, że jej babcia nie żyje — rzucił Ethan.

— W takim razie dlaczego jest taka szczęśliwa?

— Dlaczego myślisz, że jest szczęśliwa?

— Bo pogwizduje.

— Może robi to z przyzwyczajenia.

— Może tak.

— Poza tym to się nie wydarzyło wczoraj.

— I nie było takie nagłe.

— Co masz na myśli?

— Chciałam powiedzieć, że byłoby nam łatwiej, gdybyśmy byli przygotowani na odejście kogoś bliskiego. Gdyby śmierć nie była tak niespodziewana. Rano, kiedy wyjeżdżałam, czułam się zupełnie dobrze, a następnego dnia wieczorem już nie żyła.

Ethan zatrzymał się, oparł ręce na biodrach i spoglądał na mnie, jakbym była szalona.

— Janey — zaczął powoli — w ubiegłym tygodniu powiedziałem swoim studentom, że, być może, będę musiał odwołać zajęcia z powodu pogrzebu. Oddałem im prace wcześniej niż zwykle.

— Skąd wiedziałeś?

— Skarbie... — Nigdy dotąd tak mnie nie nazywał, więc wiedziałam, że chodzi o coś poważnego. — Twoja babcia miała osiemdziesiąt siedem lat. Zdiagnozowano u niej raka płuc. Rozmawiała o śmierci i powiedziała ci, jakie są jej ostatnie życzenia. Wydawałaś się taka... załamana, kiedy wróciłaś do domu. Domyśliłem się, że... niebawem odejdziesz.

Byłam kompletnie zaskoczona, oszołomiona.

— Ale przecież mówili, że wyzdrowieje.

— Kto tak mówił?

I nagle nie byłam sobie w stanie przypomnieć.

— Nie było mnie przy niej. Jej stan się nie pogorszył. Nie była w śpiączce. Nie wróciła do szpitala.

— Nie zawsze jest tak, jak się tego spodziewamy.

— Nie pożegnałam się z nią.

— Pożegnałaś — odparł, ale jakoś mnie to nie przekonało. — Pod wieloma względami miała szczęście. Umarła szybko. We śnie. Nie cierpiała. Nie musieliście patrzeć, jak odchodzi. Nie wyobrażam sobie lepszej śmierci.

— I... co z tego? Była stara. Umarła we śnie. To ma być błogosławieństwo? Powinam być wdzięczna losowi?

— Dla ciebie to bardzo smutne i straszne, Janey. Będziesz za nią tęskniła. Boleśnie odczujesz jej nieobecność. Ale nie musiała zmagać się z bólem. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu, aż zacznie cierpieć, jednak niedługo żyła z tą świadomością. To pewnego rodzaju błogosławieństwo.

Nie mogłam na niego spojrzeć.

— Nie wiedziała, że będzie cierpieć. Zostawiła coś dla mnie i napisała notatkę, żeby nie zapomnieć mi tego dać, kiedy zobaczymy się następnym razem.

— Co to było?

— Nie wiem.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu. Dopiero kiedy wchodziłam do domu, chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

— Przykro mi, Janey. Miałem nadzieję, że dzięki temu poczujesz się lepiej, nie gorzej. Nie wiem, co mówię. Nie chciałem cię urazić. Po prostu chciałem ci pomóc.

— W porządku — odparłam.

— Chodziło mi o to... Mówiłaś, że zazdrościsz ludziom, którzy wydają się szczęśliwi. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że każdy stracił kogoś, kogo kochał, i, prędzej czy później, nauczył się z tym żyć. Ty też nauczysz się żyć bez Atlasa i swojej babci.

— Nie straciłam Atlasa — rzuciłam.

— Nie to miałem na myśli. Posłuchaj, pogarszam tylko sprawę. Przepraszam. To wszystko, co chciałem powiedzieć.

Próbował mnie przytulić, ale odwróciłam się i weszłam do domu, marząc o prysznicu.

\* \* \*

Późnym wieczorem zamknęłam się w łazience z pudełkiem, które zostawiła mi babcia. Katie i ja spałyśmy na podwójnym łóżku w pokoju gościnnym. Nie chciałam jej przeszkadzać, ale nagle poczułam, że muszę wiedzieć, co jest w środku. Opuściłam deskę klozetową, usiadłam na niej i próbowałam utrzymać w drżących dłoniach ostatni prezent, jaki podarowała mi babcia, jednak cały czas — świadomie czy też nie — odwlekałam tę chwilę. Ostrożnie schowałam karteczkę z moim imieniem do kieszeni szlafroka. Rozwiązałam kokardę i wstążkę także schowałam do kieszeni. Wieczko pudełka zamocowano na pojedynczym zawiasie. Uniosłam je ostrożnie i zajrzałam do środka. Była tam kolejna wiadomość. Ukryta w małej kopercie niczym karta podarunkowa. Widniało na niej moje imię. W środku znalazłam mały, kwadratowy zielono-biały papier złożony starannie na pół. Wyglądał, jakby wycięto go z papieru pakunkowego. Zapisane na nim, koślawe litery głosiły radośnie: „Widzisz? A nie mówiłam? Będziesz musiała przekazać je w moim imieniu. Tęsknię za tobą, skarbie! Zgadnij kto?”

Pod małą kopertą znalazłam spinki do mankietów, które należały niegdyś do mojego dziadka, i jego zegarek.

## Rozdział 36

Wślizgnęłam się do swojej sypialni, w której spał Ethan. Zakradając się do pokoju z dzieciństwa, człowiek czuje się nieswojo. Po pierwsze pamięta tylko, jak się z niego wykrađał. Po drugie czuje się, jakby próbował wrócić do matczynego łona albo do czasów, które bezpowrotnie minęły. Przez chwilę znowu chciałam mieć pięć lat i zatęskniłam do dawnego życia. Jakże prostego. Rozejrzałam się i przypomniałam sobie mamę i babcię, które śmiały się ze mnie, kiedy drobiazgowo przeglądałam każdą próbkę w sklepie z tapetami. Przypomniałam sobie, jak w końcu przestało je to bawić i poszły na lunch do lokalu po drugiej stronie ulicy, zostawiając mnie sam na sam z moim niezdecydowaniem. Koniec końców opłacało się. Czerwone i fioletowe tulipany na kremowym tle nadal wyglądały uroczo. Mieszkająca obok mała dziewczynka, która — wbrew protestom matki — postanowiła zaufać swojemu instynktowi, prawdopodobnie do końca życia będzie musiała oglądać różowo-zielone kucyki My Little Pony. Choć może jej rodzice tapetowali pokoje częściej niż moi.

Mój własny pokój. I moje własne łóżko. Jedno z moich pierwszych wspomnień to dzień, w którym z tego pokoju zniknęło dziecięce łóżeczko, a pojawiło się prawdziwe jednoosobowe łóżko. Niechętnie pozbyłam się swojego łóżeczka w obawie, że pluszowe zabawki, które w nim mieszkały, znikną razem z nim. Wtedy tata pokazał mi, że mogę wchodzić na łóżko i schodzić z niego, kiedy tylko będę chciała, zupełnie jak duża dziewczynka. Rodzice musieli szybko pożałować swej decyzji, jako że przez kolejne trzy lata wczesnym rankiem przychodziłam do ich sypialni, ale od razu pokochałam swoje nowe łóżko. Zawsze gdy wracałam z wakacji, college'u, a nawet teraz, uwielbiałam się na nim kłaść.

A teraz leżał w nim jakiś chłopak. Widząc go, poczułam niepokój. Mam zaledwie pięć lat! Potrząsnęłam nim, żeby go obudzić.

Zerwał się jak oparzony.

— Janey? — szepnął zaskoczony.

— Oczywiście.

— Cholernie mnie wystraszyłaś.

— Przepraszam. Posuń się.

— Posunąć się? Gdzie?

— Po prostu się posuń.

— To małe łóżko. I tak leżę na skraju.

Przesunęłam go, zdjęłam szlafrok i w podkoszulku wsunęłam się pod kołdrę obok niego.

— To zostawiła mi babcia — szepnęłam. Usiadłam i oparłam się o wezglowie. W rękach trzymałam pudełko.

— Co to?

— Spinki do mankietów dla Atlasa i coś dla ciebie.

— Dla mnie?

— Coś, co, jej zdaniem, ci się spodoba. Zresztą ja też tak myślę.

— Dlaczego dała to mnie?

— Bo uważała, że się pobierzemy.

— No tak, zapomniałam. — Po tych słowach zamilkłam, jakby potrzebował czasu, żeby przyswoić tę informację, albo zastanowić się, co powiedzieć. — Cóż — zaczął w końcu — chyba powinienem to obejrzeć.

Otworzył pudełeczko, wyciągnął zegarek i podniósł go do światła, które wlewało się do pokoju z ulicy.

— Jejku — jęknął. — Jest piękny. Miała całkowitą rację.  
— Chciała, żebym go przechowała, bo bała się, że nie dożyje dnia, kiedy będziesz gotowy, by go dostać. — Mówiąc to, wzruszyłam ramionami. — Miała rację. Ty też.  
— Co to znaczy, że miałem rację?  
— Jej śmierć nie była nagła. Ona wiedziała. — Pokazałam mu liścik.  
— Przepraszam, Janey — odezwał się.  
— Dlaczego? To ja byłam wściekła, podła i myliłam się. Ty byłeś miły, uprzejmy i miałeś rację.  
— No cóż, przepraszam za to, że miałem rację.  
Przez chwilę siedzieliśmy w ciemnościach, nie mówiąc ani słowa.  
— Powinniśmy iść spać. — Jego szept kompletnie mnie zaskoczył. Prawie zapomniałam, że nie jestem sama. Może nawet zasnęłam oparta o wezglowie.  
— Dobrze — odparłam, ale nie ruszyłam się z miejsca. W końcu byłam w swoim łóżku.  
Ujął w dłonie moją twarz i dotknął czołem mojego czoła.  
— To nie był dla ciebie dobry tydzień — oznajmił.  
— Tak — przyznałam.  
— Kolejny może nie być dużo lepszy.  
— Wiem — potwierdziłam.  
— Może jeszcze następny będzie lepszy.  
— Miejmy nadzieję.

I wtedy mnie pocałował. Z początku tak delikatnie, że nie byłam nawet pewna, czy to aby rzeczywiście jest pocałunek, jednak im dłużej trwał, tym większej nabierałam pewności. W pewnym momencie oboje otworzyliśmy usta i zamknęliśmy je, jak ludzie, którzy chcą coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniają zdanie, i znowu je otworzyliśmy, jak byśmy byli ciekawi, co się wydarzy. Zaraz potem obsypał pocałunkami moje usta i policzki; jego ręce muskały delikatnie moją szyję, a chwilę później znów błędziły po twarzy. Nagle znieruchomiał, odsunął się ode mnie, zatopił palce w moich włosach i spojrzał na mnie ze smutkiem. Jego palce nadal błędziły po mojej skórze, a on patrzył i patrzył. Uśmiechnęliśmy się do siebie i znów zaczęliśmy się całować. Jednak tym razem był to pocałunek numer dwa, coś, o czym wiedzieliśmy już wcześniej, czego oboje pragnęliśmy, a co — nie wiedzieć czemu — się nie wydarzyło. Trwaliśmy tak jakiś czas, ze świadomością, że taka noc, pełna pocałunków i sekretów, to coś wyjątkowego i że nie powinniśmy się spieszyć. Czekałam więc i oddychałam, oddychałam i słuchałam, świadoma bicia własnego serca (zbyt szybkiego) i oddechu (zbyt płytkiego), nie myśląc o niczym. Zupełnie o niczym.

No bo co można zrobić? Więcej. Albo mniej. Odejść albo zostać.

— Wiem, że mówiłem to już wcześniej, ale... naprawdę powinniśmy iść spać — zaproponował. — Zaczyna świtać.

— Nie wolno mi sypiać z chłopcami — wyznałam.

— W porządku — odparł.

Zaraz potem położył się na plecach, a ja położyłam się na nim (to naprawdę małe łóżko) i po raz pierwszy od dawna zasnęłam głębokim, spokojnym snem.

\* \* \*

Kilka godzin później wróciłam do łóżka, które dzieliłam z Katie, podczas gdy Ethan — i inni domownicy — nadal spali. Robiłam, co mogłam, by pozostać w błogim półśnie, oszołomiona pocałunkami i tym, co oznaczały. Odrętwiała, starałam się nie myśleć o babci, Jill i Atlasie; byłam gotowa zanurzyć się we śnie tak charakterystycznym dla letnich poranków,

kiedy to choć na zewnątrz jest już jasno, czuje się, że nadal jest zbyt wcześnie, by zerwać się z łóżka. Teraz, gdy moje ciało przypominało sobie, co to sen, coraz bardziej się o niego dopominało. Jednak nie było mi dane znowu zasnąć. Wślizgnęłam się do łóżka, położyłam głowę na poduszce, zamknęłam oczy i usnęłabym, gdyby nie to, że Katie wcale nie spała. Wsparta na łokciu, szepnęła:

— Janey, co jest między tobą a Ethanem?

Leżałam bez ruchu, starając się nie otwierać oczu; kurczowo trzymałam się resztek snu i próbowałam je zatrzymać.

— Skąd pomysł, żeby rozmawiać o tym akurat teraz?

— To przez ciebie. Wracasz do łóżka o piątej rano i myślisz, że nic nie zauważę? Gdzie indziej mogłabyś być?

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę.

— Mogłam siedzieć w ogrodzie i płakać. Mogłam zaszyć się na dole i oglądać telewizję albo siedzieć w kuchni i zajadać smutki.

— Nie masz w zwyczaju zajadać smutków. Okno jest otwarte, więc słyszałabym, jak płaczesz w ogrodzie. Na dole w pokoju telewizyjnym śpią Lucas i Jason. Poza tym to oczywiste, że między tobą a Ethanem coś jest.

Nadal zaciskałam powieki, ale zaczęłam chichotać.

— Dlaczego tak myślisz?

Ona również zaczęła się śmiać i opadła na poduszki.

— Bo od miesiąca mam was na oku. Bo widzę, jak on na ciebie patrzy. Jak ty patrzysz na niego. Bo mieszkam z tobą pod jednym dachem. Bo żyję na tym świecie.

Opowiedziałam jej o pudełku babci, o tym, jak otworzyłam je w środku nocy, o zegarku i tym, że musiałam od razu oddać go Ethanowi.

— I wtedy mnie pocałował.

Katie pisnęła. Tak głośno, że zakryłam jej usta dłonią.

— Jak było?

— Przecież wiesz. Sama się z nim całowałaś.

— Zapomniałam. Opowiedz mi wszystko.

— Nie — odparłam, a zaraz później dodałam: — Było przyjemnie. Ethan jest bardzo miły.

— Co to znaczy?

— Nic. Nie wiem, co to znaczy — przyznałam. — Przepraszam, Katie.

— Za co?

— Całowałam się z twoim byłym chłopakiem. To randkowa zasada numer jeden. „Nie całować się z byłymi chłopakami swoich przyjaciółek”.

— To twoja zasada numer jeden, nie moja. Moja zasada numer jeden brzmi: „Zawsze sprawdzaj facetów swoich przyjaciółek”.

— Mimo to.

— Gdyby nie to, że przestałam spotykać się z Ethanem, nie zaczęłabym umawiać się z Peterem.

— Mimo to.

— Moim zdaniem to cudowne. Naprawdę się cieszę z twojego szczęścia. Z waszego szczęścia!

— Jeśli czujesz się przez to niezręcznie, natychmiast to zakończę. Nie muszę znowu tego robić.

Spojrzała na mnie sceptycznie, jak na narkomankę, która twierdzi, że w każdej chwili może zerwać z nałogiem.

— Nie mogę stracić kolejnej przyjaciółki — powiedziałam. — Ty też jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nic nie jest warte utraty ciebie.

— Nie straciłaś Jill — sprostowała Katie. — Obie ją straciłyśmy — dodała po chwili.

— Więc dlaczego nie powiedziała nam, dokąd zabiera Atlasa?

— Bo świruje — wyjaśniła Katie. — Ale nie dlatego, że ją utraciłyśmy. Poza tym nigdy mnie nie stracisz. A już na pewno nie przez faceta. — Zamilkła i pomyślałam, że może jeszcze spróbujemy zasnąć, kiedy spytała: — Dlaczego twoja babcia zostawiła mu ten zegarek?

— Bo wygląda jak piłka baseballowa. Należał do mojego dziadka — dodałam. — Jej zdaniem weźmiemy ślub.

Katie znowu pisnęła.

— Mogłybyśmy zorganizować podwójny ślub!

— Chyba ci odbiło, Katie.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi i do pokoju zajrzał Jason.

— Usłyszałem pisk — wyjaśnił. — Przyszedłem zobaczyć, co się dzieje. — Mówiąc to, wgramolił się na łóżko.

— Wracaj na kanapę w salonie — rzuciłam. — Nic się nie dzieje. Próbujemy zasnąć.

— Obściskiwałaś się z Ethanem — powiedział.

— Nie! — oburzyłam się. — No dobrze — przyznałam. — Całowaliśmy się. Skąd wiedziałeś?

— Och, Janey, to takie oczywiste. — Przewrócił oczami. — Nawet Lucas wiedział. Opowiadaj.

Znowu usłyszeliśmy pukanie i w drzwiach ukazała się głowa Ethana. Wzrok miał zamglony, włosy w nieładzie; spoglądał na nas spod przymrużonych powiek.

— Co się dzieje? Czemu tak hałasujecie? Jest piąta rano.

## Rozdział 37

Kilka godzin później Ethan wrócił do domu, żeby spotkać się ze swoimi studentami. Katie, Peter, Jason i Lucas także wrócili — żeby pracować, gotować, planować ślub, zastąpić mnie na zajęciach albo po prostu wrócić do normalnego życia. Choć Katie tęskniła za Atlasem i obiecała, że porozmawia z Jill i zażąda od niej... czegoś, czułam, że i on, i my coraz mniej ją obchodzimy. W przyszłym tygodniu wyjdzie za mąż, rozpocznie nowe życie i niebawem zacznie myśleć o własnych dzieciach. Skoro ślub — z mężczyzną, a nie współlokatorami — nigdy nie budził jej wątpliwości i skoro posiadanie własnych dzieci — a nie dzieci swoich współlokatorek — również nie budziło jej wątpliwości, to może po prostu chciała dać sobie z tym wszystkim spokój. Czyżby kochała Atlasa miłością opiekunki do dziecka? A mnie i Jill jak współlokatorce? Czy mogła zrezygnować z tego wszystkiego dla faceta, którego znała ledwie od miesiąca? Wydawało mi się to nie do pomyślenia.

Nie do pomyślenia w sensie niemożliwe. I nie do pomyślenia, dlatego że nie byłam w stanie o tym myśleć. Jakby tego było mało, musiałam zamknąć jeszcze jeden rozdział w swoim życiu. Choć tata upierał się, że jeszcze przez miesiąc powinniśmy wynajmować mieszkanie babci, zanim pozbędziemy się jej rzeczy, mama chciała zakończyć tę sprawę jak najszybciej i nie przeciągać jej w czasie. Nie chciała przez kolejny miesiąc zmagać się z palącym bólem, któremu towarzyszyło uczucie pustki, rezygnacji i żalu. To było straszne.

Przedmioty nie przypominają powieści, ale takie właśnie są. Gdybym prowadziła zajęcia, wytłumaczyłabym to swoim studentom. A ponieważ nie miałam takiej okazji, szukałam ucieczki od rzeczywistości, rozmyślając. Rzeczy nie istnieją same w sobie. Aby zaistniały, ktoś musi je posiadać. A należąc do kogoś, mają swoją historię. Oczywiście niektóre z nich są nadzwyczajne.

— Mój tata przywiózł te świeczniki dla babci aż z Paryża, gdzie stacjonował w czasie wojny — powiedziała mama, pakując je w folię pęcherzykową. — Pamiętam, jak opowiadał ze śmiechem, że wszyscy kupowali dla swoich dziewczyn perfumy albo biżuterię i dokuczali mu, ale on powiedział im, jak pięknie mama wygląda w świetle świec, i choć były duże i ciężkie, woził je z sobą, wyobrażając sobie, jak cudownie oświetli jej twarz, kiedy w końcu wróci do domu.

Jednak inne przedmioty, te najbardziej powszechne i przyziemne, również skrywają historie, które warto opowiedzieć.

— Naprawdę musimy zatrzymać te paskudztwa? — spytałam, zdejmując obrzydliwe zasłony z zielonego aksamitu ozdobione haftowanymi pomarańczowymi kwiatami.

— Nie, wyrzuc je — odparła mama. — Babcia znalazła je w punkcie sprzedaży hurtowej i spodobała jej się cena. Znasz ją. Mówiłam jej, że są paskudne, ale powiedziała, że jest już stara i nie pożyje zbyt długo, żeby wydawać pieniądze na drogie zasłony.

— Kiedy to było? — spytałam.

— Więcej niż piętnaście lat temu — odparła ze śmiechem. Chwilę później zalała się łzami, żalując, że nie kupiła babci ładniejszych zasłon na urodziny albo tak po prostu, bez okazji.

— A co ze stolikiem do kart? — spytał ojciec.

— Zanieś go do mieszkania naprzeciw — odparła mama. — Mary i Mabel zawsze przychodziły grać do mamy. Pewnie nie mają własnego stolika. — Nagle pomyśleliśmy o babci, która aż do ostatnich dni grała w brydza i przyjmowała gości. — Zanieś im też talerz na chipsy i dipy — dodała mama. — Będzie im potrzebny.

Widzicie? Zupełnie jak w powieści. Stół do gry w karty nakreśla postać bohatera. A świeczniki budzą wspomnienia.



\* \* \*

Pomiędzy sortowaniem i pakowaniem rzeczy wróciliśmy do domu i przyjęliśmy kolejnych gości, którzy jedli, wspominali i zapominali. Tak właśnie robią Żydzi, przez siedem dni oplakują zmarłych, siedzą w domu, goszczą życzliwe im osoby i zmuszają je do jedzenia. Poniekąd jest to bardzo miłe — ten upór, który pokazuje, że po tym, co się wydarzyło, nie jesteśmy jeszcze gotowi wrócić do normalnego życia. Z drugiej strony, to męczące — siedzieć, patrzeć na te same smutne twarze, słuchać tych samych opowieści i jeść bajgle. Przez większość tygodnia siedziałam w domu, pomagając rodzicom, przyjmując ich przyjaciół i dalekich krewnych, mniej więcej co godzina wyjmując jedzenie z plastikowych pojemników, a potem chowałam je z powrotem i próbowałam przekonać samą siebie do zupełnie nowego świata. Pewnego wieczoru odwiedził mnie Nico i poszliśmy na spacer.

— Co zrobisz teraz, kiedy już jej nie ma? — spytałam.

— To nie tak, że jej nie ma. Nadal masz wspomnienia o niej i jej mądrość. Zawsze kiedy gotuję na święta albo specjalne okazje, stawiam na lodówce zdjęcie babci w kuchennym fartuchu, na którym jedną ręką trzyma mnie na biodrze, a drugą wymachuje ogromną łyżką.

— Kiedy zmarła? — Nie poznałam żadnego z dziadków Nica. Umarli, zanim zaczęliśmy się przyjaźnić.

— Byłem w gimnazjum. Ale dzień, w którym zrobiono to zdjęcie, jest jednym z moich najwcześniejszych wspomnień. Tamtego dnia dała mi najlepszą radę dotyczącą gotowania. To dlatego, że chciałem dodać do ryżowych ciasteczek całe opakowanie czekoladowych chrupek. Powiedziała: „Możesz zawsze dodać więcej, ale nigdy nie mniej”.

— A więc stąd się to wzięło. — Roześmiała się. — Myślę o tym za każdym razem, gdy gotuję. Chyba naprawdę jestem szczęściarą. Tak długo mogłam się cieszyć swoją babcią. Nie straciłam jej tak wcześnie jak ty swoich dziadków.

— Tak, ale może to brednie — odparł. — Do dupy. Miałaś więcej czasu, ale bardziej to przeżyłaś. Żal mi tych wszystkich lat, które mogłem przeżyć z babcią, ale z drugiej strony miałem wtedy dwanaście lat. Byłem smutny, ale przede wszystkim chciałem bawić się z kuzynami w ogrodzie za domem i o wszystkim zapomnieć. No i zapomniałem. Tak więc pod tym względem było mi łatwiej.

Przez chwilę zastanawialiśmy się nad tym, co powiedział. I nagle, zanim weszliśmy do domu, Nico chwycił mnie za rękę.

— Jest jeszcze coś, co chciałem ci powiedzieć — zaczął. — Caroline jest w ciąży.

Przytuliłam go. Powiedziałam mu, jak bardzo się cieszę. Powiedziałam, że będzie cudownym ojcem. Bo naprawdę tak myślałam. Ale nie włożyłam w to serca. W głębi duszy byłam przeciwna dzieciom. I rodzinie.

— Chcemy, żebyś była matką chrzestną — rzekł Nico.

— Ależ ja nie jestem katoliczką!

— Dla nas to bez znaczenia. Nawet nie jesteśmy małżeństwem, więc nie sędzę, żeby ksiądz robił problem z faktu, że matka chrzestna jest żydówką. Tak naprawdę są tylko dwa warunki. Powinna to być osoba, którą uważasz za przyjaciela. I ktoś, kto zaopiekuje się dzieckiem, gdybyśmy oboje zginęli. Dla mnie taką osobą jesteś ty.

— Dlaczego ja?

— Bo jesteś moją przyjaciółką i cudowną matką.

— Nie jestem matką — odparłam szeptem.

— Ale matkowałam dziecku Jill. I pewnego dnia sama zostaniesz mamą.

— Skąd ta pewność? — prychnęłam.

— Bo jesteś moją przyjaciółką i cudowną matką — powtórzył Nico.

\* \* \*

Późnym wieczorem zadzwonił Ethan, żeby zapytać, jak sobie radzę, i przekazać mi najświeższe wieści. I powiedzieć mi to:

— Nie chcę cię niepokoić, ale wiesz, że się obściskiwaliśmy.

— Zauważyłam — szepnęłam, tak żeby nie obudzić rodziców. — Byłam tam. I muszę przyznać, że było miło.

— Też tak uważam. — Nie wiedzieć czemu, on również mówił szeptem. — Choć jakoś tak dziwnie.

— To znaczy?

— Nie wiem.

— Zgadza się, choć też nie wiem dlaczego.

— Co zamierzasz z tym zrobić? — spytał.

— Myślę, że chciałabym to powtórzyć.

— Brzmi nieźle — przyznał. — Powtórzymy to, kiedy wrócisz do domu. — Przez dłuższą chwilę żadne z nas nie odezwało się ani słowem; po prostu siedzieliśmy i rozkoszowaliśmy się wspomnieniami naszych szeptów, pocałunków i złożoną chwilę temu obietnicą. W końcu usłyszałam jego szept: — Chcesz, żebym przyjechał? Tak dla towarzystwa? Żebyś poczuła się lepiej.

— Nie. Jutro wracam do domu. Mamy tu wciąż urwanie głowy. Ale dzięki.

— Jeszcze jedno, Janey. W weekend idę na ślub, moja była wychodzi za mąż, i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie poszłabyś ze mną.

— Chętnie — odparłam.

## Rozdział 38

Po powrocie do domu zostały mi tylko dwa dni na zajęcia poświęcone powieściom. Katie zrobiła wstęp i razem z Ethanem przeprowadzili dyskusję, jednak wciąż miałam tyle do zrobienia. To nie była dobra pierwsza połowa letniego semestru. Ale miałam całą drugą połowę, żeby nadrobić zaległości. W zamian za to, że tak często zastępowała mnie na zajęciach, postanowiłam przez pierwszy tydzień prowadzić zajęcia w grupach Katie, tak by mogła wyjechać w podróż poślubną. Kto by pomyślał w październiku, kiedy zapisywaaliśmy się na kursy wakacyjne, że w tym czasie odejdzie moja babcia, a zaraz potem Katie wyjdzie za mąż? Gdy zadałam to retoryczne pytanie Ethanowi, odrzekł, że w obu przypadkach było to bardzo prawdopodobne. Może, ale nie dla mnie.

Moim zdaniem — o czym poinformowałam swoich studentów — to, co dzieje się w powieściach, jest niezwykle doniosłe, dlatego właśnie je rozumiemy. Każdy dzień, każda chwila ma swoją własną historię, jednak w większości są one nudne. Powieść wybiera te najbardziej niejasne i tworzy z nich krystalicznie czystą historię, którą warto opowiedzieć. Kiedy byłam dzieckiem, uważałam, że to nieprawdopodobne, by biedny chłopiec poznany w pierwszym rozdziale okazał się jedynym dzieciakiem na milion, który w opakowaniu czekolady znajduje ostatni złoty talon. Wszystko przez to, że nie rozumiałam. Historia, w której chłopiec rozpakowuje tabliczkę czekolady i nie znajduje talonu, zjada ją i jak gdyby nigdy nic wraca do domu, nie jest warta opowiadania. Może gdyby wrócił do domu i zastał w nim fioletowego królika w zbroi, pogryzającego sandały, to dopiero byłoby coś — niesamowity początek kolejnej historii.

Moi studenci uważali, że to oczywiście, choć, ich zdaniem, była to również kwestia sporna, dzięki której będziemy w stanie zrozumieć powieść. Zbyt często dajemy się zwieść obietnicy opowieści o nas samych i rzeczywiście spotykamy ludzi podobnych do nas, tyle że ich życie jest takie ekscytujące, tak oszałamiające i nieprawdopodobne, tak pełne intryg, wagi i zbiegów okoliczności, że nijak się ma do naszego. Wiemy jednak, że narrator nie opowie nam o lecie, w którym nic się nie działo; zamiast tego opowie nam o lecie, kiedy wydarzyło się wszystko i wszystko się zmieniło. Ostatecznie może właśnie to jedno słowo — „zmiana” — jest kwintesencją powieści. Nie to, co się stało, może nawet nie to, dlaczego się stało, ale to, co się zmieniło i czego nas to uczy. Już samo „my” jest takie ważne. To główni bohaterowie, narrator, drugorzędni bohaterowie, autor i — a może przede wszystkim — czytelnicy, ponieważ oni także biorą udział w podróży. Jednak sama podróż to zaledwie połowa bitwy. Druga połowa — ta bardziej osobista — to odkrycie tego, czego nauczyliśmy się po drodze.

\* \* \*

Moi studenci powitali mnie niczym starzy przyjaciele i nie jest to żadna metafora. Współczuli mi z powodu babci, pytali, jak czują się moi rodzice i jak ja sobie radzę. Martwili się o Atlasa. Pytali o ślubne plany Katie (o których wiedzieli zadziwiająco wiele). Jak na ludzi, z którymi nie łączyła mnie przyjaźń (oni pracują; ja oceniam ich pracę) i których poznałam w grupie zaledwie kilka tygodni temu, wiedzieli naprawdę dużo o moim życiu. Czasami tak się dzieje, w niektórych salach wykładowych, z niektórymi studentami. Zwłaszcza w letnim semestrze — krótkim, kameralnym, intensywnym — i najczęściej wtedy, gdy człowieka dopadają jakieś kryzysy. Można by pomyśleć, że mając trzech wykładowców — z których każdy mógł pojawić się na zajęciach bez zapowiedzi — powinni odczuwać niepokój, tymczasem taki stan rzeczy najwyraźniej im odpowiadał. Omawialiśmy szczegóły ostatnich kilku dni —

wymagania do portfolio, kiedy i jak je oddać, jak zdobyć oceny końcowe — kiedy Eliza Alford, występująca w imieniu grupy, podniosła rękę i chichocząc, spytała:

— Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? Co łączy panią z Ethanem?

Starłam się, ale nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Odmówiłam jednak odpowiedzi na to pytanie.

\* \* \*

W domu Katie, Jason i Peter pakowali rzeczy Katie, która po ślubie zamierzała się wyprowadzić i zamieszkać z mężem. Powinnam była pogodzić się z tym już dużo wcześniej. Pakowali również to, co zostało po Jill i Atlasie. Kazałam im przestać. Czułam, że mogą wyrzucić rzeczy Jill przez okno. I upierałam się, że Atlas może wrócić — wróci — i będzie potrzebował swoich kocyków, zabawek i książeczek. Jill i Daniel mylili się, wierząc, że wystarczy przenieść jego meble do zupełnie nowego miejsca pełnego obcych ludzi, żeby poczuł się jak w domu. Jakbyśmy nie były jego domem; jakby dom nie był miejscem, w którym mieszkał ze mną i z Katie. Tak więc uznałam, że kiedy wróci, będzie potrzebował tych wszystkich rzeczy, i nie zgodziłam się, by zapakowali je do pudła. Już raz w tym tygodniu przechodziłam coś podobnego i nie miałam zamiaru przeżywać tego po raz drugi. Poszłam więc na górę oceniać prace studentów.

Później wypożyczyliśmy filmy o ślubach, zamówiliśmy pizzę, siedzieliśmy na podłodze w pokoju gościnnym, w którym nie było już mebli, i maleńkimi zielonymi i fioletowymi wstążeczkami przywiązywaliśmy siemię dla ptaków i lawendę do miniaturowych tiulowych kwadracików, które Atlas próbowałby zjeść, gdyby tylko tu był. Kiedy przyjechał Lucas, razem z Jasonem próbowali wyciągnąć gdzieś Petera („Wiązanie tiulu to najgorszy wieczór kawalerski, jaki można sobie wyobrazić”, stwierdził Jason), ale ten nie wydawał się zainteresowany. Ethan nie mógł przyjść, bo musiał sprawdzać prace. W domu było dziwnie cicho. Brakowało Jill, która krzyczała, klóciła się albo trzaskała drzwiami. Brakowało Atlasa, krzyczącego, płaczącego albo śmiejącego się. Nie było już domu pełnego ludzi. Nie miałyśmy nawet mebli. Nawet gdy Atlas spał, jego spokój wydawał się bardzo głośny, bo w każdej chwili mały mógł obudzić się z krzykiem i domagać, żeby ktoś wziął go na ręce. Ale mógł też przespać spokojnie całą noc i obudzić się wczesnym rankiem, radosny i uśmiechnięty. Jego brak był ogłuszający.

Katie i ja zostawiłyśmy chłopców na dole i poszłyśmy na górę zobaczyć, z czym najlepiej będzie komponowała się jej suknia: z włosami upiętymi czy rozpuszczonymi, z perłami czy brylantami, z welonem czy bez welonu. Z włosami upiętymi, brylantami i bez welonu. Z włosami rozpuszczonymi, brylantami i welonem. Albo nie, może z włosami upiętymi, perłami i bez welonu. I tak dalej. Było zabawnie, ale miałam wrażenie, że wszystko jest udawane. Powinien to być najszcześniejszy dzień w życiu Katie i moim, jako jej najlepszej przyjaciółki, tyle że nasz zapał został ostudzony do granic możliwości.

Zadzwoił telefon, jednak po raz pierwszy od tygodni moje serce nie podskoczyło na ten znajomy dźwięk. Prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie obchodziło. Wszystko, co najgorsze, już się wydarzyło. Nie mogło być już gorzej. Mogło być tylko prozaicznie.

— Przyjeżdżam — padło bez zbędnych wstępów i uprzejmości. — Niech wszyscy inni wyjdą z mieszkania.

Jill. Oczywiście. Powiedziałyśmy chłopcom, że nie muszą wychodzić, ale uparli się, że sobie pójdą.

Mniej więcej czterdzieści minut później Jill weszła do domu bez pukania. (Czy to jakaś wskazówka co do tego, gdzie mieszkała? A może gdzieś przeczekała, żeby nas zmylić? Może po drodze zrobiła zakupy? Nie miałyśmy pojęcia). Katie i ja stałyśmy pośrodku naszego salonu,

próbując ustalić, jak lepiej będzie prezentowała się w kościele — z bukietem czy pustymi rękami, z włosami upiętymi czy rozpuszczonymi, z welonem czy bez. Drzwi otworzyły się z hukiem i stanęła w nich Jill, z rękami na biodrach.

— Katie, wyglądasz śmiesznie — oznajmiła.

— To znaczy, że... lepiej będzie bez bukietu?

— Po co włożyłaś coś takiego?

— Bo wychodzę za mąż?

— Ale nie dziś.

— Próbujemy dobrać fryzurę, biżuterię i takie tam.

Taki początek nie wróżył niczego dobrego. Poza tym kompletnie nie o to tu chodziło.

— Nie przywiozłaś Atlasa — zauważyłam.

— Bo śpi — fuknęła Jill, jakby to było takie oczywiste. — Jest w domu ze swoim ojcem — dodała po chwili.

— Jego dom jest tu — odparłam.

— Nie macie tu nawet mebli — rzuciła, jakby to tłumaczyło, dlaczego przyjechała sama. Jakbyśmy nie miały mebli, dlatego że byliśmy kiepskimi rodzicami, a nie dlatego, że kiepscy rodzice Atlasa wynieśli je z naszego domu. Widząc, że żadna z nas nie wie, co odpowiedzieć, Jill odrobinę spuściła z tonu.

— Wyglądasz naprawdę pięknie, Katie. Po prostu zaskoczyłaś mnie w tej sukni — wyjaśniła. — Zawsze bardziej podobałaś mi się z upiętymi włosami.

— Dziękuję — odparła Katie. — Możesz spróbować być odrobinę miłsza?

Jill przez chwilę rozważała jej prośbę. W końcu rzuciła:

— Macie coś do jedzenia? Umieram z głodu.

Zaproponowałam jej pudełko siemienia i lawendy. Katie poszła odgrzać resztki pizzy. Powiedziałam, że najpierw powinna się przebrać, ale obiecała, że będzie ostrożna. Katie lubiła paradować po domu w sukni ślubnej.

— Przepraszam, że wzięłam meble — zaczęła Jill. Jakbyśmy przejmowały się meblami.

— Jakbyśmy przejmowały się meblami, Jill — powiedziałam na głos.

— Posłuchaj, Janey, staram się. Ale mnie przeraziłaś. Za bardzo się przywiązałaś. Przestraszyłam się, że naprawdę będziesz chciała odebrać mi Atlasa. Nie miałam pojęcia, dlaczego skłamałaś. Nie rozumiałam, dlaczego byłaś tam i próbowałaś trzymać go ode mnie z daleka?

— Janey by tego nie zrobiła — wtrąciła Katie. — Nigdy nie próbowała odebrać ci dziecka. To ty je odebrałaś...

— Atlas jest mój — przerwała jej Jill.

— Tak, teraz jest twój. Teraz, kiedy masz kogoś, kto będzie się nim zajmował...

— Dan nie jest jego opiekunką. Jest jego ojcem.

— Teraz, gdy znalazłaś kogoś, kto przejmie pałeczkę, kto będzie znosił twoje załamania nerwowe i huśtawki nastrojów, kogoś, kto zmieni swoje życie, żeby przejąć twoje obowiązki, kto będzie zmieniał pieluchy i zajmował się Atlasem, gdy mały obudzi się w środku nocy albo wczesnym rankiem tuż przed świtem.

— Pojutrze wychodzisz za mąż — przypomniała jej Jill. — I tak wiecznie cię nie było.

— Łudzisz się, jeśli myślisz, że nie wynajęlibyśmy domu w sąsiedztwie, pracowali na zmiany i żyli według grafików, żeby nadal opiekować się Atlasem — odparła Katie.

— Atlas jest także naszym dzieckiem, Jill — dodałam. — To, że go nie urodziłyśmy, nie znaczy, że to nieprawda. Wiesz o tym. Nie próbowałam trzymać go od ciebie z daleka. Był chory. Potrzebował matki. I to ja byłam matką, która przy nim była. To nawet nie było kłamstwo.

Na tym właśnie polega bycie dobrym rodzicem. Zrobiłam tylko to, czego potrzebowałam.

— Jediną osobą, która myślała o zabraniu komuś dziecka — Katie zwróciła się do Jill — byłaś ty.

Ta milczała. Widać było, że jest wściekła. Kiedy się odezwała, głos miała bardzo, bardzo spokojny.

— Chciałam odzyskać Daniela. Mamy szansę stworzyć prawdziwą rodzinę — odezwała się jeszcze ciszej.

— Byłyśmy prawdziwą rodziną — odparłyśmy jednocześnie ja i Katie.

Zaraz potem Katie dodała:

— Tylko ty jedna tego nie zauważyłaś.

## Rozdział 39

Ostatni projekt na koniec pierwszej połowy letniego semestru to niezwykle kreatywne zadanie. W ciągu roku wszyscy przejmują się egzaminami końcowymi, zaliczeniem czterech albo pięciu zajęć i milionem innych rzeczy, z których żadna nie sprzyja kreatywnemu myśleniu. Tymczasem w letniej sesji studenci nie zdają egzaminów z matematyki czy historii Ameryki Łacińskiej, tak więc mogą w pełni zaangażować swoje umysły w stworzenie czegoś własnego. A lato w Seattle jest urocze, inspirujące; jest coś magicznego w całym tym słońcu, które świeci przez cały dzień. Rozpala ono wyobraźnię. Ja daję im duży wybór — kilka wierszy, opowiadanie, jednoaktówkę, esej, początek scenariusza lub powieści. Przede wszystkim jednak dostają pamiętniki; czasami zawołowane, ale wciąż pamiętniki. Myślą, że ich życie jest jak literatura — i może rzeczywiście takie jest, może takie właśnie jest życie nas wszystkich — tak więc wykorzystują szansę, by je opisać.

Tego lata opuściłam wiele zajęć ze swoimi studentami. W ramach rekompensaty — czy to z powodu wyrzutów sumienia, czy na znak solidarności — ja również postanowiłam napisać pracę. Stąd ta historia — praca zaliczeniowa na koniec pierwszej połowy letniego semestru. Coś między pamiętnikiem, autobiografią, teorią literatury i rozprawą pedagogiczną. Ale czyż wszystko nie jest takim właśnie literackim kolażem?

\* \* \*

Ostatnie dni są zawsze troszkę smutne. I choć zwykle bywają radosne — miałam w perspektywie prawie dwa miesiące wolnego — nawet w najgorszych grupach jest kilku studentów, za którymi człowiek najzwyczajniej w świecie tęskni. W tym wypadku wiedziałam, że będę tęskniła za wszystkimi. Każdy z nich podzielił się z grupą fragmentem swojej pracy — przeczytał wiersz, pojedynczy rozdział, fragment pisanego pamiętnika albo opowiadania. Kilkoro z nich nakłoniło kolegów do zaprezentowania części scenariusza czy jednoaktówki. To było niesamowite. Nie dlatego, że wszyscy byli wspaniali — ich prace reprezentowały różny poziom, a w wielu przypadkach były to po prostu surowe szkice — ale dlatego, że to, co napisali, było bardzo osobiste, szczerze i dramatyczne. Moi studenci mieli rację; ich życie — albo życie, które sobie wyobrażali, naprawdę było jak literatura, pełne dramatyzmu i intryg. Nie chodziło tylko o mnie. Wielu spośród nich miało za sobą szalone pięć tygodni życia.

Ostatnie dni zmuszają też do refleksji. Razem spojrzeliśmy wstecz na spędzone wspólnie pięć tygodni i byliśmy zdumieni tym, jak wiele się zmieniło i jak niewiele rzeczy pozostało takich samych.

Po skończonych zajęciach wpadłam na schodach przed budynkiem na Ethana; zupełnie tak, jak wtedy, pierwszego dnia.

— I jak poszło? — spytałam.

— W porządku. Wygłosiłem wykład na temat znaczenia nauki historii. Zastanawialiśmy się nad tym, czego się nauczyliśmy na zajęciach z postępu, jaki poczynił człowiek w ciągu ostatnich pięciuset lat. Wiesz, szersza perspektywa i te sprawy. A u ciebie?

— Tak samo.

— Poważnie?

— Wszyscy czytali fragmenty swoich prac.

— Jak to się ma do historii?

— Na tym polega literatura. Rozmawialiśmy o tym, co się zmieniło. Czego się nauczyliśmy.

— Ciekawe — zastanawiał się na głos. — Cóż, nie dam ci pięciuset lat, ale mogę ci dać pięć tygodni. Czego się nauczyliście?

— Ja?

— Wy wszyscy.

Zastanowiłam się nad tym.

— Katie nauczyła się, jak w ostatniej chwili zaplanować ślub, i jestem pewna, że jest to umiejętność, która jeszcze nieraz się jej przyda.

— Jason i Lucas nauczyli się, jak być rodzicami w chwilach kryzysu — dorzucił Ethan. — I jest to umiejętność, która na pewno jeszcze wiele razy im się przyda.

— Moja babcia nauczyła się przewidywać przyszłość.

Uśmiechnął się.

— Peter dowiedział się, co go czeka.

— Ty też — dodałam.

— Tak, ja też.

— Jill dowiedziała się, że jest podła i szalona. Przekonała się, że nie zależy jej na mnie, że mi nie ufa, ani nawet mnie nie lubi.

— Nie wydaje mi się, żeby to była prawda.

— A ty? — spytałam.

— Ja dowiedziałem się, że zależy mi na tobie i że ci ufam. Przekonałem się nawet, że bardzo cię lubię — odparł.

Usiedliśmy w milczeniu i rozkoszowaliśmy się słońcem. Zamknęliśmy oczy. Nasze nogi opierały się o siebie, a dłonie stykały, choć nie trzymaliśmy się za ręce.

— A ty? — spytał po chwili.

— Tego — odparłam. — I ostatnie trzydzieści sekund utwierdziło mnie w przekonaniu, że mam rację. — Znowu się uśmiechnął. — Jest jeszcze kilka innych rzeczy, które nie do końca rozumiem.

— A Atlas? — spytał.

Roześmiałam się, choć łzy napłynęły mi do oczu.

— Atlas nauczył się robić bańki ze śliny. Dowiedział się, że lubi tort weselny. Wie, jak obgryzać klocki. Nauczył się uderzać w rzeczy innymi rzeczami. Stracił prababcię. Stracił mnie i Katie. Wiele rzeczy wydarzyło się w jego życiu przez te pięć tygodni.

— Ale dla niego to dopiero początek — zauważył Ethan.

\* \* \*

Ethan odprowadził mnie do domu. Resztę popołudnia Katie i ja spędziłyśmy, rozmawiając przez telefon. Czyniłyśmy ostatnie przygotowania, odpowiadałyśmy na pytania przyjaciół, wskazywałyśmy drogę krewnym, przypominałyśmy firmie cateringowej o rozmaitych szczegółach i szukałyśmy czegoś niebieskiego. W pewnym momencie dotarło do nas, że jesteśmy głodne jak wilk.

— Powinnyśmy wyskoczyć coś zjeść — zaproponowałam.

— Nie — pisnęła przerażona Katie. — Musisz nauczyć mnie gotować. Zanim wyjdę za mąż.

— Próbowałam — przypominałam jej. — Nie byłaś szczególnie zainteresowana.

— Wtedy nie zależało mi na tym, żeby się nauczyć. Tylko tak mówiłam. Tak naprawdę chciałam zaprzyjaźnić się z tobą i Jill.

— Poważnie?

— Oczywiście.



— Peter umie gotować?

— Nie mam pojęcia — odparła obojętnie. — Znam go zaledwie od kilku tygodni — mruknęła pod nosem, chichocząc jak mała dziewczynka.

— Nie wyjeżdżasz na koniec świata ani nie stajesz się kimś innym, tylko wychodzisz za mąż. Nauczę cię gotować w przyszłym tygodniu.

W tej samej chwili drzwi do domu otworzyły się i stanęła w nich Jill, z białą flagą w postaci pizzy. Najwyraźniej zapomniała, że ubiegłego wieczoru jadłyśmy pizzę na kolację. Przywiozła z sobą Atlasa.

— Chcę jutro przyjść na ślub. Nie wyobrażam sobie, że mogłabyś wyjść za mąż beze mnie. W końcu udzieliłam wam swojego błogosławieństwa. To znaczy wiem, że mogłabyś wyjść za mąż beze mnie, ale jakoś wcale mi się to nie podoba.

Podeszłam do niej i wzięłam Atlasa na ręce. Spojrzał na mnie i wydał z siebie rozkoszny pisk. Odwróciłam się i bez słowa poszłam do jego pokoju, wciąż jeszcze umeblowanego. Zatrzasnęłam drzwi i usiadłam w kącie, szlochając i bez końca kołysząc go w ramionach. Spodziewałam się, że lada chwila Jill wpadnie do pokoju, ale najwyraźniej uznała, że nie może tego zrobić, jeśli rzeczywiście chce coś osiągnąć. Wybaczyła mi albo postanowiła odpuścić. Tak czy inaczej, mieliśmy trochę czasu wyłącznie dla siebie.

— Kocham cię i zawsze będę cię kochać — szeptałam, kryjąc twarz w jego włosach. — Nigdy cię nie opuszczę. Nawet jeśli nie będzie mnie przy tobie, pamiętaj, że cię kocham. Będę przy tobie. Zawsze. Jesteś mój. Zawsze będziesz mój. Już zawsze będziemy rodziną, ty i ja.

Atlas nic nie robił sobie z mojej histerii ani własnej przemoczonej koszulki. Był absolutnie zafascynowany swoim żółtym króliczkiem, za którym najwyraźniej bardzo tęsknił. Wydawał się zdrowy, szczęśliwy, najedzony i zadowolony. Wrócił do domu, ale wiedziałam, że nie zostanie tu długo.

Chwilę później do pokoju weszły Jill i Katie i usiadły z nami na podłodze. Jill wygłosiła przemówienie, w trakcie którego bawiła się klockami, układając je i przekładając, i ani na chwilę nie patrząc na naszą trójkę. My też patrzyliśmy na klocki.

— Przepraszam, tyle że nie za wszystko. Przepraszam, że krzyczałam, ale byłam zła. Przepraszam, że przeze mnie cię aresztowali, ale się wystraszyłam. Przepraszam, że reagowałam zbyt emocjonalnie, ale byłam zła i przerażona. Przepraszam, że wywiozłam meble... Chciałam się zemścić. Przepraszam, że nie powiedziałam, dokąd się przeprowadzamy; to było drastyczne posunięcie. Przepraszam za to, ale nie do końca jest mi przykro. Miałam powody, żeby się bać i złościć. Mam prawo robić z Atlasem, co mi się żywnie podoba; bez względu na to, co sobie myślicie, i nawet jeśli wydaje się wam, że oszalałam. Zgadzam się, że przysługuje wam prawo do Atlasa, ale nie do końca. Nadal będę potrzebowała pomocy do opieki nad nim, zwłaszcza w drugiej połowie letniego semestru. Poza tym całkiem możliwe, że dostanę pracę na pełny etat, a ponieważ wy zostajecie na uczelni, będziecie miały bardziej elastyczny grafik. Nadal chcę, żebyście były częścią jego życia... ważną częścią. Zawsze tego chciałam. Ale nie chcę mieszkać z wami do końca życia. Chcę mieszkać z Danem. Zamierzamy znowu spróbować. Kochaliśmy się. A kto nie pokochałby Atlasa? Chcę się nim dzielić, ale nie całkowicie.

To była jej myśl przewodnia — do pewnego stopnia, ale nie całkowicie. Pomyślałam, że mogłabym z tym żyć, bo tak naprawdę nie miałam wyboru. Jill nadal traktowała nas jak opiekunki, nie jak członków rodziny, i wciąż na pierwszym miejscu stawiała własną wygodę. Była protekcyjna i samolubna i nadal tego nie dostrzegała. Ale próbowała. Ja trzymałam w ramionach Atlasa i wierzyłam, że jakoś to zniosę.

— Nigdy nie zakładałyśmy, że będziemy mieszkać razem do końca życia — powiedziała Katie.

— Właśnie — poparłam ją.  
— Nie jesteśmy opiekunkami do dziecka — ciągnęła Katie.  
— Właśnie — powtórzyłam.

— A poza tym — dodała Katie — jesteśmy twoimi przyjaciółkami. Zapomnij o rodzinie. Zapomnij o tym, ile nam zawdzięczasz. Jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółkami. Jesteśmy nimi od dawna. Chcemy jak najlepiej dla ciebie i wszystkich, których kochasz. Możemy rozmawiać o różnych rzeczach. Nie jesteśmy podle ani nie jesteśmy idiotkami. Nie jesteśmy obcymi ludźmi. Jesteśmy przyjaciółkami. Tak właśnie cię traktujemy. Ty też powinnaś nas tak traktować.

— Właśnie — dorzuciłam i zaraz potem dodałam: — Pies zostaje ze mną.  
\* \* \*

Kiedy w końcu uśmiechnęłyśmy się dzielnie, uściskałyśmy się i zdecydowałyśmy, że spróbujemy jeszcze raz — bez względu na to, co to oznaczało — zapytała, czy nie mogłybyśmy zaopiekować się Atlasem, tak żeby ona i Dan mogli spędzić wieczór tylko we dwoje. Cała Jill!

— Tak bardzo nam tego potrzeba — wyznała konspiracyjnie.

Zduśiłam w sobie złość, bo to znaczyło, że ja będę zmuszona zajmować się Atlasem. Katie poszła do Petera, żeby spędzić z nim ostatni przedmałżeński wieczór. Zadzwoiłam do Ethana i poprosiłam go, żeby przyszedł, ale nie powiedziałam dlaczego. Kiedy czekaliśmy, opowiedziałam Atlasowi o tym, jak zachorował, jak bardzo się o niego martwiłam, jak jego rodzice doprowadzili do mojego aresztowania i o tym, że teraz czuje się znacznie lepiej; o tym, jak umarła jego prababcia, jak Ethan pocałował mnie w usta i że najwyraźniej chciał to powtórzyć. Wiedziałam, że nie rozumie. Po prostu chciałam, żeby wiedział. Pozwoliłam mu przez chwilę posać spinki do mankietów, które niegdyś należały do jego pradziadka. Później schowałam je z powrotem do pudełeczka i zgodnie z instrukcjami babci, ukryłam w miejscu, gdzie zaczekają, aż będzie gotowy.

— Będiesz mógł je ssać za każdym razem, gdy mnie odwiedzisz — obiecałam, na co wyraźnie się ucieszył.

— Jest i moje maleństwo — rzucił zachwycony Ethan na widok Atlasa, który siedząc na podłodze, układał filizanki. Podeszedł i wziął go na ręce. Mały odpowiedział radosnym popiskiwaniami. Wierzył, że wszyscy go kochają, bo wszyscy, których spotykał, rzeczywiście go kochali. — Co tu się stało? Janey, poczyniłaś naprawdę wielkie postępy. Chyba że tym razem rzeczywiście go porwałaś. Nie porwałaś go, prawda?

— Odwiedziła nas Jill. Chce jutro przyjść na ślub. Przeprosiła, chociaż nie do końca czuje się winna. Powiedziała, że chce się dzielić Atlasem, ale też nie do końca. Przyznała, że liczy na to, że pomożemy jej się nim opiekować. Była naprawdę wkurzająca, choć nie do końca. Później powiedziała, że ona i Dan potrzebują spędzić trochę czasu tylko we dwoje.

— Ma dziewczyna tupet — skwitował Ethan.

— To fakt.

— Więc zostawiła nam Atlasa.

— Właśnie — odparłam radośnie.

Usiedliśmy na podłodze, żeby obejrzeć mecz i zjeść pizzę, bo w domu nie było niczego innego.

— Jill nauczyła się dzielić — zauważył Ethan podczas jednej z reklam.

— Na to wygląda. Albo zrozumiała, że nie ma wyboru.

— Ty nauczyłaś się wybaczać. — Nie wiedziałam, czy było to pytanie, czy stwierdzenie. Mówiąc to, nakrył moją rękę swoją dłonią.

— Pracuję nad tym — przyznałam.  
— Teraz już wiesz, że nigdy nie stracisz tego dziecka...  
— Może.  
— On już na zawsze pozostanie częścią twojego życia...  
— Może.  
— Bo tym właśnie jest rodzina...  
— Może.  
— I dlatego, że jesteś bardzo dobrą matką, bardzo dobrą przyjaciółką i bardzo, bardzo dobrym człowiekiem.  
— Chcesz, żebym się rozplakała? — spytałam.  
— Może — odparł.

\* \* \*

Ethan wymówił się wcześniej. Przygotowania do ślubu (zadanie dla panów) rozpoczęły się wcześniej niż ubieranie panny młodej (nasze zadanie). Katie wróciła do domu cała w skowronkach. Niedługo potem przyszła Jill, nieco mniej rozanielona. Kiedyś siadałyśmy na podłodze, żeby się powyglupiać, pozwierać albo patrzeć na Atlasa. Teraz siedziałyśmy na środku pokoju, bo Jill wywiozła wszystkie meble, ale i tak przypominało to jeden z tych magicznych wieczorów. Nie byłam pewna, czy wspomnienia te czynią mnie szczęśliwą, czy może napawają smutkiem, bo uświadamiają mi przepaść, jaka się między nami utworzyła. Myślę, że i jedno, i drugie. Czułam się jak w przeddzień ślubu swojej najlepszej przyjaciółki — cieszyłam się jej szczęściem i współczułam sobie. Istniało tyle powodów, dla których ślub Katie był również porażką.

— Denerwujesz się? — wypytywała ją Jill.  
— Niezbyt.  
— A powinnaś. Prawie go nie znasz. Małżeństwo to poważna sprawa.  
Jill jak zawsze była mało taktowna, jednak nie okazywałam rozdrażnienia, bo w głębi duszy wiedziałam, że to właśnie w niej kochałyśmy — jej obcesowość i szczerłość.  
— Wiem, że tak powinno być. I wiem, że tego właśnie chce Bóg. Wiem, że Peter mnie kocha, a ja Kocham jego. Wiem, że jest dla mnie idealnym mężczyzną, a ja dla niego idealną kobietą.  
— I wiesz, że seks jest bolesny, prawda? — spytała Jill.  
— Naprawdę?  
— Bardzo. Pierwszy raz? Boli jak diabli.  
— Nie jest tak źle — wtrąciłam. — Wcale tak bardzo nie boli. Użyj dużo środka nawilżającego. Schowałam go w jednej z kieszeni twojej walizki. Prezent ślubny. Nic ci nie będzie.  
— Ohyda — rzuciła Katie.  
— Lepiej szybko się do tego przyzwyczaj — poradziła Jill. — Masz mniej więcej szesnaście godzin. Wiesz o tym, prawda?  
— Tak. Nie jestem głupia. Czasami coś czytam.  
— Jesteś miłośniczką epoki wiktoriańskiej — zauważyła Jill. — To lepsza zabawa, niż ją opisują. Ale nie za pierwszym razem.  
— Bądź na górze — poradziłam. — Wtedy jest łatwiej.  
— I nie denerwuj się — dodała z powagą Jill. — Zdenerwowanie tylko pogarsza sprawę.  
— Peter jest cudowny, Katie. — Próbowałam ją pocieszać. — Razem dacie sobie radę.  
— Moglibyście zacząć od porządnego macanka — zaproponowała Jill, chichocząc. —

Przecież ty nawet nie dotykałaś penisa. A Peter nie miał w ustach sutka, odkąd matka odstawiła go od piersi. Mnie nauczenie się tego wszystkiego zabrało trzy lata. Ty chcesz to zrobić w ciągu dwudziestu minut. Może powinniście wstrzymać się z seksem na dzień albo dwa.

— To nie taki głupi pomysł — przyznałam. — Dzięki temu będziecie mieli na co czekać. Wyznaczycie sobie cel na miesiąc poślubny.

— Seks w noc poślubną jest obowiązkowy — upierała się Katie.

— Według Boga? — spytała Jill.

— Według wszystkich. Wszyscy wiedzą, że w noc poślubną państwo młodzi uprawiają seks. Jestem pewna, że będzie cudownie. Przestańcie mnie straszyć. A ty? Denerwujesz się?

— Ja? Niby dlaczego miałabym się denerwować?

— Bo nagle nie tylko wróciłaś do faceta, który rzucił cię, kiedy dowiedział się, że jesteś w ciąży, ale postanowiłaś z nim zamieszkać.

— Wcale mnie nie rzucił — odparła wściekle Jill.

— Fakt, nawet nie raczył ci powiedzieć, że z tobą zrywa. Po prostu zniknął. I nagle wraca, tak po prostu, bez słowa wyjaśnienia czy głupiego „przepraszam” — ciągnęła Katie, która najwyraźniej uznała, że jako przyszła żona może być równie szczerą jak Jill.

— Przeprosił mnie i wszystko wyjaśnił — broniła się Jill, choć jakoś tak bez przekonania. — Był przerażony i zły i czuł się zmanipulowany. Musiał uciec od tego wszystkiego, przestać być dzieckiem i chłopakiem z college’u. Myślał, że ma przed sobą jeszcze kilka lat wolności. Ale dostał pracę, mieszkał sam i zdał sobie sprawę, że jest samotny. Zrozumiał, że to nie dziecko ogranicza jego wolność, tylko dorosłość. Miałam mu nie wybaczyć i zmarnować życie sobie i nam wszystkim z powodu lęków i zamieszania?

— Ale nie czujesz się wykorzystana? — spytała Katie. — Jest samotny, więc wraca do ciebie. Musi być odpowiedzialny, więc czemu nie zająć się dzieckiem?

Myślałam, że Jill wybuchnie i znowu każe nas aresztować. Ona tymczasem rozmawiała z nami i miałam wrażenie, że z każdym słowem staje się coraz bardziej posępna; do tego stopnia, że niebawem zmieniłyśmy taktykę i zaczęłyśmy ją pocieszać.

— Jestem pewna, że kocha ciebie i Atlasa. W przeciwnym razie nigdy by nie wrócił — zapewniała Katie.

— Jeśli uznasz, że nie możecie żyć pod jednym dachem, zawsze możesz spróbować zamieszkać sama albo przeprowadzić się do mamy. Możesz też w każdej chwili wprowadzić się tu z powrotem — spróbowałam.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

— Zrobiłabyś to?

— Co?

— Pozwoliłabyś mi zamieszkać z tobą?

Wzruszyłam ramionami i potwierdziłam. Może było to żenujące, ale taka była prawda.

— Dlatego, że kochasz Atlasa? — spytała Jill.

— Tak. I dlatego, że kocham ciebie.

Dopiero wtedy nas przeprosiła.

— Śluby są do niczego — rzuciła. Może z początku nie wyglądało to na przeprosiny, ale tym właśnie było. — Suchy tort, kiepskie stroje, krewni z piekła rodem. Głupie tańce. Naiwne, nic nieznaczące przysięgi: „Będę cię szanować, słuchać i zapomnę o bożym świecie”. Co to za bzdury?! Bez urazy, Katie, ale zawsze uważałam, że to wszystko jest gównem. Teraz nie jestem już taka pewna. Rzeczy się zmieniają. Miłość jest niestała. To oczywiste, że nie będę nikomu posłuszna. Ale wiem, że zawsze będziemy razem, jesteśmy na siebie skazane, bo jesteście rodziną Atlasa. Moją rodziną — dodała. — Taka jest prawda. Wszystko inne zmieni się

albo może się zmienić. Ale ta jedna rzecz pozostanie taka sama, na dobre i na złe.

Było już późno, a nazajutrz czekał nas ważny dzień. Jill twierdziła, że nie chce o tej porze wracać do mieszkania Daniela, choć myślę, że tak naprawdę to właśnie tu czuła się jak u siebie. A ponieważ moje łóżko było jedynym, jakie pozostało w całym domu, położyliśmy się do niego wszystkie trzy.

## Rozdział 40

Nazajutrz w ogrodzie za domem odbył się ślub. Stałam z przodu, obok Katie i Jill, czułam na twarzy promienie słońca i zastanawiałam się — bo o to właśnie prosił nas biskup — co to wszystko oznacza. Ta opowieść kończy się śmiercią i ślubem. Czym zatem jest: tragedią czy też komedią? Kończy się rozpadem naszej małej rodziny — choć nie do końca — i powstaniem, albo ponownym powstaniem, dwóch, a może nawet trzech związków. Czy to znaczy, że zamienia w konkret abstrakcyjne tradycyjne pojęcie rodziny? Nie sądzę, zwłaszcza że nikt z nas w to nie wierzy. Ponieważ Jill, Katie i ja nadal idziemy do przodu, może nie razem, ale blisko siebie, tak jak kiedyś. Ponieważ Jason i Lucas spodziewają się dziecka. Ponieważ Ethan obiecał mi, że Atlas już zawsze będzie moją rodziną, i przypuszczam, że nie zrobił tego tylko po to, żebym poczuła się lepiej. Ponieważ wszyscy jesteśmy w sobie zbyt zakochani, by tak po prostu pozostać przyjaciółmi. Ponieważ czasami ich nienawidzę, choć to bez znaczenia. W końcu komu, jak nie rodzinie, wybaczyć fakt, że przyczynili się do twojego aresztowania?

Ale również dlatego, że podróż ta nie prowadzi do śmierci; nie prowadzi do małżeństwa, związków ani nawet do rodzicielstwa. Ta podróż zaczyna się od przyjaźni i na przyjaźni się kończy. Moja babcia myślała, że wszystko zaczęło się od dziecka w hotelu Waldorf-Astoria; wszystko dlatego, że, zdaniem mojej babci, cała ta historia dotyczyła wyłącznie mnie. Ale ja wiem swoje. Wszystko zaczęło się od alejki z krakersami, spotkania z Jill i lekcji gotowania z Katie. To my jesteśmy początkiem tej historii, historii Atlasa. I tu, na końcu, a przynajmniej na końcu tej części, spoglądam na nas i zastanawiam się, jak bardzo się zmieniłyśmy. Atlas siedział na kolanach Jasona, gdzie — choć przez chwilę — było mu wygodniej niż u Daniela, i zaciskał swoją małą pięść na palcu wskazującym Lucasa. Diane zajmowała miejsce obok Lucasa i próbowała skupić się na ceremonii, choć tak naprawdę nie mogła oderwać wzroku od swojego ślicznego wnuka. Dan siedział obok niej, od czasu do czasu zerkając ukradkiem na jej pięknego wnuka, ale znacznie częściej przyglądając się Jill. Moi rodzice wyglądali na szczęśliwych, pierwszy raz od kilku tygodni, i próbowali zapanować nad Wujkiem Claude'em, który wyrwał się do ołtarza. Ethan uśmiechał się do mnie, a w jego oczach widziałam coś jakby podziw zmieszany ze zdumieniem. Odpowiadała mi ta mieszanka.

Katie była szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa. Wystarczyło na nią spojrzeć. Peter chyba rzeczywiście był dla niej Tym Jedynym. Ich związek nie opierał się na wieloletniej znajomości, ale na metodzie prób i błędów. Może taka była wola Boga. Co do Jill, nie byłam tego taka pewna. Wydawała się wściekła, przygnębiona i szalona. Nie wiedziałam, czy Dan zostanie. Nie miałam pewności, czy Jill mu wybaczy, i nie miałam nawet pojęcia, czy powinna. Nie byłam pewna, czy poradzi sobie z Atlasem bez ciągłej pomocy z naszej strony. Może więc wzajemnie się zrównoważą? Pewność siebie Katie i niepewność Jill. Radość Katie i szaleństwo Jill?

A ja? Byłam wszystkim tym, czym powinien być niekompetentny narrator. Byłam smutniejsza, a zarazem mądrzejsza i bardziej szczęśliwa. Bardziej sceptyczna, skrzywdzona i zakochana. Bardziej zaangażowana. Nie tragiczna, ale i nie komiczna. Moje zakończenie nie do końca było szczęśliwe, ale z całą pewnością nie należało do smutnych. Było niejednoznaczne. Z naciskiem nie na „co”, ale na „dlaczego”, ponieważ „co” od samego początku było jasne i klarowne. Z naciskiem nie na złość, ale na miłość, choć oba te uczucia odegrały ogromną rolę. Koniec końców chodziło przecież o rodzinę, a w takich przypadkach miłość zawsze zwycięża. Stąd wiemy, że zbliżamy się do końca — bo po raz kolejny znaleźliśmy miłość. Odzyskaliśmy ją, albo ona — one — nas. Właśnie dlatego na końcu książek jest tak wiele ślubów. Nie dlatego, że śluby same w sobie są zakończeniem, ale dlatego, że niełatwo jest ciągnąć historię po takiej

dawce miłości. Słowa wydają się zbyt banalne, by o niej mówić. Miłość jest zbyt doniosła i nadzwyczajna, by zaraz potem powracać do prozy codziennego życia. To zadziwiające, że mimo wszystkich dowodów i ostrzeżeń, że jest inaczej, ludzie nadal w nią wierzą. Pytanie brzmi, co byś zrobił, gdybyś mógł kochać i być kochanym? Niemal trudno w to uwierzyć. Ale musimy wierzyć i wierzymy. I właśnie dlatego z naszymi rodzinami, przyjaciółmi, ludźmi, którzy są dla nas przyjaciółmi, jak i rodziną, z tymi, których wychowujemy, i tymi, dla których chcemy być jak rodzice, tymi, których całujemy w usta i których przyjmujemy pod swój dach, tymi, którzy nas opuszczają, i tymi, którzy wracają, tymi, których pamiętamy — podejmujemy ryzyko i wierzymy w miłość. Koniec końców zawsze w nią wierzymy.

## Podziękowania

Jeden z powodów, dla których pisanie książki jest lepsze od otrzymania Oscara, jest taki, że lista podziękowań może być tak długa, jak chcesz, i nikt nie puszcza tandetnej muzyki, żeby ci przerwać, zanim rozkręcisz się na dobre. Lista moich podziękowań jest długa i płynie prosto z serca, tak więc może to chwilę potrwać.

Dziękuję Molly Friedrich, prawdziwej cudotwórczyni, która przekazała mi przez telefon najlepszą wiadomość, jaką w życiu odebrałam, i której rady były absolutnie bezcenne.

Dziękuję mojej redaktorce, Lindsay Sagnette, która niezmiernie pracowała nad tą książką i swym entuzjazmem pokonała moją mamę; a to już nie lada wyczyn.

Pragnę podziękować cudownej Lucy Carson za to, że mnie prowadziła, za cierpliwość i uprzejmość, oraz Paulowi Cirone'owi za wsparcie i ciężką pracę.

Dziękuję ludziom, którzy jako pierwsi przeczytali tę książkę, i tym, którzy zagrzewali mnie do pracy: Paulowi Marizowi, Susan Frankel, Davidowi Frankelowi, Erin Trendler, Lisie Corr, Samowi Chambersowi, Rebecce Brown, Alicii Goodwin, Jennifer Crouch, Helen Heffer, Paulowi Capobianco, a przede wszystkim Lil Maughan.

Dziękuję Barbarze Catlin za użyczenie mi swojej historii, Adrienne Grau-Cooper i Alicii Goodwin za konsultacje lekarskie oraz Mike'owi Evertonowi, z przeprosinami, za fragment o *Moby Dicku*.

Dziękuję, Danielu, za to, że w końcu wróciłeś do domu.

Dziękuję swoim rodzicom, Susan i Davidowi Frankelom, którzy wspierali mnie, jeszcze zanim zaczęłam czytać, i nigdy nie przestali. Byli — zawsze — bardziej kochającymi, ciepłymi, szczodrymi i oferującymi wsparcie rodzicami, niż mogłam to sobie wyobrazić, dlatego rodzice Janey na ich tle wypadają naprawdę blado.

O Paulu Marizie mogę powiedzieć tylko tyle: na świecie jest 6,8 miliarda ludzi, a on i tak jest najlepszy. Tak wiele w tej książce jest jego — duch, kreacja, pomysł, zapał, miłość i wsparcie. To Paul czytał tę książkę nieskończoną ilość razy, rozmawiał o niej, naprawiał to, co było kiepskie, nadawał jej charakter i wierzył w nią od samego początku. Muszę przyznać, że jestem wielką szczęściarą.

Na końcu żałuję, że nie potrafię znaleźć odpowiednich słów, by podziękować moim babciom, Doris Hess i Rebie Frankel. Obie pojawiają się w tej książce i obie nie posiadały się ze szczęścia, kiedy w końcu zobaczyły ją w druku.



<sup>1</sup> Cook (ang.) — kucharz, gotować.

<sup>2</sup> Amerykańska organizacja propagująca świadome rodzicielstwo, kompleksową edukację seksualną i dostęp do legalnej antykoncepcji oraz aborcji.

<sup>3</sup> Pittsburgh Pirates — drużyna baseballowa z siedzibą w Pittsburghu w stanie Pensylwania.

<sup>4</sup> Książka dla dzieci autorstwa Dr. Seussa.

